

William Gibson
Rozpoznanie Wzorca

(Pattern Recognition)

Przełożył Paweł Korombel

Dla Jacka

1.

PORTAL KOSZMARNEJ NOCY

Różnica czasu po locie z Nowego Jorku wynosi pięć godzin i *jet lag** budzi Cayce Polard w Camden Town wydaną na łup bezwzględnych, nieznużenie krążących wilków roztraskanego rytmu dobowego.

Trwa nijaka, upiorna, iście nieludzka godzina rozhuśtania układu limbicznego, popędów i emocji, kiedy pień mózgu szaleje, żądając bez sensu kopulowania, jedzenia, ukojenia, wszystkiego tego, o czym tak naprawdę nie ma co marzyć.

Nie ma co nawet marzyć o jedzeniu, gdyż nowa kuchnia Damiena jest równie pozbawiona jadalnej zawartości jak okno wystawowe jej projektanta przy High Street w Camden. Jest bardzo ładna, drzwi górnych szafek to kanarkowy laminat, dolnych - płyta pilśniowa lakierowana na zielone jabłuszko. Jest bardzo czysta i prawie zupełnie pusta, poza kartonem z dwoma pomarszczonymi opakowaniami płatków Weetabix i pojedynczymi torebkami herbaty ziołowej. Zupełnie nic w niemieckiej lodówce, tak nowej, że pachnie tylko zimnem i makrocząsteczkowymi monomerami.

Słyszając bezbarwny szum tego miejsca, Londynu, Cayce świetnie zdaje sobie sprawę, że teoria Damiena o *jet lagu* jest słuszna; jej dusza pozostaje daleko, daleko w tyle, na rozciągniętym sznurze jakiejś upiornej pępownicy wlokącej się śladem samolotu, który przewiózł ją

* *Jet lag* (ang.) - rozbiecie psychiczne i zmęczenie fizyczne po znacznej zmianie strefy czasowej, np. długim locie (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). dziesiątki tysięcy metrów nad Atlantykiem. Dusza nie umie poruszać się tak szybko jak ciało; zostaje daleko w tyle i po przylocie czekasz na nią i czekasz jak na zagubiony bagaż.

Zastanawia się, czy ten rozdział nie pogłębia się z wiekiem; dno bezimiennej godziny nie zapada jeszcze niżej, a sama pora nie staje jeszcze bardziej nijaka, obca w smaku, nieciekawa?

Cayce sztywnieje w półmroku sypialni Damiena, pod czymś srebrzystym jak żaroodporna rękawica kuchenna, pewnie w ogóle nie przewidzianym na okrycie. Była zbyt zmęczona, żeby poszukać koca. Pościel między skórą a kołdrą przemysłowego przeznaczenia jest jedwabista, luksusowa i delikatnie pachnie, zapewne Damienem. Całkiem przyjemnie. Prawdę mówiąc, po prostu nie drażni; w tym momencie każdy łącznik z bratem ssakiem jest na plus.

Damien to przyjaciel.

Mawia, że ich klocuszki do zabawy w doktora są niedopasowane.

Ma trzydziestkę, Cayce jest dwa lata starsza, ale w Damienie tkwi jakiś nieprzystępny moduł niedojrzałości, nieśmiały, uparty stwór, odstraszący potencjalnych inwestorów. Oboje byli i są bardzo dobrzy w tym, co robią, i żadne z nich nie ma bladego pojęcia, czemu tak jest.

Wpisz w Google'a „Damien”, to znajdziesz: reżyser wideoklipów i reklam telewizyjnych. Wpisz „Cayce”, a znajdziesz: *coolhunter*, analityk trendów ulicznych, a czytając dalej, dowiesz się, że ma wycucie, jest różdżkarką w świecie globalnego marketingu.

Chociaż Damien powiedziałby, że tak naprawdę to coś zbliżonego do alergii, chorobliwa odraza, czasem nawet gwałtowna reakcja na semiotykę rynku.

Damien siedzi teraz w Rosji, uciekł przed remontem i twierdzi, że kręci dokument. Cayce wie, że nikłe ślady życia w mieszkaniu to zasługa asystentki kierownika produkcji.

Przewraca się, rezygnując z tej bezsensownej parodii snu. Sięga po ubranie. Mały, czarny chłopięcy T-shirt Fruit of the Loom, skurczony po starannym wygotowaniu, cienki szary pulower z wycięciem w serek, jeden z sześciu kupionych hurtem od dostawcy do podstawówek w Nowej Anglii, para nowych czarnych dżinsów 501, kilka rozmiarów za dużych, starannie pozbawionych wszelkich znaków towarowych. Nawet kapsle tydzień temu wygładził młotkiem w Village zdziwiony koreański ślusarz.

Przełącznik podłogowej włoskiej lampy Damiena leży w dłoni jak wytwór pozaziemskiej cywilizacji; jest inny, zaprojektowany do rozłączania angielskiego prądu o odmiennym niż we Włoszech napięciu.

Cayce wstaje, wkładając dżinsy, prostuje się, czuje dreszcz.

Świat po drugiej stronie lustra. Bolce przewodów elektrycznych są grube, potrójne, dostosowane do prądu, który w Ameryce zasila tylko krzesła elektryczne. Wnętrza samochodów mają zamienioną lewą stronę z prawą; słuchawki telefonów mają inny, inaczej rozłożony ciężar; okładki książek przypominają australijskie dolary.

Mrużąc źrenice od światła halogenów, rażącego boleśnie jak słońce, spogląda w prawdziwe lustro, oparte o szarą ścianę, czekające na powieszenie, w którym widzi kukiełkę o nieskoordynowanych ruchach, i w czarnych spodniach. Sen nastroszył włosy i sterczą jak szczytka do ubrania. Wykrzywia się do odbicia. Nie wie, czemu przypomina sobie, że jej facet porównywał ją do aktu Jane Birkin autorstwa Helmuta Newtona.

W kuchni nalewa wodę przez niemiecki filtr do włoskiego czajnika elektrycznego. Gmera przy przełącznikach: - czajnika, przewodu, gniazdka. Bezmyślnie gapi się na bezkres kanarkowych szafek, gdy woda się gotuje. Wrzuca torebkę kalifornijskiej herbaty ziołowej do dużego białego kubka. Zalewa ją wrzątkiem.

W salonie przekonuje się, że wierny cube Damiena jest włączony, ale w stanie uśpienia, kontrolki wyłączników łagodnie pulsują. Tak uzewnętrznia się ambiwalentny stosunek Damiena wobec projektowania: trzyma dekoratorów na smyczy, aż przysięgną nie robić niczego, za co im płaci, a równocześnie sam kurczowo trzyma się tego mąka, bo po przewróceniu do góry nogami można go rozbebeszyć, ciągnąc za czarodziejską aluminiową rączkę. Teraz Cayce zdaje sobie sprawę, że to upodobanie do grzebania w mechanizmach przypomina życie seksualne dziewczyn-robotów w jego wideoklipach.

Siada na fotelu przy komputerze i klika przezroczystą myszą. Wiązka promieni podczer-

wonych prześlizguje się niepewnie po długim stole z jasnego drewna, a właściwie blacie na krzyżakach. Budzi się przeglądarka. Cayce wypisuje: Fetysz:Emefy:Forum. Damien dba o nie-pokalaność swojej wrażliwości i nigdy nie wpisał potrzebnego jej adresu do Ulubionych.

Otwiera się strona główna, znajoma jak salon u przyjaciela. Za tło służy klatka z segmentu #48, niewyraźna, prawie monochromatyczna, bez widocznych napisów i znaków. To jedna z sekwencji budzących skojarzenie z Tarkowskim. Cayce tak naprawdę zna rzeczy rosyjskiego reżysera tylko z fotosów; raz zasnęła na projekcji *Stalkera*, podczas ciągnącego się w nieskończoność zbliżenia kałuży na zniszczonej mozaikowej podłodze, oglądanej spod sufitu. Ale nie wierzy, zresztą nie ona jedna, aby szukanie wzorców coś dało. Kult emefów, czyli materiałów filmowych, dzieli się na wiele podkultów, czułych na każdy piksel segmentu. Truffaut, Peckinpah... Wielbiciele Peckinpaha nadal czekają, jedni z tych wierzących w najmniej prawdopodobne, że kolty znów zadymią.

Wchodzi na forum, automatycznie przelatując wzrokiem tematy wpisów i imiona twórców nowszych wątków, szukając przyjaciół, wrogów, wiadomości z ostatniej chwili. Jedno jest pewne: nie pojawił się żaden świeży materiał. Nic od tamtej panoramy plaży i Cayce nie podpisuje się pod teorią, że to Cannes zimą. Francuscy znawcy emefów okazali się bezradni, a niekończące się wielogodzinne przeglądy panoram podobnych scenerii skończyły się fiaskiem.

Widzi też, że jej przyjaciel, WParkęUbrany, wrócił do domu, do Chicago, po wyprawie koleją do Kalifornii, ale kiedy otwiera pocztę od niego, są tylko pozdrowienia.

Klika opcję odpowiedzi, podpisuje się: „CayceP” i wpisuje treść:

Cześć WParkęUbrany. Potwierdzam odbiór.

Kiedy klika stronę główną forum, jej wpis już tam jest.

Forum to teraz jakby jej dom. Jeden z punktów zahaczenia w życiu, jak znajoma kawiarnia, funkcjonująca poza czasem i siatką współrzędnych.

F:E:F ma jakichś dwudziestu stałych bywalców i zmienną liczbę gości. W tej chwili czatuje troje, ale nie masz szansy dowiedzieć się, kim są, dopóki sama do nich nie dołączysz, a Cayce nie czuje się zbyt komfortowo na czacie. Czat to dziwna rozmowa, nawet z przyjaciółmi, jakbyś rozmawiała w czarnej piwnicy z daleko siedzącymi ludźmi; odstrasza ją kanonady skrótów wyskakujących jedno po drugim, bez związku z sobą.

Cube łagodnie wzdycha, bezwiednie mruczy napędem jak skrzynia biegów rasowego kabrio na uciekającej pod kołami autostradzie. Cay-ce macza usta w herbacie, ale napój nadal jest zbyt gorący. Szare, rozmyte światło zaczyna przenikać pokój, odsłaniając rzeczy Damiena, które przetrwały ostatni remont.

Częściowo rozbebeszone roboty opierają się o ścianę, w tym dwie kukły do testów zde-

rzeniowych, torsy z głowami o elfickich, wyraźnie kobiecych rysach. To rekwizyty do jednego z klipów Damiena i aż dziwne, że Cayce czuje się tak swojsko w ich towarzystwie, mimo tego całego nastroju. Zapewne dlatego że są tak autentycznie piękne, cudownie kobiece. Damien gardzi fantastycznonaukowym kiczem. Te istoty jak z marzenia sennego, o ciałach z białego plastiku, lśniące w półświecie brzasku niczym stary marmur, drażnią męskie zmysły drobnymi piersiami, świadcząc o fetyszyzmie Damiena. Kazał je wymodelować na podobieństwo swojej przedprzedostatniej kochanki.

Hotmail załadował trzy wiadomości. Cayce nie ma ochoty otwierać żadnej z nich. Jedna od matki, trzy to spam. Dwie reklamy powiększa-cza członka, jedna pod hasłem: Spraw Sobie Biust Co Się Zowie.

Kasuje spam. Pociąga łyk herbaty. Szare światło nabiera dziennego kolorytu.

W końcu Cayce idzie do świeżo przerobionej łazienki Damiena. Czuje się w niej tak, jakby zaraz potem miała wejść do sterylnej sondy NASA, albo jakby grała w filmie poświęconym Czarnobyłowi i sowieccy technicy w gumowych rękawicach po pachy właśnie zdjęli z niej ołowiany kombinezon, przystępując do szorowania szczotkami na długich kijach. Prysznic można regulować łokciami, nie brudząc odkażonych dłoni.

Zdejmuje sweterek, koszulkę i dłońmi, nie łokciami, puszcza wodę i ustawia jej temperaturę.

Cztery godziny później jest w studiu pilatesu przy ekskluzywnej alei Neal's Yard, samochód z kierowcą z Blue Ant czeka na pobliskiej ulicy, nazwa nieważna. Stanowisko do ćwiczeń jest bardzo długie, bardzo niskie, nie wiedzieć czemu groźne i przypomina biedermeierowski mebel. Cayce spoczywa na ruchomej wyściełanej platformie, jeździ, zapierając się o ogranicznik w nogach. Sprężyny dźwięczą. Dziesięć ruchów zapierając się piętami, dziesięć palcami, dziesięć piętami... W Nowym Jorku ćwiczy w fitness-klubie profesjonalnych tancerzy, ale tego przedpołudnia jest jedyną klientką przy Neal's Yard. Może ośrodek otwarto niedawno, a może pilates nie jest jeszcze popularny w świecie po drugiej stronie lustra. „Oni tu wciąż spożywają te archaiczne substancje” - myśli. „Pałą i piją, jakby to ich miało zbawić, i ciągną w nieskończoność miesiąc miodowy z heroiną”. Czytała, że tutejsze ceny heroiny sięgnęły dna, a pierwsza partia afgańskiego opium wciąż zalega rynek.

Skończyła serię na palcach, przechodzi na pięty, wykręca szyję, sprawdzając, czy właściwie, równolegle, ustawiła stopy. Lubi pilates, bo to żadne jogistyczne omy-achy, żadne medytowanie. Musisz mieć oczy szeroko otwarte.

Skupienie rozprasza niepokój, wahanie przed podjęciem pracy. Dawno nie była tak rozstrojona.

Przyleciała do Londynu, bo ma kontrakt z Blue Ant. To rozgałęziona globalnie, raczej obojętna na podziały geograficzne niż wielonarodowa agencja reklamy, zatrudniająca nieliczny personel stały, błyskawicznie rosnący, głęboko zakorzeniony organizm w środowisku re-

klamowym ospałych roślinożerców. A może to całkowicie nieorganiczny organizm, wyrosły z gładkiego, ironicznego czoła założyciela, Huber-tusa Bigenda, teoretycznie Belga, wyglądającego jak Tom Cruise na diecie z krwi dziewic i szwajcarskich czekoladek.

Cayce ceni go za jedno: za to, że zupełnie nie przejmuje się swoim śmiesznym nazwiskiem*. Poza tym nie cierpi go do szpiku kości.

I to bez żadnej przyczyny. No, prawie.

Nadal ćwicząc na piętach, sprawdza czas na koreańskim klonie klasycznego wstrząsoodpornego Casio G-Shock, którego plastikową kopertę pozbawiono wszelkich znaków firmowych za pomocą kawałka drobnoziarnistego japońskiego papieru ściernego. Cayce ma obowiązek stawić się za pięćdziesiąt minut w biurze Blue Ant w Soho.

Wsuwa pod stopy podkładki z białozielonej pianki, starannie ustawia stopy, unosi pięty, jakby była w niewidzialnych szpilkach, i rozpoczyna serię dziesięciu ruchów zgarniających palcami u nóg.

* Bigend (slang amer.) - wielka kłapa; wielki kutas.

2. SUKA

W oknie wystawowym specjalisty od modnych dodatków w Soho odbija się biurowy zecap: świeży T-shirt Fruit of the Loom, czarna MA-1* od Buzza Ricksona, niemarkowa czarna spódnica z ciucho-landu w Tulsa, czarne legginsy, które nosi na pilates, czarne szkolne członka z Harajuku**. Niby-torebka to kopertówka z czarnego enerdowskiego plastiku zakupiona w eBay - może część umundurowania Stasi, niegdyś ważnego zawodnika na macie zapasniczej wywiadów.

Widzi swoje szare oczy, bielejące na szkle, a głębiej koszule od Bena Shermana, długie parki i spinki do mankietów w formie kokardowych znaków RAF-u, znaczących skrzydła spitfirerów podczas ostatniej wojny światowej.

Zecapy. Zestawy Cayce Pollard. Tak Damien określa jej ubrania. Zecapy są białe, czarne lub szare i wyglądają tak, jakby pojawiły się na tym świecie bez interwencji człowieka. Ich prostota bije na głowę każdą inną prostotę.

To co ludzie biorą za nieugięty minimalizm, jest wynikiem oddziaływania rdzenia atomowego mody, na które jest nieuchronnie wystawiona. To dlatego doszło do bezlitosnej redukcji tego, co jest w sta-

* MA-1 - rodzaj kurtki lotniczej. ** Harajuku - ciuchowo-rozrywkowa dzielnica Tokio, mekka japońskiej młodzieży. nie nosić, i co nosi. Ma alergię na modę. Toleruje tylko nijakie ubiory z lat 1945-2000. Jest strefą poza modą, jednoosobową szkołą sprzeciwu, której surowość od czasu do czasu grozi narodzeniem własnego kultu.

Wokół gwar Soho, piątkowe przedpołudnie zmierza ku zakrapianym lanczykom i ostrożnym pogaduszkom w tych wszystkich restauracjach. Do jednej z nich, o wdzięcznej nazwie Charlie Don't Surf*, pójdzie na obowiązkowy po spotkaniu poczęstunek. Ale sama jest w szerokim na kilometry dołku, wydrążonym przez *jet lag*, i daleko jej do surfowania; czuje brak serotoniny, pustkę po spóźniającej się duszy.

Patrzy na zegarek i rusza ku Blue Ant, której siedziba jeszcze do niedawna gościła starszą, bardziej prostolinijną agencję.

Niebo jest jasnoszarą nieką pociętą splątanymi smugami kondensacji i kiedy Cayce naciśka domofon Blue Ant, żałuje, że nie ma przy sobie okularów przeciwsłonecznych.

Siada naprzeciwko Bernarda Stonestreeta, znanego jej z nowojorskich działań Blue Ant. Jest blady i piegowaty jak zawsze, a jego stercząca szopa marchewkowoczerwonych włosów powtarza w zwariowany sposób motyw płomienia Aubreya Beardsleya, co może być efektem takiego a nie innego ułożenia głowy na poduszce podczas snu, ale bardziej prawdopodobne, że jest efektem zabiegów ekskluzywnego fryzjera. Stonestreet ma na sobie garnitur od Paula Smitha, dokładnie marynarkę rozmiar 118 i spodnie 11T, uszyte z czegoś czarnego.

W Londynie ubiera się w rzeczy warte tysiące funtów, wyglądające, jakby włożył je pierwszy raz ostatniej nocy, po czym przespał się w nich i tak przyjechał do biura. W Nowym Jorku chodzi wymuskany od stóp do głów, jakby dopadli go specjaliści od wizażu. Międzyatlantycka różnica parametrów kulturowych.

Po jego lewej ręce siedzi Dorotea Benedetti. Jej gładko zaczesane włosy, niemal z maniacką dokładnością imbecyla, sygnalizują, jak podejrzewa Cayce, zarówno poważne nastawienie, jak i tarapaty. Dorotea, którą Cayce zna przelotnie z poprzednich nie zobowiązujących

* Charlie Don't Surf (ang.) - dosł. Żołnierz Nie Surfuje; nazwa zawiera aluzję do określenia Wietkongu w *Czasie Apokalipsy*.

kontaktów zawodowych w Nowym Jorku, jest jakąś szycią w spółce Heinzi&Pfaff, zajmującej się projektowaniem graficznym. Przyleciała rano z Frankfurtu zaprezentować pierwszą wersję nowego logo jednego z dwóch światowych gigantów obuwia sportowego. Bigend uznał, że gigant musi dokonać jakiejś istotnej, choć do tej pory bliżej nie zidentyfikowanej zmiany tożsamości. Rynek jest zalany obuwem sportowym, a buty rolkarzy, które już zaczęły wypierać płytkie tenisówki i adidas, też nie idą rewelacyjnie. Cayce dostrzegła ostatnio zaczątki „miejskiego survivalu”, jak na własny użytek nazywa ten styl, i chociaż na razie można mówić tylko o nieświadomej zmianie stosowania kupowanych modeli, to nie wątpi, że po fazie identyfikacji nastąpi faza upowszechnienia.

Nowy znak towarowy będzie przeskokiem firmy w nowe stulecie i sprowadzono Cayce, z jej alergią rynkową, żeby osobiście zrobiła to, co robi najlepiej. Ten sposób załatwiania sprawy wydaje się jej dziwny, jeśli nie wręcz archaiczny. Czemu nie telekonferencja? Pewnie stawka jest tak poważna, że zadecydowały względy bezpieczeństwa. Ale kiedy to ostatnio sprawy zawodowe zmusiły ją do opuszczenia Nowego Jorku? Raczej dawno.

Bez względu na okoliczności spotkania wygląda na to, że Dorotea traktuje je poważnie. Poważnie jak raka. Na stole przed nią, o milimetr zbyt równo, leży elegancka szara koperta ze sztywnego papieru z surowym, chociaż wymyślnym, logo Heinzi&Pfaff. Jest zamknięta za pomocą jednego z tych drogich archaicznych wynalazków, kawałka sznurka i dwóch małych brązowych kartonowych guzików.

Cayce odwraca wzrok od Dorotei i koperty, zauważając, że w szalonych latach 90. nie poskąpiono funtów na tę salę konferencyjną, wypukłe drewniane boazerie kojarzą się z salonami barowymi transatlantyckiego zeppelinu. Zauważa gwintowane zaczepy na bladej powierzchni ścian, które utrzymywały logo agencji zajmującej wcześniej te pomieszczenia. Dostrzegalne są też pierwsze znaki ostrzegające przed remontem - rusztowanie w korytarzu, gdzie ktoś sprawdzał przewody, i za-foliowane bele wykładzin, pnie poliestrowej puszczy.

Cayce dochodzi do wniosku, że Dorotea być może tego popołudnia chciała przyćmić jej minimalizm. Jeśli taki miała zamiar, nic z niego nie wyszło. Mimo pozornej prostoty czarna

sukienka Dorotei usiłuje przekazać równocześnie kilka rzeczy, na przynajmniej trzy sposoby. Cayce zawiesiła swoją kurtkę od Ricksona na oparciu krzesła i widzi, że Dorotea nie może oderwać od niej wzroku.

To dzieło fanatyków, replika amerykańskiej kurtki lotniczej na poziomie muzealnym, element ubioru tak funkcjonalny i kultowy, jakim mógł się poszczycić tylko XX wiek. Cayce podejrzewa, że Dorotei gwałtownie skoczyły obroty, gdy spostrzegła, że MA-1 Cayce to absolutny szczyt mi-nimalizmu, dziecko japońskiego obsesyjnego podejścia, japońskiego zamiłowania prostoty, jak najdalsze od czegoś takiego jak moda.

Cayce wie na przykład, że charakterystyczne marszczenia rękawów powstały wskutek użycia przedwojennych maszyn krawieckich, buntujących się przeciwko nowemu śliskiemu materiałowi, nylonowi. Tu Rickson przesadził, ale tylko trochę; dokonał jeszcze setek podobnych, drobnych zabiegów, tak że jego produkt stał się isticie japońskim przejawem czci. Imitacja przerosła obiekt imitowany. W garderobie Cayce nie ma droższego artykułu i nic nie może go zastąpić.

- Nie masz nic przeciw? - Stonestreet wyciąga paczkę silk cu-tów. Cayce nigdy nie paliła i uważa silk cuty za angielski ekwiwalent japońskich mild sevenow, jakby cały świat produktów tytoniowych sprowadzał się do tych dwóch marek.

- Nie - mówi Cayce. - Proszę, pal.

Na stole jest nawet popielniczka, mała, okrągła i idealnie biała. Na konferencji po drugiej stronie Atlantyku byłaby czymś równie przestarzałym jak jedna z tych płaskich, dziurkowanych łyżeczek do serwowania piołunówki, na którą kładzie się kostkę cukru. (Cayce wie, że w Londynie spotyka się je podczas niektórych konferencji, chociaż sama nie uczestniczyła jeszcze w takiej).

- Dorotea? - Stonestreet podsuwa paczkę, ale nie w kierunku Cayce. Dorotea odmawia. Stonestreet wsuwa końcówkę z filtrem między drobne ruchliwe wargi i wyjmuje pudełko zapalek, zapewne wyniesione poprzedniego wieczoru z jakiejś restauracji. Należy się spodziewać, że są równie drogie jak szara koperta Dorotei. Stonestreet zapala papierosa.

- Wybacz, że musieliśmy cię ściągnąć, Cayce - mówi. Zużyta zapalka wpada do popielniczki. Cichy, charakterystyczny brzęk potwierdza, że to ceramika.

- Na tym polega moja praca, Bernardzie - odpowiada Cayce.

- Wyglądasz na zmęczoną - mówi Dorotea.

- Cztery strefy czasowe. - Cayce uśmiecha się samymi kącikami ust.

- Próbowałaś tych nowozelandzkich pigułek? - pyta Stone-street. Cayce przypomina sobie, że żona Stonestreeta, Amerykanka, kiedyś pierwsza naiwna w zmarłym śmiercią łóżeckową klonie *Z Archiwum X*, jest twórcą udanej serii kosmetyków homeopatycznych.

- Jacques Cousteau powiedział, że *jet lag* to jego ulubiony narkotyk.

- No więc? - Przy tych słowach Dorotea spogląda znacząco na kopertę H&P.

Stonestreet wydmuchuje kłąb dymu.

- No tak, pewnie wypadaloby.

Oboje spoglądają na Cayce. Ta patrzy prosto w oczy Dorotei.

- Ja jestem gotowa.

Dorotea ciągnie sznureczek kartonowego guzika bliższego Cayce. Unosi skrzydełko koperty. Wsuwa do środka palec wskazujący i kciuk. Panuje cisza.

- No tak - Stonestreet przerywa ciszę i gasi papierosa.

Dorotea wysuwa z koperty dwadzieścia osiem centymetrów kwadratowych sztuki. Demonstruje je Cayce, trzymając za górne rogi opuszkami palców z idealnym manikiurem.

To rysunek zrobiony grubym, czarnym japońskim pędzelkiem, w stylu, który w firmie jest znakiem rozpoznawczym samego herr Heinzie-go. Cayce wie o tym. To, co widzi, przemożnie kojarzy się jej z wizerunkiem poskręcane go plemnika, dziełem Ricka Griffina, hippisowskiego twórcy komiksów, tak gdzieś z 1967 roku. Od razu wie, że takie logo nie chwyci. Nie wie, skąd to wie. Tak stanowią mętne standardy jej instynktownej oceny.

Ale przez krótką chwilę ma wizję niezliczonych rzesz azjatyckich robotników, którzy po jej „tak” latami umieszczaliby odmiany tego symbolu na niekończącej się, nieustępliwej powodzi obuwia. Czym byłby dla nich ten powykręcany plemnik? Czy w końcu zacząłby ich nawiedzać w snach? Czy ich dzieci malowałyby go kredą na drzwiach, zanim zrozumiałyby, że to logo?

- Nie - mówi.

Stonestreet wzdycha. Nie jest to głębokie westchnienie. Dorotea z powrotem wsuwa rysunek do koperty, ale pozostawia ją nie zamkniętą.

Umowa wyklucza wszelkie krytyczne analizy i twórcze sugestie. Cay-ce jest jedynie wyspecjalizowanym papierkiem lakmusowym w ludzkim ciele.

Dorotea bierze papierosa od Stonestreeta, zapala i rzuca zapalną obok popielniczki.

- Jak tam zima w Nowym Jorku?

- Zimna - mówi Cayce.

- I smutna? Wciąż smutna? - Cayce nie odpowiada. - Możesz jeszcze trochę zostać, podczas gdy my wrócimy do rysownicy? - pyta Dorotea.

Cayce zastanawia się, czy Dorotea zna procedury.

- Przyjechałam na dwa tygodnie - mówi. - Zajmuję się mieszkaniem przyjaciela.

- Aha, wakacje.

- Nie ma mowy o wakacjach, jeśli mam nad tym pracować. Dorotea nie komentuje uwagi.

- To musi być trudne, kiedy się czegoś nie lubi - mówi Stonestreet znad piegowatych palców złożonych w daszek. Ruda czupryna wznosi się nad nimi jak płomień nad trawioną pożarem katedrą. - Mam na myśli zaangażowanie emocjonalne.

- To nie ma żadnego związku z lubieniem czy nielubieniem, Bernardzie - odpowiada Cayce. - To jest jak tamten zwój wykładziny, albo jest niebieski, albo nie. A mojemu zaangażowaniu emocjonalnemu jest zupełnie obojętne, czy jest, czy nie jest niebieski.

Czuje powiew złej energii, kiedy Dorotea wraca na swoje krzesło. Ta stawia swoją wodę obok koperty H&P i gasi papierosa takim gestem, jakby robiła to pierwszy raz w życiu.

- Będę rozmawiać z Heinziem po południu. Zadzwońlibym teraz, ale jest w Sztokholmie, rozmawia z Volvo.

Powietrze jest bardzo gęste od dymu i Cayce czuje w gardle nieprzyjemne drapanie.

- Nie pali się, Doroteo - mówi Stonestreet i Cayce ma nadzieję, że naprawdę, ale to naprawdę się nie pali.

*

Restauracja Charlie Don't Surf, gastronomiczna kalifornijsko-wietnamska fuzja z wyraźnym posmakiem kolonialnej kuchni francuskiej, jest pełna. Białe ściany udekorowano ogromnymi czarno-białymi powiększeniami zapalniczek zippo z czasu wojny wietnamskiej, zdobionymi prostackimi wojskowymi symbolami armii amerykańskiej, jeszcze bardziej prymitywnymi motywami erotycznymi i drukowanymi sloganami. Cayce kojarzy się to fotografiami nagrobków konfederatów, inny jest tylko styl grafiki i treść napisów, a sam temat, Wietnam, uświadamia, że lokal nie jest nowy. Nieprawdopodobne, aby dziś zaprojektowano taką restaurację, kierując się nostalgią za przegraną przez Amerykę wojną.

SPRZEDAM MIEJSCE W PIEKLE I CHAŁUPĘ W WIETNAMIE

Zapalniczki na zdjęciach są zużyte, powygniatane i zardzewiałe od potu. Niewykluczone, że Cayce pierwsza odszyfrowuje te teksty.

ZAKOPCIE MNIE TWARZĄ DO ZIEMI, ŻEBY ŚWIAT MÓGŁ POCAŁOWAĆ MNIE W DUPE

- Wiesz, on naprawdę ma na nazwisko Heinzi - mówi Stone-street, nalewając Cayce drugi kieliszek kalifornijskiego caberneta, który ta unosi do ust, chociaż wie, że to niezbyt mądre z jej strony. - A wydaje się, że to tylko przezwisko. Jeśli miał jakieś imię, to już dawno odpłynęło daleko na południe.

- Ibiza - podsuwa mu Cayce.

- Że co?

- Przepraszam, Bernardzie. Jestem zmęczona.

- Mówię ci, pigułki. Te z Nowej Zelandii.

NIE MA ŻADNEJ GRAWITACJI - ŚWIAT JEST BAGNEM, KTÓRE NAS WSYSZA

- Przejdzie mi.

- Ale z niej zołza, co?

- Z Dorotei?

Stonestreet przewraca oczami. Są piwne i mają dziwny odcień, jakby rtęciowy, lśnią miedzianą zielenią.

173. POWIETRZNO-DESANTOWA

Pyta o jego amerykańską żonę. Stonestreet zdaje jej relację z wprowadzenia do sprzedaży maseczki ogórkowej i serii pilotującej nowy asortyment, zahaczając o strategię dostaw sprze-

dawcom detalicznym. Dociera lancz. Cayce skupia się na sajgonkach, włączając autopilota, który steruje jej potakiwaniami głową i pełnymi zrozumienia uniesieniami brwi, wdzięczna Stonestreetowi za prowadzenie konwersacji. Kiedy pogrąża się w tym stanie nieobecności duchowej, cabernet zaczyna działać, spychając ją z kursu rozmowy, i Cayce wie, że najlepsze, co może zrobić, to być miłą, wchłonąć trochę pokarmu, po czym się zwinąć.

Ale zapalniczkowe płyty nagrobkowe i wypisane na nich przyziemne elegie nie dają jej spokoju.

DZIADEK Z DIEN BIEŃ PHU

Sztuka restauracyjna oddziałująca na świadomość gości to wątpliwy pomysł, szczególnie w przypadku kogoś o wrażliwości Cayce - szczególnej, instynktownej, niemniej jednak nieco nieokreślonej.

- Więc kiedy zaczęło wyglądać, że Harvey Nicols się nie dołączy...

Skinienie głową, uniesienie brwi, ugryzienie sajgonka. O to chodzi. Zakrywa dłonią kieliszek, kiedy Stonestreet chce jej dolać.

I tak udaje się jej przebrnąć przez lancz z Bernardem Stonestree-tem, od czasu do czasu przyzywana przez pamiętne nazwy miejscowości z zapalniczkowego cementarzyska (CU CHI, QUI NHON), zakrywające ściany. W końcu on płaci i wstają, zbierając się do wyjścia.

Sięgając po ricksona, którego wcześniej powiesiła na krześle, dostrzega okrągłą, świeżą dziurę z tyłu na lewym ramieniu, zapewne wypaloną papierosem. Na brzegach drżą mikroskopijne brązowe kuleczki stopionego nylonu. Widać szarą podszewkę, niewątpliwie dzieło jakiegoś wyjątkowego specja od militariów z okresu zimnej wojny, dopieszczoną przez wytwórcę tej kurtki, istnego *otaku**

- Coś nie tak?

- Nie, nic - mówi Cayce. Wkłada załatwionego na dobre ricksona. Wychodzi i machinalnie zauważa przy drzwiach wąską gablotkę

z przezroczystego akrylu, prezentującą tuzin autentycznych zapalniczek zippo z Wietnamu. Automatycznie pochyla się, aby na nie zerknąć. ALBO JA MAM PRZESRANE, ALBO ONI PRZEJEBANE Ta dewiza w dużym stopniu również odzwierciedla jej aktualny stosunek wobec Dorotei, chociaż Cayce wątpi, czy zdoła w jakiejś mierze wyrównać rachunki, a gniew nie zaszkodzi tylko jej samej.

* *Otaku* - wielbiciel japońskich komiksów i filmów animowanych; zagorzały wielbiciel, fan.

3. ZAŁĄCZNIK

Poszła do Harveya Nicolsa i dostała mdłości.

Powinna mieć więcej oleju w głowie.

Wiadomo, jak reaguje na znaki towarowe.

Była na dole, w dziale męskim, pchana idiotyczną nadzieją, że jeśli już ktoś prowadzi Buzza Ricksona, to Harvey Nicols, którego ozdobne wiktoriańskie gmaszysko wznosi się jak rafa koralowa naprzeciwko stacji Knightsbridge. Gdzieś na parterze, w dziale kosmetycznym, muszą nawet mieć maseczkę ogórkową Heleny Stonestreet, gdyż, jak wytłumaczył jej Bernard, jego moc przekonywania pokonała nawet handlowców HN.

Ale tu na dole, obok Tommy'ego Hilfingera, wszystko zaczęło się na nią walić, obudziła alergię na znaki towarowe. Niektórzy ludzie połkną jednego orzeszka ziemnego i głowa puchnie im do rozmiarów piłki do koszykówki. Cayce puchnie psyche.

Tommy Hilfinger zawsze tak na nią działa, chociaż myślała, że jest już bezpieczna. W Nowym Jorku wszędzie się czai na człowieka, jak Benetton, ale Cayce myślała, że zażyła już tyle tej trucizny, że się uodporniła. Na dodatek, aura ostrzegawcza zmaląła, co pewnie jakoś wiąże się ze zmianą otoczenia. Nie spodziewała się Nicolsa w Londynie. Atak ma powstać piorunującej reakcji, jak po ugryzieniu folii aluminiowej.

Spojrzenie w prawo i lawina runęła. Stok Tommych spadł jej na głowę.

Mój Boże, czy to nie dowód ślepoty? To przecież podróba podroby podroby. Rozwodniona tynktura Ralphi Laurena, który rozwodził dni chwały Brooks Brothers, którzy z kolei wykorzystali styl Jermyn Street i Saville Row, zrzucając stroje do gry w polo i kraty najświetniejszych regimentów i ozdabiając nimi swoją gotowiznę. Ale Tommy Hilfinger to punkt zerowy, czarna dziura. Musi istnieć jakiś hilfingero-wy horyzont zdarzeń, poza którym nie ma już kolejnych pochodnych, jeszcze bardziej oddalonych od źródła, jeszcze bardziej bezdusznych. Taką w każdym razie ma nadzieję. Ale pewnie właśnie ta bezduszność decyduje o jego długiej wszechobecności, pewnie tak.

Za wszelką cenę musi uciec z tego logo-labiryntu. Ale ruchome schody wyrzucają z powrotem na dwór, i Cayce wie, że na górze nie poczuje się inaczej niż w środku, i że nieuchronnie czeka ją Sloane Square, kolejne ogniwo czynników wyzwalających reakcję alergiczną, i że wpadnie na Laurę Ashley. Naprawdę paskudna perspektywa.

Przypomina sobie, że na piątym piętrze HN jest pseudokalifornijski supersam, coś jakby Dean&Deluca, z restauracją. W środku mają wydzielony, rozbity na pokraczne segmenty, zrobotyzowany, dziwnie szumiący bar sushi oraz bistro ze świetną kawą.

Kofeinę trzymała na później, srebrną kulę na spadek serotoniny i stany ekstremalne. Może pójść na górę. Może wjechać windą. Tak, skorzysta z windy, małej, idealnie uformowanej kabiny wielkości szafy ściiennej. Znajdzie ją i pojedzie nią na górę. Już.

Od myśli do czynu. Winda zjeżdża, cudem pusta, i Cayce wchodzi do kabiny, naciska „5”.

- Ale jestem podniecona - szeptem kobiecy głos, kiedy drzwi się zasuwają, ale Cayce wie, że jest sama w tej pionowej trumnie ze zwierciadeł i szcztokowanej stali. Na szczęście jechała już tą windą i wie, że bezcielesne głosy mają rozbawiać klientów.

- Mmmm - mruczy równie bezcielesny samiec. Jedyne podobne odgłosy, które przychodzą na myśl Cayce, to niesamowite owadzie brzęczenie w toalecie ekskluzywnego baru hamburgerowego przy Rodeo Drive, z której korzystała wiele lat temu. Pomyślała, że to muchy, chociaż pewnie nie o takie skojarzenie chodziło pomysłodawcy.

Teraz przynajmniej nie słyszy innych głosów, duchów wywoływanych przez projektantów; winda jakimś cudem dociera na piąte piętro, nie zatrzymując się pod drzędze.

Cayce wyskakuje w blade światło, tnące skosem niepotrzebnie rozległą taflę szkła. Jest mniej klientów niż kiedyś. Na tym poziomie jest tyle garderoby, co na ludziach i w błyszczących reklamówkach. Opuchnięta psyche może nieco skłęśniać.

Przystaje przy kontuarze, omiatając wzrokiem skwierczące steki, promieniejące blaskiem jak twarze świeżo wytłoczone w medialnej mennicy. Biologiczna czystość tych mięs jest zupełnie nieosiągalna dla człowieka; zwierzęta wyhodowano na diecie surowszej niż kuchenny katechizm żony Stonestreeta.

Przy barze kilku eurosamców w ciemnych garniturach. Stoją i kopcą swoje nieodłączne papierosy.

Cayce opiera się brzuchem o kontuar, napotyka wzrok barmana.

- *Time Out?* - pyta tamten, lekko marszcząc czoło. Ostrzyżony prawie do gołej czaszki, spogląda zza maski masywnych włoskich okularów. Te szkła w czarnych oprawkach przypominają jej emotiko-ny, symbole mające obrazować emocje, komiksowe buzie sklecone z klawiaturowych symboli. Okulary można by zaznaczyć ósemką, nos łącznikiem, usta lewym ukośnikiem.

- Proszę?

- *Time Out*. Cotygodniowy program kulturalny. Byłaś w panelu. W ICA. - Ostatnie zaproszenie do Institute of Contemporary Art, panel z jakąś wykładowniczą taksonomii znaków towarowych, prowincjonalną panią profesor. Kapuśniaczek rosił Mail. Publiczność pachniała wilgotną wełną i papierosami. Cayce przyjęła zaproszenie, bo mogła pobyć kilka dni z Damienem. Za serię reklamówek skandynawskich samochodów kupił wtedy dom, który od kilku lat wynajmował. Zapomniała o chałturce w *Time Out*, jednym z elementów życia *cool-huntera*. - Szukasz emefów. - Zwęża oczy w nawiasach z czarnego włoskiego plastiku.

Damien na wpuł szczerze utrzymuje, że poszukiwacze emefów to pierwsza prawdziwa masoneria nowego wieku.

- Byłeś tam? - pyta Cayce, wytrącona z równowagi tym nagłym rozłamem kontekstu. Nie jest w żadnym wypadku sławą, w każdym razie nie zwykła być rozpoznawana przez obcych.

Ale emefy mają to do siebie, że niwelują granice, wykraczają poza zwykły porządek rzeczy.

- Mój przyjaciel był. - Opuszcza wzrok i przejeżdża po kontuarze nieskazitelnie białą ściereczką. Ma obgryzione paznokcie i nosi za duży pierścionek. - Powiedział mi, że wpadł na ciebie później, na stronie. Klóciłaś się z kimś na temat *Chińskiego wysłannika*. - Podnosi wzrok. - Chyba nie myślisz poważnie, że to on.

„On” to Kim Hee Park, młody koreański autor odpowiedzialny za wspomniany film, wiecznego faworyta kin studyjnych, porównywanego przez niektórych z emefami. Inni posuwają się do stwierdzenia, że to Kim Park jest twórcą. Sugerowanie Cayce czegoś podobnego to tak, jakby się pytało papieża, czy lubi herezję sekty katarów.

- Nie - prycha. - Oczywiście że nie.

- Nowy segment - wydyszał szeptem.

- Kiedy?

- Dziś przed południem. Czterdziestoósmiosekundowy. Z nimi. Cayce i barman są teraz w kapsule, do której nie przenika żaden dźwięk.

- Rozmawiają? - pyta.

- Nie.

- Widziałeś?

- Nie. Dostałem wiadomość, na komórkę.

- Nic nie mów, nie psuj efektu - ostrzega Cayce, zbierając się w garść.

On kolejny raz składa ścierekę. Eurosamce wypuszczają chmurę niebieskiego gitanowego dymu.

- Coś do picia? - Kapsuła pęka, dopuszczając fonię.

- Podwójne espresso. - Otwiera enerdownską kopertówkę, sięgając po drobne ze świata po drugiej stronie lustra.

Barman oddala się kilka kroków i w czarnym ekspresie przygotowuje kawę. Para syczy pod ciśnieniem.

Forum wpadnie w szal, pierwszeństwo wpisów zależy od stref czasowych, historii rozpowszechniania, źródła emisji. Lokalizacja może okazać się niemożliwa, segment zapewne załadowano z tymczasowego e-maila, przez już zlikwidowany adres internetowy, możliwe że bez wiedzy providera, niekiedy z chwilowo aktywowanej komórki albo przez anonimizator. To już ustalają emeferzy, nieustannie przeczesujący Internet, którzy gdzieś znaleźli ten plik wideo, podrzucony, czekający na ściągnięcie.

Barman wraca z kawą w białej filiżance na białej podstawce i stawia przed Cayce na lśniącem czarnym blacie. Podsuwa stalowy koszyczek z przegródkami pełnymi kolorowego angielskiego cukru w przynajmniej trzech rodzajach. Kolejny aspekt świata po drugiej stronie lustra: cukier. Jest go więcej i to nie tylko w słodyczach. Cayce ustawiła słupek sześciu grubych funtowych monet.

- Na koszt firmy.

- Dziękuję.

Eurosamce zamawiają następną kolejkę. Barman wraca ich obsłużyć. Wygląda jak Michael Stipe* na sterydach. Cayce zabiera cztery monety i przesuwa resztę w cień cukiernicy. Gładko łyka podwójne gorzkie espresso i odwraca się, szykując do wyjścia. Ogląda się, odchodząc. Barman przygląda się jej uważnie zza czarnych nawiasów okularów.

Taksówką, oczywiście czarną, do stacji metra Camden.

Atak tommyfobii został zgrabnie odparty, ale depresja po rozłączeniu z duszą osiągnęła bezmiar pasa cisz podzwrotnikowych. Cayce obawia się popadnięcia w otepienie, zanim zrobi najpotrzebniejsze zakupy. Sunie na automatycznym pilocie do supermarketu przy High Street, napełnia koszyk. Owoce ze świata po drugiej stronie lustra. Kolumbijska kawa, drobno mielona. Mleko dwuprocentowe.

W pobliskiej papeterii, zagraconej artykułami dla plastyków, kupuje szeroką, czarną, matową taśmę klejącą.

Idąc Parkway ku domowi Damiena, zauważa ulotkę na latarni. Monochromatyczny, zaśnieżony *frame-grabe***.

On patrzy jakby z głębin.

Pracuje u Cantora Fitzgeralda***. Nosi złotą ślubną obrączkę.

Nie jest stąd, jest z emefu.

Wiadomość od WParęUbranego to tylko załącznik.

Cayce siedzi przed cube'em Damiena z francuskim ekspresem na

* Michael Stipe - wokalista grupy R.E.M., producent filmowy.

** *Frame-grabe* (ang.) - klatka filmowa poddana obróbce, uzyskana za pomocą *frame-grabera*, programu zapisującego klatki filmu na dysku.

*** Cantor Fitzgerald - firma brokerska.

dwie filiżanki, kupionym przy Parkway. Unosi się zapach kolumbijskiej czarnej, piekielnie mocnej. Nie powinna tego pić; nie odsunie snu, a tylko ściągnie koszmary. Cayce wie, że obudzi się roztrzęsiona i o potwornej godzinie. Ale nie może być otepiąta podczas otwierania nowego segmentu. Grunt to koncentracja.

Otwieraniu załącznika z niewidzianym emefem zawsze towarzyszą głębokie zmiany postrzegania. Teraz też. Stan progowy.

WParęUbrany oznaczył załącznik: #135. Sto trzydzieści cztery znane fragmenty... czego? Dzieła w akcie tworzenia? Czegoś dawno zakończonego i teraz nie wiedzieć czemu prowadzanego w kawałkach?

Nie zajrzała na forum. Mogą jej popsuć efekt. Każdy nowy fragment należy odbierać na

świeżo.

WParcęUbrany mówi, że nowy emef powinno się oglądać tak, jakby nie było poprzednich, uciekając na chwilę od elementów składanych świadomie lub nie od pierwszego segmentu. Mówi też, że homo sapiens ma zdolność rozpoznawania wzorców. To jednocześnie błogosławieństwo i pułapka.

Cayce powoli naciska dźwignię ekspresu.

Kawa spływa do kubka.

Kurtkę narzuciła jak płaszcz na gładkie ramiona mechanicznej nimfy, której biały tors balansuje na wzniesieniu łonowym z nierdzewnej stali, oparty pod kątem o szarą ścianę. Patrzy bez wyrazu. Z błogą nieświadomością ślepeca.

Piąta po południu i Cayce ledwo widzi na oczy. Podnosi do ust smolisty płyn. Klika myszą.

Ile razy to robiła?

Od jakiego czasu oddaje się marzeniu? Tak Maurice nazywa istotę emeferyzmu: oddanie się marzeniu.

Ekran komputera Damiana wypełnia się absolutną czernią. To tak, jakby uczestniczyła w narodzinach kina, pierwszej projekcji braci Lu-miere; parowa lokomotywa wypadnie z ekranu, wyganiając widownię na ulice nocnego Paryża.

Światło i cień. Kości policzkowe kochanków, preludium pocałunku.

Cayce drży.

To już tyle czasu i nawet się nie dotknęli. I tylko faktura tła łagodni absolutną ciemność wokół nich.

Są ubrani tak jak zawsze, w rzeczy, które Cayce szeroko konsultowała, zafascynowana ich wszechczasowością, czymś znanym i akceptowanym. I to właśnie stanowi problem. Podobnie uczesanie.

Chłopak mógłby być marynarzem, który zszedł z okrętu podwodnego w 1914 roku, albo jazzmanem wchodzącym do klubu w 1957. Brak dowodów, stylistycznych śladów, co w rozumieniu Cayce świadczy o czystym mistrzostwie. Uznaje się, że czarny płaszcz chłopca jest ze skóry, chociaż może być z matowego plastiku albo gumy. Ma zwyczaj stawiać kołnier.

Dziewczyna nosi dłuższy płaszcz, również ciemny, ale chyba z tkaniny. Jego poduszki to temat całego wątku, setek wpisów. Zarys ramion damskiego płaszcza winien zdradzać konkretną epokę, dekadę, ale w tym wypadku zamiast zbliżenia poglądów doszło jedynie do sporów.

Nie nosi kapelusza. Przyjęto, że albo wtedy w ogóle nie noszono kapeluszy, albo to dziewczyna wyzwolona, nie ogląda się na podstawowe kanony epoki. Identycznej analizie poddano uczesanie, ale jak do tej pory nie osiągnięto żadnych wspólnych wniosków.

Całe armie fanatycznych badaczy bez końca układały, dzieliły i ponownie układały sto

trzydzieści cztery odnalezione fragmenty, ale nie zidentyfikowano epoki ani nie ustalono kierunku narracji.

Pojawiły się wątki-upiory i rozpoczęły własne, niejasne, lecz uporczywie żywotne biografie. Cayce zna je wszystkie, ale trzyma się od nich z daleka. Niczego nie wyjaśniają, prowadzą tylko na surrealistyczne, bezbrzeżne manowce najczystszych spekulacji.

I kiedy Cayce patrzy, jak stykają się usta tych dwojga, wie, że nic nie wie, ale że zależy jej tylko na jednym - na obejrzeniu filmu, którego część musi stanowić ten materiał. Musi.

Gdzieś nad ich głowami coś przebłyskuje, coś białego, rzucającego władczy szponiasty cień. Doktor Caligari? Potem znów czerń zalewa ekran.

Cayce klika REPLAY. Jeszcze raz ogląda materiał.

Wchodzi na forum i przewija całą zakładkę wpisów. Od rana zebrało się dobrych kilka stron; #135 wynurzając się, wzbudził kręgi na wodzie, ale Cayce nie ma teraz ochoty w nich brodzić.

Jaki w tym sens.

Spada z hukiem fala zmęczenia, potop wyczerpania, którego nie wstrzyma ani kolumbijska, ani żadna inna kawa.

Cayce rozbiera się, myje zęby. Ręce i nogi ma zdrewniałe z wyczerpania i drżące od kofeiny, gasi światło i wczługuje się pod sztywną, srebrną kołdrę Damiana.

Kuli się do pozycji embrionalnej i przeżywa krótkie zdumienie, gdy ostatnia fala spada na nią, na jej całkowitą i całkowicie teraz odsłoniętą samotność.

4.

Granaty kalkulacyjne

Jakoś przesypia albo prawie przesypia sławetną złą godzinę i dożywa kolejnego poranka w świetle po drugiej stronie lustra.

Budzi ją metaliczny migrenowy blask pod powiekami, odbity od skrzydeł ulatującego snu.

Żółtym ruchem wysuwa głowę spod gigantycznej rękawicy i mrużąc oczy, spogląda w okno. Świt. Wygląda na to, że dotarła do niej kolejna partia duszy. Cayce teraz inaczej już ocenia siebie i świat po tej stronie lustra. Nieoczekiwany przyływ energii. Coś każe jej wstać z łóżka, wejść pod prysznic i skierować na siebie z bliska ostry, igielkowy strumień z włoskiej chromowanej główki. Remont objął kanalizację, płyną całe hektolitry gorącej wody i Cayce jest za to Damienowi niewymownie wdzięczna.

Ma wrażenie, że zamieszkało w niej coś prostoliniowego, celowego, ale nie ma pojęcia, co to planuje, czego chce. Lecz jak na razie ten stan rzeczy cieszy ją i postanawia wyjść na miasto, powłóczyć się bez celu.

Suszy włosy. Włada czarny dzinsowy zecap.

Mleko po drugiej stronie lustra (inne, chociaż Cayce nie potrafi określić tej inności) z płatkami Weetabix i plasterkami banana. Ten nowy lokator jej wnętrza, drugie „ja”, cały czas jej towarzyszy.

Przygląda mu się, kiedy zakleja czarną taśmą dziurę, brzegi poszarpane jak archaiczne punkowe rany zadawane odzieży. Wkłada rickso-na, sprawdza, czy ma klucze i pieniądze i schodzi nadal nie wyremontowaną klatką schodową Damiena, mijając górski rower lokatora i stertę zeszlórocznych czasopism.

Na zalanej słońcem ulicy wszystko znieruchomiało, poza cynamonową kocią plamą, która wyrasta blisko i znika. Cayce nasłuchuje. Gdzieś w oddali słyszy narastający szum Londynu.

Czując niewytłumaczalną radość, rusza Parkway w kierunku High Street i znajduje prywatną taksówkę, szofer jest Rosjaninem. Tak naprawdę to żadna taksówka, tylko zakurzona niebieska jetta ze świata po drugiej stronie lustra, ale szofer zawiezie ją do Notting Hill, wygląda przy tym tak staro, inteligencko i okazuje taki niesmak na jej widok, że wcale nie musi się go obawiać.

Kiedy tylko wyjechali z Camden Town, pogubiła się. Nie zna planu miasta, pamięta tylko sieć metra i szlaki prowadzące z niektórych stacji.

Żołądek przesuwają się raz w prawo, raz w lewo na rondach i zakrętach labiryntu opanowanego tylko przez tubylców i taksówkarzy. Migają restauracje i sklepy ze starociami, rozdzielone tylko pubami.

Zdumiewa ją blask goleni czarnowłosego mężczyzny w bardzo drogim szlafroku, pochylającego się w progę po poranne mleko i prasę.

Pod plandeką przeży się wojskowy pojazd o obcej sylwetce, potężnym zderzaku i napiętej, sznurowanej siatce maskującej. Kierowca ma beret.

Uliczne umeblowanie świata po drugiej stronie lustra to odłamki miejskiej infrastruktury, których funkcji nie potrafi zidentyfikować. Lokalny odpowiednik tajemniczej stacji kontroli jakości wody w jej kwartale Nowego Jorku, w której - wedle pewnej przyjaciółki Cayce - cały zestaw badawczy to kran i filizanka. Zawsze fantazjowała, że gdyby miała robić coś innego, objęłaby posadę wędrownego kiperera, degustującego wodę w różnych punktach Manhattanu. Nie znaczy to, że szczególnie by jej na tym zależało, jednak fakt, iż ktoś mógłby się utrzymywać z takiego zajęcia, nie wiedzieć czemu dodawał jej otuchy. Wątpi, żeby miasto nadal w ten sposób kontrolowało wodę pitną.

Zanim dotarli do Notting Hill, zawadiacka część jej osobowości, która kierowała poranną wyprawą, odeszła w siną dal i Cayce czuje się pozbawiona celu i zagubiona. Płaci Rosjaninowi, wysiada naprzeciwko Portobello i schodzi do podziemnego przejścia dla pieszych, cuchnącego moczem po piątkowej nocy. Niesłychanie wysokie puszkę po piwie ze świata po drugiej stronie lustra trzeszczą pod butami jak rozdeptywane karaluchy.

Metafizyka korytarzy. Cayce ma ochotę na kawę.

Ale Starbucks po drugiej stronie, za rogiem, nie jest jeszcze otwarty. Kelner walczy z celofanowym opakowaniem plastikowych tacek.

Niepewna, co dalej robić, idzie w kierunku sobotniego bazaru. Jest wpół do ósmej. Nie pamięta, o której otwierają sklepy ze starociami w podcieniach budynków, ale wie, że do dziewiątej będzie tu jeden wielki korek. Po co tu przyjechała? Nie kupuje staroci.

Tutejsze niewielkie, okropnie miłuśkie domki to chyba przebudowane stare stajnie. Wciąż zmierza w kierunku Portobello i bazaru, kiedy dostrzega ich: trzech mężczyzn w różnych okryciach, z postawionymi kołnierzami, wpatrzonych z powagą w otwarty bagażnik małego i nietypowo starego autka ze świata po drugiej stronie lustra. To nawet nie auto z drugiej strony lustra, jest po prostu angielskie. Żaden inny pojazd zza Atlantyku w niczym nie przypomina tego. „To chyba Vaux-hall Wyvern” - myśli, ponieważ ma obsesję zapamiętywania znaków towarowych, chociaż wcale nie jest pewna, czy to w ogóle ta marka. Jeśli zaś chodzi o to, dlaczego zwraca uwagę na tych trzech mężczyzn, to później nie będzie potrafiła tego wytłumaczyć.

Na ulicy nie ma nikogo innego, a powaga, z którą przyglądają się temu, czemu się przyglądają, jest nietuzinkowa. Mają miny starannych pokerzystów. Największy, chociaż nie najwyższy, to Murzyn z ogoloną głową, wciśnięty jak kiełbasa w coś lśniącego, czarnego i tylko ledwo, ledwo skóropodobnego. Obok wysoki mężczyzna o szarej twarzy, przygarbiony, pod przetłuszczonymi fałdami przeciwdeszczowej kurtki od Barboura. Woskowana bawełna nabrała blasku i barwy zeschniętego końskiego łajna. Trzeci, młodszy, krótko ostrzyżony i jasnowłosy, w obszernych szortach rolkarza i obstrzępionej dżinsowej kurtce. Na brzuchu nosi wielką torbę pocztową. „Szorty jakoś zawsze głupawo wyglądają w Londynie” - myśli

Cayce, zrównując się z nimi.

Nie może się oprzeć, zerka do bagażnika.

Granaty.

Czarne, zwarte, cylindryczne. Pół tuzina granatów na starym popielatym swetrze, pośród rozrzuconych brązowych kartonów.

- Panienko? - nagabuje ją ten w szortach.

- No, cześć... - syczy ten o szarej twarzy, ostro, niecierpliwie.

Cayce mówi sobie, żeby uciekać, ale nie może.

- Tak? Groza.

- Curty. - Blondyn podchodzi bliżej.

- To nie ona, idioto. Tamtej dalej nie ma, cholera - syczy znów szary, z rosnącą irytacją.

Blondyn dziwi się, mruga.

- Ty nie po curty?

- Po co?

- Kalkulatory.

Wtedy nie może się oprzeć i podchodzi popatrzeć do samochodu.

- Co to?

- Kalkulatory. - Napięty plastik skrzypi, kiedy Murzyn pochyła się po granat. Odwraca się, podaje go Cayce. W końcu trzyma to coś. Jest ciężkie, masywne, moletowane, dopasowane do dłoni. Prowadnice z czarnymi suwakami. Małe prostokątne okienka, białe cyferki. U góry rączka jak w młynku do pieprzu, tylko wykonana przez rusznikarza.

- Nie rozumiem - bąka Cayce i wyobraża sobie, że zaraz się obudzi w łóżku Darniena, bo ma wrażenie, że śni. Automatycznie szuka oznaczenia towarowego, odwraca przedmiot. Widzi, że pochodzi z Liechtensteinu. Z Liechtensteinu? - Co to jest?

- Urządzenie precyzyjne - mówi Murzyn - nietranzystorowy, nieprądowy kalkulator mechaniczny. Mechanizm działa płynnie jak migawka dobrego półprofesjonalnego aparatu - mówi głębokim i melodyjnym głosem. - Wynalazek Curta Herzstarka, Austriaka, opracowany kiedy Herzstark siedział w Buchenwaldzie. Wiesz, władze obozowe nawet wspierały jego prace. Był zaszerogowany jako „więzień do prac umysłowych”. Kalkulator zamierzano wręczyć Führerowi pod koniec wojny, ale Amerykanie oswobodzili Buchenwald w 1945. Herzstark przeżył. - Delikatnie odbiera od niej przedmiot. Ma potężne dłonie. - Zachował rysunki. - Wielkie palce poruszają się pewnie, łagodnie, zmieniają konfigurację suwaków. Murzyn ujmuje wyprofilowany, cylindryczny spód, kręci rączką młynka. Suma wyskakuje natychmiast. Unosi przedmiot i sprawdza wynik w okienku. - Osiemset funtów. Stan doskonały. - Mruży trochę oko, czekając na odpowiedź.

- Piękny egzemplarz. - Oferta ujawnia sens tej zdumiewającej wymiany zdań. To handlarze, przyjechali ubić interes. - Ale na co mi on.

- Trzeba być głupią pizdą, żeby wyciągać mnie na darmo - warczy szary, wyrywając

przedmiot z rąk Murzyna, ale Cayce wie, że to pod adresem Murzyna, nie jej. Szary wygląda w tej chwili jak groźny portret Samuela Becketta w książce, z której Cayce uczyła się w college'u. Ma żalobę pod paznokciami i długie palce z pomarańczowo-brązowymi plamami nikotyny, których nie zmyje już nigdy. Odwraca się, pochyla nad otwartym bagażnikiem i z wściekłością pakuje czarne, przypominające granaty urządzenia.

- Hobbs, zupełnie nie masz cierpliwości - mówi Murzyn i wzdycha. - Ona przyjdzie. Zaczekaj, proszę.

- Pojeb - mówi Hobbs tonem, jakby się przedstawiał, zamyka karton i szybkimi, praktycznymi, dziwnie macierzyńskimi ruchami okrywa go starym zniszczonym swetrem, jak czuła matka kołderką śpiące dziecko. Zatrząskuje pokrywę bagażnika i sprawdza, czy zamek zaskoczył. - Marnujecie mój czas, cholera... - Szarpie drzwi od strony kierowcy. Rozlega się przeraźliwy zgrzyt.

Przez chwilę widać brudną mysią tapicerkę i sterczącą z deski rozdzielczej szufladkę popielniczki wypełnioną po brzegi petami.

- Ona przyjdzie, Hobbs - protestuje Murzyn, ale zupełnie bezsilnie.

Ten nazywany Hobbsem mości się na fotelu kierowcy, zatrząskuje drzwi i wściekły patrzy na nich zza brudnej szyby. Silnik samochodu zaskakuje z wiekowym, astmatycznym dygotem. Mężczyzna wrzuca bieg, nie odwracając spojrzenia, nadal wściekły, po czym kieruje się ku Portobello. Szary samochód zakręca na rogu i znika.

- Ten gość to udręka - mówi Murzyn. - Teraz tamta przyjdzie i co ja jej powiem? - Odwraca się do Cayce. - Sprawiałaś mu zawód. Myślał, że ty to ona.

- Kto?

- Kupiec. Agentka japońskiego kolekcjonera - wyjaśnia blondyn. - Nie twoja wina. - Ma sterczące słowiańskie kości policzkowe, pasujące do nich szczere spojrzenie i akcent, którego nabywa się, niedbale ucząc się angielskiego w Anglii. - Ngemi tylko zdenerwowany jest - wskazuje Murzyna.

- No cóż, do widzenia - mówi Cayce. Rusza ku Portobello.

Otwierają się pomalowane na zielono drzwi i wychodzi z nich kobieta w średnim wieku. Jest ubrana w czarne dzinsy i prowadzi na smyczy dużego psa. Ten widok, typowy dla Notting Hill, jakby uwalnia Cayce od zakłęcia. Przyspiesza kroku.

Ale słyszy też kroki za sobą. Kiedy się odwraca, widzi blondynka z otwartą klapiącą torbą. Pospiesznie ją dogania.

Murzyn znikł.

- Z tobą podejdę, można? - mówi, zrównując się z nią i uśmiechając zachwycony, że może zaoferować tę przysługę. - Wojtek Bi-roszak się nazywam.

- Mów mi Izmael - mówi Cayce, idąc dalej. Nie ma pojęcia, dlaczego to powiedziała.

- To żeńskie imię? - Idzie przy niej pełen entuzjazmu i usłużności. Typek o dziwnej, debilnej, ale w gruncie rzeczy znośnej niewinności.

- Nie. Mam na imię Cayce.
- Case?
- Naprawdę powinno się wymawiać „Casey” - mówi trochę bezmyślnie - jak nazwisko człowieka, na cześć którego nazwała mnie matka. Ale ja wymawiam inaczej.
- Casey? Kto to?
- Edgar Cayce, Śpiący Prorok z Wirginijskiej Plaży.
- Czemu tak cię nazwała, ta twoja matka?
- Bo jest ekscentryczką z Wirginii. Prawdę mówiąc, nigdy nie chciała o tym mówić. - To prawda.
- A ty robisz co tu?
- Sprawy rynkowe. A ty? - pyta, wciąż idąc.
- Też.
- Kim byli tamci ludzie?
- Ngemi mi ZX-81 sprzedaje.
- A co to?
- Sinclair ZX-81. Komputer osobisty, z około 1980 roku. W Ameryce Timex 1000 był, taki sam.
- Ngemi to ten duży?
- Od 1997 handluje starymi komputerami i historycznymi kalkulatorami. Sklep w Bermondsey ma.
- Twój wspólnik?

- Nie. Załatwia kontaktować. - Lekko poklepuje torbę i rozlega się grzechot plastiku. - ZX-81.

- Ale przyszedł tu sprzedać kalkulatory?

- Curty. Cudowne, nie? Ngemi i Hobbs mają nadzieję na sprzedaż wiążaną. Japońskiemu kolekcjonerowi. Trudny ten Hobbs. Zawsze.

- Też handlarz?

- Matematyk. Smutas wspaniały. Bzik na curty, ale nie może sobie na to pozwolić. Kupuje i sprzedaje.

- Nie wyglądał na zadowolonego. - Łatwość prowadzenia niebywale idiotycznych rozmów ma, zadaniem Cayce, niebywały wpływ na całą jej karierę *coolhuntera*, chociaż nie cierpi tego terminu. Sama też nawiązywała podobne konwersacje. Szukając korzeni następnej mody, odwiedziła getto Los Angeles, Dogtown, w którym podobno narodził się tak epokowy trend jak jazda na deskorolkach. I przekonała się, że cały sekret skutecznego wyławiania nowości sprowadza się do tego, aby zadać następne pytanie. Tak właśnie poznała tego Meksykanina, który pierwszy przekręcił baseballówkę daszkiem do tyłu. Już to świadczy, jaka jest dobra. - Jak wygląda ten ZX-81? - Wojtek zatrzymuje się, grzebie w torbie i wyciąga tragicznie wyglądający prostokąt poobijanego czarnego plastiku, mniej więcej rozmiarów wideokasety, oraz jeden z samoprzylepnych, jakimś cudem działających bloków klawiszy, przypominających rozgałęźniki kabłówki w motelach, których gości należy podejrzewać o zamiar kradzieży tych urządzeń. - To ma być komputer?

- Kilo RAM-u!

- Kilo? - Wychodzą na ulicę nazywaną teraz Westbourne Grove, pełną detalistów z modnymi artykułami, i Cayce widzi tłum na skrzyżowaniu z Portobello. - Na co ci one?

- To skomplikowane.

- Ile ich masz?

- Dużo.

- Czemu je lubisz?

- To historyczny etap rozwoju komputerów osobistych - mówi poważnie - i Zjednoczonego Królestwa. Temu jest tylu programistów tu.

- A dlaczego?

Ale Wojtek przeprosza, wchodzi w wąski zaułek, w którym trwa rozładowywanie zniszczonej półciężarówki. Przeprowadza szybką wymianę zdań z wielką kobietą w turkusowym płaszczu przeciwdeszczowym i wraca, pakując do torby kolejne dwie rzeczy.

Idąc, tłumaczy jej, że Sinclair, angielski wynalazca, robił wszystko jak trzeba, tylko zupełnie na opak. Przewidując powstanie rynku tanich komputerów osobistych, uznał, że ludzie zechcą używać ich do nauki programowania. ZX-81, sprzedawany w Stanach Zjednoczonych pod nazwą Timex 1000, kosztował poniżej stu dolarów, ale wymagał od użytkownika wprowadzania programów za pomocą motelowej klawiaturki pomocniczej. Doprowadziło to,

w opinii Wojtka, do krótkotrwałego popytu na ten produkt i do stosunkowej nadprodukcji wytrawnych programistów w Zjednoczonym Królestwie dwadzieścia lat później. Jest przekonany, że konieczność pisania programów i te skrzyneczki zamąciły im w głowach.

- Jak hakerom w Bułgarii - dodaje tajemniczo.

- Ale jeśli Timeksy szły w Stanach Zjednoczonych, dlaczego nie mamy też tylu programistów?

- Programistów macie, ale Ameryka różni się. Ameryka zapotrzebowanie na Nintendo miała. Do Nintendo nie trzeba programistów. Poza tym, przy wprowadzaniu tego produktu do Ameryki dodatkowe kości RAM-u z kwartalnym opóźnieniem ściągano. Ludzie komputer kupują, do domu zawożą i przekonują się, że on prawie nic nie może. Katastrofa.

Cayce jest pewna, że w Anglii też było zapotrzebowanie na Nintendo, tyle że zostało zaspokojone i zapewne nie należy się tu zbyt spodziewać kolejnej fali programistów, jeśli teoria Wojtka jest prawdziwa.

- Muszę się napić kawy - mówi.

Wojtek prowadzi ją do rozsypującego się pasażu handlowego na rogu Portobello Road i Westbourne Grove. Obok kramików, w których Rosjanie wykładają zapasy poplamionych starych zegarków, schodami w dół, zamawia jej filiżankę czegoś, co wygląda jak „biała kawa” z czasów wizyt małej Cayce w Anglii, napój ze świata po drugiej stronie lustra i epoki poprzedzającej Starbucks. Smakuje jak słaba neska ze skondensowanym mlekiem i cukrem słodszy niż słodzik. Cayce przypomina sobie, jak ojciec prowadził ją do londyńskiego zoo, kiedy miała dziesięć lat.

Siadają na składanych drewnianych krzesłach, pamiętających zapewne Blitzkrieg, ostrożnie siorbiąc wrzący płyn.

Ale w polu widzenia Cayce wyrasta ludzik Michelin, biała nadmuchana gąsienica, przypięty na brzegu kontuaru handlarza, jakieś dziesięć metrów dalej. Ma trochę ponad pół metra wysokości i zapewne żarówkę w brzuchu.

Ludzik Michelin to znak towarowy, od którego zaczęły się jej fobie. Miała wtedy sześć lat.

- Dostał kaczką w twarz przy dwustu pięćdziesięciu węzłach - cicho recytuje.

Wojtek mruga.

- Co mówisz?

- Przepraszam - mówi Cayce. Kiedy była nastolatką, przyjaciel ojca, pilot, opowiedział jej o koledze, innym pilocie, który zderzył się z kaczką, wlatując nad Sioux City. Kaczka roztrzaskała owiewkę i do kokpitu wpadł huragan. Pilot wylądował jednak bezpiecznie. Wkrótce wrócił do latania, a na pamiątkę zostało mu tylko parę odłamków szkła w lewej gałce ocznej. Opowieść zafascynowała Cayce i po jakimś czasie przekonała się, że zdanie z kaczką zażegnuje panikę, którą zawsze budził ten najgorszy czynnik fobiotwórczy. - To taki tik werbalny.

- Tik?

- To trudne do wyjaśnienia. - Patrzy w innym kierunku, odkrywając stoisko z wiktoriańskimi, niewyobrażalnie ohydnyymi narzędziami chirurgicznymi. Pilnuje ich starzec o wysokim, nakrapianym czole, przybrudzonych brwiach, wąskich ramionach i ptasiej głowie. Stoi za kontuarem osłoniętym szkłem od góry i frontu, za którym umieszczono większość połyskujących eksponatów, w etui wyściełanym przyblakłym aksamitem. Szukając przyjemniejszego tematu, który pozwoliłby jej nie tłumaczyć się z kaczki, i uciekając od ludzika Michelin, bierze kawę i przecina wyłożone splekanymi deskami przejście. - Mógłby mi pan wyjaśnić, co to jest? - pyta, wskazując na chybił trafił palcem.

Sprzedawca spogląda na nią, na wskazany przedmiot i wraca wzrokiem do niej.

- Zestaw trepanacyjny, robota Evansa z Londynu, rok około 1780, w oryginalnym etui z węzowej skórki.

- A to?

- Francuski zestaw do litotomii z początku XIX wieku, z fur-kadłem smyczkowym roboty Grangereta. Puzderko mahoniowe z mosiężnymi okuciami. - Przygląda się jej głęboko osadzonymi, przekrwionymi oczami, nie drgnąwszy nawet zaczerwienioną powieką jakby oceniał, czy nadaje się do małego zabiegu zestawem Grangereta, budzącym dreszcz urządzeniem, rozłożonym w przegródkach na zjedzonym przez mole aksamicie.

- Dziękuję - mówi Cayce, dochodząc do wniosku, że w tej chwili nie jest to wystarczająco przyjemny temat. Odwraca się do Wojtka. - Zaczerpnijmy trochę świeżego powietrza.

Wojtek podrywa się entuzjastycznie z krzesła, zarzuca na ramię torbę pękatą od Sinclairów i idzie za Cayce w górę schodów, na ulicę.

Ta okazuje się tak samo zatłoczona jak podczas jej poprzednich tu wizyt. Turyści, kolekcjonerzy i ciekawscy, w tym wielu jej rodaków i Japończyków, napłynęli niekończącymi się falami ze stacji po obu stronach bazaru. Tłum gęsty jak na stadionie podczas koncertu usiłuje poruszać się we wszystkich kierunkach wzdłuż Portobello. Do dyspozycji jest tylko jezdnia, chodniki zajęli tymczasowi wystawcy z niewielkimi stolikami, otoczeni grupkami kupujących. Słońce wyszło całkowicie i niespodziewanie spoza chmur i Cayce czuje zawrót głowy wywołany nagłą solidną dawką światła, tłumem i rozdarciem duszy.

- Teraz szukać ciężko - mówi Wojtek, ściskając opiekuńczo torbę pod pachą. Szybko dopija kawę. - Isć muszę. Pracę mam.

- Co robisz? - pyta Cayce, głównie aby nie zdradzić, że ma zawroty głowy.

Ale on tylko wskazuje ruchem głowy torbę.

- Ocenic muszę ich stan. Przyjemnie cię poznawać. - Wyjmuje coś z górnej kieszeni kurtki i podaje Cayce. Kawalek białego bristolu z pieczętką. Adres e-mail.

Cayce nigdy nie miała wizytówek i zawsze niechętnie udostępniała dane.

- Nie mam wizytówki - mówi, ale podaje mu adres na Hotmail, pewna, że zapomni. Wojtek rozdziawia uśmiechnięte usta, głupkowato i jakoś dziwnie ufnie, pod prostymi jak od linijki słowiańskimi kośćmi policzkowymi, i znika w tłumie.

Cayce parzy sobie język wciąż gorącą kawą. Resztkę wrzuca do przepelnionego już kosa.

Postanawia wrócić do Starbucksa w pobliżu stacji metra Notting Hill, wypić kawę *latte*, z mlekiem ze świata po drugiej stronie lustra i wrócić metrem do Camden.

Ma poczucie, że zaczyna wracać do świata rzeczywistego.

- Dostał kaczka w twarz przy dwustu pięćdziesięciu węzłach - tym razem słowa te są wyrazem ulgi i Cayce rusza z powrotem ku Notting Hill.

5. NA CO ZASŁUŻYŁY

Pamięć Cayce wiernie przechowała obraz kruczaty dziecięcej.

Tak Damien nazywa ten wlokący się noga za nogą lemingopodobny tłum młodych ludzi, korkujący w niedzielę High Street, od stacji do służ.

Kiedy Cayce wyłania się z rozgrzechotanych, posapujących otchłani metra, na budzących zawroty głowy ruchomych schodach o stopniach z jasnego, twardego, zaświnionego i chyba niezniszczalnego drewna, stado gęstnieje nieubłaganie.

Na chodniku nagle wchłania ją tłum wypełniający ulicę, jakby żywcem przeniesiony z wiktoriańskiego sztychu publicznej egzekucji albo wyścigów.

Zniekształcone, ogromne imitacje pierwszych aeroplanów, butów kowbojskich i rozczłapanych martensów zdobią fasady większości skromnych sklepików. Wszystkie mają rozlane kontury, typowe dla wyrobów ręcznych, jakby ulepione ze zwałów modeliny przez dzieci wielkoludów.

Cayce spędziła całe godziny podczas wędrówki przez ten gąszcz nóg, eskortując szefów pionów projektowych światowych wytwórni obuwia sportowego, którzy zapewnili sobie fortuny i wiele godzin samotności, tropiąc niszowe trendy uliczne, dające się opisać w e-mailach do kraju.

Ta zbieranina to zupełnie coś innego niż tłum na Portobello Road; popychają ją inne żądze, skąpana w feromonach, zapachu goździkowych papierosów i haszyszu.

Obiera kurs na wygodny punkt orientacyjny - Virgin Megastore, rozważając, czy nie udać się z prądem i nie przestudiować innego materiału niż filmowy. Trendy wpływające w tej dzielnicy są w cenie i Cayce Pollard nadal ma klientów w Nowym Jorku chętnych zapłacić za raport o tym, co robią, co noszą i czego słuchają tu ci młodzi modotwórcy. Nie, jednak nie. Formalnie biorąc, nadal ma kontrakt z Blue Ant, a poza tym zupełnie brak jej motywacji. Ciągnie ją do powrotu i zmierza do mieszkania Damiena, pokonując bez nadmiernego wysiłku alejki między stoiskami owocowo-warzywnymi przy Inverness Street. Po drodze robi tylko niezbędne zakupy - znalazła świeższe produkty niż w pobliskim supermarkecie - po czym z przezroczystą, różową reklamówką hiszpańskich lub marokańskich pomarańczy wraca do domu.

Damien nie ma alarmu, co ją cieszy, w przeszłości włączała już alarmy u obcych ludzi, nie tylko ciche, i nie ma ochoty na powtórkę. Klucze Damiena są tak masywne, solidne i prawie równie przyjemnie wykończone jak te ciężkie jednofuntowe monety; jeden do drzwi od ulicy, dwa do mieszkania.

Wchodząc do mieszkania, przez chwilę czuje się o niebo lepiej. Wspominając grozę przedświt, zdaje sobie sprawę, że większa część duszy przybyła; teraz to tylko dom Damiena, czy też niedawno odnowiona wersja domu Damiena i jeśli czegoś jej tu brak, to tylko sa-

mego Damiana. Gdyby nie wyjechał do Rosji kręcić dokument, pewnie teraz brodziłoby sobie w tłumie po Camden i Primrose Hill.

Poznanie Wojtka, jego przyjaciół oraz czarnych buchenwaldzkich kalkulatorów, wszystkie te konteksty i podteksty, to tylko przedłużenie snu ostatniej nocy.

Zamyka drzwi i podchodzi do uśpionego mąka z wyłączonym ekranem, łagodnie pulsującego podświetlonymi przełącznikami. Damien ma sztywne łącze, a więc i stały dostęp do sieci, przynajmniej powinien mieć. Czas sprawdzić Fetysz:Emefy:Forum i zobaczyć, do jakich wniosków pobudził segment z pocałunkiem WParkeUbranego, Celulo, Mammę Anarchię i innych współników w obsesji. Musi podjąć wątek od samego początku, musi się zorientować, co ludzie myślą.

WParkeUbrany jest jej ulubieńcem na F:E:F. Wymieniają e-maile, gdy na forum wrze jak w ulu, ale i wtedy, gdy jest tam cicho jak w grobie. Nie wie o nim prawie nic, poza tym, że mieszka w Chicago i chyba jest gejem. Ale każde z nich zna lepiej niż ktokolwiek na świecie namiętne zainteresowanie emefami drugiego, jego wątpliwości i robocze hipotezy.

Zamiast wpisać adres forum, klika historię przeglądarki.

ZOBACZ, NA CO ZASŁUŻYŁY TE AZJATYCKIE DZIWKI!
FETYSZ:EMEFY:FORUM

Zamiera z dłonią na myszy, wpatrzona w najwyższą linijkę - nazwę ostatniej strony, na której załogowano się z cube'a Damiana.

Doświadcza tej znanej wszystkim reakcji, włosy jeżą się jej na głowie.

Na nic siła woli, nie zamieni miejscami azjatyckich dziwek z F:E:F. Cayce rozpaczliwie chce, aby azjatyckie dziwki znalazły się poniżej F:E:F, ale one jak były, tak sana gorze historii. Cayce siedzi zastygła, patrzy na historię przeglądarki, tak jak kiedyś na brązowego pająka-sa-motnika w ogrodzie różanym w Portland; ponure stworzonko, o którym jej godny zaufania gospodarz powiedział, że ma dość neurotok-syn, żeby zapewnić potworną śmierć im obojgu.

Mieszkanie Damiana nagle przestaje być przyjaznym, znajomym schronieniem. Staje się ciasną duszną klitką w której mogą wydarzyć się bardzo złe rzeczy. I Cayce przypomina sobie, że jest tu pięterko, na które tym razem jeszcze nie weszła.

Spogląda na sufit.

I nie wiedzieć czemu przypomina sobie, jak leżała szczęśliwa albo przynajmniej miło nieobecna duchem pod facetem o imieniu Donny.

Donny był facetem Cayce Pollard, dziwniejszym niż większość jej pozostałych facetów, i z czasem uwierzyła, że to wynikało właśnie z faktu, że nazywał się Donny. Jak zauważyła jej przyjaciółka, żaden z facetów, z którymi zwykle chodziły, nie tylko nie nazywał się Donny, ale nikomu do głowy nie przyszło, że mógłby się tak nazywać. Donny miał irlandzko-włoskie korzenie, pochodził z East Lansing i brakowało mu dwóch rzeczy: wstrzemięźliwości

w picciu alkoholu oraz jawnych środków utrzymania. Ale z drugiej strony był przystojniaczkiem, czasem bardzo zabawnym, chociaż nie zawsze świadomie, i Cayce przeżyła okres, w którym nie wiedzieć jak, bo nigdy tego nie planowała, lądowała pod Donnym i jego szerokim uśmiechem w niezbyt czystej pościeli mieszkania przy Clinton Street, między Rivington i Delancey.

Ale tego ostatniego razu, przyglądając się mu, gdy wkraczał w fazę rozbiegową orgazmu, o którym z góry wiedziała, że będzie uczciwy, bo nieraz się o tym przekonała, nie wiedzieć czemu wyciągnęła ramiona nad głowę, może nawet z pewną lubością, i przejechała lewą ręką za popstrzonym przez karaluchy zagłówkiem. Napotkała tam coś zimnego, twardego, wykonanego z wielką precyzją, co po obmacaniu czubkami palców okazało się kanciastą kolbą samopowtarzalnego pistoletu - zapewne przyklejonego taśmą bardzo podobną do tej, której użyła tego rana, zalepiając ricksona.

Wiedziała, że Donny jest leworęczny i dlatego tak umieścił broń, aby móc po nią sięgnąć, leżąc w łóżku.

Jakiś fundamentalny moduł obliczeniowy Cayce natychmiast przeprowadził najprostszą z możliwych operację: Cayce plus facet Cayce plus spanie z bronią równa się Cayce minus od tej pory eksfacet Cayce.

Leżała tak tam, dotykając opuszkami palców szachownicy na kolbie pistoletu i przyglądała się Donny'emu, jak po raz ostatni ujeżdża pewną klaczkę.

A tu, w Camden Town, w mieszkaniu Damiena, u góry wąskich schodów, jest pokój. Spała w nim podczas uprzednich wizyt i wie, że Damien zamienił go na domowe studio, w którym folguje swojej tajemnej pasji miksowania muzyki.

Zastanawia się, czy teraz ktoś w nim jest?

Ten ktoś, kto jakoś dostał się tu pod jej nieobecność i z nudów rzucił okiem na azjatyckie dziwki. To wydaje się absurdalne, niemożliwe, a jednocześnie, choć tylko teoretycznie, możliwe. A może to wszystko jest aż za bardzo możliwe?

Znów ogarnia wzrokiem pokój i dostrzega na wykładzinie rolkę czarnej taśmy. Leży pionowo, jakby się stoczyła. A Cayce pamięta, bardzo dokładnie pamięta, że po tym, jak jej użyła, położyła ją płasko na skraju stołu, właśnie żeby się nie stoczyła.

Wtedy coś każe jej pójść do kuchni i nie wiedzieć czemu zajrzeć do szuflady z kuchennymi nożami Damiena. Są nowe, prawie nieużywane i wystarczająco ostre. Chociaż nie jest pewna, czy nie zdołałyby się obronić jednym z nich, gdyby zaszła taka potrzeba, to pomysł z ostrzami nie wydaje się jej dobry. Zagląda do innej szuflady i znajduje prostokątne kartonowe pudło części mechanicznych. Są ciężkie, dokładnie wykończone i lekko naoliwione. To zapewne szczątki dziewczyn-ro-botów. Jedna z tych części, gruba i cylindryczna, leży znakomicie w dłoni, spiłowane brzegi lekko wystają poza krawędzie zaciśniętej pięści. Pamięta, jak parę wsuniętych między palce ćwierćdolarowych monet może znakomicie zastąpić kastet, jednak Donny się na coś przydał.

Ma z sobą ciężki cylinderek, gdy idzie schodami do domowego studia nagraniowego Damiena. Studio okazuje się tylko pustym studiem, nie żadną kryjówką. Jest w nim tapczan, wąski i nowy, na którym prawdopodobnie spałaby, gdyby Damien nie wyjechał.

Wraca na dół.

Ostrożnie pokonuje przestrzeń, wstrzymując oddech, gdy otwiera obie szafy ścienne. Są prawie puste, Damien nie dba o ubrania.

Zagłada do stojących szafek w odnowionej kuchni i pod zlew. Nie kuli się tam żaden włamywacz, a tylko leży duża żółta taśma miernicza zostawiona przez brygadę remontową.

Zakłada łańcuch na zaryglowane drzwi wejściowe. Wedle nowojorskich standardów to łańcuszek, nie żaden łańcuch, zresztą na tyle długo mieszkała w Nowym Jorku, że ma bardzo małe zaufanie do tej metody zabezpieczania mieszkania. Zawsze to jednak coś.

Sprawdza okna. Wszystkie są zamknięte i poza jednym zamalowane farbą na spojeniu skrzydła z futryną, tak że otworzenie któregoś z nich wymagałoby pewnie trzech godzin pracy drogiego mistrza stolarki i specjalistycznego zestawu narzędzi. To jedyne dające się otworzyć, niewątpliwie dzięki zabiegom wspomnianego stolarza, jest obecnie zabezpieczone zasuwami ze świata po drugiej stronie lustra, o krytych ryglach, otwieranych i zamykanych za pomocą żabki czy klucza maszynowego o dziwnie ukształtowanej główce. Widziała wcześniej takie urządzenie w Londynie i nie ma pojęcia, gdzie Damien może je trzymać. Ponieważ okno otwiera się tylko od wewnątrz, a szyba jest nietknięta, jest wykluczone, żeby włamywacz dostał się tą drogą.

Ogląda się na drzwi. Ktoś ma klucze. Dwa klucze do tych i możliwe, że trzecie do drzwi na dole.

Damien na pewno ma nową dziewczynę, o której nie wspominał. Lub starą. Kogoś, kto zatrzymał klucze. A może to sprzątaczką. Zapomniała czegoś i wróciła się, kiedy Cayce była poza domem.

Ale zaraz przypomina sobie, że klucze są nowe, zamki wymieniono po zakończeniu remontu, tak że musiano przesłać jej nowy komplet w przeddzień przyjazdu. Przyszły Federal Expressem. Załatwiła to sekretarka Damiena, która po wyjeździe Cayce ma ogarnąć mieszkanie. I Cayce przypomina sobie, jak rozmawiała z nią przez telefon. Sekretarka była przejęta, bo wysyłała jej swój jedyne komplet kluczy, i przeproszała za nieporządek. Damien nie zatrudnia sprzątaczek.

Idzie do łazienki i przegląda swoje kosmetyki. Wygląda na to, że żadnego nie ruszano. Przypomina sobie dziwnie młodego Seana Con-ner'y'ego w jego pierwszym Bondzie. Przed wyjściem do kasyna przyklejał dobrą szkocką śliną swój śliczny czarny włos do skrzydła drzwi pokoju hotelowego, aby po powrocie dowiedzieć się, czy ktoś naruszył jego przestrzeń, czy nie.

Teraz na to za późno.

Wraca do salonu i spogląda na cube'a, który wrócił do stanu uśpienia, potem na taśmę na

wykładzinie. Pokój jest czysty i prosty, semio-tycznie neutralny. Damien pod groźbą zwolnienia rozkazał dekoratorom unikać wszelkich dodatków z czasopism o wnętrzach.

Co jeszcze mogłoby kryć informację?

Telefon. Na stoliku przy komputerze.

Jest to nietypowo prosty aparat ze świata po drugiej stronie lustra, nie wydający żadnych nowomodnych dźwięków. Nawet nie wyświetla numeru rozmówcy. Damien uważa, że takie rzeczy tylko kradną czas i niepotrzebnie komplikują proste sprawy. Ale przycisk REDIAL ma, co pozwala na powtórne wybranie ostatniego połączenia.

Cayce podnosi słuchawkę i patrzy na nią, jakby ta miała przemówić. Naciska REDIAL. Słucha sekwencji dźwięków ze świata po drugiej stronie lustra. Spodziewa się głosu automatycznej sekretarki Blue Ant, a może weekendowej recepcjonistki, bo ostatnio korzystała z tego aparatu w piątek przed południem, łącząc się z Blue Ant i pytając o samochód.

- Lasciate un messaggio, risponderò appena possibile.

Kobięcy głos, ostry i niecierpliwy.

Rozłączenie. Wolny sygnał.

Krzyk grzęźnie Cayce w gardle. Odkłada słuchawkę, jakby parzyła.

„Zostaw wiadomość. Oddzwonię, kiedy tylko będę mogła”.

Dorotea.

6.

FABRYKA ZAPALEK

Cayce słyszy w głowie głos ojca i powtarza za nim w mieszkaniu Damiena:

- Po pierwsze, zabezpieczyć obrzeża swojego terytorium.

Win Pollard, przez dwadzieścia lat inspektor do spraw oceny i ulepszenia bezpieczeństwa fizycznego ambasad amerykańskich, poszedł na emeryturę i opatentował barierki rozdzielające tłum na koncertach rockowych. Jego ideał opowiadki do poduszki to systematyczna, szczegółowa i zawiła relacja o tym, jak w końcu zabezpieczył kanalizację w ambasadzie moskiewskiej.

Cayce patrzy na pomalowane na biało drzwi i ocenia, że to dąb. Jak wiele rzeczy z epoki wiktoriańskiej, są nad miarę solidne. Zawiasy wewnętrzne, jak należy, skrzydło otwiera się do środka, na nagą kawałek ściany. Cayce ocenia odległość między zamkniętymi drzwiami a ścianą i patrzy na stół.

Bierze żółtą taśmę, leżącą pod zlewem, mierzy długość stołu, potem odległość między zaryglowanymi i zabezpieczonymi łańcuchem drzwiami i ścianą. Po zabarykadowaniu zostanie osiem centymetrów luzu i bez topora strażackiego albo materiałów wybuchowych nikt nie ma szans wdrzeć się do mieszkania.

Przekłada na podłogę telefon, modem, klawiaturę, głośniki i monitor, nie odłączając ich, ani nie wyłączając cube'a. Tymczasem ekran się budzi i Cayce widzi, że azjatyckie dziwki są nadal na tym samym miejscu. Przekładając samego cube'a, przypadkowo naciska wyłącznik sieciowy. Komputer gaśnie. Włącza go i wraca do stołu, którego blat spoczywa swobodnie na krzyżakach. Jest ciężki i solidny, ale Cayce to jedna z tych szczupło wyglądających kobiet, których niska waga idzie w parze ze sprawnością mięśni. Dzięki temu w college'u wspinała się znacznie lepiej niż jej facet, psycholog, ku jego wiecznej i rosnącej irytacji. Niezmiennie osiągała szczyt pierwsza, trudniejszą trasą, nigdy zresztą nie wybierając jej celowo.

Opiera blat o ścianę przy drzwiach i wraca po krzyżaki. Przynosi od razu oba, ustawia je, następnie unosi blat i układa na krzyżakach, ostrożnie, żeby nie porysować świeżo pomalowanej ściany Damiena. Zdejmuje łańcuch i cofa rygle w drzwiach, uchyla drzwi na osiem centymetrów, na tyle, na ile pozwala szerokość stołu. Okazuje się, że powstała szpara jest tak wąska, że nawet nic przez nią nie widać. Zabezpieczywszy obrzeża, zamyka i rygluje drzwi, potem jeszcze zakłada łańcuch.

Cube informuje, że nie został właściwie zamknięty, klęka więc przy nim i klika OK. Otwiera przeglądarkę, patrzy na listę adresów, azjatyckie dziwki nadal są, gdzie były.

Widząc je znowu, dostaje gęsiej skórki, ale opanowuje się i zmusza do otwarcia strony. Nieoczekiwanie i ku jej znacznej uldze okazuje się, że nie ma na niej filmów dokumentujących zabijanie, tortury ani nic szczególnie obrzydliwego. Najwyraźniej owe kobiety zasłużyły na zainteresowanie penisów, bo te są w stanie erekcji. Penisy, jak to w wizualnej pornografii

dla panów, są całkowicie samodzielne, jakby przywędrowały do krawędzi pewnego kobiecego otworu bez właścicieli. Kiedy Cayce wychodzi ze strony, musi pozamykać cały rój linków i to, co przez ułamek sekundy chcąc nie chcąc, ogląda, jest znacznie gorsze niż strona z azjatyckimi dziwkami.

Teraz azjatyckie dziwki figurują w historii przeglądarki dwukrotnie, jakby na dowód, że nie zostały wywołane przypadkowo.

Cayce usiłuje sobie przypomnieć, co następowało w dobranockach Wina po zabezpieczeniu obrzeży. Zapewne kontynuacja rutynowego harmonogramu placówki. Chodziło o „profilaktykę psychologiczną”, jak to nazywał: o nieodstępowanie od zwykłych zajęć, o zachowanie morale. Ile razy uciekała się do tego sposobu? Zeszłego roku, wcześniej?

Trudno w tym momencie i miejscu powiedzieć, jaki ma być jej rutynowy harmonogram, ale myśli o F:E:F i gorączkowej wymianie wiadomości po odkryciu nowego emefu. Zaparzy dzbanek herbaty, obierze pomarańczę, siądzie po turecku na wykładzinie Damiena i zobaczy, co się dzieje na forum. Potem zdecyduje, co powinna zrobić z azjatyckimi dziwkami i Doroteą Benedetti.

Nie po raz pierwszy wykorzystuje F:E:F w ten sposób. Zastanawia się, czy postępowała kiedyś inaczej. To korzyść podziału na emefy i NA, czyli Nieaktualne. Wszystko co nie jest emefami, jest nieaktualne. Czyli tak naprawdę świat. Najświeższe wiadomości. Nieaktualne.

W kuchni przy wrzątku wraca myślami do zabezpieczeń w Moskwie, o których ojciec opowiadał jej na dobranoc. Zawsze po cichu życzyła szpiegowskim urządzeniom KGB, aby dały sobie radę, bo nie widziała w nich nic złego. Wyobrażała je sobie jako nakręcane na kluczyk mosiężne okręciki podwodne, precyzyjne i skomplikowane jak jajka Faberge. Widziała, jak jedna po drugiej pokonują pułapki Wina i wynurzają się w klozetach personelu, pracując małutkimi kołami zębatymi. Ale to budziło w niej poczucie winy, bo praca Wina, której oddawał się z całą pasją, polegała na tym, żeby zagrozić im drogę. I nigdy do końca nie potrafiła sobie wyobrazić, po co przybywały i czym miały się zająć.

Czajnik Damiena zaczyna gwizdać. Zdejmuje go z palnika i napełnia dzbanek.

Siada na podłodze przed cube'em, otwiera F:E:F i widzi, że są nowe wiadomości. Ale widzi też niezłą jatkę wśród fanów emefów.

WParcęUbrany i Mamma Anarchia znów rzucili się sobie do gardeł.

Ten pierwszy należy de facto do progresistów, którzy wierzą, że materiały filmowe to fragmenty dzieła w akcie tworzenia, nie skończonego i wciąż rozwijanego przez twórcę.

Z drugiej strony są kompletyści, stosunkowo niewielka, ale dysponująca przekonującymi argumentami frakcja, przeświadczona, że to szczątki skończonego dzieła, które twórca zdecydował się przedstawić w kawałkach i nie po kolei. Mamma Anarchia jest zajadłą kompletystką.

Implikacje jednej lub drugiej idei mają dla części stałych bywalców F:E:F wymiar niemal teologiczny, ale Cayce traktuje sprawę prościej: jeśli materiały są urywkami skończonego

filmu, nieważne jakiej długości, to każdy emefer jest nie wiedzieć czemu przedmiotem zabawy, bezlitosnego dręczenia przez jakiegoś sadystę, którego pomysłowość nie zna granic.

Sumeroemefery, którzy odkryli i połączyli znane fragmenty, musieli oczywiście rozważyć ideę kompletyzmu. Kiedy było pięć czy dziesięć fragmentów, wydawało się bardziej prawdopodobne, że są częściami jakiegoś stosunkowo krótkiego dzieła, być może pracy studenckiej, chociaż niesamowicie dopracowanej w szczegółach i dziwnie wciągającej. Ale gdy liczba ściąganych plików rosła i tajemnica pochodzenia pogłębiała się, wielu uznało, że są to urywki dzieła w akcie tworzenia, być może przedstawiane w takim porządku, w jakim powstawało. I bez względu na to, czy emefy były obrazem żywym czy generowanym komputerowo, oczywiste wartości dzieła w coraz większym stopniu zaprzeczały tezie, że to praca studencka albo pospolita amatorszczyzna. Były po prostu wybitne.

Niebawem po tym, jak Bluszcz otworzyła forum ze swojego seul-skiego mieszkania, WParcęUbrany pierwszy zasugerował możliwość istnienia, jak go określił: „Kubricka majster-klepki”. Tego rodzaju koncepcja nie ma nic wspólnego z ideami progresizmu czy kompletyzmu, sama Mamma Anarchia bowiem bez żenady używa pojęcia Wparcę-Ubranego, chociaż wie, kto je stworzył. Jest po prostu część wielkiej dywagacji, elementarna i wspólna, która głosi: emefy tworzy jeden człowiek, autor dysponujący odpowiednim zapleczem technologicznym, zbuntowany twórca, samotnie zaszyty gdzieś w mroku Internetu. Coraz powszechniejszą obsesją dużej części progresistów i kompletystów - chociaż kompletyści mówiąc o procesie tworzenia, zawsze starannie używają czasu przeszłego - stało się przekonanie, że emefy są generowane przez jakiś interfejs CGI*, a aktorzy, ekipa i cała ta reszta są całkowicie w wirtualnej ręce ukrytego i być może nieznanego geniusza.

Ale WParcęUbrany burzy się przeciwko skłonności Mammy Anarchii do cytowania Baudrillarda i innych Francuzów, którzy wręcz wyprowadzają go z równowagi, i Cayce automatycznie klika ODPOWIEDZ NADAWCY, i śle cały kontener beczek z oliwą do wylania na wzburzone fale:

* CGI - łącze (program) między aktywną stroną i „statycznym”, zamkniętym materiałem, dostarczanym na stronę internetową.

Tak jest zawsze, kiedy zapominamy, że strona funkcjonuje, dlatego że Bluszcz jest chętna wydatkować swój czas i energię, i ani Bluszcz, ani większość z nas nie przepada za tym, kiedy zaczynasz się tu wydzierać. Bluszcz jest naszym gospodarzem i powinniśmy dbać, żeby dobrze czuła się na swojej stronie i nie wolno nam zakładać, że F:E:F będzie tu po wsze czasy.

Klika WYŚLIJ WSZYSTKIE i widzi, jak pojawia się podpis i temat wiadomości:

CayceP. Nie nudź.

Ponieważ WParkeUbrany jest jej przyjacielem, Cayce uchodzą na sucho rzeczy, które nie uszłyby innym. Stała się jakby rytualnym sędzią, którego szczególnym obowiązkiem jest karzenie WParkeUbrane-go, kiedy rzuca się na kogoś, kto wyraźnie wyprowadza go z równowagi. Bluszcz potrafi raz-dwa doprowadzić go do porządku, ale jest policjantką w Seulu, ma długie zmiany i nie zawsze może być na stronie, pełniąc obowiązki moderatora.

Automatycznie klika ODBIERZ WSZYSTKIE i już jest odpowiedź:

Gdzie jesteś?

I od niej:

W Londynie. Pracuję.

To wszystko strasznie dodaje jej otuchy. Trudno o lepszą profilaktykę psychiczną.

Odzywa się telefon obok cube'a, dźwięki ze świata po drugiej stronie lustra, które co najmniej wyprowadzają ją z równowagi. Waha się, podnosi słuchawkę.

- Halo?

- Witaj, droga Cayce. Tu Bernard. - Stonestreet. - Helena i ja chcielibyśmy zaprosić cię do nas na małą kolację.

- Dziękuję, Bernardzie. - Patrzy na stół blokujący drzwi. - Ale nie czuję się dobrze.

- *Jet lag*. Mogłabyś spróbować pastylek Heleny.

- To miło z twojej strony, Bernardzie, ale...

- Wpadnie do nas Hubertus. Będzie strasznie zawiedziony, kiedy nie będzie miał okazji się z tobą spotkać.

- A nie mamy spotkania w poniedziałek?

- Jutro po południu będzie w Nowym Jorku. Nie może być na spotkaniu. Daj się zaprosić.

To jedna z tych rozmów, podczas których Cayce czuje, że Anglicy wzniesli pasywno-agresywne sposoby stosowania nacisku na podobne wyżyny, co posługiwanie się ironią. Wychojąc, zostawi obrzeże niezabezpieczone, ale kontrakt z Blue Ant to ponad jedna czwarta jej rocznego dochodu.

- Tak bez owijania w bawełnę, mam zespół napięcia przedmie-sięczkowego, Bernardzie.

- No, to nie ma mowy, musisz wpaść. Helena ma na to wręcz cudowne remedium.

- Próbowałaś go?

- Czego?

Poddaje się. Towarzystwo, niemal każde, wydaje się nie takim złym pomysłem.

- Gdzie mieszkacie?

- Doki. Pod siódemką. Strój luźny. Przyślę wóz. Cudownie, że wpadniesz. Pa. - Stone-street odkłada słuchawkę tak nagle, że Cayce podejrzewa, iż nauczył się tego w Nowym Jorku. Rozmowy telefoniczne w świecie po drugiej stronie lustra zwykle kończą się śpiewną, niemal czułą nutką, przeplatanką pożegnań, której nigdy w sposób zadawalający nie opanowała.

Psychologiczną profilaktykę szlag trafił.

Trzy minuty później po wypisaniu w Google „ślusarze północny Londyn” rozmawia przez telefon z pracownikiem czegoś o nazwie Zamki Sędziów i Adwokatów. Zaczyna z nadzieją:

- Nie pracujecie w soboty.

- Siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Ale przed wieczorem nie dacie rady przyjechać, prawda?

- Gdzie pani mieszka? - Podaje adres. - Za piętnaście minut - mówi ślusarz.

- Nie przyjmujecie kart.

- Przyjmujemy.

Odkładając słuchawkę, zdaje sobie sprawę, że telefonując, straciła numer Dorotei. Nie znaczy to, że łatwo by do niego dotarła, ale to był jedyny dowód całego epizodu, poza azjatyckimi dziwkami w przeglądarce. Naciska REDIAL tylko po to, aby to sprawdzić, i łączy się z pracownikiem zakładu ślusarskiego.

- Przepraszam - mówi - omyłkowo wcisnęłam REDIAL.

- Za czternaście minut - mówi tamten przepraszającym tonem. Półciężarówka zjawia się w niecałe trzynaście.

Godzinę później drzwi Damiena mają dwa nowe, bardzo drogie niemieckie zamki, do

których klucze wyglądają jak szkielet bardzo nowoczesnego samopowtarzalnego pistoletu. Cube jest z powrotem na stole, na stałym miejscu. Nie zmieniła zamka w drzwiach od ulicy, bo nie zna lokatorów Damiena ani nawet nie wie, ilu ich jest.

Kolacja z Bigendem. Cayce jęczy i idzie się przebrać.

Samochód i kierowca z Blue Ant czekają kiedy wychodzi na ulicę z dwoma nowymi kluczami na szyi, zawieszonymi na czarnej sznurówce. Zapasowe schowała za jedną z konsol mikserskich w pokoju na pięterku.

Jest wieczór, właśnie zaczyna padać lekki deszcz. Cayce przychodzi na myśli, że kapuśniaczek jeszcze bardziej przerzedzi krucjatę dziecięcą pod wielkimi butami z modeliny, aeroplanami i latarniami, na których wiszą kamery ulicznego monitoringu.

Usiadłszy na kanapie samochodu, pyta szofera, szczupłego, ubranego bez zarzutu Afrykanina, o stację metra położoną najbliżej celu ich trasy.

- Bow Road - odpowiada szofer, ale ta nazwa nic jej nie mówi.

Spogląda na tył starannie ostrzyżonej głowy, na kolczyk z niobu w górnym łuku prawej małżowiny, potem na mijane fronty sklepów i restauracji.

Luźny strój w pojęciu Stonestreeta to dla niej znaczy ubiór oficjalny, tak więc zdecydowała się na zecap, który Damien nazywa: Spódniczka Zastosowania Ogólnego; długa, szyta przez anonimowego krawca rura z czarnego dżerseju, z możliwie najwęższym obrębieniem po każdej stronie, obcisła, ale wygodna, dobrze leżąca na biodrach i nieskończenie rozciągliwa na długość; pod to czarne pończochy, na to czarny kar-digan od Donny Karan, oddonnowany nożyczkami do skórek. Balerinki z tradycyjnego sklepu paryskiego, nowiusieńkie starocie.

I przyłapuje się na tym, że myśli z zawiścią o poszaleniu w Metro i o tym niewiarygodnym szyku, z którym paryżanki noszą apaszki. To marzenie o innym miejscu jest albo kolejnym dowodem wyrównywania się u niej poziomu serotoniny, albo reakcją typu nie-będzie-sobie-za-truwać-tym-głowy na azjatyckie dziwki w przeglądarce.

Powinna się teraz skupić na wciąż narastającym problemie z Doro-teą, kimś istniejącym, a prawie jej nie znanym. Przeczesała pamięć, szukając czegoś, czym mogłaby zaskarbić sobie wrogość tej kobiety i niczego nie znalazła.

Rzadko przysparza sobie wrogów, chociaż ten mniej widoczny wątek jej profesji, ocenianie w kategoriach tak-nie, za co obecnie płaci jej Blue Ant, może być źródłem pewnych konfliktów. Zdarza się, że takie krótkie „nie” kosztowało firmę kontrakt, a pracownika posadę (raz poleciał nawet cały dział). Reszta, oceny ulicznych trendów, nieregularne wykłady pilnym plutonom dyrektorów, generuje zaskakująco mało złej woli.

Początkowo nie lubiła tych pogadanek, ale po jakimś czasie zaczęły sprawiać jej przyjemność. Im beznadziejniej zapóźniona firma, tym lepiej. Lubiła nagły błysk zrozumienia, kiedy pokazawszy hipo-powych chłopaków w obwisłych spodniach bez pasków, pytała,

czemu obwisłe, czemu bez pasków, i sprawdzwszy wyniki testów, wyjaśniała, że w więzieniach paski nie są dozwolone, a królami spaceria-ków są ci, którzy dobrali sobie najbardziej niedopasowane drelichy. Potem tłumaczyła, że wszystko ma swoje źródło, a moda, która obejmuje najszersze kręgi odbiorców i często trwa najdłużej, rzadko rodzi się na tablicy czy ekranie komputerowym projektanta.

Obok przemyka czerwony autobus piętrowy, mniej realny niż rekwizyt z disneyowskiego wyobrażenia Londynu.

Na murze dostrzega świeżo rozklejone kopie fotosu ostatniego eme-fu. Pocałunek. Już wszedł w obieg.

Raz w Nowym Jorku, w metrze do centrum w godzinie szczytu, podczas paniki z wąglikiem, kiedy recytowała w myślach mantrę o kaczce, nagle zdała sobie sprawę, że ma przed sobą fotos nie widzianego przez nią jeszcze fragmentu, nie większy niż firmowy identyfikator, ściągnięty z Internetu i przypięty agrafką do zielonej służbowej garsonki znużonej Murzynki. Cayce powtarzała mantrę, odpędzając nawiedzający ją koszmar: ktoś ciska na tory próbówki z tym świństwem w najczystszej postaci i - jak to kiedyś powiedział Win, co dobrze zapamiętała - zaraza zaledwie po kilku godzinach dociera z 14. na 59. Street. Wojsko sprawdziło to już w latach 60. zeszłego wieku.

Murzynka widząc spojrzenie, skinęła głową, pozdrawiając siostrę emeferkę i wewnętrzne ciemności Cayce rozpierzchły się na dowód, że wielu ludzi śledzi emefy, ten dziwnie niewidzialny fenomen.

Teraz jest ich o wiele więcej, mimo ogólnego i mile witanego braku zainteresowania wielkich stacji i gazet. Kiedy tylko biorą jeden z nich pod lupę, wyslizguje się im jak chińska kluska z patyczków. Pojawia się jak ćma na monitorze radaru do wychwytywania potężnych pła-towców; egzemplarz z gatunku duchów albo może „czarnych gości” (Damien raz wyjaśnił jej, że w Chinach tak się mówi na hakerów i ich produkty).

Programy zajmujące się modą, kulturą pop czy drobnymi tajemnicami, podkoloryzowanymi na duże tajemnice, przedstawiły temat, poukładawszy emefy w wątpliwym porządku, ale nie wzbudził żadnego odzewu odbiorców (oczywiście poza F:E:F, gdzie te asamblaże zostały rozwalone na strzępy w trakcie długich i namiętnych protestów przeciwko bezsensownemu umieszczeniu #23 przed, powiedzmy, #58). Wydaje się, że emeferów będzie przybywać dzięki przekazom ustnym, tak jak to było w przypadku Cayce, po przypadkowym natknięciu się na cały emef lub fotos.

Pierwszy emef Cayce czekał na nią tamtego dziwnie odmiennego listopada, kiedy podczas wernisazu w galerii NoLiTa wracała z zalanej, wspólnej damsko-męskiej toalety. Właśnie rozważała odkażanie butów i zapisywała sobie w myślach, żeby ich nigdy, pod żadnym pozorem nie dotykać, gdy dostrzegła dwoje ludzi stojących dziwnie blisko trzeciego, mężczyzny w golfie, który trzymał przed sobą przenośne DVD. Wyglądał jak jeden z szopkowych Trzech Króli, składających dary.

Mijając ich, zobaczyła na wyświetlaczu tego urządzenia jakąś twarz. Odruchowo się zatrzymała i głupawo kiwnęła w przód i w tył, szukając takiej odległości, żeby odczytać rój pikseli.

- Co to? - spytała.

Dziewczyna o grubych powiekach, ostrym ptasim nosie, z ćwiekiem w dolnej wardze spojrziała na nią z ukosa.

- Emef - burknęła, i tak to się zaczęło.

Opuściła galerię z adresem strony, na której były zgromadzone wszystkie do tej pory znalezione emefy.

Teraz w świetle mokrego wieczoru zawibrował niebieski puls, jakby ostrzeżenie przed wodnymi pułapkami, wirami...

Jadą jakąś szerszą arterią, wielopasmową aleją, grzęznąc powoli w korku. Samochód zwalnia, przystaje blokowany również z tyłu, znowu powoli rusza.

Mijają miejsce wypadku, leżący jasnożółty motocykl z dziwnie wykręconym przednim widelcem. Wiruje niebieski kogut na wąskim pręcie, sterczącym z większego, niewątpliwie służbowego motocykla, zaparkowanego w pobliżu. Cayce wie, że to pojazd medycznej służby ratowniczej, pomysł żywcem ze świata po drugiej stronie lustra, łatwy środek komunikacji w gęstym ruchu ulicznym.

Ratownik w kurtce od Belstaffa z wielkimi fluorescencyjnymi paskami klęczy obok powalonego motocyklisty. Hełm rannego leży na chodniku, kark ma unieruchomiony grubym kołnierzem piankowym. Ratownik podaje mu tlen. Gdzieś z tyłu dociera natrętny sygnał karetki, też z drugiej strony lustra. Cayce przez chwilę widzi nieprzytomną, pospolitą twarz, usta zasłonięte przezroczystą maską, zamknięte oczy skrapiane nocnym deszczem. I wie, że ten nieznamy zamieszkał w strefie rządzonej wyłącznie przez układ limbiczny, na krawędzi niebytu lub jakiegoś niewyobrażalnego bytu.

W pobliżu nie ma żadnego pojazdu, który mógłby go uderzyć lub w który on mógłby uderzyć. A może to sama ulica uniosła się, zgniatając go z dziecinną łatwością. Widocznie zagrożenie nie zawsze spada na nas tylko z tej strony, z której się go najbardziej obawiamy.

- Tu była fabryka zapalek - mówi Stonestreet, przywitawszy ją i wprowadzając na otwartą dwupoziomową przestrzeń, wyściełaną lśniącym, ciemnym i twardym drewnem, ciągnącym się do szkła balkonu, który obiega fasadę. - Szukamy czegoś innego. - Jest ubrany w czarną, bawełnianą, garniturową koszulę z luźnymi wywijanymi mankietami. To pewnie domowa wersja tego nowego stylu, nakazującego nosić tylko wygniecione rzeczy. - To nie Tribeca*.

* Tribeca, TriBeCa - skupisko hiperluksusowych apartamentów nowojorskich.

„Nie. Ani pod względem powierzchni, ani objętości” - myśli Cayce.

- Hub na pokładzie. Właśnie przyjechał. Napijesz się czegoś?

- Hub?

- Był w Houston. - Stonestreet puszcza do niej oko.

- Założę się, że nazywaliby go Hubble*, gdyby mogli. - Bi-gend. Lichwiarz.

Jej niechęć do Bigenda ma w istocie podłoże osobiste, chociaż wtórne, gdyż przyjaciółka Cayce kiedyś była z nim związana, w Nowym Jorku, przed „tym dniem”, jak do niedawna mówiła młodzież. Margot, przyjaciółka, zawsze nazywała go Lichwiarz, co Cayce początkowo uznała za jakieś niejasne nawiązanie do jego belgijskości. Aż wreszcie zapytała i dowiedziała się, że Lichwiarz, bo dawał bardzo niewiele, a brał bardzo dużo. W miarę rozwoju sytuacji stosunek brania do dawania przekroczył próg nieprzyzwoitości.

Na prośbę Cayce Stonestreet wręcza jej szklankę wody mineralnej z dużą ilością lodu i plasterkiem cytryny, operując przy barku wmontowanym w kuchenną wyspę z granitowym blatem.

Na ścianie po lewej stronie tryptyk japońskiego artysty, trzy panele ze sklejki dziesięć centymetrów na dwadzieścia, jeden obok drugiego. Na nich sitodruk, znaki towarowe i wielkookie animki**, warstwy farby kolejno nakładano i przecierano papierem ściernym, aż stały się przezroczyste. W rezultacie osiągnięto wielką delikatność wyrazu, niemal kojącą głębię, ale czai się tam też niepokojąca halucynogenna fala paniki, gotowa w każdej chwili zalać Cayce.

Odwraca się i za taflą szkła dostrzega Bigenda, który wspiera się o mokrą od deszczu balustradę, tyłem do pokoju, w kurtce i w kapeluszu, chyba kowbojskim.

- Jak według was potraktuje nas przyszłość? - pyta Bigend. Chociaż na kolację podano wysmakowane wegańskie potrawy, wygląda tak, jakby właśnie wchłonął gorący gęsty rosół wołowy. Skóra

* Hubble - nazwa częściowo niesprawnego teleskopu umieszczonego na orbicie okołoziemskiej; *hub* (ang.) - gniazdo, węzeł centralny sieci.

** Animki - postaci o twarzach dzieci i ciałach dojrzałych dziewcząt, z wyraźnymi dużymi oczami, bohaterki japońskich filmów rysunkowych (*anime*), czasem o charakterze pornograficznym.

i oczy mu błyszczą, jest rumiany i prawdopodobnie spięty od stóp do głów. Na szczęście rozmowa przy stole przebiegła spokojnie, bez wzmianek o Dorotei i Blue Ant, za co Cayce jest wdzięczna losowi.

Helena, żona Stonestreeta, wygłaszała kazanie o stosowaniu w kosmetyce przetworzonego materiału z mózgow bydlęcych. Temat wychynął z dyskusji towarzyszącej spożywaniu nadziewanych bakłażanów, a tyczącej encefalopatii gąbczastej, kary na ludzkość za zmusza-

nie roślinożerców do kanibalizmu w iście apokaliptycznych wymiarach.

Bigend ma zwyczaj wtrącać tego rodzaju pytania do rozmów, którymi się znużył, to jego kolce na drodze konwersacyjnej; możesz je ominąć albo na nie wjechać i rozwalić opony, po czym zostaje ci tylko nadzieja, że dojedziesz na felgach. Siał kolce przy kolacji, przy aperitifach i Cayce uznała, że szafuje nimi, bo jest szefem, a może szybko się nudzi. Sprawia wrażenie telemaniaka, który nieustannie nerwowo zmienia kanały. Cayce decyduje się mówić wprost.

- Nie będą o nas myśleć. Nie więcej niż my o ludziach z epoki wiktoriańskiej. Nie mam na myśli wielkich postaci, ale zwykłe dusze.

- Sądzę, że będą nas nienawidzić - mówi Helen, której cudowne wielkie oczy widzą teraz jedynie koszmary BSE i gąbczastą przyszłość. Przez krótką chwilę wygląda tak, jakby nadal wcielała się w przeżywającą konflikt sumienia programistkę, porwaną podczas siódmego, ciągnącego się w nieskończoność sezonu *Z Archiwum X*. Cayce obejrzała jeden odcinek dla pewnego aktora, faceta przyjaciółki, grającego zastępcę kierownika kostnicy.

- Dusze - powtarza Bigend, wyraźnie nie słuchając Heleny. Niebieskie oczy rosną, skupione na Cayce. Jego wymowa jest do tego stopnia pozbawiona akcentu, że Cayce nie przypomina sobie nikogo mówiącego równie bezbarwną angielszczyzną. Co denerwujące, Bigend przemawia jakby w pustkę, nie kierując wypowiedzi do nikogo konkretnego, jak megafon w hali odlotów, chociaż nie atakuje tak natężeniem głosu. - Dusze? - Cayce spogląda na niego, starannie żując bakłażana. - Oczywiście, nie mamy pojęcia, kim będą ani jakie będą te istoty w przyszłości - kontynuuje. - W tym sensie nie mamy przyszłości. Nie znaczy to, że mieli ją nasi dziadkowie, choćby tak im się wydawało. Przyszłość w pełni kulturowo uformowana to luksus innej epoki, takiej, w której „dzisiaj” miało większą siłę przetrwania. W naszym wypadku wszystko zmienia się tak nagle, tak gwałtownie, tak głęboko, że przyszłość typowa dla naszych dziadków ma zbyt wątłe „teraz”, aby się na niej oprzeć. Nie mamy przyszłości, bo nasza terażniejszość jest zbyt ulotna. - Uśmiecha się jak Tom Cruise, odsłaniając zbyt dużą ilość zębów, tylko dłuższych, ale równie białych. - Pozostaje nam jedynie zarządzać ryzykiem. Wybierać scenariusze chwili. Rozpoznawać wzorce.

Cayce się dziwi, mruga.

- Czy w takim razie mamy przeszłość? - pyta Stonestreet.

- Historia to najbliższa prawdy relacja o tym, co i kiedy się stało

- mówi Bigend, zwiężając oczy. - O tym, co kto komu zrobił. W jaki sposób. Kto zwyciężył. Kto przegrał. Kto zmutował. Kto wymarł.

- Przyszłość jest obecna - mówi odruchowo Cayce - a przyszła przeszłość będzie wyglądać zupełnie inaczej niż ta przeszłość, którą teraz sobie wyobrażamy.

- Mówisz jak wieszczka. - Znów te białe zęby.

- Wiem tylko, że jedyna stała w historii to zmiana; przeszłość się zmienia. Nasza wersja przeszłości będzie interesować przyszłość mniej więcej w takim stopniu, w jakim my jeste-

śmy zainteresowani tą przeszłością, w którą wierzyli ludzie epoki wiktoriańskiej. Po prostu będzie pozbawiona większego znaczenia - tak naprawdę to tylko przetwarza z pamięci WPar-kęUbranego, wątek Celulo i Maurice'a, dyskutujących na temat tego, czy emefy mają na celu zobrazowanie konkretnej epoki, czy też staranne unikanie realiów świadczy o postawie twórcy wobec czasu i historii, a jeśli tak, to jaka jest ta postawa?

Teraz z kolei Bigend milczy i żuje, przyglądając się jej z wielką powagą.

- Może nie mamy przyszłości w sensie wspólnej wizji, ale zostaliśmy przywrócić rze-czywistości - mówi w końcu.

- Jedyne co warte przywrócenia to pokój - powiada cicho Helena, głosem dramatycznym i pełnym tęsknoty.

- Byliśmy w, jak mówisz, fikcji, która ulegała zmianom - kontynuuje Bigend. - Nie wie-my, dokąd zmierzamy. Chociaż przynajmniej wiemy, że nie wiemy, a to już coś. - Szczerzy zęby do Cayce.

- Ale kiedy wieżowce upadły, chwila, to nasze drobne, wspaniałe małe „teraz”, zostało nam przywrócone. Kiedy runęły, zdumieni zadrżeliśmy i zostaliśmy przywrócić chwili. Od tamtej pory naprawdę nic jest takie samo.

*

Prowadzi kasztanowego hummera na belgijskich tablicach, z kierownicą po lewej. Nie jest to rozrośnięty iiberpojazd, dżip z zaatakowanymi węzłami chłonnymi, ale jakaś nowsza, mniejsza wersja, której udaje się wyglądać równie niemilo i chropawo. Jest niemal równie niewygodny jak większe modele, chociaż siedzenia wytapicerowano miękką skórą. W tamtych lubiła jedynie ogromny garb, tunel wału napędowego szerokości końskiego grzbietu, oddzielający kierowcę od pasażera, ale garb uległ kompletnej zmianie, od kiedy oryginalny hum-vee awansował do miana jednego z podstawowych elementów wystroju Nowego Jorku.

Staroświecki cywilny hummer nigdy nie był jej ideałem starego samochodu, a w tym jest zmuszona siedzieć bliżej Bigenda, niż byłoby to w starym modelu. Kierowca położył czekoladowobrazowego stetsona na zminimalizowanym garbie między fotelami. Ruch uliczny w świecie po drugiej stronie lustra zmusza ją do głupawego naciskania wymagowanego hamulca, jakby siedząc tam, gdzie zwykle angielscy kierowcy, miała prowadzić. Ścisła na kolanach wschodnioniemiecką koperto wkę i stara się nie hamować.

Bigend dał jasno do zrozumienia, że ani myśli pozwolić jej jechać taksówką (choć nie zamierzał również przywoływać samochodu firmowego i szykownego szofera), ani nie poparł pomysłu zdania się na łaskę i niełaskę metra ze stacji Bow Street. Wyjaśnia, że o tej porze w sobotę Camden Town jest wyłącznie stacją początkową, rozładowuje krucjatę dziecięcą. Cayce przypomina sobie, że coś na ten temat obilo się jej o uszy, chociaż po tym, jak żona Stonestreeta naląła jej jeden czy dwa kieliszki wina za dużo, nie pojmuje tych całych logistycznych zawłośc. Przecież pociągi muszą wpierw przyjechać, żeby mogły odjechać, no nie?

Deszcz przestał padać, powietrze jest czyste jak kryształ.

Kiedy objeżdżają rondo, zauważa tablicę reklamującą towary ze Smithfield, co oznacza, że są blisko targu.

- Napijmy się w Clerkenwell - mówi Hubertus Bigend.

7.

PROPOZYCJA

Parkuje hummera przy dobrze oświetlonej przelotowej w Clerken-well. Przedmieście ma niewiele istotnych cech indywidualnych. Jeśli chodzi o handel i usługi to ulica prezentuje zwykły londyński poziom, ale same budynki sprawiają wrażenie odrestaurowanych, bliższe poziomowi Tribeki niż fabryki zapalek Stonestreeta.

Bigend otwiera schowek kierowcy i wyjmuje gruby zafoliowany prostokąt, po rozwinięciu mniej więcej wymiarów tablicy rejestracyjnej ze świata po drugiej stronie lustra. Kładzie go na desce rozdzielczej napisem do góry: obok skrótu EU, brytyjski lew i numer, chyba rejestracyjny.

- Pozwolenie na parkowanie - wyjaśnia Bigend.

Cayce wysiada, widząc, że zaparkowali przy krawężniku z podwójną żółtą linią, oznaczającą zakaz parkowania. Zastanawia się, jak wysoko sięgają koneksje Bigenda.

Człowiek ze znajomościami nakłada stetsona, wciska guzik na kluczu i hummer dwukrotnie mruga światłami, po czym wydaje krótki pomruk, osiągając stan pełnej gotowości alarmu. Cayce jest ciekawa, czy często dotykają tego gigantycznego matchboxa. I czy pozwala się dotykać.

Ruszają w kierunku baru-restauracji, który najwyraźniej jest celem ich przyjazdu. Odrestaurowano go tak, żeby jak najmniej kojarzył się z pubem. Im bliżej antypubu, tym bardziej rośnie dudnienie basów. Barwa światła zza szyb przypomina Cayce zużyte żarówki, jakby postrzępione włókna węglowe płonące w zakopconych bańkach.

- Bernard zawsze mówił, że jesteś bardzo dobra - jego głos przypomina jej dziwnie frapującą wypowiedź przewodnika muzealnego, odbieraną przez słuchawki.

- Dziękuję. - Kiedy wchodzi do knajpy, jeden rzut oka i Cayce wie, że towarzystwo jest po białym proszku, staromodnym narkotyku.

Pamięta tamte zbyt jasne uśmiechy, błyszczące oczy, tępy wzrok.

Bigend natychmiast dostaje stolik, co w tych okolicznościach chyba nie każdemu się udaje. Cayce przypomina sobie, jak na początku znajomości z Bigendem jej nowojorska przyjaciółka zauważyła, że chociaż Lichwiarz, to zawsze był szybko obsługiwany. Pewnie nie decyduje to, że go tu dobrze znają, ale pewien tatuaż postawy, coś co ludzie potrafią odczytać. Ma na sobie kowbojski kapelusz, rudą przeciwdeszczową kurtkę archaicznego myśliwskiego kroju, szare flanelowe spodnie i buty od Tony'ego Lamy - więc sygnał modnego stroju również nie wchodzi w grę.

Kelnerka odbiera zamówienie, Holsten Pils dla Cayce, kir dla Big-enda. Cayce patrzy na niego nad okrągłym, niezbyt szerokim stolikiem z małą lampką oliwną i migocącym w niej knotem. Bigend zdejmuje kapelusz, gest nagle niesłychanie dodaje mu belgijskości, jakby stetson był fedorą.

Kelnerka przynosi zamówienie i Bigend płaci świeżym dwudzie-stofuntowym banknotem wyjętym z szerokiego portfela, wypchanego nierealnie wyglądającymi euro o wysokich nominalach.

Kelnerka nalewa piwo, Bigend zostawia resztę na stoliku.

- Jesteś zmęczona? - pyta.

- *Jet lag* - automatycznie reaguje na toast Bigenda, dzwoni szkło.

- Płaty czołowe się kurczą. Dosłownie. Wiedziałaś o tym? Dobrze widać na tomografie.

Cayce przełyka piwo, krzywi się.

- Nie, to dlatego że dusza podróżuje wolniej i się spóźnia - mówi.

- Wcześniej wspomniałaś o duszach.

- Naprawdę? - Nie pamięta.

- Tak. Wierzysz w nie?

- Nie wiem.

- Ja też nie. - Łyczek kiru. - Nie dogadujecie się z Doroteą?

- Kto ci to powiedział?

- Bernard miał takie wrażenie, jeśli chodzi o ciebie. Ona potrafi być bardzo trudna w kontaktach.

Cayce nagle czuje nietypowy ciężar enerdowskiej kopertówki, spoczywającej pod stolikiem na jej udach. Jej zawartość jest nierówno rozłożona, bo wrzuciła tam zwarty kawałek kieszki dziewczyny-robota, taki kastet na jakiś wszelki wypadek.

- Czyżby?

- Oczywiście. Jeśli czuje, że możesz osiąść coś, czego ona od dawna pragnęła. - Zęby Bigenda jakby się zwielokrotniły albo przeszły przemianę. W tym świetle jego mokre od kiru wargi są bardzo czerwone. Potrząsa głową, odrzucając czarny lok z oczu. Cayce jest teraz w stanie najwyższej seksualnej czujności, w końcu kojarzy dwuznaczne zachowanie Bigenda. A więc to o to w gruncie rzeczy chodzi? Dorotea bierze ją za sekskonkurentkę? Czyżby była na celowniku pożądania Bigenda, które, jak wie z opowieści Margot, jest jednocześnie stałe i wiecznie zmienne?

- Chyba nie rozumiem cię, Hubertusie.

- Chodzi o Londyn. Ona myśli, że chcę cię zatrudnić na stanowisko szefa mojego londyńskiego biura.

- To absurd. - I na dodatek ogromna ulga, jako że Cayce nie jest kimś do prowadzenia agencji w Londynie. Nie jest kimś do prowadzenia jakiegokolwiek agencji gdziekolwiek. Jest hiperspecjalistą, wolnym strzelcem, wykonawcą wyjątkowych zleceń. Rzadko pobiera pensję, została stworzona do pracy o dzieło, zdecydowanie na krótko, nie kieruje, nie zarządza, nie. Ale ulga płynie przede wszystkim stąd, że nie chodzi o seks. To znaczy, że przynajmniej na zdrowy rozum wygląda, że nie chodzi. Czuje się przygwożdżona przez te oczy, chociaż opiera się im całą siłą woli, równocześnie uwięziona spojrzeniem.

Bigend podnosi kieliszek do ust i pije do dna.

- Ona wie, że jestem tobą bardzo zainteresowany. Chce pracować dla Blue Ant i to na stanowisku Bernarda. Starła się uwolnić od zobowiązań z H&P na długo przed tym, zanim została ich łączniczką.

- Nie widzę tego - mówi Cayce, mając na myśli zastąpienie Stonc-streeta Doroteą. - Ona nie za bardzo nadaje się do pracy z ludźmi. - Prawdę mówiąc, to rąbnięta suka. Podpalaczka kurtek i włamywaczka.

- Oczywiście że nie. To byłaby całkowita katastrofa. I jestem zachwycony Bernardem od pierwszego dnia pracy. Być może Dorotea jest jednym z tych ludzi, dla których próg jest za wysoki.

- Jaki próg?

- Nasz biznes się kurczy. Jak wiele innych. Ilość autentycznych rozgrywających ulegnie redukcji. Już nie wystarczy robić to, co się robiło i trzymać się tego, czego się trzymało. - Cayce wyobraża sobie siebie przed progiem i nawet zadaje sobie pytanie, czy go pokona i dotrze na drugą, niewiadomą stronę. - Jesteś inteligentna - mówi. - Chyba w to nie wątpisz.

W takim razie zajrzy do jego podręcznika. Czas samej rzucić kolec pod koła.

- Czemu zmieniasz logo drugiego wytwórcy obuwia sportowego na świecie? To był twój pomysł czy ich?

- Ja nie pracuję w ten sposób. Klient i ja rozpoczynamy dialog. Pojawia się ścieżka. Rzecz nie w narzuceniu twórczej woli. - Teraz patrzy na nią bardzo poważnie i ona z zażenowaniem czuje, że drży. Ma nadzieję, że on tego nie zauważa. Jeśli Bigend potrafi sobie wmówić, że nie narzuca swojej woli innym, potrafić sobie wmówić wszystko. - Rzecz w wykorzystaniu możliwości. Pomagam klientowi pójść w tym kierunku, w którym rzecz już się toczy. Chcesz wiedzieć coś naprawdę ciekawego o Dorotei?

- Co?

- Kiedyś pracowała dla bardzo specjalistycznej agencji konsultacyjnej w Paryżu, założonej przez wysokiego emerytowanego pracownika francuskiego wywiadu, który zrealizował wiele zadań dla swojego rządu w Niemczech i Stanach Zjednoczonych.

- Jest... szpiegiem?

- To raczej „szpiegostwo przemysłowe”, chociaż określenie brzmi nieco archaicznie, prawda? Podejrzewam, że nadal wie, do kogo zadzwonić, aby wykonał odpowiednie zlecenia, ale nie nazwałbym jej szpiegiem. W tym wszystkim interesowała mnie inna rzecz. To, że ten biznes jest pod pewnymi względami zupełną odwrotnością naszego.

- Reklamy?

- Tak. Chcemy, żeby ogół coś sobie uświadomił, coś o czym wiedział, ale na co nie zwracał uwagi. Aby zaczął traktować to inaczej.

Chodzi o przekazanie mu informacji, ale w atmosferze pewnej nieokreśloności.

Cayce stara się dopasować tę wypowiedź do tego, co wie o kampaniach Blue Ant. Jest w niej jakiś sens.

- Wyobrażałem sobie, że biznes, w którym siedziała Dorotea, dotyczył pewnych bardzo określonych informacji.

- I tak było?

- Czasem tak, ale równie często chodziło o zwykłą reklamę negatywną. O obsmarowanie konkurencji. Naprawdę nic szczególnie ciekawego.

- Ale widziałeś ją na stanowisku u siebie?

- Tak, chociaż nie na tym, które ona sobie wyobrażała. Ale teraz daliśmy jasno do zrozumienia, że nie jesteśmy zainteresowani. Jeśli ona uważa, że ty dostaniesz to, na czym jej tak zależało, może się bardzo rozgniewać. - Co jej sugerował? Czy powinna opowiedzieć mu o kurtce, azjatyckich dziwkach? Nie. Nie ufała mu ani trochę. Dorotea korporacyjnym szpiegiem? Bigend zainteresowany tego rodzaju metodami? Niby zainteresowany? Wszystko to mogło być nieprawdą. - Więc dowiedzmy się - dodał nagle, pochylając się lekko.

- O czym?

- O *Pocałunku*. Co o nim myślisz.

Cayce natychmiast wie, o jakim pocałunku mowa, ale zmiana kontekstu, widok Bigenda w innym świetle, jako emefera, są tak dziwaczne i tak zmieniają płaszczyznę rozmowy, że tylko siedzi bez ruchu, czując, jak jej przepona lekko reaguje na brzmienie muzyki, której istnienia do tej chwili nie była świadoma. Jakaś kobieta śmieje się dźwięcznie przy stoliku obok.

- O jakim pocałunku? - odpowiada odruchowo.

Bigend odpowiada, sięgając do wewnętrznej kieszeni kurtki, której nie zdjął. Wyjmuje elegancką, matową, srebrną papierośnicę, która po umieszczeniu na stoliku okazuje się tytanicznym odtwarzaczem DVD. Otwiera się prawie automatycznie, ukazując po dotknięciu palcem #135. Cayce ogląda *Pocałunek*, spogląda na Bigenda.

- O tym pocałunku - mówi Bigend.

- O co ci dokładnie chodzi? - pyta Cayce, grając na czas.

- Chcę wiedzieć, jak oceniasz jego znaczenie, biorąc pod uwagę wcześniejsze przesyłki.

- Ponieważ możemy tylko spekulować na temat umiejscowienia tego segmentu w hipotetycznej narracji, jak możemy ocenić jego znaczenie?

Wyłącza odtwarzacz, zamyka go.

- Nie o to pytam. Nie chodzi mi ustosunkowanie się do segmentów w narracji, ale o porównanie go do realnego porządku przesyłanych segmentów.

Cayce nie przywykła do myślenia o emefach w tych kategoriach, chociaż zna odpowiednią herezję krążącą po obrzeżach F:E:F. Chyba wie, do czego zmierza Bigend, zadając tak skonstruowane pytanie, ale decyduje się grać głupka.

- Ale tu wyraźnie nie ma mowy o logicznej narracji. Albo są przesyłane dowolnie...

- Albo w bardzo starannie ustalonym porządku, z zamiarem stworzenia iluzji dowolności. Niezależnie od tego i niezależnie od wszystkiego innego, emefy już stały się najbardziej skutecznym kawałkiem partyzanckiej reklamy wszechczasów. Śledziłem strony entuzjastów i szukałem wzmianek gdzie indziej. Same liczby są zdumiewające. Twoja przyjaciółka w Korei...

- Skąd o tym wiesz?

- Kazałem przeglądać wszystkie strony. Więcej, monitorujemy je stale. Twój wkład należy do najbardziej wartościowych, na które się natknęliśmy. Kiedy się zna uczestników, nie trudno zgadnąć, że „Cay-ceP” to ty. Tak więc twoje zainteresowanie emefami jest nie tylko prywatną sprawą i stąd należy go zaliczyć do zjawisk szeroko pojętej subkultury.

Do świadomości, że Bigend lub jego pracownicy szperali i szperają po F:E:F, będzie musiała się chyba niestety przyzwyczaić. Z czasem strona stała się jakby drugim domem Cayce, ale wiedziała też, że to przezroczyste akwarium; jednocześnie mieszkanie przyjaciółki i audycja radiowa, dostępna każdemu chętnemu słuchaczowi.

- Hubertusie, jaki dokładnie charakter ma twoje zainteresowanie tym zjawiskiem? - pyta, starannie dobierając słów.

Bigend się uśmiecha. „Gdyby tylko tak się nie szczyrzył, byłby całkiem przystojny” - myśli Cayce. „A może jakiś chirurg dentystyczny potrafiłby mu wsadzić mniejsze zęby?”

- Czy jestem prawdziwym wierzącym? O to przede wszystkim chcesz zapytać. Bo ty zaliczasz się do tego zbioru. Ta sprawa budzi twoją prawdziwą namiętność. To widać w twoich wpisach. Dzięki nim jesteś tak niezwykle cenna. Dzięki nim i twoim talentom, alergiom, ukrywanym patologiom, cechom, które wykreowały cię na tajemną legendę świata marketingu. Ale czy ja należę do wierzących? Moje namiętności to marketing, reklama, strategia medialna i kiedy odkryłem emefy, namiętności zagrały. Zobaczyłem, że produkt, który może nawet nie istnieje, skupia na sobie nieprzerwaną uwagę. Myślisz, że to mogłoby nie wzbudzić mojego zainteresowania? To najbardziej błyskotliwa strategia marketingowa tego dopiero co rozpoczętego wieku. I nowa. Zupełnie nowa.

Cayce skupia się na bąbelkach, unoszących się w prawie nietkniętym piwie. Próbuje sobie przypomnieć wszystko, co słyszała czy czytała dzięki Google o pochodzeniu Bigenda, po-

wstaniu Blue Ant; ojciec brukselski przemysłowiec, wakacje w rodzinnej wili w Cannes, archaiczna, ale zapewniająca dobre znajomości, angielska szkoła z internatem, Harvard, próba niezależnej produkcji w Hollywood, ucieczka w poszukiwaniu samego siebie do Brazylii, powstanie Blue Ant, najpierw w Europie, potem w Zjednoczonym Królestwie i Nowym Jorku.

Do tego informacje z gazet o sławnych i bogatych, których wiele przeczytała. I doświadczenie Margot, które Cayce przeżyła z drugiej ręki, chociaż w czasie rzeczywistym, wszystko to połączone z wiadomością, że jest kimś w rodzaju emefera, z przyczyn, które ona może tylko zgadywać. Chociaż nagle sobie je uświadamia i wcale się jej nie podobają.

Podnosi wzrok.

- Widzisz w tym wielkie pieniądze.

Bigend patrzy na nią z całkowitą powagą.

- Nie oceniam świata przez pryzmat zysku. Oceniam go przez pryzmat doskonałości.

I Cayce jakoś mu wierzy, chociaż to żadna pociecha.

- Hubertusie, do czego zmierzasz? Moja umowa z Blue Ant zakłada ocenę projektu znaku towarowego konkretnej firmy. Nie analizę emefów.

- Zawarliśmy znajomość - to brzmi niemal jak rozkaz.

- Nie, nie zawarliśmy. Nie jestem pewna, czy ty w ogóle zawierasz znajomości.

Na to Bigend uśmiecha się uśmiechem, którego do tej pory nie widziała, demonstrującym mniej zębów i być może bardziej autentycznym. Ten uśmiech zapewne ma dać do zrozumienia, że pokonała przynajmniej pierwszą fosę jego faktycznej osobowości, stała się do pewnego stopnia osobą zaufaną. Teraz zna prawdziwego Bigenda: myślącego niekonwencjonalnie chochlika perwersji, trzydziestokilkuletnie genialne dziecko, poszukiwacza prawdy (a przynajmniej skuteczności) na rynkach tego młodego wieku. Taki Bigend niezmiennie wyłania się z artykułów, niewątpliwie po omotaniu dziennikarza uśmiechem i różnymi innymi sposobami.

- Chcę, żebyś go znalazła.

- Go.

- Twórcę.

- Ją? Ich?

- Twórcę. Dostaniesz do dyspozycji wszystko, co będzie ci potrzebne. Nie będziesz pracować dla Blue Ant. Zostaniemy współnikami.

- Dlaczego?

- Bo chcę wiedzieć. Ty nie?

Tak.

- Czy zastanowiłeś się na tym, że jeśli „go” znajdziemy, możemy przerwać cały proces?

- Nie musimy jej mówić, że ją znaleźliśmy, no nie? - Cayce otwiera usta, ale zdaje sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co powiedzieć. - Wyobrażasz sobie, że nikt inny nie szuka? Dziś

w marketing produktów wkłada się o wiele więcej kreatywności niż w same produkty, bez względu na to, czy chodzi o obuwie sportowe, czy o wysokobudżetowe filmy. To dlatego założyłem Blue Ant; bo dokonałem tego jednego prostego rozpoznania. Już pod tym względem emefy są dziełem geniuszu.

Bigend odwozi ją z powrotem do Camden Town, czy raczej w kierunku Camden Town, ponieważ w pewnym momencie Cayce zdaje sobie sprawę, że minął Parkway i jedzie ulicami Primrose Hill, obszaru, który najbardziej przypomina w Londynie górę. To terytorium jej prywatnych tabliczek pamiątkowych, chociaż jedyne nazwisko, które zapamiętała, spacerując z Damienem w tej okolicy, to „Sylvia Plath”.

Primrose Hill jest jeszcze niż Camden. Pewni jej przyjaciele, którzy kiedyś tu mieszkali, dostali za adaptowany strych tyle, że kupili galerię sztuki w Santa Monica, kilka przecznic od sali koncertowej projektu Franka Gehry’ego.

Ma mieszane uczucia. Niezbyt wie, co zrobić z propozycją Bigenda. Wprowadziła ją w nastrój, który jej terapeutyczka, kiedy jeszcze Cayce ją miała, umieszczała w rubryce „stare zachowania”. Polegały na tym, że mówiła „nie”, ale jakoś nie dość stanowczo, i słuchała dalej. Rezultat był taki, że „nie” stopniowo się wykruszało i przechodziło w „tak”, zanim zdała sobie z tego sprawę. Myślała, że osiągnęła na tym polu znaczne postępy, ale teraz czuje, że znów wszystko toczy się po staremu.

Bigend, pełen wigoru, prowadzący w tym tańcu, naprawdę nie potrafi sobie wyobrazić, że inni mogą nie mieć ochoty na jego pas. Margot wyznała jej kiedyś, że najdziwniejszym i najbardziej skutecznym aspektem jego seksualności jest to, że wytwarza taką atmosferę między sobą i nową partnerką, jakby już z sobą sypiali. Teraz Cayce widzi, że podobnie działa jako biznesmen, jeszcze negocjowaną umowę traktuje jak już zawartą, podpisaną i przypieczętowaną. Jeśli nie podpisał, Bigend sprawi, że wyda ci się, że podpisał, tylko jakoś o tym zapomni.

Jego wola miała zaborczą amorficzność mgły; rozkładała się wokół ciebie, wysuwając niewidzialne macki. Człowiek nagle sobie uświadamiał, że całkiem mimowolnie kroczy w innym kierunku niż ten, który wybrał.

- Widziałaś partyzancką reedycję ostatniego Lucasa? - Hummer okrąży róg, na którym stoi pub, będący taką kwintesencją pubo-watości, że są tylko dwie możliwości: albo ma za sobą zaledwie kilka tygodni istnienia, albo został tak przerobiony, aby przyciągnąć klientelę nieosiągalną dla pierwszych właścicieli. To przerażający ideał podroby, o oknach z wypukłego szkła, z nadlewami wypolerowanymi do przezroczystości. W środku ruda kobieta w zielonym swetrze unosi kieliszek, otwiera usta, zapewne w radosnym toastie. Ten obrazek znika, gdy hummer mija pędem krótki, ciemniejszy odcinek domów mieszkalnych, potem kolejny róg. - Wygląda na to, że zawzięli się na niego, jak na nikogo. Któregoś dnia będziemy potrzebowali archeologa, żeby pomógł nam odnaleźć oryginalne wątki klasycznych filmów.

- Kolejny, ciasny róg. - Spryciarze wśród dzisiejszych muzyków umieszczają nowe kompozycje w sieci, jak pasztet do ostygnięcia na parapecie, i czekają, aż jacyś anonimowi muzycy dokonają przeróbek. Dziesięć może być nieudanych, ale jedenasta okazuje się dziełem geniusza. Darmowym. Proces twórczy nie dokonuje się już w głowie jednostki, jeśli kiedykolwiek tak było. Dzisiaj wszystko jest do pewnego stopnia odbiciem czegoś innego.

- A emefy? - Cayce nie może się powstrzymać.

- Oto jest pytanie, no nie? Strategia twórcy polega na tym, że umieścił się poza tym wszystkim. Możesz zebrać segmenty, ale nie złożyć.

- Nie teraz. Ale jeśli on kiedyś je zbierze, to dadzą się złożyć.

- „On”?

- Twórca. - Wzrusza ramionami.

- Wierzysz, że te segmenty są częścią całości?

- Tak. - Bez wahania.

- Dlaczego?

- To nie tyle kwestia wiary, ile czegoś, co wiem sercem. - Sama słyszy, że to dziwnie brzmi, ale jest prawdą.

- Serce to mięsień - poprawia ją Bigend. - „Wiesz” limbiczną częścią mózgu. Ośrodkiem instynktu. Mózgiem pierwszych ssaków. Działającym głębiej, szerzej, poza logiką. Reklama działa na tę część, nie na nowobogacką korę mózgową. Nasz umysł to tylko nadęty gruczoł, dosiadający na barana gadzi pień mózgu i starszy umysł ssaków, ale podstępna kultura każe wierzyć, że o wszystkim decyduje świadomość. Mózg pierwszych ssaków rozciąga się pod nią, szeroki na kontynent, niemy i muskularny, trzymający się własnego harmonogramu. I to on każe nam kupować. - Milknie. Cayce przygląda się mu z boku. W tej chwili, bez słów i uśmiechu ukazuje się taki, jaki może jest naprawdę. - Kiedy stworzyłem Blue Ant, założyłem bazowo, że każda dobra reklama powinna dotrzeć do starszego, głębszego umysłu, poza językiem i logiką. Najmuję ludzi na podstawie tego, czy potrafią to dostrzec, świadomie czy nie. Ta zasada się sprawdza.

Cayce musi przyznać w duchu, że ma rację. Bigend zatrzymuje hummera na stromym skraju parku. W świetle latarni świata po drugiej stronie lustra trawa jest miękka. Damien opowiedział jej legendę, której teraz nie pamięta dokładnie, o angielskim Ikarze, który tu wzleciał, czy się zabił, na długo przed wzniesieniem rzymskiej osady. To dawne miejsce kultu, składania ofiar, egzekucji; Greenberry poprzedziło Primrose. Miejsce druidów.

Bigend nie zawraca sobie głowy pozwoleniem na parkowanie, łącie nowoczesnym symbolem wolności w tym mieście, ale wysiada, nakłada stetsona z takim samym namaszczeniem jak poprzednio i rusza w kierunku niewidzialnego grzbietu wzgórza. Na chwilę zagubiona w ciemności między latarniami Cayce idzie za nim, goniona uciętym stęknieniem alarmu hummera. Ścieżki dla Bigenda nie istnieją, wspina się na przełaj. Cayce zamyka pochód, wyciąga nogi, żeby go dogonić, przeklinając się za to, że tak daje sobą manipulować. Głupia,

odejść w noc, do kanału i dalej, do śluz, mijając bezdomnych, pijących cydr na ławkach. Ale tego nie robi. Trawa, dłuższa niż się wydaje, rosi jej kostki. Jak nie w mieście.

Na samym szczycie jest ławka i Bigend już na niej siedzi, patrząc w dół i dalej, ponad dolinę Tamizy; Londyn, oświetlony jak baśniowa kraina, mruga w soczewce oparu generowanego przez wielkie ludzkie skupisko.

- Powiedz, że nie - mówi Bigend.

- Co?

- Powiedz mi, że tego nie weźmiesz. Miej to za sobą.

- Nie wezmę tego.

- Musisz się z tym przespać.

Cayce próbuje zmarszczyć brwi, ale nagle dostrzega, że bywa nieoczekiwanie zabawny. Dokładnie wie, jak potrafi dać w kość, i w jakiś sposób jej to zdradza. To tylko technika robienia rozmówcy, ale skuteczna.

- Co byś zrobił, gdybym go znalazła, Hubertusie?

- Nie wiem.

- Stałbyś się producentem?

- Nie sądzę. Nie wydaje mi się, aby już wiadano, co okaże się konieczne do zrobienia i jak nazwać tego, kto podejmie się zadania. Może orędownikiem? Pomocnikiem? - Zgarbiony w płowej kurtce wydaje się w skupieniu spoglądać na Londyn, ale Cayce dostrzega w jego ręce DVD. Rusza powtórka *Pocałunku*.

- Będziesz musiał zrobić to beze mnie.

Nie podnosi wzroku.

- Prześpij się z tym. Rano sprawy wyglądają inaczej. Chciałbym, żebyś z kimś porozmawiała.

- Tak - mówi Cayce, zdejmując mu kapelusz z głowy. Bierze go w lewą dłoń, uderzeniem kantu prawej żłobi bruzdę przebiegającą przez środek denka i pogłębia ją palcami, małym i serdecznym. Zakłada kapelusz na głowę. Jednym odmierzoną stuknięciem wskazującego palca obniża rondo. - W ten sposób. - Spogląda na niego spod wymodelowanego ronda. - Zdejmuj go tak. - Demonstruje, przesuwając kapelusz czubkiem palca w tył. Wkłada go z powrotem Bigendowi na głowę. - Ty tak się z nim pieścisz, jakbyś potrzebował drabinki bibliotecznej, żeby dosiąść konia.

Bigend odchyła głowę i patrzy na Cayce spod ronda.

- Dziękuję - mówi.

Cayce po raz ostatni spogląda na miasto z baśni.

- Teraz zawieź mnie do domu. Jestem zmęczona.

W korytarzu Damiena staje na palcach, sprawdzając, czy jeden ciemny włos Cayce Polard jest nadal na miejscu, przyklejony śliną między skrzydłem i framugą, następnie wyjmuje z etui rzadko używaną pudemiczkę, muskając twarde, gładki cylinder należący do dziewczyny-roboty. Klęka i patrząc w lusterko, sprawdza, czy puder, który rozsypała pod gałką, jest tam nadal, nietknięty.

Dziękuję, komandorze Bond.

8.

FILIGRAN

Po starannym sprawdzeniu licznych mikrominiaturowych pułapek, grudkowych i innych, przekonawszy się, że są nietknięte i tam, gdzie je zostawiła, sprawdza wiadomości.

Jedna od Damiena, jedna od WParkęUbranego.

Otwiera wiadomość od Damiena.

Cześć i pozdrawiam dwa metry spod powierzchni rozmrożonych bagien za Stalingradem. Jestem cały w strupach po insektach i zarośnięty po oczy, ale wciąż odstaję od reszty i wciąż nie jestem dość pijany, choć się staram. To zupełnie niesamowite widowisko, nie miałem czasu opowiedzieć ci przed wyjazdem. Chodzi o wykopalisko, które teraz jest chyba moim emefem. To postsowiecki letni rytuał, angażujący piegowatych rosyjskich wyrostków płci męskiej ze wszystkich stron, głównie z Leningradu, którzy przyjechali do tych sosnowych lasów przekopać miejsce największej, najdłuższej, najbardziej zawziętej i krwawej bitwy artyleryjskiej *H* wojny światowej. Okopy i linia frontu wędrowały w nieskończoność w obu kierunkach, przy nieprawdopodobnych stratach w ludziach, tak że kiedy natrafi się na okop i zaczyna kopać, kopie się przez, hm, warstwy Niemców, Rosjan i Niemców. Teraz to same szare kości, wszystko zapadło się w lepkomuliste błoto zamarzające zimą na kamień. To błoto jest, tak się chyba mówi, beztlenowe. Z przyjemnością stwierdzam, że ciała dawno się rozplynęły, ale kości i przedmioty pozostały w doskonałym stanie, oczywiście kiedy się je oczyści z mułu, i to właśnie ściąga kopaczy. Znajduje się wszelkiego rodzaju broń, zegarki, jeden chłopak znalazł wczoraj zakorkowaną butelkę wódki, ale uznano, że mogła zostać specjalnie zatruta i pozostawioną jako pułapka. Bardzo dziwne. Ale wizualnie, rany! Wszystko: pijani, ogoleni do gołej czaszki kopacze, rzeczy, które wydobywają i wszędzie rosnące piramidy szarych kości. Większość tego kręcimy, przy czym sztuka polega na tym, aby wypić tyle, żeby uznali cię za jednego ze swoich - rozumiesz, kodeks imprezowy - ale nie przekroczyć pewnej granicy, za którą walisz się z nóg albo zapominasz o wymianie baterii w kamerze. Dlatego nie dawałem znaku życia, jestem 24 godziny na dobę i siedem dni w tygodniu przy wykopalisku. Myślałem, że to będzie próba przed sesją na poważnie, następnego lata, ale (1) nie wyobrażam sobie, żeby tego rodzaju szajba mogła się powtórzyć, nawet w Rosji, (2) jestem pewny na 100%, że kiedy tylko się stąd wyrwę, nie chcę nigdy więcej oglądać na oczy tego miejsca ani tych ludzi. Mick, irlandzki kamerzysta, nabawił się chronicznego kaszlu, który jego zdaniem świadczy o nieuleczalnej gruźlicy, a Brianowi, australijskiemu kamerzyście, zerwał się film w trakcie popijawy z kopaczami i ocknął się z krwawym, ohydny i autentycznie więziennym rysunkiem pająka w sieci, zrobionym na lewym ramieniu raczej za pomocą noża niż igły do tatuażu. Brian przeżył, zawzięty sukinkot, i ma najwyższy status wśród kopaczy (poza tym chyba złamał komuś szczękę po całej tej aferze). I on, i ja uważa-

my, że Mick bredzi z tą gruźlicą, rozmazana pizda, zresztą i tak trzymamy się od niego na dystans. A jak u Ciebie??? Czy podlewasz moje roślinki i karmisz moją złotą rybkę? Czy te reklamowe palanty w Soho w ogóle traktują Cię jak człowieka? Mógłbym teraz zabić, gdyby za to wpuszczali pod prysznic. Chyba mam świerzb i to po tym, jak ogoliłem głowę, cholera, żeby wygubić wszy. Brian co wieczór maluje sobie jaja przezroczystym lakierem do paznokci, twierdząc, że to pewny sposób na pozbycie się tego paskudztwa, ale mi się wydaje, że to dlatego, iż jest ciotą, chociaż absolutnie się tego wypiera, i wsiowym masochistą, i po prostu tak mu się podoba.

XXX, Damien

PS. Na wypadek, gdyby to jasno nie wynikało z powyższego, wiedz, że bawię się pysznie jak nigdy i nie wyobrażam sobie większego szczęścia.

Musi mieć frajdę z robienia tego dokumentu, chociaż chyba nie samą frajdę. Otwiera pocztę od WParkeUbranego.

Kiedy cała reszta trzęsie się nad *Pocałunkiem*, jak z pewnością ochrzczą #135, Musashi i ja rozejrzeliśmy się po okolicy. Nie wiem, czy śledzisz F:E:F, czy, jak się to mówi, zarabiasz na życie, ale wszyscy oszaleli na punkcie #135, końca tego nie widać, i chyba wiesz o CNN?

Nie wie.

Na wypadek, gdybyś była w śpiączce (szczęściara), wczoraj pokazali nieco skróconą wersję i teraz każda strona na tej planecie jest zablokowana przez nowicjuszy i ciemniaków sieciowych najbardziej beznadziejnego rodzaju, w tym nasza.

Cayce przerywa czytanie, żeby przeanalizować wieczór z Bigen-dem. Jeśli #135 był w CNN, to Bigend o tym wiedział i nie wspomniał celowo. Dlaczego? Prawdopodobnie założył, że wzmożone globalne zainteresowanie przekona ją do propozycji i wołał, żeby dowiedziała się o tym później. Z niezadowoleniem czuje, że tego rodzaju założenie jest bliskie prawdy. Myśl, że po dwóch latach na wpół tajnej egzystencji emefera może się obudzić i zobaczyć nazwisko twórcy wytłuszczone na pierwszych stronach gazet, jest w jakiś sposób dokuczliwa.

t

Na wszelki niemiły wypadek wyszedłem z F:E:F, które dodatkowo stało się nie do wytrzymania przez wojownicze porykiwania tej tłustej krowy, A., i sprzymierzyłem się z Darrylem, i teraz w parze, dwaj sieciowi mądrale, dalej analizujemy *kanji**, wyszukane przez nas, kiedy jeszcze byłem w Kalifornii.

Darryl vel Musashi to kalifornijski emefer biegły w japońskim. Japońskie strony emefów, opierające się mechanicznemu tłumaczeniu, są obszarem fascynacji WParkeUbranego. Korzystając z translator-skiej pomocy Musashiego, już spróbował swoich sił, po czym przedstawił wyniki badań na F:E:F. Cayce zajrzała na te witryny, ale poza tym że tekst nawet nie w *kanji* był niezrozumiały, to ta wściekle po-szatkowana mieszanina rzymskich liter za bardzo przypominała jej archaiczne komiksowe wyobrażenie obelg, ataku kipiącego, apoplektycznego gniewu.

Darryl i ja pogrzebaliśmy głęboko na stronie zarejestrowanej w Osace, o zupełnie wyjątkowej monotonii i natrafiliśmy na wzmiankę, sy-

* *Kanji* - piktogramy pochodzenia chińskiego, używane we współczesnej japońszczyźnie.

gnalizującą odkrycie znaków wodnych w #78. (Wszystko to czeka na ciebie zarchiwizowane, gdybyś chciała prześledzić każdy krok po elektryzującym kroku).

Cayce słabo się zna na filigranowaniu, nanoszeniu znaków wodnych, ale żaden oglądany przez nią emef nie był filigranowany. Zastanawia się, czy gdyby był, to jak i czym?

Ten segment, mogę ci teraz powiedzieć w najgłębszej tajemnicy, jest zapewne filigranowany niewidzialnymi znakami. Czy to znaczy, że inne też? Nie wiemy. Tak więc jest to filigranowanie steganograficzne, i, niech nam Bóg pomoże, musimy zmierzyć się z tą metodą. Jest to, pozwól, że ci powiem, na wypadek gdybyś w międzyczasie doznała wylewu albo innego ciężkiego urazu, największe odkrycie od czasu znalezienia w sieci pierwszego emefu. I dowiadujesz się o tym tu, pierwszy raz. Ode mnie. I od Musashiego, chociaż zanim pozwolę mu przyjąć należyty ukłon, musimy coś zrobić z naszymi uświnionymi zaschniętym żarciem T-shirtami.

Cayce pociąga łyk herbaty, celebrując to świadomie, i nie odrywając oczu od ekranu. Mimo że tego dnia wydarzyło się wiele dziwacznych rzeczy, wyskakujących poza normalność, wyczuwa, iż to co czeka w następnych liniijkach tej wiadomości, będzie jeszcze dalszym susem poza normę, wywrze długotrwały i istotny wpływ. Tajemnica emefów często wydaje się jej ważniejsza niż Bigend, Blue Ant, Dorotea, nawet kariera zawodowa, a WParkeUbrany w tych sprawach nie żartuje. Wie, że emefy są ważne, nie wiedząc, skąd to wie. Chodzi o coś, czego chyba wspólnie doświadczają ona, WParkeUbrany, Bluszcz i wielu innych. O coś, co jest w emefach. O ich nastrój. Tajemnicę. Tego nie da się wytłumaczyć ludziom spoza. Tylko spojrzeliby na ciebie jak na wariatkę. Ale to coś ważnego, ważnego w pewien wyjątkowy

sposób.

Steganografia polega na ukrywaniu informacji przy równoczesnym rozsyłaniu jej za pośrednictwem innej informacji. Na razie wiem o tym niewiele więcej. Kontynuując jednak opowieść o WParceUbranych i Mu-sashim w przestworzach *kanji*, wróciliśmy do terażniejszości i naszego języka, mając ten jeden ulotny ślad, tajemniczy szyfr - mogący być jedynie wynikiem błędnej translacji Darryla, tak początkowo myślałem. Przyjechałem z powrotem do Chicago, gdzie Darryl i ja, dwie ciekawskie istoty, z całą czułością zabraliśmy się od generowania pewnej Japonczki imieniem Keiko, która zaczęła umieszczać wpisy pojapońsku, na tamtej stronie w Osace. Postaraliśmy się, żeby była przeurocza. Bardzo przyjazna. Śliczna, nasza Keiko. Spodobałaby ci się. Zupełne przeciwieństwo sekswabików dla imbecyli, które i których pewnie dobrze znasz. Korzysta z serwera Musashiego, ale to tylko dlatego że jest w San Francisco, uczy się angielskiego. Niebawem niejaki Ta-kayuchi zaczął jeść z naszej rączki, pięknej jak kwiat. Taki, tak każe się nam nazywać, twierdzi, że krąży po obrzeżu pewnego tokijskiego stowarzyszenia *otaku*, grupy, która określa się jako „Mistyczna”, chociaż jej członkowie nigdy publicznie nie używają tej nazwy, więcej, nigdy się do niej nie odwołują. Według Takiego to właśnie pracusie z Mistycznej odczytali filigran #78. Taki utrzymuje, że jest to numer i że podobno widział go, i zna. Stymulowany samotnymi rojeniami, kiedy wyobraża sobie, że zadziera naszą cudownie kusą plisowaną spódniczkę, o której nadmieniliśmy mu przelotnie, obiecuje nam go pokazać, po naszym powrocie do Tokio. No cóż, jestem zachwycony, że moje błyskotliwe „ja” (choć z pomocą mojego zaufanego, ubabranego żarciem na wynos *kanjimana*) jako pierwsze dostarcza tę wstrząsającą nową wiedzę (jeśli to nie stek najczystszych *otakowych* pierdoł) do naszych wirtualnych brzegów. Anarchia zesra się w barwach najzjadliwszej zieleni, kiedy moje (a raczej nasze, Darryl się dołożył) odkrycie ujrzy światło F:E:F. Ale czy powinienem? I co właściwie mamy potem zrobić? Taki (który posyła Keiko zdjęcia swojej sapiącej osoby) nie pali się do podawania numeru Mistycznej, aby udowodnić jego istnienie, nawet gdyby jego kwiatuszek miał zniknąć z ekranu. Pod pewnymi względami łatwo go oszukać, ale pod innymi jest denerwująco inteligentny. Domaga się Keiko na żywo. Pozdrawiam cię. Twój sfrustrowany WPar-kęUbrany.

PS. Co robić?

Siedzi, rozważa, a potem wstaje i znów sprawdza drzwi i okna, dotykając kluczy wiszących na szyi.

Idzie do łazienki umyć zęby i twarz. To coś w lustrze to jej twarz na tle białych kafelków. Kafelki są kwadratowe i wygląda na nich jak wycinanka z czasopisma naklejona na kawałku papieru milimetrowego. Wycinana drżącą ręką.

E-mail Damiana pobudził jej wyobraźnię. Widzi zwały kości. Pierwsze siedemnaście pięter powykręcanych, zmiażdżonych dźwigarów. Pogrzebne popioły. Ich ostra woń gryzie pod-

niebienie.

Ale jest tu, w tym mieszkaniu, niedawno przeszukanym przez jakąś nieokreśloną postać albo postaci. Dorotea szpiegiem przemysłowym?

Kobieta w lustrze, z pianą od pasty do zębów na ustach, kręci przecząco głową. Hydrofobia.

Bigend radził, żeby się przespała z jego propozycją. I pewnie się prześpi, chociaż tego nie chce.

Zdejmuje i składa srebrną dechę, równie przytulną jak świeży brezent, i zastępuje ją kołdrą w szarej bawełnianej poszwie, świeżej i nieużywanej, którą znalazła w szafie ściiennej.

- Dostał kaczką w twarz przy dwustu pięćdziesięciu węzłach - modli się w ciemności.

Zamyka oczy i wyobraża sobie jakiś symbol, znak wodny w prawym dolnym rogu jej życia. Jest tam, tuż poza zasięgiem wzroku, poza zasięgiem zmysłów, poza możliwością poznania i głosi, że ona jest... kim?

9. TRANS

Budzi ją słońce padające przez okna Damiena. Widzi kwadraty czystego nieba i ozdobne kawałki chmur. Pręży stopy pod kołdrą. Potem przypomina sobie komplikacje obecnej sytuacji.

Postanawia wstać i wyjść, jak najmniej myśląc. Wcześniej śniadanie.

Bierze dokładny prysznic i wychodzi w džinsach i T-shircie, zamykając drzwi i oznaczając je włosiem, jak u Bonda, i śliną pachnącą miętą - opieczętowuje mieszkanie Damiena przed wszelkimi złymi duchami.

W dół Parkway i do małej Inverness, ulicy targowej ocierającej się przecznicą o Camden. Zna tam kawiarnię, francuski lokal. Pamięta, że jadła w nim śniadanie z Damienem.

Mija sklepy z płytami i komiksami, okna upstrzone ulotkami (wśród których po części szuka i nie znajduje *Pocatunku*).

I oto jest: pseudofrancuska knajpa z prawdziwymi francuskimi stolikami. Jest w niej młodzież ze świata po drugiej stronie tunelu pod Kanałem, gastarbeiterzy.

Wchodząc, zaraz dostrzega Wojtka, siedzącego przy stoliku ze srebrnowłosym Billym Prionem, dawnym wokalistą grupy BSE.

Kiedyś śledziła tajemnicze gwiazdy pop ze świata po drugiej stronie lustra, nie dlatego że interesowały ją same w sobie, ale ich kariery były tak skompresowane, tak przedziwnie krótkotrwałe, jak cząsteczki, których przelotny byt można wyśledzić dopiero po rozpadzie, dzięki smugom, które pozostawiły na kliszach powleczonych specjalnymi substancjami, umieszczonych na dole dawno zamkniętych kopalni soli.

Smuga Billy'ego Priona powstała stąd, że, po pierwsze, jakieś dwa lata temu, przed debiutanckim koncertem BSE wstrzyknął sobie botoks w lewy kącik ust, celowo doprowadzając do miejscowego paraliżu mięśni, i, po drugie, dlatego że kiedy Margot brała udział w seminarium pomagisterskim „Choroba jako metafora”, organizowanym przez uniwersytet nowojorski, Cayce zasugerowała jej, żeby jakoś wykorzystała tę historyjkę. Margot pracowicie szukała metafory choroby „Bi-gend” i Billy Prion nie wzbudził jej zainteresowania.

Media automatycznie zarejestrowały Priona i donoszą wszystko na jego temat, stąd Cayce wie, że BSE się rozpadło i Prion podobno był krótko związany uczuciowo z młodą Finką z zespołu używającego nazwy Velcro Kitty, oczywiście dopóki nie pokazali się u nich prawnicy i specjaliści od znaków towarowych*.

Mijając stolik, zauważa, że Wojtek rozłożył wokół resztek śniadania swojego tarota, zeszyty w spiralnej oprawie pełne diagramów sporządzonych czerwonym długopisem, przedstawiających wiele połączonych prostokątów. Kosmetyczna trucizna chyba dawno przestała działać i usta Priona wyglądają normalnie. Nie uśmiecha się, ale pewnie mógłby to robić symetrycznie. Wojtek coś cicho tłumaczy, marszcząc w skupieniu czoło.

Kelnerka o twarzy zdradzającej nerwowość, zaczerwienionych powiekach i szkarłatnej szmince na ustach podtyka jej pod nos kartę i szybkim ruchem wskazuje stół w głębi. Cayce siada i nie zaglądając do karty, zamawia kawę, jajka i parówkę, używając swojej najlepszej francuszczyzny.

Kelnerka spogląda na nią ze zdumieniem połączonym z odrazą jakby oglądała kota przynoszącego w pyszczku jakiś szczególnie obrzydliwy kłak spod kanapy.

- No dobra - szepce Cayce do oddalających się pleców kelnerki - bądź Francuzką.
Ale kawa jednak się pojawia i jest świetna, podobnie jak jajka i pa-

* Velcro - zastrzeżona nazwa handlowa zapięcia na rzepy; Velcro Kitty (ang.) - „Przylepna Kicia”.

rowka, również bardzo dobre. Kiedy Cayce nasycona unosi głowę, dostrzega spoczywający na niej wzrok Wojtka. Prion znikł.

- Cześć, Casey - mówi Wojtek. Pamięta imię, ale źle je wymawia.

- To był Billy Prion, no nie?

- Przysiadam się?

- Proszę.

Składa zeszyty, wkłada starannie, po kolei, do torby i podchodzi do jej stolika.

- Przyjaźnisz się z Billym Prionem?

- Galerię ma. Miejsca potrzebuję, żeby moje przedsięwzięcie z ZX-81 pokazać.

- Skończyłeś je?

- Wciąż ZX-81 zbieram.

- Ile potrzebujesz?

- Dużo. Sponsorów jednocześnie.

- Czy Billy też siedzi w sponsoringu?

- Nie. Ty dla wielkiej spółki pracujesz? Oni chcą się o moim przedsięwzięciu dowiedzieć?

- Jestem wolnym strzelcem.

- Ale ty tu pracować jesteś?

- Tak. Dla agencji reklamowej. Poprawia torbę na kolanach.

- Saatchi?

- Nie. Wojtek, znasz się trochę na filigranowaniu? Kiwa twierdząco głową.

- Tak?

- Na steganografii?

- Tak?

- Czemu ktoś miałby filigranować numerycznie, powiedzmy, segment cyfrowego wideo?

- Widocznie?

- Raczej nie, nie sędzę, raczej tajnie.

- To steganografia jest, utajnianie. Numer wielocyfrowy?

- Może.

- Kod firma filigranująca dostarczyć może. Klientowi zaszyfrowany steganograficznie filigran sprzedaje i maskowania sposoby. Numeru w sieci szuka. Jeśli zdjęcie albo wideo klienta spiratowano, można to ujawnić przez poszukiwania.

- Chcesz powiedzieć, że filigran może posłużyć do monitorowania danego zdjęcia albo klipu?

Kiwa głową.

- Kto się zajmuje takim filigranowaniem?

- Firmy są.

- Czy dzięki filigranowi, takiemu numerowi, można by dojść do konkretnej firmy?

- To szkodliwe dla klienta bezpieczeństwa byłoby.

- Czy ktoś dałby radę wysledzić albo odczytać tajny filigran? Nie znając metody szyfrowania ani nie wiedząc, kto umieścił filigran, ani nawet tego, czy on w ogóle istnieje?

Wojtek zamyślił się.

- Trudne, ale do zrobienia może. Hobbs się na tych sprawach zna.

- Jaki Hobbs?

- Ty go poznałaś. Człowiek z curtami.

Cayce przypomina sobie rozszoszczonego Becketta, żałobę za paznokciami.

- Naprawdę? Jakim cudem?

- Matematyk. Trinity, Cambridge, potem zlecenia dla Stanów Zjednoczonych. NSA*.

Trudne bardzo.

- Pracuje dla...?

- Hobbsa.

Tego słonecznego przedpołudnia kruczata dziecięca powraca silniejszą falą.

Cayce stoi na Inverness z Wojtkiem, obserwując ludzi wlokących się noga za nogą, zakurzonych, spoconych i niemal średniowiecznych, którzy nie podążają jednak do Betlejem, a na bazar Camden Lock.

Wojtek włożył ciemne okulary z okrągłymi, małymi szklami. Przypominają monety kładzione na powiekach trupa.

* NSA (ang. *National Security Agency*) - Narodowa Agencja Ochrony, amerykańska agencja rządowa monitorująca światową wymianę informacji i zabezpieczająca układy informacyjne Stanów Zjednoczonych.

- Muszę się z Magdą spotkać - oświadcza Wojtek.

- Kto to?

- Siostra. Kapelusze na Camden Lock sprzedaje. Chodź. - Wojtek wpycha się w potok ciał sunący ku śluzom. - W sobotę przy Por-tobello sprzedaje, na targu z konfekcją. W niedzielę tu.

Cayce idzie za nim, myśli, układa pytania o filigranowanie.

Słońce działa kojąco na tę człapiącą prasę i niebawem docierają do śluz, unoszeni nurtem stóp przynoszących te wszystkie miliardy wytwórcom obuwia sportowego.

Wojtek daje do zrozumienia, iż Magda poza tym, że projektuje i robi kapelusze, zajmuje się też reklamą, chociaż Cayce nie bardzo domyśla się, na czym to może polegać.

Targ mieści się w labiryncie z wiktoriańskiej cegły. Kiedyś były tu magazyny i podziemne stajnie dla koni pociągowych, wlokących barki. Cayce nie jest pewna, czy kiedyś udało się jej dotrzeć do dna tej płataniny pomieszczeń i korytarzy, chociaż była tu wiele razy. Wojtek prowadzi, mijając osłonięte płóciennymi parawanami kramy z ubraniami, których pierwsi właściciele dawno umarli, plakatami filmowymi, płytami winylowymi, rosyjskimi budzikami, wszystkim dla palaczy prócz tytoniu.

Daleko od słońca, głęboko w ceglanych podziemiach, rozjaśnionych lampami lava i jarzeniówkami w niestandardowych kolorach, znajdują Magdę, która niczym poza układem kości policzkowych nie przypomina brata. Drobną, śliczną, po hennie, zasnurowaną w stanik smukłości pocisku, który wygląda na przeróbkę skafandra lotniczego, wesoło pakuje rzeczy i szykuje się zamknąć kram.

Wojtek pyta ją o coś w rodzimym języku. Odpowiada, śmiejąc się.

- Ona mówi, że ludzie francuscy hurtowo kupują - wyjaśnia Wojtek.

- Ona angielszczyzna dobra mówi - Magda zwraca się do Cayce. - Magda.

- Cayce Pollard. - Wymieniają uścisk dłoni.

- Casey reklamuje też.

- Pewnie nie tak jak ja, ale mi nie przypominaj - mówi Magda, owijając kolejny kapelusz w bibułkę i pakując go do kartonu z innymi.

Cayce zaczyna jej pomagać. Mogłaby nosić kapelusze Magdy, gdyby nosiła kapelusze. Są tylko szare lub czarne, z grubej wełny, robione na drutach, szydłem lub igłą żeglarską nie kojarzą się z żadną epoką nie mają metki.

- Ładne.

- Dziękuję.

- Działasz w reklamie? Co robisz?

- Idę odstrzelona do klubu albo baru i zagaduję ludzi. Napominam o produkcie klienta, oczywiście pozytywnie. Przy tym staram się zwrócić na siebie uwagę, też w pozytywnym sensie. Zajmuję się tym od niedawna i chyba mi się nie podoba. - Magda rzeczywiście mówi dobrą angielszczyzną przeciwieństwo niż brat, i Cayce zastanawia się, skąd ta różnica. Ale nie

komentuje tego. Magda się śmieje. - Naprawdę jestem jego siostrą - mówi - ale mama przywiozła mnie tu, kiedy, chwala Bogu, miałam pięć lat. - Wkłada ostatni kapelusz, zamyka karton i podaje go Wojtkowi.

- Płacą ci za chodzenie do klubów i mówienie o produktach?

- Firma nazywa się Trans. - Literuje. - Wygląda na to, że idzie jak burza. Studiuję projektowanie, muszę mieć parę funtów, żeby związać koniec z końcem, ale zaczyna być tego trochę dużo. - Opuszcza rulon porwanego, przezroczystego plastiku na znak, że zamyka przewiewny kram. - Ale właśnie zeszło mi dwadzieścia sztuk! Czas na drinka!

- Jesteś w barze, coś pijesz - mówi Magda; cała trójka pociąga ciemne piwo, wciśnięta w róg lakierowanego na ciemno, już gwarne pubu w Camden.

- Wiem - mówi Wojtek, jakby się tłumaczył.

- Nie! To znaczy, siedzisz w barze, popijasz i ktoś obok zagaja. Ktoś, kto mógłby ci się spodobać. Wszystko cacy-cacy i gadacie sobie, aż ona, czy on, mamy też facetów, napomyka o wspaniałej firmie szyjącej gotowe ubrania albo o tym fantastycznym nowym filmiku, który właśnie widziała czy widział. To tylko wzmianka, rozumiesz, nie natrętna paplanina, a tylko przelotna, uprzejma wzmianka. I wiesz, jak reagujesz? Cholera, tego właśnie nie mogę znieść w tym interesie. Wiesz, jak reagujesz?!

- Nie - mówi Cayce.

- Mówisz, że tobie też się to podoba! Kłamiesz! Najpierw myślałam, że kłamanie to męska specjalność, ale kobiety też stać na to! Kłamią!

Cayce słyszała o tego rodzaju reklamie w Nowym Jorku, ale nigdy nie trafiła na kogoś, kto by faktycznie się nią zajmował. Uważała to za wielkomięjską legendę.

- Ale potem odchodzisz, zapamiętując tamtą pozytywną wzmiankę, skojarzoną z atrakcyjną osobą płci przeciwnej. Z kimś, kto zwrócił na ciebie uwagę, z kimś, przed kim skłamałaś, żeby zrobić na nim czy na niej dobre wrażenie.

- Ale czy dzinsy oni kupują, film oglądają? - pyta podniesionym głosem Wojtek. - Nie!

- Dokładnie, ale to właśnie tak działa - mówi Cayce. - Oni nie kupują produktu, oni dokonują recyklingu informacji. Wykorzystują tę informację, żeby zrobić dobre wrażenie na kolejnej poznanej osobie.

- To skuteczny sposób informacji rozprowadzania być ma? - zaperza się Wojtek. - Nie ja sądzę.

- Ależ tak - mówi z naciskiem Cayce. - Model wirusowy. Chodzi o „głęboką niszę”. Artykuły podlegają starannej selekcji...

- Cholernie inteligentne! Z jednej strony każdego wieczoru jestem w takich knajpach, że karta by mi krwią spłynęła, gdybym miała zapłacić, ale dostaję gotówkę na taksówkę, gotówkę na drinki i jedzenie. - Pociąga długi łyk z półlitrowej szklanki. - Ale coś mi się od tego robi. Wychodzę prywatnie, powiedzmy z przyjaciółmi, poznaję kogoś, rozmawiamy i nagle ktoś o czymś napomyka.

- I?

- O czymś, co lubi. O filmie. Projektancie. I we mnie ciach, jakiś szlaban. - Spogląda na Cayce. - Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Dewaluuję coś. W innych. W sobie. Przestaję ufać najprostszym pogaduszkom. - Magda wygląda na przygnębioną. - Jaką reklamą się zajmujesz?

- Jestem konsultantką projektantów odzieży. - Nie brzmi to zbyt interesująco, więc dodaje: - Wyszukuję rzeczy, które są *cool*, chociaż nie lubię tak ich nazywać. Wytwórcy wykorzystują mnie do analizowania tego, jak ubiera się ulica.

Brwi Magdy jadą w górę.

- I podobają ci się moje kapelusze?

- Naprawdę mi się podobają, Magdo. Gdybym nosiła kapelusze, kupowałabym je u ciebie. - Magda kiwa potakująco głową, ogarnięta nagłym podnieceniem. - A wracając do *cool*... nie mam pojęcia, czemu to archaiczne określenie tak się trzyma... rzeczy same w sobie nie muszą być *cool*. To jak ścinka drzew.

- Skojarzam nie ja - oświadcza z powagą Wojtek.

- Drzewo samo się nie zetnie. Jak nie ma klientów, nic nie jest *cool*. Liczy się postawa grupy wobec pewnej klasy przedmiotów. Zajmuję się rozpoznaniem wzorca zachowań. Próbuję to zrobić, zanim ktoś mnie uprzedzi.

- A potem?

- Wskazuję go modyfikatorowi.

- I?

- Zostaje wdrożony do produkcji. Podzielony na jednostki. Sprzedawany. - Pociąga łyżek piwa. Rozgląda się po pubie. Tutejsi klienci to nie kruczata dziecięca. To pewnie miejscowi, zapewne z dalszych ulic, z okolic których status nie poszedł tak w górę, jak kwartał Damiana. Drewno barowej lady jest wyszlizgane jak kadłub starej łodzi, jakby trzymało się tylko dzięki tysięcznym warstwom lakieru trumiennej barwy.

- Więc ja tworzę wzorzec? - pyta Magda. - Oszukańczy wzorzec. Żeby ominąć część tego procesu.

- Tak - mówi Cayce.

- To dlaczego próbują wepchnąć ludziom te cholerne klipy z Internetu? Tę parę całującą się w drzwiach? To też jakiś produkt? Nawet nam nie powiedzieli.

Cayce nie może wydobyć z siebie słowa.

- Dzień dobry, Heleno. Tu Cayce. Dziękuję za kolację. Było uroczo.

- Jak poszło z Hubertusem? Tak nie owijając w bawełnę, Bernard myślał, że Hubertus może się na ciebie napalił.

- Dzięki za szczerość, Heleno, ale chyba nie w tym rzecz. Poszliśmy na kieliszek. Tak naprawdę nigdy nie rozmawialiśmy w cztery oczy.

- Jest błyskotliwy, prawda? - Coś dziwnego zabrzmiało w jej głosie. Rodzaj rezygnacji?

- Tak. Jest tam Bernard, Heleno? Wybacz, że zawracam mu głowę, ale mam pytanie dotyczące zlecenia.

- Przepraszam, ale wyszedł. Przekazać coś?

- Nie wiesz, czy Blue Ant ma coś w rodzaju spółki zależnej, która się nazywa Trans? Jak...lacja? Albo...gresja?

Milczenie.

- Tak. Ma. Prowadzi ją Laura Dawes-Turmbull. Tak się dziwnie składa, że mieszka razem z kuzynem Bernarda. Tym od trawników.

- Przepraszam? - Prawników? Źle usłyszała?

- Kuzyn. Od trawników. Produkty do pielęgnacji trawników. Ale to Laura prowadzi Trans, to wiem na pewno. Jedno z ukochanych przedsięwzięć Hubertusa.

- Dzięki, Heleno. Muszę kończyć.

- Pa, kochanie.

- Pa.

Cayce wyjmuje kartę z automatu i odwiesza słuchawkę, którą natychmiast przejmuje camdeński krzyżowiec z dredami, oczekujący na chodniku.

Słońce teraz nie wydaje się już tak przyjemne. Uprzednio wymówiła się, wyszła z pubu, kupiła kartę do automatu, poczekała w kolejce. Wygląda na to, że Magdę faktycznie zatrudnia jakieś odgałęzienie Blue Ant, pracujące nad tym, aby zwrócić uwagę ludzi na emefy. Do czego zmierza Bigend?

Brodzi w strumieniu krzyżowców, dociera na przeciwległy brzeg. Ta powódź młodzieży obejmująca całą szerokość ulicy jest jakimś dziwnym zjawiskiem, swoistymi emefami.

Światło niesie zapowiedź jesieni i Cayce zastanawia się, gdzie będzie tej zimy? Tutaj? W Nowym Jorku? Nie wie. Przekroczyła trzydziestkę i nie wie, gdzie będzie za miesiąc, dwa. Co ma o tym myśleć? Czy to dobrze? Nie wie.

Dociera do miejsca, w którym wyprawa krzyżowa opływa stacjonarny supel pijących camdeńczyków, szacownych alkoholików. To dzięki nim Damiena stać było na wynajmowanie tu mieszkania przez całe lata, zanim dorobił się pieniędzy i kupił dom. Gdzieś w pobliżu jest wiktoriański przytułek, ohydna rozległa noclegownia z czerwonej cegły, wzniesiony właśnie dla tych ludzi. Chociaż to przelotne ptaki, zbierały się i zbierają na High Street chyba od pierwszego dnia jego funkcjonowania. Pewnej nocy, na spacerze podczas pełni księżyca, Damien pokazał go Cayce. Wyjaśnił, że to reduta oporu przeciwko nowobogackim przyby- szom. Chętni do przeróbek adaptatorzy strychów wycofali się na widok mieszkańców noclegowni, tych indywiduów oddanych stałej konsumpcji strongów i słodzonych cydrów. Obrońcy stoją teraz wśród kruczaty dziecięcej, skała pośrodku rzeki młodości.

Camdeńscy pijacy to w większości ludzie spokojni, kiedy nie dręczą ich złe duchy, ale teraz jeden z nich, być może młodszy niż pozostali, patrzy na nią z głębi swojej skłonności niebieskim płonącym okiem, acetylenowym i pozbawionym wieku.

Cayce drży i oddala się szybko, zastanawiając się, co zobaczył.

Na Inverness kupcy spuszczaają zielone żaluzje, zamykając wcześniej, a knajpka, w której jadła śniadanie, przeżywa pełne oblężenie, fala śmiechu pijących dzieci wylewa się na ulicę.

Idzie dalej, czując się przybyszem nie z innego kraju, ale z innej planety, za sprawą tego, co wynikło ostatnio, a co zaraża wszystko. Hubertus i Trans...

Trudno wymagać, żebyś raz-dwa odpisywała, no nie? Co tam w ogóle robisz? Wiesz, że papież też jest emeferem? No, może nie sam papież, ale ktoś w Watykanie przegląda segmenty. Szydło z wora wylazło aż w Brazylii, gdzie ludkowie nie rozróżniają za bardzo telewizji, Internetu i innych takich rzeczy. Tam panuje jakby kult emefów. A może nie tyle kult, co dzika żądza, pragnienie, aby je spalić, bo ten niepiśmienny, ale zdecydowanie wideozerny ludek wierzy, że autorem jest sam diabeł. Bardzo dziwne i wygląda na to, że Rzym wysłał tym Brazylijczykom oświadczenie, że to sprawa Watykanu, określać, co jest dziełem szatana, że innym od tego wara, że sprawę emefów wzięto pod lupę i żeby w międzyczasie nie podskakiwali. Żałuję, że sam tego nie ogłosiłem, choćby po to, żeby wnerwić Anarchię.

Zamyka ostatnią pocztę od WParkeUbranego, wstaje i idzie do żółtej kuchni. Stawia czajnik. Kawa czy herbata? „Nienawidzę udomowienia” wyznał kiedyś Donny, na ile był zdolny do wyznań.

Zadaje sobie pytanie, czy woli londyńskie mieszkanie nieobecnego przyjaciela od swojego, nowojorskiego? Jest równie starannie oczyszczone ze zbędnych przedmiotów jak jej. I dlaczego woli? Czy dlatego że też nie cierpi udomowienia? Margot mówi, że żadne mieszkanie nie jest tak wyczyszczone z rzeczy jak jej.

Własne rzeczy wywierają na nią presję. Rzeczy innych ludzi nie. Margot uważa, że Cayce uwolniła się od materializmu, jest nadnaturalnie dojrzała, nie potrzebuje zewnętrznych oznak osobowości. „Najgorsze są oczy” - powiada Margot o mieszkaniach pewnych samotnych kobiet w Nowym Jorku. „Wchodzisz tam i widzisz same oczy, setki par oczu. Wszystkie te dupelki z buziami: laleczki, figurki. Oczy. Wszędzie te drobiazgi”.

Czekając na wrzątek, odwraca się, patrzy na salon Damiena i widzi dziewczyny-roboty pozbawione oczu. Mieszkanie Damiena nie jest tak upstrzone. Zabronił dekoratorom dekorowania, zapewniając mieszkaniu semiotyczną neutralność, którą Cayce zaczyna coraz bardziej tu doceniać. Jej mieszkanie w Nowym Jorku jest bieloną jaskinią, niewiele mówiącą o właścicielce. Nierówne podłogi jak w czynszówce pomalowała na błękit, który odkryła w północnej Hiszpanii. To sprawa starożytnego barwnika, opartego na arseniku. Tamtejsi wieśniacy od stuleci malują nim wnętrza, żeby nie popstrzyły ich muchy. Chcąc osiągnąć ten odcień, Cayce kazała wymieszać kilka bezarszenikowych emalii, posługując się jako wzorem polaroidową fotografią. Jak w barze przy High Street w Camden Town lakier zakrył szczecinę drzazg zużycia. Taka faktura ma charakter, jest przyjazna, świadczy o długim zamieszkanu,

ale unika wszelkiej wylewności.

Gwizd czajnika. Cayce parzy filiżankę kolumbijskiej i idzie z nią do cube'a. Przeglądarka jest ustawiona na F:E:F i można przejrzeć komentarze, wczuć się w nastrój ostatnich wydarzeń. Niewiele tego, poza nieustającymi analizami #135, normalne, i dyskusjami nad watykańskim wątkiem z Brazylii. Ciekawe, Maurice pisze, że zarówno cała sprawa jak i domniemane papieskie zainteresowanie wyszły z Brazylii, ale żadne niezależne źródło tego nie potwierdziło. „Czy to prawda?” - pyta. „Czy bujda?”

Cayce marszczy brwi. Oto opowieść Magdy. Przed wieczorną pracą, na odprawie, pokazano jej #135, a potem wręczono krótki scenariusz rozmowy: To wygląda na wysokobudżetowy film nieznanego pochodzenia, bardzo interesujący, bardzo intrygujący. Czy coś o nim słyszałeś/słyszałaś? Po raz pierwszy od kiedy realizuje zlecenia, ma zrelacjonować reakcje. A gdzie, zapytała Cayce, Magda ma rozgłaszać tę wiadomość? W prywatnym klubie przy Covent Garden, wśród ludzi z mediów. Wprowadził ją członek klubu, przedstawiony po odprawie, i zostawił, żeby sama popracowała nad ludźmi.

Trans. Blue Ant. Bigend.

A jutro spotyka się znów ze Stonestreetem. I Doroteą.

MOCNE POSUNIĘCIE, MAŚLANE OCZY

Jest gotowa na mocne posunięcie.

Myśli o tym, ćwicząc pilates przy Neal's Yard, napinając krótki odcinek kręgosłupa, umieściwszy nagie stopy w skórzanych pętłach, jeszcze świeżych i sztywnych. Całe studio wydaje się świeże i chropowate. Powinni nasmarować pętle olejkami z nerek. Otarła sobie podeszwy stóp.

Nigdy nie była pewna, co Donny miał na myśli, kiedy mówił o „mocnym posunięciu”; używał tego pojęcia, kiedy był zły, sfrustrowany, albo i zły, i sfrustrowany. Dorotea sobie pogrywa, a ona nie reaguje. Mogłaby zwrócić się do Bernarda lub Bigenda, ale im nie ufa. Nie ma pojęcia, o co chodzi Bigendowi, do czego jest zdolny. Sensowne byłoby skończyć robotę, odebrać pieniądze i o wszystkim zapomnieć.

Ale trudno byłoby Doroteę zapomnieć. Doroteę z tymi koszmarnymi znajomościami. Doroteę, zwariowaną sukę, która tylko dlatego uparła się szkodzić Cayce, bo musi kogoś nienawidzić, i upatrzyła sobie właśnie ją, a może wykombinowała sobie, zgodnie z tym, co sugerował Bigend, że Cayce ściągnięto do prowadzenia londyńskiego oddziału Blue Ant. A może jest jedną z klaczy Bigenda? Wszystko może pasować i jakiś twardy supeł w Cayce wciąż parzy i głębiej przenika żar. Dziura w ricksonie, włamanie azjatyckich dziwek, zbliża się jej czas, chciałyby zacisnąć ręce na szyi Dorotei i trząść, aż by jej mózg, kurwa, zagrzechotał.

Mocne posunięcie. W przypadku Donny'ego kontekst wskazywał, że chodzi o działanie celowe, ale krańcowo nieprzewidywalne, całkowicie zaskakujące konkurencję, przeciwnika lub też, co dużo bardziej prawdopodobne w jego przypadku, po prostu zwariowane. Wynik ten sam. Nigdy nie powiedział, jakie dokładnie mocne posunięcie rozważa. Może dlatego, że sam nie wiedział. Może w grę wchodziła tylko improwizacja, działanie pod natchnieniem chwili. Zen a la East Lansing. Tak czy inaczej, miała wrażenie, że mocne posunięcie nigdy mu nie wyszło. Kiedy teraz z perspektywy czasu rozważa samo wyrażenie, kojarzy się jej z jego jedną jedyną próbą werbalnego przekazu na temat preferencji seksualnej: „No co, dałabyś jeszcze rady, aż byś miała te maślane oczy?”.

Później dowiedziała się, że chodziło o rytualne miny tancerek na rurze, sygnał ekstatycznego uniesienia, a przynajmniej zapowiedź tego stanu.

Zastanawia się, czy mówiąc o mocnym posunięciu, po prostu nie myślał o zasunięciu komuś pieniędzy? O posunięciu w sensie przywłaszczenia. Napomykał o mocnym posunięciu w sytuacji ekonomicznej niepewności. Tego rodzaju sytuacja w jego przypadku miała charakter chroniczny, przy czym jej warunki brzegowe były niesłuchanie rozkurczliwe. Przeważnie rozwiązywał ją, biorąc pożyczkę od Cayce, ale zawsze wpierw napomykał o mocnym posunięciu. Jeśli wyrażenie odnosi się do pieniędzy, chyba nie powinna wprowadzać go w czyn, gdyż to, co ją kusi, odbiłoby się negatywnie na jej zasobach finansowych.

Wie, że to, co ją kusi, to wariactwo. Wydech, nogi proste w kolanach unoszą się w pętłach, tworząc kąt dziewięćdziesiąt stopni z tułowiem, wdech, opuszczenie nóg, naciągnięcie pętli i sprężyn łóżka, na którym ćwiczy. Wydech, jak się to mówi, do spodu, nogi w górę, nabranie powietrza, opuszczenie nóg do pozycji horyzontalnej, naciągnięcie sprężyn do maksimum. Powtarza ćwiczenie jeszcze sześć razy, w sumie dziesięć.

Nie powinna myśleć o niczym innym z wyjątkiem ćwiczeń i po części właśnie dlatego je wykonuje. Jeśli się odpowiednio skoncentruje, przestaje myśleć. Coraz bardziej przychyła się do zdania, że zamartwianie się nie pomaga w rozwiązywaniu kłopotów, ale tak naprawdę nie znalazła jeszcze innej alternatywy. Na pewno nie można zostawić ich samym sobie. A tego przedpołudnia ma jeden spory problem albo kilka, bo niebawem czekają spotkanie ze Stonestreetem i Doroteą, ma obejrzeć najświeższy pomysł Heinziego na nowe logo. Powie im, czy projekt wypali, czy nie. Zgodnie z umową.

Idź tam, mówi gorący supeł wściekłości w jej rdzeniu, w zaklejonym ricksonie (taśma zaczyna zwiącać się na brzegach), niech Dorotea wie, że wcale nie przegapiłaś szkody. Ale nie mów słowa. Potem, kiedy Dorotea wyciągnie przepracowany projekt (który z pewnością wypali, jako że Heinzi jest, eufemistycznie mówiąc, znakomity), odczekaj ułamek sekundy, po czym pokręć przecząco głową. A Dorotea będzie wiedziała, że kłamiesz, ale nie będzie mogła nic na to poradzić.

I Cayce wyjdzie, wróci do Damiena, spakuje się, pojedzie na Heathrow i wykorzysta swój bilet powrotny na najbliższy lot klasą biznes do Nowego Jorku.

Zapewne zawali kontrakt, duży kontrakt, i będzie musiała się naprawdę ostro zwiącać w Nowym Jorku, żeby znaleźć świeżą robotę, ale uwolni się od Bigenda, Dorotei i Stonestreeta przy okazji, i tego całego popapraństwa, które im towarzyszy. Świat po drugiej stronie lustra zostanie schowany do pudełka, aż do następnego razu, oby do wakacji, kiedy Damien będzie już w domu, a ona nigdy więcej nie będzie musiała łamać sobie głowy Doroteą, azjatyckimi dziwkami ani niczym podobnym, nigdy więcej.

Z tym zastrzeżeniem, że będzie to jednoznaczne z oszukaniem klienta i naprawdę nie chce tego robić, nie mówiąc, że to śmieszny, infantylny pomysł. Straci kontrakt, pewnie zepsuje sobie opinię i wszystko tylko po to, żeby wkurzyć Doroteę. Wątpliwa przyjemność. To nie ma żadnego sensu, tylko ten supeł wściekłości będzie miał satysfakcję.

Siedzi po turecku, robi skłony tułowia, sprężyny pracują luźniej. Dłonie wnętrzem ku górze, prosząco. Zero myślenia. Myślenie o tym, żeby nie myśleć, to na nic, trzeba skupić się na każdym powtórzeniu.

Do wtóru łagodnego brzęku sprężyn.

Zamówiła kierowcę do Blue Ant na wcześniejszą porę.

Chce sama zakosztować atmosfery ulicy, sama napić się kawy z kubka. Soho w poniedziałek rano emanuje swoistą energią. Dobrze jest zaczerpnąć jej choć przez kilka

minut. Kupuje kawę i oddala się od Blue Ant, dostosowując krok do tempa ludzi idących do pracy, z większością których czuje jakąś ulotną bliskość. Zarabiają na życie, różnicując poziomy i prądy swojego skupienia, i zazdrości im młodości i determinacji. Czy kiedyś była taka sama? „Nie bardzo” - myśli. Po college’u rozpoczęła pracę w zespole projektowym wytwórcy rowerów górskich z siedzibą w Seattle, rozszerzyła działalność na ubrania dla deskorolkarzy, potem obuwie. Jej umiejętności, które tak naprawdę są odwrotnością alergii, jak je nazwał Bigend, nadawały jej kierunek i stopniowo pozwoliła im zdefiniować naturę swojej pracy. W myślach nazywała to „płynięciem z prądem”, ale może chodziło tylko o linię najmniejszego oporu. A co, jeśli prąd w sposób naturalny układał się po linii najmniejszego oporu? Dokąd teraz cię prowadzi?

- Na psy - mówi głośno, co wprawia w niepokój idącego obok bardzo przystojnego Azjaty. Wzdryga się i obrzuca ją badawczym spojrzeniem. Uśmiecha się do niego uspakajająco, ale marszczy brwi i przyspiesza kroku. Cayce zwalnia i daje się wyprzedzić. Mężczyzna ma na sobie szoferską kurtkę z czarnej skóry końskiej, której przeszycia miejscami zszarzały jak walizka sprzed wieku i Cayce dostrzega, że akurat niesie walizkę sprzed wieku. Małą walizeczkę z brązowej skóry wołowej. Woskowania nadały jej blask i rudobrunatny odcień jak butom starców w domu, w którym umarł jej dziadek, tata Wina. Odprowadza go wzrokiem, na fali tęsknoty, samotności pozbawionej wszelkiego seksualnego pragnienia, ale związanej z naturą miejskiego życia, tysiącami mijanych codziennie nieznajomych, których prawdopodobnie nigdy więcej nie spotkasz. Nie po raz pierwszy doświadcza tego uczucia, zna je od bardzo dawna. Odzywa się w niej teraz, bo czuje się zagubiona, na krawędzi decyzji, blisko punktu zwrotnego.

Nawet jej stosunek do emefów ulega zmianie. Margot uważa, że Cayce traktuje te obrazy jak hobby, ale Cayce i hobby to dwie różne sprawy. Mięwa obsesje. Tak. Własne światy. Kryjówki. „Ale one są bezimienne” - dawno temu powiedziała jej Margot. „Dlatego je lubisz. No nie? Wszystko rozbija się o te twoje uczulenie na logo”. Margot odkryła, iż większość zakupów spożywczych Cayce to towary nie-markowe i Cayce przyznała, że wybiera je nie dlatego, że są tańsze, tylko dlatego, że jest uczulona na znaki towarowe.

Jeszcze raz rozgląda się, szuka wzrokiem Azjaty, ale go nie znajduje. Sprawdza godzinę na casio-klonie.

Czas na Blue Ant. Czas na Dorotę.

Recepcjonistka znów posyła ją na trzecie piętro, gdzie zastaje Sto-nestreeta ubranego w jeden z jego niesamowitych, wymiętolonych garniturów, tym razem szary. Rude włosy sterczą w kilku nowych kierunkach. Pali papierosa i przegląda dokument w różowym folderze Blue Ant.

- Dzień dobry, kochanie. Miło było cię gościć w sobotę. Jak przejażdżka z Hubertusem?
- Pojechaliliśmy na kieliszek. Do Clerkenwell.
- Teraz wiesz, jak tam kiedyś było naprawdę. Urocze chałupki. Co takiego mówił?

- Nic o sprawach zawodowych. Rozmawialiśmy o materiałach filmowych. - Obserwuj go uważnie.

- O materiałach filmowych? - podnosi wzrok z miną, jakby stracił wątek.

- Z Internetu. Anonimowe dzieło, puszczone kawałkami. Znasz je?

- Ach. To. - Co on wie? - Helena dzwoniła i mówiła, że pytałaś o Trans.

- Tak.

- To taki stwór z legendy. Naprawdę nie wiemy, czemu służy. Jak na razie. Czy tak naprawdę służy czemukolwiek? Gdzie o tym słyszałaś?

- W jakimś pubie.

- Sam nie mam z tą firmą żadnych kontaktów. Prowadzi ją kuzyn, tyle o tym wiem. Mogę was spiknąć.

- Byłam tylko ciekawa, Bernardzie. Gdzie Dorotea?

- Pewnie będzie lada chwila. Potrafi być trudna w kontaktach, no nie?

- Prawie jej nie znam. - Sprawdza uczesanie w lustrze wypełniającym panel ścienny i nie zdejmując kurtki, siada. - Hubertus w Nowym Jorku?

- Tak. W hotelu Mercer.

- Widziałam go tam raz, w barze. Rozmawiał z psem Kevina Bacona.

- Jego pies?

- Kevin Bacon był ze swoim psem. Hubertus mówił do niego.

- Nie wiedziałem, że lubi zwierzęta.

- To był pies sławnej postaci. Ale z Kevinem Baconem chyba nie rozmawiał.

- Co o nim sądzisz?

- O Kevinie Baconie?

- Hubertusie.

- Pytasz poważnie? Stonestreet odrywa się od faksów.

- W miarę.

- Cieszę się, Bernardzie, że jestem na kontrakcie, nie na pensji.

- Zależy... - zaczyna Stonestreet i chyba oddycha z ulgą, kiedy wkracza Dorotea, w poważnym biurowym kostiumie od Armaniego, nijakim w jakiś złowrogi sposób. Cayce wyczuwa, że to z jej strony niedwuznaczny wyraz niechęci wobec mody. Spojrzenie, które nie byłoby nie na miejscu na ekskluzywnej egzekucji.

- Dzień dobry - mówi. Zwraca się Cayce: - Czujesz się dzisiaj lepiej?

- Tak, dziękuję. A ty?

- Byłam we Frankfurcie, z Heinzim rzecz jasna. - I to twoja wina. - Ale mam wrażenie, że czary Heinziego skutkują. Ma wyłącznie dobre zdanie na temat Blue Ant, Bernardzie. Nazywa to „powiem świeżość”. - Patrzy na Cayce. Możesz mi naskoczyć.

Cayce odpowiada jej uśmiechem.

Dorotea zajmuje miejsce obok Stonestreeta, wyjmując kolejną z drogo wyglądających kopert.

- Byłam w studiu z Henzim, kiedy szkicował. Obserwowanie go przy pracy to przywilej.

- Pokaż.

- Oczywiście. - Dorotea nie spieszy się z otwieraniem. Wkłada rękę do środka. Wyjmuje sztywny kartonik, rozmiarów poprzedniego. Jest na nim ludzik Michelin w jednym z najwcześniejszych, wywołujących naj gwałtowniejszy skurcz żołądka potwornych wcieleń. Nie obecny, nazarty robakami, wyluskany ze skorupy Żółw Ninja, ale tamta niesamowita, zblazowana, paląca cygareto wiekowa kreatura, mumia chorego na elefantiazę. - Bibendum - mówi cicho Dorotea.

- Restauracja? - pyta zagubiony Stonestreet. - Przy Fulham Road? - Siedzi obok Dorotei i nie widzi, co jest na kartoniku.

Wrzask rośnie Cayce w gardle.

- Och, ale ze mnie idiotka - mówi Dorotea. - To inny projekt.

Bibendum, Cayce zna jego imię, wraca do koperty.

Dorotea wyjmuje zmieniony projekt Heinziego, który pokazuje Cayce, a potem niemal przelotnie, Stonestreetowi.

Piątkowy plemnik z lat 60. zmutował w sunącą komętę, luźną, dynamiczniej szą wersję logo wytwórcy sprzed jakichś dziesięciu lat.

Cayce usiłuje otworzyć usta, coś powiedzieć. Skąd ona wie? Ile wie?

Milczenie się przedłuża.

Rude brwi Stonestreeta jadą w górę, milimetr po milimetrze, bezsłownie i oskarżająco-pytająco. Wreszcie osiągają maksymalną wysokość.

- A więc...? - Bibendum. Tak się nazywa. Jest to też nazwa restauracji w odnowionym Michelin House, do której rzecz jasna Cayce nigdy nie zajrzała. - Cayce? Źle się czujesz? Szklanek wody?

Po raz pierwszy zobaczyła Bibendum w czasopiśmie, francuskim czasopiśmie. Miała sześć lat. Zwymiotowała.

- Dostał kaczką w twarz przy dwustu pięćdziesięciu węzłach.

- Co? - Stonestreet zaczyna się podnosić. W jego głosie jest ton paniki.

- Wszystko gra, Bernardzie. - Ścisła brzeg stołu.

- Nie chcesz wody?

- Nie. Chcę powiedzieć, że projekt jest świetny. Zaskoczy.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła upiora.

Dorotea uśmiecha się z wyższością.

- T... to ten projekt Heinziego. Wy... wywarł na mnie wrażenie. - Udaje się jej zrobić grymas, coś przypominającego uśmiech.

- Naprawdę? To cudownie!

- Tak, ale już zrobiliśmy, co trzeba, prawda? - mówi. - Dorotea może wrócić do Frankfurtu, a ja do Nowego Jorku. - Wstaje z krzesła, ma zawroty głowy. - Będę potrzebowała samochodu. - Nie chce patrzeć na Doroteę. Tego przedpołudnia to ona wykonała mocne posunięcie. Ona wygrała. Teraz strach przenika Cayce do szpiku kości, nie da się go porównać z tym, co czuła po włamaniu azjatyckich dziwek. Teraz stało się coś znacznie gorszego. Bardzo mało ludzi wie o rozmiarach jej fobii na punkcie znaków towarowych, a jeszcze mniej o konkretnych czynnikach wyzwalających. Rodzice, paru lekarzy, paru terapeutów, kilka najbliższych przyjaciółek, nie więcej niż trzech byłych facetów.

Ale Dorotea wie.

Jakoś dociera do drzwi. Ma nogi jak z drewna.

- Do widzenia, Bernardzie. Do widzenia, Doroteo.

Stonestreet jest osłupiały.

Dorotea w siódmym niebie.

Tamci wszyscy spieszący się ludzie znikli z ulic Soho i, dzięki Bogu, samochód czeka.

Na Parkway sięga po pieniądze i przypomina sobie, że to auto firmy, nie taksówka. Wielkim mosiężnym kluczem Damiana otwiera drzwi od ulicy, przeskakuje po dwa stopnie, trzymając w pogotowiu dwa czarne niemieckie klucze.

I zastaje ludzika Michelin o białych wałeczkach wykonanych z filcu, uduszonego na gałce u drzwi czarną garotą z grubego sznura.

Otwiera usta do krzyku, ale się opanowuje. Bierze głęboki oddech.

- Dostał kaczka w twarz przy dwustu pięćdziesięciu węzłach.

Sprawdza włos. Nadal tkwi na swoim miejscu. Puder rozpylony wokół gałki powinien zniknąć, ale obrzeże pozostało nienaruszone.

Stara się nie patrzeć na to coś, przywiązane do gałki. To tylko lalka. Lalka. Otwiera drzwi niemieckimi kluczami.

Jest w środku. Przekręca zamki, zakłada łańcuch. Dzwoni telefon.

Cayce krzyczy.

Podnosi słuchawkę po trzecim dzwonku.

- Halo?

- Tu Hubertus.

- Hubertus...

- Tak. Oczywiście. I?

- Co „i”?

- Przespałaś się z tym. - Otwiera usta, ale nie wydaje z nich żadnego dźwięku. - Podpisałaś się pod logo Heinziego - mówi Hubertus. - A więc sprawa załatwiona. Gratulacje.

W tle słychać fortepian. Barową muzykę. Która jest godzina w Nowym Jorku?

- Pakuję się, Hubertusie. Jadę na Heathrow, lecę pierwszym rejsem do domu. - Mówi głośno to, czego najbardziej pragnie.

- Świetnie. Możemy to omówić, kiedy przylecisz.

- Prawdę mówiąc, myślałam o Paryżu.
- No, to spotkamy się tam jutro. Mam pod ręką gulfstreama klienta. Nie wykorzystana oferta.
- Naprawdę nie ma czego omawiać. Powiedziałam ci w sobotę wieczorem.
- Poradziłaś sobie z Doroteą? - Zmienił temat.
- Zmieniasz temat, Hubertusie.
- Bernard powiedział, że zzieleniałaś, kiedy pokazała projekt.
- Znów zmieniasz temat. Czy będę pracować dla ciebie, żeby ustalić źródło emefów, tożsamość twórcy czy twórców? Nie będę.
- Dlaczego nie? - Pytanie odbiera jej mowę. Bo ni stąd, ni zowąd nabrała do niego jakiejś jeszcze głębszej, niesprecyzowanej niechęci? Bo absolutnie mu nie ufa? Bo nie chce wiedzieć, czym są emefy, o czym są, czemu służą, kto za nimi stoi? To naginanie faktów, bo tak naprawdę to chce znać odpowiedź na te wszystkie pytania i spędziła wiele czasu, dyskutując o tym z innymi emeferami. Nie, rzecz raczej w tym, że na pierwszy rzut oka emefy plus Bigend to po prostu zupełnie poroniony pomysł. Nie chodzi o Bigenda noszącego kowbojski kapelusz jak ostatnia pierdoła, ale Bigenda siłą sprawczą Blue Ant. Bigenda geniusza w swoim fachu, Bigenda od nowych sposobów. Każde połączenie tego pierwszego i tego drugiego wydaje się jej okropne. - Chcę, żebyś kogoś poznała - on kontynuuje spokojnie. - Kazałem mu przyjść przed południem do biura i Bernard zorganizował wam lancz, ale za szybko wyszłaś.
- Kto to? O co chodzi?
- To Amerykanin. Nazywa się Boone Chu.
- Boonchu?
- Boone. Jak Daniel*. Chu. Ce-ha-u. Myślę, że moglibyście coś wspólnie osiągnąć. Chcę to ułatwić.
- Hubertusie, proszę. To bez sensu. Powiedziałam ci, nie jestem zainteresowana.
- Mam go na drugiej linii. Boone? Mówiłeś, że gdzie jesteś?
- Przy stacji Camden - mówi męski głos. Radosny, z amerykańskim akcentem. - Twarzą ku Virgin.
- No, widzisz, jest tuż-tuż - mówi Bigend.

* Daniel Boone - pionier amerykański.

„Odlóż słuchawkę” - myśli Cayce. Nie odkłada.

- Parkway, zgadza się? - Znów amerykański akcent. - Zaraz przy metrze.

- Hubertusie, to naprawdę bez sensu...

- Proszę, porozmawiaj z Boone'em - mówi Bigend. - To ci nie zaszkodzi. A jak między wami nie zaiskrzy, możesz lecieć do Paryża. - Zaiskrzy? - Na wakacje. Na koszt Blue Ant. Każę sekretarce zamówić hotel. Premia za zlecenie dla H&P. Wiedzieliśmy, że możemy na tobie polegać. Klient będzie miał nowe logo do kolekcji jesiennej. Oczywiście, będziesz nam potrzebna do skontrolowania każdego rozwiązania.

Znów to samo. Zdaje sobie sprawę, że już łatwiej będzie spotkać się z tym człowiekiem, tym Boone'em i potem jechać na lotnisko. Zawsze może z dala omijać Bigenda w Nowym Jorku. Ma taką nadzieję.

- Czy on wciąż jest na linii, Hubertusie?

- Jak najbardziej - mówi głos z amerykańskim akcentem. - Idę Parkway.

- Zadzwoń dwa razy - mówi Cayce i podaje numer domu i mieszkania. Odkłada słuchawkę.

Idzie do kuchni, bierze nieużywany jeszcze ostry, niemiecki nóż Damiana do obierania i czarny worek na śmieci. Otwiera drzwi. To wciąż tam jest, na gałce. Cayce zagryza zęby i wsuwa to do czarnego plastiku, zaciska u góry. Odcina czarny sznur. To spada do worka. Kładzie worek na podłogę, tuż przy drzwiach, zamyka je, odnosi nóż do kuchni. Wraca do drzwi. Bierze głęboki oddech, wychodzi na klatkę schodową. Zdejmuje z szyi czarne klucze i starannie zamyka drzwi. Unosi dwoma palcami worek z tym w środku, jak ze zdechłym szczurem, który jest jednak lżejszy, i schodzi na półpiętro, gdzie wpycha to za czekający na wyniesienie stos czasopism o modzie.

Siada plecami do ściany i obejmuje ramionami kolana. Supeł znów się zawiązał i Cayce ku swojemu wielkiemu zniecierpliwieniu czuje, że ma okres.

Wraca na górę uporać się z tym problemem. Zaledwie udaje się jej doprowadzić wszystko do porządku, słyszy dwukrotny dzwonek do drzwi.

- Cholera, cholera. Szlag...

Zapominając zamknąć drzwi na klucz, schodzi na dół.

To zabierze tylko minutę, może mniej. Przeprosi za to, że Bigend na siłę zaaranżował spotkanie, ale będzie stanowcza: nie zamierza podjąć żadnych poszukiwań twórcy emefów, finansowanych przez Bigenda. Po prostu.

Frontowe drzwi są z dębu malowanego na biało, ale zżółkły, zostały obtłuczone i pobrudzone, czekają jeszcze na renowację. Judasza nie myto chyba od II wojny światowej.

Przekręca zamek i otwiera drzwi.

- Cayce? Jestem Boone Chu. Miło cię poznać. - Wyciąga rękę.

Nadal ma na sobie skórzaną kurtkę ze spłowiałymi ściegami. Prawa ręka wyciągnięta, lewa na ręczce walizeczki, zniszczonej i obdartej, którą zauważyła kilka godzin wcześniej

w Soho.

- Cześć - mówi Cayce i wymienia uścisk dłoni.

11.
BOONE CHU

Boone Chu wali się jak kowboj na nową brązową kanapę Damiena, zakładając nogę na nogę.

- Pracowałeś wcześniej dla Blue Ant? - Ma teraz świdrujące spojrzenie, ale może ona źle odczytuje nieskromną intensywność spojrzenia, ten charakterystyczny, głupkowaty element zachowania Amerykanów chińskiego pochodzenia.

- Kilka zleceń w Nowym Jorku. - Przycupnęła na krześle przy komputerze.

- Wolny strzelec?

- Zgadza się.

- Ja też.

- Co robisz?

- Osieciowania. - Odczekuje moment. - Stanowy Uniwersytet Teksński. Potem własna firma. Popłynąłem.

W jego głosie nie ma cienia gorzkości, chociaż, jak zauważyła, ludzie, którzy to mówią, rzadko ją okazują, co jest trochę niesamowite. Generalnie zadzierają nosa. Ma nadzieję, że ten się do takich nie zalicza.

- Gdybym cię zgooglowała, dowiedziałabym się, że...

- Moja pierwsza, dość znana firma, głośno popłynęła. Wcześniej..szlachetny haker”, ale to tylko szum medialny. - Ogląda się na dziewczyny-roboty oparte o ścianę, ale nie zadaje pytań.

- Czym się zajmowała?

- Zabezpieczeniami.

- Gdzie mieszkasz?

- Stan Waszyngton. Mam skałę na Orcas i przyczepę kempingową z lat 50., na podkładach kolejowych. Trzyma się dzięki pleśni i rdzy zżerającej aluminium. Zbierałem się do budowy domu, ale teraz żal mi widoku.

- Tam masz bazę?

- Bazę mam tu. - Trąca czubkiem buta dziecięcą walizeczkę sprzed wieku. - A ty gdzie mieszkasz?

- Przy West 111.

- Przy Columbii. Prawdę mówiąc, wiedziałem, że mieszkasz w Nowym Jorku.

- Tak?

- Przegooglowałem cię. - Cayce słyszy bulgot wody w czajniku. Nie założyła gwizdka. Wstaje. On również i idzie za nią do kuchni. - Ładna żółć - zagaduje.

- Damien Pease.

- Przepraszam?

- Pease. Jak w tym wierszyku dla dzieci. Reżyser reklamówek. Widziałeś jakąś?

- Nie kojarzę.

- To jego mieszkanie. Co dokładnie zaproponował ci Bigend, Boone?

- Żebym został jego współnikiem. - Boone mówi i przygląda się jej, Cayce tylko się przygląda. - Tak powiedział. Nic więcej nie precyzując. Chce, żebym pracował z tobą. Żebyśmy znaleźli osobę czy osoby, które wprowadzają te wideoklipy. Fundusz kosztów nieograniczony, ale nie jestem pewien, ile może wynieść fundusz płac. - Ma wysokiego jeża, nieprawdopodobnie gęstego, jak to Chińczyk, i długą twarz, której rysy może stałyby się zniewieściałe, gdyby nie to, że, jak Cayce się domyśla, na ich kształt wpłynęło dorastanie w Tulsa, wśród dzieciaków gotowych dopiec Chińczykowi noszącemu nazwisko amerykańskiego pioniera.

- Czy powiedział ci, dlaczego chce, żebyśmy razem pracowali? Albo czemu w ogóle chce mnie zatrudnić? - Wrzuca torebki z herbatą do czajniczka i zalewa wodą. - Przepraszam. Zapomniałam zapytać. Może chcesz kawy?

- Może być herbata. - Idzie do zlewu i myje kubki, które zostawiła. Coś w jego ruchach przypomina jej kucharza restauracji, z którym kiedyś chodziła. Energicznie strzepuje ściereczkę, zanim wytrze kubki. - Powiedział, że nie musisz drugi raz wymyślać koła. - Stawia kubki jeden obok drugiego. - Powiedział, że jeśli ktoś potrafi dojść, skąd te materiały pochodzą, to ty.

- A ty?

- Ja mam ci pomagać. Ty myślisz, ja realizuję. Spogląda na niego.

- Potrafiłbyś?

- Nie jestem prestidigitatorem, ale mogę się przydać. Złota rączka w sprawach ogólnych, rzec można.

Cayce nalewa wody.

- Chcesz to robić?

Boone podnosi kubek. Wącha opar.

- Co to?

- Nie wiem. To Damiena. Ale bezteinowa. Boone dmucha, pociąga łyżek. Krzywi się.

- Ukrop.

- No, jak? Chcesz to robić?

Patrzy na nią opar unosi się z kubka, który nadal trzyma przy ustach.

- Nie mam sprecyzowanej opinii. - Opuszcza kubek. - Z teoretycznego punktu widzenia to ciekawy problem i, o ile wiemy, nikt go jeszcze nie rozwiązał. Jestem wolny i Bigenda stać na wyłożenie masy forsy.

- To plus?

On kiwa głową znów pociąga herbaty. Znów się krzywi.

- Minus to Bigend. Ciężko go ocenić, no nie? - Podchodzi do kuchennego okna, jakby chciał wyjrzeć na dwór, ale tylko wskazuje okrągły przezroczysty wiatraczek wentylatora, osadzony w piętnasto-centymetrowym wycięciu w szybie. - U nas nie ma czegoś takiego. Tu są wszędzie. Od zawsze. Nawet nie jestem pewien, do czego to służy.

- Część świata po drugiej stronie lustra - mówi Cayce.

- Proszę?

- Mam na myśli różnice.

- Dla mnie świat po drugiej stronie lustra to Bangkok. Azja. Tu jest bardziej swojsko.

- Nie, inaczej - mówi mu. - Dlatego zwróciłeś uwagę na ten wentylator. Pewnie tu go znalezione i tu zrobiono. To był przemysłowy naród. Jak chcesz kupić nożyczki, sprzedadzą ci angielskie nożyczki. Sami wszystko robią. Utrzymują wysokie cła na import. To samo w Japonii. Tam wszystkie materialne duperela są inne, od podstaw.

- Rozumiem, do czego zmierzasz, ale nie wydaje mi się, żeby miało być tak dalej. Nie w tym świecie, na którym zależy Bigendowi; żadnych granic, niedługo cały świat się ujednotli, nie będzie światów po drugiej stronie lustra. Nie w przypadku materialnych dupereli. - Patrzy jej w oczy.

Biorą kubki i wracają do salonu.

- A ty, co myślisz o Bigendzie? - pyta Boone.

Cayce zadaje sobie pytanie, dlaczego w ogóle prowadzi tę rozmowę? Na ile ma związek z poranną wymianą spojrzeń w tłumie, którą Boone traktuje jak niebyłą? A więc chodzi o dręczące ją poczucie wyobcowania; rano Boone był nieznanym mijanym na ulicy, którego nigdy więcej miała nie spotkać, a teraz się objawił i jest tu.

- Hubertus Bigend to bardzo inteligentny człowiek i bardzo mi się nie podoba - mówi.

- Dlaczego?

- Chyba problem rozbija się właśnie o to, jakim jest człowiekiem. Nie jestem dość silna, żeby odrzucić propozycję pracy dla jego firmy, ale dokuczają mi myśli, że mam nawiązać z nim bardziej osobiste stosunki

Natychmiast przychodzi jej do głowy: „Czemu mu to mówię, zupełnie go nie znam. A jak wróci do Bigenda i wszystko mu powtórzy?”. Boone siedzi, długimi palcami opłata kubek i zerka na nią.

- Bigenda stać na kupowanie ludzi - mówi. - Nie chcę skończyć jako maskotka przy jego kluczach. Chociaż nie jestem też odporny na kwoty, którymi dysponuje. Kiedy moja firma zaczęła się chwiać, zdałem sobie sprawę, że robię rzeczy, których przyjdzie mi żałować. - Cayce patrzy na niego. To prawda, czy jedynie autoreklama? Boone marszczy brwi. - Jak myślisz, czemu mu na tym zależy?

- Uważa, że to artykuł produkcyjny.

- Czyli źródło pieniędzy. - Odstawia kubek na wykładzinę.

- Twierdzi, że chodzi o doskonałość, nie o pieniądze.

- Pewnie, pieniądze to tylko produkt uboczny - mówi Boone Chu - dzięki któremu nie musi wdawać się z nami w konkrety.

- Ale gdyby podał swoją cenę, sprawa byłaby mniej ciekawa, no nie? Gdyby ustalił wynagrodzenie za to zadanie, mielibyśmy tylko kolejne zlecenie. Odwołuje się do czegoś głębszego.

- I traktuje sprawę jak załatwioną.

- Zauważyłam. - Spogląda mu prosto w oczy. - Chcesz dać mu tę satysfakcję?

- Jak nie, to może nigdy nie zaznam tej satysfakcji, że dotrę do sedna sprawy. A już próbowałam.

- Tak?

- Czasem potrafię tkwić w pokoju hotelowym, bawiąc się tym.

- Trąca stopą walizeczkę. - Do niczego nie udało mi się dojść, ale to tylko mnie napędza.

- Co tam masz? - Boone podnosi walizkę i odchyła zatraski. Jest wyłożona kostkami szarej pianki, otulającej gładki prostopadłościan z szarego metalu. Unosi, jak się okazuje, laptopa w tytanowej obudowie, ukazując zwoje przewodów, trzy komórki i wielki specjalistyczny wkrętak z wymiennymi ostrzami. Jedna z komórek ma kształt kandyzowanego jabłka na patyku, a może bardziej mango niż jabłko.

- Co to? - pyta Cayce, wskazując telefoniczne mango.

- Japońskie.

- I umiesz się posługiwać wkrętakiem?

- Nigdy bez niego nie wychodzę.

I Cayce mu wierzy.

W końcu lądują w panazjatyckiej restauracji przy Parkway, pełnej piaskowanego drewna i miseczek raku*, jedzą kluski i Boone zgłębia problem rozdzielczości. Weterani F:E:F prze-nicowali go już na dziesiątą stronę, ale Boone ma do niego ożywczo świeże podejście.

- Każdy z segmentów ma tę samą rozdzielczość, wystarczającą do projekcji kinowej. Informacja wizualna, wielkość ziarna jest odpowiednia. Zdjęcia o mniejszej rozdzielczości rozmywałyby się przy po-

* Raku - ceramika z polewą, używana głównie podczas ceremonii picia herbaty.

większeniu. Jeśli jest generowany komputerowo, ktoś musiał o to zadbać. - Podnosi patyczki do ust. - Widziałaś kiedyś pracownię ren-deringową, obróbki komputerowej? - Wkłada kluskę do ust i żuje.

- Nie.

Przełyka, odkłada patyczki.

- Hala, masa komputerów, wizualizatorzy obrabiają taśmy klatka po klatce. Pracochłonna robota. Niby na oślep, ale zaplanowana do najmniejszego szczegółu. Obróbka komputerowa

wymaga dużego ludzkiego wkładu, masy pracowników i zapewne nie dałoby się długo utrzymać w tajemnicy. Ktoś by się wygadał, chyba że zastosowano nietypowe ograniczenia. Ci ludzie siedzą i masują obrazki, piksel po pikselu. Dopracowują. Dodają szczegóły. Włosy. Włosy to koszmar. I nie zarabiają gór złota.

- Więc hipoteza z Kubrickiem majster-klepkąto tylko marzenie?

- Chyba że twórca ma dostęp do technologii na poziomie, którego, o ile wiemy, jeszcze nie osiągnięto. Założenie, że emefy są generowane całkowicie komputerowo, oznacza, iż twój twórca albo powiększył możliwości tworzenia obrazu komputerowego metodą Roswella, albo dysponuje tajnym laboratorium obróbki. Jeśli wykluczmy technologię pozaziemską, co nam zostaje?

- Hollywood.

- Tak, ale niekoniecznie w Kalifornii. Nawet jeśli zamiar generowania komputerowego podjęto w Hollywood, sam proces może się odbywać, powiedzmy, w Nowej Zelandii. Albo w Irlandii Północnej. Oczywiście może też w samym Hollywood. Problem w tym, że to też przemysł. Ludzie gadają. Biorąc pod uwagę zainteresowanie, które ten interes wzbudził, potrzeba patologicznej tajności, żeby nic nie wyciekło na zewnątrz.

- W takim razie nie mówimy o Kubricku majster-klepce - mówi Cayce - ale o podziemnym Spielbergu. Zakładamy, że emefy produkuje ktoś już dysponujący nieprzeciętnymi możliwościami wytwórczymi. Ktoś, kto z jakiegoś powodu jest skłonny produkować i rozpowszechniać bardzo niekonwencjonalny materiał w bardzo niekonwencjonalny sposób. Ktoś zdecydowany za wszelką cenę utrzymać to w tajemnicy.

- Kupujesz to?

- Nie.

- Czemu nie?
- Ile czasu spędziłeś faktycznie przy emefach?
- Niewiele.
- Co czujesz, kiedy je oglądasz? Spogląda na swoje kluski, a potem na nią.
- Samotność?

- Większość ludzi ją czuje, tyle że w głębszym wymiarze. Jakby polifonicznym. Do tego dochodzi wrażenie, że te obrazy ku czemuś zmierzają, że coś się wydarzy. Zmieni. - Wzrusza ramionami. - Tego nie da się opisać, ale kiedy trochę z nimi pożyjesz, zaczynasz im ulegać. Po prostu niesłychanie silnie oddziałują podczas bardzo krótkiej projekcji. Nigdy do mnie nie przemawiało, że to dzieło jakiegoś uznanego twórcy filmowego, którego stać na zrobienie czegoś takiego, chociaż jeśli przeglądniesz strony poświęcone emefom, zobaczysz, że bez przerwy wypływają nazwiska różnych reżyserów.

- A może sprawa w powtarzalności. Może od tak dawna przyglądasz się tym materiałom, że przypisałaś im to wszystko. Na dodatek rozmawiasz z ludźmi, którzy zachowywali się i zachowują tak samo.

- Próbowałam się przekonać, że tak jest. Chciałam w to uwierzyć, po prostu dlatego żeby się uwolnić. Ale potem wracam i patrzę na to znowu, i czuję... nie wiem. Że w coś wchodzi. W jakiś świat? W opowieść?

- Wsuwaj te kluski. Rozmawiać możemy potem.

I rozmawiają, spacerując. Idą do Camden Lock, wzdłuż High Street, pod nieobecność tych wszystkich weekendowych krzyżowców. Mijają okna wystawowe projektanta kuchni Damiena, Boone zahacza o swoje dzieciństwo w Oklahomie, wloty i upadki firmy, kaprysy przemysłu i gospodarki w ogóle od poprzedniego września. Wygląda to tak, jakby starał się powiedzieć jej, kim jest. Cayce w zamian opowiada mu niewiele o swojej pracy i zupełnie nic o swojej szczególnej wrażliwości, która ją umożliwia.

Docierają do ponurej ścieżki holowniczej nad kanałem, pod niebem jak na szarej monochromatycznej odbitce Turnera w technice ciba-chrom, przy zbyt jasnym tle. To miejsce przypomina jej o wycieczce do Disneylandu, z Winem i matką, kiedy miała dwanaście lat. Karaibscy piraci mieli awarię i wyratował ich personel w butach rybackich do pachwin na kostiumach piratów, i poprowadził przez drzwi awaryjne do zniszczonego, betonowego, zaplamionego olejem podziemnego królestwa maszynierii i przewodów, zamieszkanego przez ponurych mechaników. Ci pracownicy zaplecza przypominali jej Morlocków z *Wehikułu czasu*.

Sporo ją kosztowała ta wyprawa, bo nie mogła powiedzieć rodzicom, że zaczęła unikać widoku Myszki Miki i czwartego, ostatniego dnia dostała wysypki. Potem Miki przestał być problemem, ale i tak go unikała, bo wciąż jej się wydawało, że może być źle.

Boone przeprasza, musi sprawdzić pocztę elektroniczną, mogło przyjść coś, co chciałby

jej pokazać. Siada na ławce i wyjmuje laptopa. Cayce idzie na brzeg kanału i patrzy w dół. Szary kondom, dryfujący jak meduza, na wpół zatopiona puszka po piwie, głębiej wirujące coś, czego nie można zidentyfikować, owinięte w blady, wzdęty i porwany plastik, którym owija się palety cegieł i pustaków. Cayce wzdryga się i odwraca plecami.

- Popatrz na to - mówi Boone, unosząc wzrok znad ekranu laptopa, trzymanego na kolanach. Cayce przecina ścieżkę holowniczą i siada obok. Boone podaje jej laptopa. Skąpiana w świetle popołudnia patrzy na otwartą wiadomość.

W każdym z nich jest jakiś szyfr, ale nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Jest krótki i zunifikowany w każdym segmencie. Gdyby był dłuższy, to jeszcze, ale że jest, jaki jest, to mogę powiedzieć jedno: prawdziwa igła w twoim stogu siana.

- Od kogo to?

- Mojego przyjaciela w Rice. Zmusiłem go do przejrzania wszystkich stu trzydziestu pięciu segmentów.

- Czym się zajmuje?

- Matematyką. Dla mnie to czarna magia. Przepytuje anioły siedzące półdupkiem na główce od szpilki. Pracował w mojej firmie. Zajmował się szyfrowaniem, ale to tylko aspekt uboczny jego prac teoretycznych. Był okropnie rozbawiony, że mają jakieś zastosowanie praktyczne.

Cayce wypaliła, nim zdążyła ugryźć się w język:

- To filigran.

Spogląda na nią. Cayce nie wie, co się kryje za tym spojrzeniem.

- Skąd wiesz?

- W Tokio jest ktoś, kto twierdzi, że zna pewien numer odczytany przez kogoś z segmentu siedemdziesiątego ósmego.

- Przez kogo odczytany?

- Przez emeferów. Z grupy *otaku*.

- Masz ten numer?

- Nie. Nawet nie całkiem wierzę, że to prawda. Może to zmyślane.

- Po co?

- Żeby zaimponować pewnej dziewczynie. Ale ona też nie istnieje. Boone wpatruje się w nią.

- Czego potrzeba, żeby to sprawdzić?

- Lotniska - mówi Cayce, przyznając się w duchu, że już to rozważyła, już przez to przeszła - biletu. I kłamstwa.

Boone odbiera laptopa, zamyka go, kładąc ręce na gładkim szarym metalu. Patrzy na niego takim wzrokiem, jakby się modlił. Unosi wzrok.

- Twój ruch. Jeśli to prawda i możesz to wydobyć, mogłoby nas gdzieś zaprowadzić.
- Wiem - mówi Cayce i to naprawdę wszystko, co może powiedzieć, tak więc tylko siedzi, zastanawiając się, co takiego uruchomiła, dokąd to zaprowadzi i dlaczego.

12. APOFENIA

Wchodząc po schodach, uświadamia sobie, że zapomniała pobawić się w Bonda, ale uznaje, że ostatnie wydarzenia złamały klątwę azjatyckich dziwek. Nie przeszkadza jej nawet to, co tkwi za stertą czasopism. Byle tylko o tym nie myśleć.

Bardziej martwi ją to, w co właśnie się wpakowała. Odprowadzając go na stację, potwierdziła, że jest gotowa pracować dla Bigenda, polecieć do Tokio i znaleźć Takiego. Z pomocą W Parkę Ubranego i Musa-shiego spróbuje zdobyć numer. Potem się zobaczy.

Nie ma powodu, mówi Boone, traktować tego jako faustowskiej umowy z Bigendem. W każdej chwili mogą zrezygnować z partnerstwa, nie uciekając się do łgarstwa.

Cayce jednak zna już ten argument z poprzednich sytuacji, z poprzednich umów, kiedy sprawy nie ułożyły się tak idealnie.

Ale teraz ma przed sobą wyjazd, a na szyi dwa bardzo czarne, bardzo dziwnie wyglądające klucze i nie martwi się obrzeżem.

Pieprzyć Doroteę.

W tej chwili podświadomie wierzy w niemiecką technologię zabezpieczeń. Z tym, że kiedy otwiera zamki świetnymi, świetnymi kluczami, uświadamia sobie, że ta wiara przysporzyła jej pewnego problemu.

Nie bardzo wie, gdzie zostawić, czy komu powierzyć nowe klucze. Damien po powrocie zechce dostać się do domu, a jej nie będzie. A on nie ma żadnego biura, żadnej znanej jej zaprzyjaźnionej agencji, nie mają wspólnych przyjaciół, na tyle godnych zaufania, żeby powierzyć im opiekę nad drogimi i bardzo przenośnymi urządzeniami do miksowania muzyki w pokoju na piętorku. Nie ma pojęcia, jak sprawnie działa internetowe połączenie Damiena w Rosji, przy wykopie. Jeśli wyśle mu pocztę elektroniczną, pytając o radę, to czy Damien wskaże jej na czas miejsce, w którym powinna zostawić klucze?

Wpada jej do głowy pomysł, aby wykorzystać Wojtka i Magdę, którzy nie mają pojęcia, gdzie jest mieszkanie. Może jeden zestaw zostawi rodzeństwu, poda Damienowi namiary Wojtka i Magdy, a drugi zabierze z sobą.

Tak więc kiedy wchodzi do środka, uznaje, że wszystko jest takie, jak być powinno, nawet wygniecenie na kanapie, tam, gdzie siedział Boone.

Dzwoni telefon.

- Halo?

- Pamela Mainwaring. Biuro podróży Hubertusa. Mam dla ciebie bilet na lot Heathrow-Narita, jutro, dziesiąta pięćdziesiąt pięć, klasa pierwsza, British Airways. Może być?

Cayce spogląda na dziewczyny-roboty.

- Tak. Dzięki.

- Kapitalnie. Wpadnę do ciebie i podrzucę bilety. I laptopa, i telefon. - Zawsze udawało

się jej obyć bez jednego i drugiego, przynajmniej w podróży. Ma laptopa w domu, ale podłączyła normalną klawiaturę i monitor i używa go jak komputera stacjonarnego. A świat po drugiej stronie lustra zawsze był miejscem bezkomórkowych wakacji. Przypomina sobie jednak, że w Tokio nie ma angielskich napisów, a ona nie zna japońskiego. - Będę za dziesięć minut. Dzwonię z samochodu. Pa. - Trzask przerwane połączenia.

Znajduje kartkę z adresem Wojtka i wysyła mu pocztę, podaje numer telefonu Damiena i prosi o jak najszybsze oddzwonienie, chodzi o przysługę wartą kilku ZX-81. Potem wysyła pocztę do WParkeUbranego, informując, że będzie pojutrze w Tokio, i pytając o strategię wobec Takiego.

Waha się przed otwarciem ostatniej wiadomości od matki i przypomina sobie, że nadal nie odpowiedziała na dwie poprzednie.

Matka ma adres: cynthia@roseoftheworld.com. Rose of the World* to wspólnota zamieszkała na czerwonej od pyłu ziemi Maui.

* Rose of the World (ang.) Róża Świata.

Cayce nigdy tam nie była, ale Cynthia przysłała zdjęcia. Płaskie, dziwnie prozaiczne rancho z lat 60., na tle czerwonego wzgórza, stoi wśród długiej, rzadkiej trawy, przez którą ta czerwień przeziara jak jakaś egzema czaszki. Członkowie wspólnoty, do której matka Cayce zalicza się od dawna, przesłuchują mile taśm magnetofonowych, również świeżo kupionych i dopiero co wyjętych z opakowań, nasłuchując głosów umarłych. Entuzjaści EVP*. Kiedyś matka włożyła szpulowego uhera Wina do ich pierwszej mikrofalówki. Powiedziała, że zakłóca transmisje.

Cayce długo udawało się omijać szerokim łukiem tę część życia matki, taka również była strategia ojca. Apofenia, nazwał to po zastanowieniu Win, używając swojego starannego i ostrożnego języka: spontaniczna percepcja związków między niezależnymi od siebie zjawiskami. Cayce nie usłyszała od niego ani słowa więcej na ten temat.

Waha się, kliknięcie myszą dzieli ją od otworzenia wiadomości zatytułowanej: CZEŚĆ???

Nie, nie jest gotowa.

Idzie do lodówki i zastanawia się, co zje przed odjazdem, a co wyrzuci do śmieci.

Apofenia. Patrzy bezmyślnie na zimne, pięknie oświetlone wnętrze lodówki Damiena. A co, jeśli sens, którego wszyscy dopatrują się w emefach, to tylko iluzja, błędne rozpoznanie wzorca? Przerabiała to z WParkeUbrany, który porównywał emefy z różnymi różnościami (neuromechaniką halucynacji, relacją Augusta Strindberga z załamania nerwowego i własnymi doświadczeniami narkotykowymi, kiedy będąc nastolatkiem, czuł się czymś w rodzaju anielskiej maszyny tłumaczącej pismo linearne B). Wszystko na nic.

Wzdycha i zamyka lodówkę.

Odzywa się brzęczyk drzwi frontowych. Cayce schodzi na sam dół, aby wpuścić Pamelę

Mainwaring, dwudziestokilkuletnią blondynkę w czarnej mini i rajstopach w szkocką kratę, z dwiema czarnymi walizkami z balistycznego nylonu** w rękach. Na ulicy czeka samochód Blue Ant. Szofer stoi obok, pali papierosa, w uchu słuchawka, rozmawia z powietrzem.

* EVP (ang. *Electronic Voice Phenomena*) - głosy rejestrowane elektronicznie. ** Nylon balistyczny-sztuczny materiał używany również na kamizelki kuloodporne.

Pamela Mainwaring to samo tempo, skuteczność i porażająca precyzja. Nie jest kobietą, która często musiałaby coś powtarzać. Nie dotarły jeszcze do mieszkania, a skończyła opisywać Cayce apartament w Park Hyatt, na Shinjuku, z - widokiem na pałac cesarski.

- Przynajmniej na część dachu - mówi, stawiając walizki obok siebie na stole. Ogarnia wzrokiem kuchnię. - Ładna żółć. - Otwiera jedną z walizek, jest tam laptop i drukarka. - Tylko jeszcze raz sprawdzę - mówi, włączając sprzęt. - Powrotny otwarty, na dowolnego przewoźnika. Możesz lecieć, gdzie chcesz, kiedy chcesz. Mój adres e-mail i numer telefonu są w laptopie. Zajmuję się wszystkimi podróżami Hubertusa, więc jestem dostępna dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. - Gęsty fryz planu lotów wypełnia ekran. - Tak. Jesteś tu. - Wyjmuje z koperty pusty bilet i wkłada go do prostokątnej drukarki. Ta mruczy szybko i cicho i wyrzuca bilet z przeciwnej strony. - Odprawa najpóźniej dwie godziny przed odlotem. - Zręcznie wkłada świeżo wydrukowane bilety do folderu British Airways. - Mamy dla ciebie iBooka, z programami i modemem do komórki. I telefon. Działa tu, w całej Europie, Japonii i Stanach. Ktoś z tokijskiego biura odbierze cię na Narita. Ludzie z Tokio są całkowicie do twojej dyspozycji. Najlepsi tłumacze, szoferzy, każdy kto będzie ci potrzebny. Dosłownie każdy.

- Nie chcę być odbierana.

- To nie będziesz.

- Pamela, czy Hubertus nadal jest w Nowym Jorku?

Ta spogląda na swojego Oakleya Timebomba, którego koperta jest nieco szersza niż jej przegub.

- Jest w drodze do Houston, ale wieczorem będzie z powrotem w Mercerze. Jego adres e-mailowy i wszystkie numery telefonów są w twoim iBooku. - Otwiera drugą walizkę. Jest tam płaski mak, szary telefon komórkowy (wielki, więc albo przestarzały, albo niezwykle mocny), różne kable i drobne części jeszcze w plastikowych, fabrycznych opakowaniach, do tego instrukcja obsługi na typowym papierze kredowym. Na komputerze leży koperta z logo Blue Ant. Pamela zamyka swój komputer, zasuwą zamek błyskawiczny walizki. Sięga po kopertę, rozrywają, wytrząsa kartę kredytową. - Podpisz tu, proszę. - Cayce bierze kartę. CAYCE POLLARD. Platynowa Visa z hieratycznym znakiem Blue Ant, będącym, a jakże, dziełem Heinziego. Wygląda na wspólne dzieło robota i egipskiego skryby. Pamela Mainwaring wręcza jej drogi niemiecki cienkopis. Cayce kładzie kartę awerssem na stole, podpisuje się na pasku rewersu. Coś w niej ciężko zapada się, jakaś część jej etycznego fundamentu. -

Miło było cię poznać - dodaje Pamela. - Udanej podróży, powodzenia, a w razie jakiegokolwiek potrzeby dzwoni do mnie albo mailuj. Pamiętaj, jakiegokolwiek. - Mocno ściska dłoń Cayce. - Sama trafię do wyjścia, dzięki.

I zaraz wychodzi, Cayce zamyka za nią drzwi i rygluje zamki. Wraca do stołu i sięga po komórkę. Widzi, że jest włączona. Po kilku podejściach udaje się jej wyłączyć aparat. Odkłada go do walizeczki, zamyka ją i odsuwa od brzegu stołu.

Oddycha głęboko, po czym zwija kręgosłup w ćwiczeniu pilates, kręgi po kręgu, przyjmując na stojąco pozycję płodową. Prostuje się tak wolno i płynnie, jak tylko potrafi.

Dzwoni telefon Damiena.

- Halo?

- Wojtek jest.

- Potrzebuję twojej pomocy w pewnej sprawie, Wojtku. Chciałabym zostawić ci klucze, żebyś oddał je mojemu przyjacielowi, kiedy się pokaże. Zapłacę ci za to dwadzieścia funtów.

- Nie musi się płacić, Casey.

- To dotacja na twoje przedsięwzięcie związane z ZX-81. Mam nowe zlecenie i to pójdzie w koszt - kłamie gładko, ale zaraz zdaje sobie sprawę, że niekoniecznie. - Możemy się spotkać za dwie godziny tam, gdzie jedliśmy śniadanie?

- Tak?

- Dobrze. Do zobaczenia. - Odkłada słuchawkę.

Zastanawia się, czy telefon jest na podsłuchu, po raz pierwszy

w życiu. Czy nie takie było przede wszystkim zadanie włamywacza od azjatyckich dziwek? Dorotea jest suką ze sfory szpiegów przemysłowych, obecną lub była, więc to wcale nie takie nieprawdopodobne. Robi się takie rzeczy jak pluskwy, jak zestawy szpiegowskie. Cayce przegląda w myślach swoje rozmowy od czasu przeglądania witryny azjatyckich dziwek. Jedyną ważną rozmowę, dotyczącą Trans, przeprowadziła z budki przy High Street w Camden. Teraz ta z Wojtkiem, ale słuchacz musiałby wiedzieć, gdzie wtedy jadła śniadanie... Ale czy nie można by wyśledzić jego numeru?

Idzie do pokoju, w którym trzyma bagaże, i zaczyna tradycyjną jogę przed podróżą, składanie i pakowanie zecapów, co w jakiś sposób informuje jej ciało, że niebawem utraci stworzoną tu strefę bezpieczeństwa.

Wypełniwszy te zadania, kładzie się na szarej kołdrze i zapada w sen. Nakazuje swojej podświadomości obudzenie za godzinę, aby zdążyć na spotkanie z Wojtkiem w bistrze przy Inverness Street. I wie, że się obudzi.

Śni - chociaż rzadko śni, w każdym razie nie pamięta tego - że jest w Londynie, sama na tylnej kanapie czarnej taksówki, pod koniec lata, gdy liście podkreślają wiek miasta, głębię jego historii, jego majestat. Fasady wysokich domów są nieodgadnione jak twarze pokerzystów. Przechodzi ją dreszcz. Chociaż noc jest ciepła, powietrze w taksówce duszne i napływa do niej wizerunek z wiadomości Damiena, wilgotne piramidy szarych kości, rosnące obok

wykopów na rosyjskich bagnach. Czym są te wykopy, jak się mają wobec zmarłych, wobec historii? Słyszysz dzwonienie kilofów, pijacki śmiech, i jest w tej taksówce, i w sosnowym lesie, na bagnach w lecie, będąc świadkiem jakiegoś niewyobrażalnego kanibalizmu, zjadania zmarłych. Przypomina sobie, jak mówiła Bigendowi, że przeszłość też jest zmienna, tak zmienna jak teraźniejszość, ale teraz musi mu powiedzieć, że nie powinna być wykopywana, plądrowana, odrzucana. Musi mu powiedzieć, ale nie może przemówić, chociaż teraz widzi, że to Bigend prowadzi tę taksówkę, ubrany zresztą w kowbojski kapelusz. Nawet gdyby przemówiła, nawet gdyby udało się jej rozbić to coś, co tak boleśnie więzi mowę, to on jest oddzielony od jej głosu grubą płytą szkła lub plastiku, pochłonięty prowadzeniem, wioząc ją nie wiadomo gdzie.

Budzi się. Serce jej łomocze.

Wstaje, ochlapuje twarz zimną wodą i wchodzi wąskimi schodami do pokoju, w którym ukryła drugi pęk kluczy.

I będzie ostrożna na ulicy, w drodze na spotkanie z Wojtkiem. Nigdy wcześniej nie stawiała się na to, żeby sprawdzać, czy jest śledzona, czy nie, ale teraz jest i będzie.

Gdzieś głęboko w niej wynurza się maleńki samosterowny okręt podwodny.

Są chwile, w których możesz zrobić tylko kolejny krok. A potem kolejny.

13.

KANOE

Fotel Cayce na górnym pokładzie Boeinga 747 linii British Airways przemienia się w łóżko, kanoe z zaawansowanego technologicznie kompozytu i laminatu pokrywających drewno teko we. Cayce siedzi w pierwszym rzędzie boeinga, nie mając w polu widzenia żadnych foteli.

Kabina przypomina komfortową halę biurową podzieloną na boksy, ergonomiczne pomieszczenia pracownicze, chociaż z drugiej strony ma się wrażenie, że następny krok projektantów to instalacja przewodów doprowadzających pokarm i schludnie odprowadzających odchody.

Jak zwykle schowała zegarek i nie wie, ile godzin jest już w powietrzu; obiad podano, światła przygaszono i wyobraża sobie swoją duszę podskakującą głupawo, gdzieś nad betonową płytą Heathrow, niewidzialna pępowina rozciąga się miarowo. Gdy wiadomo, że muszą być daleko nad oceanem, gdzie nie zagrażają żadne ludzkie czynniki, maleje też wskaźnik strachu. Przez większość życia najbardziej bezbronna czuła się właśnie w takich chwilach, kiedy tkwiła zawieszona w pustce, nad bezdrożami wód. Jeśli teraz świadomie jednak czegoś się lęka, to wydarzeń, które grożą nad skupiskami wielkich miast Zachodu, na linii ziemia-powietrze, scenariuszy żywcem wziętych z CNN.

Linie komercyjne przysparzają Cayce kłopotów z jeszcze jednego powodu - powtarzając w nieskończoność logo przewoźnika w swoich klaustrofobicznych pomieszczeniach. BA nigdy nie były szczególnie napastliwe, ale Virgin narzucające się całą masą produktów i usług są zupełnie nie do zniesienia.

Teraz męczy ją jednak głównie to, że nie wzięła z sobą niczego do czytania, a nawet nie myśli włączać wbudowanego w poręcz DVD, gdyż od jakiegoś czasu narzuciła sobie zakaz oglądania nowości wideo. Tymczasem sen nie chce przyjść. Londyn zniknął już z horyzontu, Tokio pozostaje niewyobrażalne, ukryte w niepamięci, więc Cayce siada po turecku pośrodku wąskiego łóżeczka i trze oczy, jak dziecko przykute do posłania, choć już na tyle duże, że skazane na niekończące się przewracanie z boku na bok.

Przypomina sobie laptopa Bigenda. Błyszczą teraz świeżą nalepką ochrony Heathrow. Podnosi z podłogi nylonową walizeczkę i otwiera. Wczoraj wieczorem siedziała dwadzieścia minut, przeszukując desktop, ale teraz po raz pierwszy zauważa nieopisaną płytkę kompaktową. Po wsunięciu do czytnika okazuje się zindeksowaną bazą danych całego F:E:F. Ten, kto przygotował ją dla Bigenda, dostarczył również na twardym dysku pełną kolekcję emefów i jej trzy ulubione montażę, w tym jeden roboty Celulo i Maurice'a.

Nadal siedząc po turecku, robi naklejkę z opisem: KOPIA CD DLA BLUSZCZA.

Bluszcz chciała mieć bazę danych forum prawie od momentu znalezienia emefów, ale ogólnodostępne oprogramowanie, pozwalające prowadzić stronę, nie indeksuje danych i nie

miała nikogo chętnego czy zdolnego do wykonania tego. Korespondenci oznaczyli ulubione wątki i wymieniali się nimi, ale nie było możliwości analizy danego tematu w całym czasie działania strony.

Dopiero teraz.

Cayce nie ma pojęcia, ile wpisów nagromadziło się na stronie od pierwszego dnia. Nigdy się nie cofała i nie zaglądała na sumerostro-nę, pierwsze dni, ale teraz wciska ENTER i szuka: CayceP.

Przeciwnie, niż mówiłam wczoraj...

Ach. To nie jej pierwszy wpis. Początkowo nie było nawet CayceP. Wpisuje: Cayce. ENTER.

Cześć. Ile segmentów, w sumie? Właśnie pobrałam ten, kiedy on jest na dachu. Czy ktoś dał radę tym nasadom kominowym (tak się na to mówi)?

Dodała „P”, bo pojawił się też inny wpis „Cayce”, jakiś Marvin z Wichita z takim nazwiskiem, tylko wymawiało się jak „Case”, nie „Casey”.

Czuje się trochę, jakby znalazła pamiętnik z liceum.

Oto pierwszy wpis WParcęUbranego:

Obciągnijcie mi pompką do ściągania mleka! Myślałem, że tylko ja jeden mam świra na punkcie pięknoty tego poplamionego kawałka anormalnej filmowej prerii. Ktoś jeszcze ma chętkę na kowbojską poetykę? Bo możecie być pewni, że ja nie.

To było przed przybyciem Anarchii, znaczącym choćby z tego powodu, że trzy dni po nim WParcęUbrany dokonał pierwszej z wielu hałaśliwych wyprowadzek ze strony.

Po kilku podejściach trafia na właściwy wśród poręczowych przycisków z matowego stopu i zamienia łożko w wygodny fotel. Jest przyjemnie, kiedy potężne silniki pracują dla twojej wygody. Rozsiada się wygodnie, ubrana w swój czarny gruby bawełniany dres (odmówiła włożenia pajacyka BA), okrywa nogi kocem w szkocką kratę i kładzie iBooka na brzuchu. Lampkę światłowodową na giętkim ramieniu, z główką policyjnej latarki, ustawia we właściwym położeniu.

Wychodzi z CD-ROM-u i klika montaż Celulo i Maurice’a.

Zaczyna się od tła, dachu, dziwnych kominów. Teraz chłopiec. Podchodzi do niskiego parapetu. Patrzy w kierunku miasta, które nigdy nie ukazuje się w zbliżeniu. Analiza ujawnia tylko zamazany układ prostopadłych linii. Nic wyraźnego. To na pewno horyzont miasta, ale nawet przybliżona identyfikacja jest niemożliwa, za mało widać. Wykluczono Manhattan i wiele innych; są całe listy wykluczeń, z opisami: „wykluczone” lub „mało prawdopodobne”.

Maurice przeskakuje do segmentu składającego się całkowicie z długich ujęć dziewczyny w starannie utrzymanym parku.

Czasem, kiedy Cayce ogląda dobry montaż, a ten jest jednym z najlepszych, ma wrażenie, jakby oglądała zupełnie nowy emef; zanurza się z radością i oczekiwaniem, a kiedy montaż się kończy, doznaje wstrząsu. To byłoby na tyle. To wszystko. Jak to możliwe? Tak też jest teraz. Emef się kończy.

Cayce zasypia z laptopem na kolanach.

Kiedy się budzi, jest ciemniej i czuje parcie na pęcherz.

Zadowolona, że nie ma na sobie pajacyka, zamyka laptopa, odkłada go, rozpiną pas, nakłada kapcie BA i rusza w kierunku ogona samolotu, do toalet.

Po drodze mijają śpiącą postać kogoś, kto nie może być nikim innym jak tylko Billym Prionem. Cicho chrapie, lekko rozchyliwszy zastygłe usta, uwolnione od paraliżującej je niegdyś botuliny. Okryty kocem w szkocką kratę jak starzec na leżaku w nadmorskim kurorcie, odsłania obwisłą i nieruchomą twarz. Cayce mruga zdziwiona, przekonując samą siebie, że to nie może być dawny wokalista BSE, ale to najwyraźniej on, od stóp do głów w zeszlórocznej kolekcji męskiej Agnes B.

W sąsiednim kanoe śpi blondynka z opaską na oczach, w czarnym topie. Małe kolczyki w sutkach wyraźnie pobłyskują spod napiętego materiału.

To potwierdza trafność identyfikacji. Śpiącą jest wokalistka dawnego Velcro Kitty, z którą zdaniem muzycznej prasy Prion już nie chodzi.

Cayce zmusza się do ruszenia z miejsca i szurając winylowymi, granatowymi kaptami, dociera do dość przestronnych i bezpiecznych toalet pierwszej klasy, ze świeżymi kwiatami i kosmetykami do twarzy Molton Brown. Rygluje drzwi i siada, nie mogąc zrozumieć, jak to możliwe, że Prion, właściciel galerii, w której Wojtek chciałby urządzić wystawę ZX-81, leci z nią jednym samolotem do Tokio. Dlaczego? Świat może i jest mały, ale to już zaczyna dziwnie wyglądać. Patrzy na intensywnie niebieski płyn, znikający w wirze spuszczonej wody.

Wracając na miejsce, zauważa, że wokalistka z kolczykami w sutkach nie śpi, siedzi prosto, odłożywszy opaskę. W świetle punktowej lampki nocnej przegląda kredowe kartki czasopisma o modzie. Prion nadal chrapie.

Cayce siada z powrotem w kanoe i dostaje od stewardesy ciepłą białą ręczniczek.

Czemu Prion i wokalistka Velcro Kitty leżą tym rejssem?

Przypomina sobie poglądy ojca na paranoję. Win, zawsze czujny ekspert od zabezpieczeń z epoki zimnej wojny, traktował paranoję jak zwierzę, które da się udomowić i wytresować, jak nieuleczalną chorobę, którą najlepiej powstrzymuje niedopuszczanie do siebie myśli, że stała się częścią twojego, ja”. Była w nim, zawsze obecna i poufała, ale wykorzystywał ją zawodowo, nie pozwalając jej się rozrosnąć, opanować go, pochłonąć jak dżungla. Hodował ją na osobnej, wydzielonej grzędce i codziennie sprawdzał, jakie przynosi wieści, przeczcucia,

oderwane sygnały, anomalie.

Czy obecność Priona w tym samolocie to anomalia?

Dochodzi do wniosku, że mogłaby tak powiedzieć tylko wtedy, gdyby uznała się za centrum, punkt skupienia czegoś, czego nie rozumie, nie potrafi zrozumieć. Pierwsza linia wewnętrznej obrony Wina zawsze opierała się przekonaniu, że sam jest tylko częścią czegoś większego. Twierdził, że paranoja w istocie świadczy o egocentryzmie, a każdy wierzący w spiskową teorię dziejów w taki czy inny sposób chce wywyższyć siebie. Ale lubił też powtarzać, że nawet pa-ranoidalni schizofrenicy mają wrogów.

Cayce dochodzi do wniosku, że niebezpieczeństwa to jedna z odmian apofenii.

Wilgotny ręczniczek w jej dłoni jest już zimny. Kładzie go na poręczy i zamyka oczy.

TWARZ BIKKLE'A

Kiedy wychodzi ze stacji Shinjuku, ciągnąc czarną walizkę na kółkach, zapada elektryczny zmierzch i wita ją nieco inny zapach węglowodorów.

Z Narita pojechała ekspresem Japońskich Linii Kolejowych, wiedząc, że w ten sposób uniknie wleczenia się zderzak w zderzak autostradą i jednego z najnudniej szych na świecie przejazdów autobusem. Samochód Pameli Mainwaring byłby równie powolny i naraziłby ją na kontakt z personelem Blue Ant, a to chciałaby ograniczyć do minimum.

Wkrótce po wyjściu z samolotu straciła z oczu Priona i jego przyjaciółkę, i nawet jeśli przylecieli w najbardziej niewinnym celu, to życzyła im, żeby utknęli w korku, którego jej udało się uniknąć.

Unosi wzrok ku maniakalnie ożywionemu lasowi reklam. Logo Coca-Coli pulsuje wysoko na budynku, a obok slogan: NIE ZASTANAWIAJ SIĘ! Reklama Coca-Coli znika, zastąpiona klipem z najnowszym niusem, obrazem ciemnoskórego mężczyzny w jasnej szacie. Cayce mruga, wyobrażając sobie w to miejsce płonące wieżowce, w ramie zmiennych obrazów i wirujących popiołów. Zbyt dziwne. Czy się wydarzyło?

Powietrze jest ciepłe i nieco wilgotne.

Zatrzymuje taksówkę, tylne drzwi otwierają się przed nią nie wiedząc jakim sposobem, jak to w Japonii. Z rozmachem rzuca walizkę na tył i siada na nieskazitelnym białym okryciu kanapy, prawie zapominając, że ma zamknąć za sobą drzwi.

Taksówkarz w białych rękawiczkach robi to jednak za nią, używając dźwigni pod swoim fotelem, zawraca.

- Tokijski Park Hyatt.

Taksówkarz kiwa głową.

Wsuwają się w gęsty, powolny, uderzająco cichy ruch uliczny. Cayce wyjmuje nowy telefon i włącza go. Ekran ożywia się, pojawiają się *kanji*. Dzwoni niemal natychmiast.

- Tak?

- Proszę z Cayce Pollard.

- Przy telefonie.

- Witamy w Tokio, Cayce. Tu Jennifer Brossard, Blue Ant - słyszy głos z amerykańskim akcentem. - Gdzie jesteś?

- Niedaleko Shinjuku, w drodze do hotelu.

- Potrzebujesz czegoś?

- Chyba snu. - Oczywiście to trochę bardziej skomplikowane, spóźniona dusza ma do przebycia zupełnie nowy szlak. Cayce nie pamięta, jak radziła sobie *zjet lagiem*, będąc tu poprzednio, to dziesięć lat temu. Zapewne tańczyła i dużo piła. Była wtedy o tyle młodsza, a na giełdzie panowała hoss a hoss.

- Masz nasz numer.
- Dziękuję.
- Dobranoc.
- Dobranoc.

I nagle powraca samotność w grobowej ciszy tokijskiej taksówki. Cayce wygląda przez okno, niechętnie dopuszczając do siebie więcej obcej, a jednak na wpół znajomej kultury marketingowej. Okazuje się, że te niezliczone sygnały i znaki to dla niej teraz za dużo. Zamyka oczy.

Kolejne białe rękawiczki wynoszą w Park Hyatt walizkę, składają na wózku bagażowym i zaraz okrywają czymś w rodzaju gęstej jedwabnej sieci rybackiej z ciężarkami. Ten rytualny gest wprawia ją w zdumienie; czy to przeżytek z ery majestatycznych hoteli europejskich?

Białe rękawiczki w przestronnej windzie Hitachi naciskają guzik RECEPCJA. Winda pnie się niesamowicie płynnie, szybkość sprawia, że krew odpływa Cayce z głowy, przelatują piętra, nieoznaczone i nieprzeliczone, wreszcie drzwi otwierają się bezszelestnie na bambusowy gaj, wyrastający z prostokątnego trawnika wielkości kortu do squasha.

Wpis do księgi gości, wprowadzenie karty Blue Ant, podpis, znów jazda w górę przez wiele pięter, w sumie z pięćdziesiąt.

Do tego bardzo dużego pokoju z wielkimi czarnymi meblami. Boj krótko prezentuje rozliczne urządzenia, potem kłania się i znika, nie czekając nawet na napiwek.

Cayce zdumiona mruży oczy. To apartament Jamesa Bonda, raczej Brosnana niż Connelly'ego.

Korzysta z pilota, tak jak ją nauczono, zasłony rozjeżdżają się cicho, odsłaniając niezwykłą, niemal wirtualną panoramę dachów, unoszące się kłębowisko elektrycznych lego, podziobane dziwnymi kształtami, których nie sposób gdzie indziej się spodziewać, chyba żeby zastosować specjalne tokijskie przystawki. Logo korporacji, których Cayce nawet nie rozpoznaje. Dziwny luksus, jakby sam w sobie wart wyprawy. Teraz przypomina go sobie z poprzednich wizyt, jak również fakt, że w zmienionym kontekście pewne marki zmieniły oddziaływanie. Całe morze pledów Burberry'ego nie miało na nią żadnego wpływu, ani Mont Blanc, ani nawet Gucci. Może tym razem nie dopadnie jej nawet Prada.

Zamyka zasłony pilotem i zabiera się do rozpakowywania, wieszania i układania zecapów. Kiedy skończyła, w pokoju nie ma śladu zamieszkania, poza enerdowską kopertówką i czarną walizeczką iBooka, leżącymi na okryciu barwy ecru, rozścielonym na ogromnym łóżku.

Przegląda instrukcje połączenia z Internetem, wyjmuje laptopa i sprawdza pocztę.

Wiadomość od WParkeUbranego z dwoma załącznikami. Pisząc mu o wyjeździe do Tokio, nie podała celu podróży, WParkeUbrany na pewno należy do tych członków forum, którym takie hasła jak „Big-end” i „Blue Ant” coś mówią.

Tytuł: KEIKO. Otwiera wiadomość.

Jak tam w Tokio? Niczym się nie przejmuj, bo w międzyczasie 'Sash i ja dbamy, żeby nie zgasła nocna lampka palona w twojej intencji. To znaczy głównie 'Sash dba, bo to on znalazł nam tę keikopodobną. Z tym, że to nie Keiko, a Judy...

Cayce otwiera pierwszy załącznik i komentuje na głos: - WParcęUbrany, wstydzilibyś się. Oto piętrowy tort, wiadomość w wiadomości, a wszystko wymierzone w Takiego, czy też Takiego według wyobrażeń WParcęUbrane-go i Musashiego.

Keiko-Judy jest niedojrzale dziewczęca i równocześnie agresywnie kobieca, jej kształtne, a przy tym szczupłe nogi wylaniają się ze szkolnej spódniczki w szkocką kratę i znikają w podkolanówkach z niezwykle grubej dzianiny, zrolowanych poniżej łydki. Nieuchwytny moduł wrażliwości Cayce na *cool* niezwykle sprawnie rejestruje parametry fetyszy erotycznych, choćby widziała je po raz pierwszy i wcale na nią nie działały. Po prostu wie, że tego typu podkolanówki należą tu do takich fetyszy, co zapewne wynika z zakorzenionych już japońskich nawyków i upodobań. Jest przekonana, że w Japonii wychodzi czasopismo dla panów poświęcone tej części dziewczęcej odzieży. Podkolanówki Keiko-Judy schodzą do prehistorycznych botków z płócienną cholewką, tylko na grubych płaskich podeszwach, równoważących potężne obwarzanki na kostkach, które upodabniają Keiko-Judy do żrebaka rasy Clydesdale.

Keiko-Judy ma warkoczyki, wielkie ciemne oczy i ogromną bluzę, całkowicie maskującą piersi. Jej cielesność jest tak natarczywa, że aż denerwująca. Bigend natychmiast rozpoznałby przesłanie tego wizerun-kowego przekazu, dziecięcą niewinność i pałace seksualne promieniowanie, działające naprzemiennie na jakiejś nieuchwytniej częstotliwości.

Cayce wraca do tekstu poczty.

Judy Tsuzuki, wzrost - metr siedemdziesiąt trzy i tak japońska jak ty, nie licząc DNA. Z Teksasu. Dwadzieścia siedem lat. Barmanka w tutejszym lokalu, przy ulicy Musashiego. Żeby wprowadzić stosowny chaos w obszarze libidalnym Takiego, zrobiliśmy fotkę naszej długiej Judy i komputerowo skompresowaliśmy ją przynajmniej o jedną trzecią. Ubrana i umalowana w pokoju młodszej siostry Musashiego, w kampusie uniwerku kalifornijskiego. Darryl sam dobrał ciuchy, a potem zdecydowaliśmy się jeszcze o parę kliknięć powiększyć jej oczy. Oto cała różnica. Epokowe wypukłości Judy znikły, przepadły, jakby natura dała jej skromny biust (faktycznie to skrupowaliśmy je bandażem na potrzeby zdjęcia, ale nie za mocno), a wielkie okrągłe oczy, które się nam udało zrobić, to czyste czary animek. Oto dziewczyna, której Taki szukał całe życie, chociaż natura nigdy nie stworzyła czegoś podobnego, i uświadomi to sobie, kiedy tylko jego wzrok padnie na ten wizerunek. Drugi załącznik...

Cayce otwiera go. Tekst w *kanji*, pisakiem, masa wykrzykników.

To pismo Keiko. Będziesz potrzebowała jakiejś Japonki, zapewne młodej, żeby napisała to na komputerze i wydrukowała. Oszczędzę ci tłumaczenia. Od kiedy Musashi wykonał tę imponującą fotografię, pracuję nad podłączeniem cię do Takiego. Się robi, ale nie chcę działać zbyt pochopnie, jako że nasze chłopię wydaje się trochę niestabilne. Keiko właśnie posłała mu wiadomość, że jej przyjaciółka przybędzie do Tokio, i że ma dla niego niespodziankę. Dam ci znać, kiedy dostanę odpowiedź. Ty tam w interesach? Oni ponoć naprawdę żrą surową rybę.

Wstaje, idzie tyłem, aż trafia udami na brzeg łóżka, wyrzuca w górę ramiona i pada na plecy, jakby robiła orła na śniegu. Wpatruje się w biały sufit.

Czemu tu przyjechała? Czy na postronku jej duszy wyrósł jakiś nowy i na zawsze nierozwiązywalny supeł?

Zamyka oczy, ale o spaniu nie ma mowy. Czuje tylko, że gałki oczne są o rozmiar za duże i nie mieszczą się w oczodołach.

Portierzy zachowują staranną obojętność, kiedy opuszcza hotel w dżinsach 501 i ricksonie, odrzucając propozycję wezwania taksówki.

Po kilku przecznicach kupuje od ulicznego żydowskiego sprzedawcy czarną wełnianą czapkę i parę przeciwsłonecznych chińskich okularów, Rolex Daytona jej nie interesował, zwłaszcza jako proponowane uzupełnienie stroju. Nasuwa czapkę na oczy, upycha włosy, zaciąga zamek w ricksonie, garbi się i kuli, zatracając zewnętrzne oznaki płci.

Nie znaczy to, że czuje się tak samo bezpiecznie jak wtedy, kiedy poprzednio tu była, ale do stanu zagrożenia trzeba będzie się przyzwyczaić. Prawdę mówiąc, słyszała, że ilość ciężkich przestępstw wzrosła, ale idzie, jakby nigdy nic. Nie może przecież na zawsze zostać w swoim białym pudełku, wiszącym nad miastem. Nie teraz. Ma wrażenie, że tym razem zastawiła nie tylko duszę i musi się rozchodzić.

Chodzi o Wina. Zaczęła wyświetlać Wina na białych ścianach. Na próżno. Wizerunek się nie pojawił, rozpacz wciąż trwa.

Nie. Stawia ciężko kroki. Idź jak mężczyzna. Weszło się w zatarg z prawem. Ręce w kieszeniach, prawa ścisza okulary przeciwsłoneczne.

I prawo wygrało.

Mija jedną z tych porażająco efektywnych nocnych brygad remontowych, która rozstawiła świeące pachołki piękniejsze niż jej wszystkie lampy, i tnie asfalt stalowymi schładzanymi wodą tarczami. Tokio nie tyle śpi, co pauzuje, przeprowadzając najniezbędniejsze naprawy infrastruktury. Cayce nigdy nie widziała ziemi w tych nacięciach, można by pomyśleć, że asfalt okrywa wyłącznie jednolity pokład rur i przewodów.

Idzie dalej, właściwie bez celu, prowadzona jakimś na wpół zapomnianym poczuciem

orientacji, aż dociera w pobliże Kabukicho, Bezsenego Zamku, strefy tętniącej życiem przez całą noc. Ulice są jasne jak w dzień, a wszystkie bez wyjątku fasady rozpromienione przynajmniej jednym ostrym źródłem światła.

Była tu wcześniej, chociaż nigdy sama, i wie, że to kraina salonów madžonga, małych barów dla bardzo specyficznej klienteli, sex-sho-pów, sklepów z filmami porno i zapewne wieloma innymi artykułami, ale wszystko to funkcjonuje z tak chłodnym nastawieniem, typowym dla przemysłu rozrywkowego, że Cayce zadaje sobie pytanie, ile przyjemności mogą zaznać tu nawet najbardziej oddani entuzjaści tego typu rozrywki.

Ufa, że najgorsze co może się jej tu przytrafić, to próba nawiązania znajomości ze strony wodewilowego, podchmielonego urzędnicy, tak pozbawionego wytrwałości a nawet mobilności, że aż niepoważnego.

Kiedy idzie dalej, hałas rośnie do poziomu huku fabryki; muzyka, piosenki, seksualne japońskie nawoływania jakby z gardła Godzilli.

Cayce udaje, że słyszy morze.

Budynki są niesłychanie wąskie. Wiecznie niespokojne fasady wydają się jednym niekończącym się neonem, obłądnym karnawałowym pochodem obrazów i słów, ale nieco wyżej wiszą zgrabne szyldziki, równe rządki identycznych prostokątów, sygnalizując usługi lub produkty na kolejnych piętrach.

Zatrzymuje ją szyld w połowie wysokości budynku:

DUPCIA BAJECZNA GŁÓWKI NIE OD PARADY

Litery czerwone, kursywą, na żółtym tle. Wpatruje się w nie, ktoś na nią wpada, rzuca coś chrapliwą japońszczyzną i zataczając się, idzie dalej. Cayce nagle zdaje sobie sprawę, że sterczy pośrodku ulicy, przed tętniącym życiem pałacem porno. Para znudzonych naganiaczy lub ochroniarzy podpira otwarte drzwi. Wielki ekran o wysokiej rozdzielczości raczy ją nachalnym ruchomym obrazkiem bardzo zagranicznego pieprzenia, brutalnym i ginekologicznym. Szybko rusza dalej.

Skreca w kolejne uliczki, aż natężenie światła opada na tyle, że może zdjąć okulary. Huk morza cichnie.

Napływa fala. Cayce mięknie nogi.

Tu *majajet lagi* co się zowie. Przy nich londyńskie to rano po nieprzespanej nocy.

- Głowko nie od parady - mówi do siebie w wąskiej, całkowicie opustoszałej ulicy - zabieraj do domu swoją bajeczną dupcię.

Ale którą? Oto pytanie.

Ogląda się tam, skąd przyszła, w głąb wąskiej uliczki, pozbawionej chodnika. Słyszy ronnący warkot małego silnika.

Na mijanym przed chwilą skrzyżowaniu wyrasta jeździec na skuterze, postać w hełmie na tle nigdy nie gasnącej poświaty. Hełm wykonuje obrót, jakby się jej przyglądał. Osłona jest nieprzenikniona, lustrzana. Jeździec nagle zwiększa obroty silniczka, zawraca i znika bez śla-

du jak halucynacja.

Cayce stoi, wpatrując się w puste skrzyżowanie, oświetlone teraz jak scena. Po kilku następnych skrętach odnajduje drogę, sterowana odległą reklamą Gapa*.

Telewizja rozwiewa tajemnicę Billy'ego Priona.

Cayce zamierzała rozsunąć zasłony uniwersalnym pilotem, chcąc popatrzeć na elektryczne lego, kiedy już wzięła prysznic i włożyła biały frotowy szlafrok, i przez pomyłkę włącza wielki telewizor. I oto on, w pełnym neopunkowym stroju zespołu BSE. Połowa ust martwa, połowa wykręcona w wariackiej ucieście, z małej butelki popija bikkle'a, jogurtowy napój orzeźwiający produkowany przez Suntory. Cayce też go lubi. To jej ulubieniec w krainie Pocari Sweat** i Calpis Water***.

* Gap - globalna sieć detalicznego handlu konfekcją. ** Pocari Sweat - japoński napój zrównoważony elektrolitycznie. *** Calpis Water - napój podobny do Pocari Sweat, ale na bazie laktozy.

Przypomina sobie ten smak kostek lodu topiących się na języku i natychmiast ślinka napływa jej do ust.

Kiedy reklamówka się kończy, Cayce zdaje sobie sprawę, że Billy Prion jest w Japonii twarzą napojów Bikkle, a fakt, że jest *gaijinem**, tylko mu pomaga. To że na Zachodzie zupełnie znikł z gazet i telewizji, tu najwyraźniej nikomu nie przeszkadza.

Kiedy udaje się jej wyłączyć telewizor, ręcznie gasi wszystkie lampy. Zasłony zostawia rozsunięte.

Nie zdejmując szlafroka, kuli się w pościeli wielkiego białego łoża i modli się, aby fala napłynęła i zabrała ją na tak długo, jak tylko potrafi.

Napływa, ale gdzieś tam w niej jest i ojciec, i postać na skuterze, i gładki obszar chromowej osłony hełmu.

* *Gaijin* (jap.) - obcokrajowiec.

15. SWOISTOŚĆ

Win Pollard zaginął rano 11 września 2001 roku w Nowym Jorku. Portier z Mayflower wcześniej wezwał mu taksówkę, ale nie przypomniał sobie, jaki adres podał mężczyzna w szarym płaszczu, od którego dostał dolara napiwku.

Cayce może teraz o tym myśleć, bo japońskie słońce świecące przez rozsunięte story tworzy iluzję świata zupełnie innego niż ten, w którym zginął ojciec.

Zwinięta w rozgrzanej ciałem jaskini z delikatnej bawełnianej piżamy i frotowego szlafroka, z pilotem w dłoni mozolnie odbudowuje w pamięci portrety ojca.

Ani ona, ani matka nie wiedziały, że Win był w mieście, a powód czy powody jego pobytu pozostały nie wyjaśnione. Mieszkał w Tennessee na zapuszczonej farmie kupionej dziesięć lat wcześniej. Pracował nad barierkami rozdzielającymi tłumy na wielkich koncertach. W tym okresie, w którym zaginął, akurat występował o patenty na swoje wynalazki. Gdyby zostały mu przyznane, byłyby teraz częścią spuścizny po nim. Pracował z firmą mieszczącą się przy 5. Avenue, ale jego współpracownicy nie mieli pojęcia, że jest w mieście.

Z tego co wiadomo, przedtem nigdy nie zatrzymywał się w Mayflower, a jednak pojawił się tam wieczorem 10 września, rezerwując wcześniej pokój przez Internet. Natychmiast udał się do pokoju i, na ile dało się to ustalić, nie opuszczał go. Poprosił o kanapki z tuńczykiem i tuborga. Do nikogo nie dzwonił.

Ponieważ nie znano powodu jego przyjazdu, nie zakładano, że dotarł w pobliże World Trade Center. Ale Cynthia, matka Cayce, od początku była przekonana, że znalazł się wśród ofiar. Tak mówiły jej głosy. Kiedy się okazało, że CIA miała filię w jednym z przyległych budynków, Cynthia nabrała przekonania, że Win udał się tam z wizytą do starego przyjaciela albo kolegi z pracy.

Sama Cayce znalazła się w SoHo w czasie pierwszego ataku i była świadkiem mikrowydarzenia, które z perspektywy czasu można uznać za znak, co prawda cichy i tajemniczy, że w tamtej chwili cały świat dostał kaczka w twarz.

W małej witrynie ekscentrycznego sprzedawcy antyków przy Spring Street opadł płatek z bukietu zaschniętych róż.

Cayce włączyła się po Spring Street, mając trochę czasu do zabicia przed biznesowym śniadaniem w SoHo Grand. Była wspaniała pogoda. Patrzyła bezmyślnie i z pewną przyjemnością na trzy zardzewiałe skarbonki z kutego żelaza, repliki Empire State Building różnych rozmiarów. Wcześniej słyszała niewiarygodnie głośny i bliski przelot samolotu. Coś mignęło nad zachodnim Broadwayem, ale zaraz znikło. Pewnie kręcono tam film.

Zwiędłe róże w wazie Fiestaware koloru złamanej bieli wyglądały tak, jakby stały tu od kilku miesięcy. Początkowo zapewne białe, teraz miały barwę i fakturę pergaminu. To była tajemnicza wystawa, z pomalowanym na czarno sklejkowym tłem, kompletnie zasłaniającym

wnętrze. Nigdy nie dojrzała, co jest w głębi, ale ekspozycja zmieniała się zgodnie z jakąś swoistą poetyką i przechodząca Cayce miała zwyczaj przystawać i rzucać na nią okiem.

Opada płatek i jednocześnie słycać huk, może zderzenie wielkich ciężarówek, jedno z tych niespodziewanych zdarzeń dźwiękowego tła dolnego Manhattanu. Tylko Cayce jest świadkiem tej miniatuury upadku.

Być może rozlega się syrena albo syreny, ale w Nowym Jorku syreny to rzecz powszednia.

Cayce idzie w kierunku Broadwayu i hotelu, słysząc kolejne syreny.

Przecinając ulicę, widzi zbierający się tłum. Ludzie się zatrzymują, odwracają i patrzą na południe. Pokazują palcami. Dym na tle czystego nieba.

Jest pożar, wysoko w World Trade Center.

Teraz Cayce przyspiesza kroku w kierunku Canal Street, mija ludzi klęczących obok kobiety, która chyba zemdląa.

W polu widzenia ma wieżowce, buchający, niewiarygodny dym. Buczą syreny.

Nadal skupiona na spotkaniu z wybitnym niemieckim projektantem obuwia, wchodzi do SoHo Grand i szybko wspina się po ażurowych schodach, niby z kutego żelaza. Jest dokładnie dziewiąta. Światło w holu ma dziwną podwodną barwę. Cayce ma wrażenie, że śni.

W World Trade Center szaleje pożar.

Cayce znajduje domofon i pyta o projektanta. On odpowiada jej po niemiecku, chrapliwym podnieconym głosem. Chyba nie pamięta, że byli umówieni na śniadanie.

- Proszę, wejdz - mówi po angielsku i jeszcze: - Jest samolot. - Dodaje coś pospiesznie, zduszonym głosem, po niemiecku. Odkłada słuchawkę.

Ma samolot? Musi lecieć? Mieszka na ósmym piętrze. Czyżby chciał zjeść to śniadanie u siebie w pokoju?

Kiedy drzwi windy się zamykają, Cayce zamyka oczy i widzi kruchy, upadający płatek, wirtualny model obracający się w kolorowych rozjaśnionych dekoracjach. Tak przedmioty wiodą swoje samotne, tajemnicze życie.

Drzwi pokoju otwierają się, zanim Cayce zdążyła zastukać. Ukazuje się blady, młody, nieogolony człowiek. Nosi okulary w grubych czarnych oprawkach. Jest w samych skarpetkach, świeżej, krzywo zapiętej koszuli, ma rozpięty rozporek. Wpatruje się w nią, jakby należała do jakiegoś gatunku, który widzi po raz pierwszy w życiu. Głośno pracujący telewizor przekazuje relację CNN i kiedy mija Niemca, bo chociaż nie zaprosił jej do środka, to przecież nie będzie w nieskończoność stać w drzwiach, widzi na ekranie, poniżej pustego kubelka na lód obleczonego dermą, drugi samolot wbijający się w wieżowiec.

Podnosi wzrok ku oknu, za którym widać oba wieżowce. Zapamięta na zawsze widok wybuchającego paliwa o zielonkawym zabarwieniu, o czym potem nigdy nie usłyszy i o czym nigdy nie przeczyta.

Cayce i niemiecki projektant będą oglądać płonące i po jakimś czasie zapadające się wie-

żowce, i chociaż potem będzie zdawać sobie sprawę, że musiała widzieć skaczących, spadających ludzi, to te obrazy nie zachowują się w jej pamięci.

Czuła się tak, jakby ktoś puszczał w telewizji jej własne sny. Jakby zadawał ciężką, głęboko osobistą zniewagę najzwyczajszemu prawu do intymności. Jakby doświadczała czegoś wykraczającego poza normy.

Znajduje właściwy przycisk pilota i zasłony się rozjeżdżają. Wy-czołguje się z białej jaskini i podchodzi do okna, nie zdejmując pogniecionego szlafroka.

Niebieskie niebo. Czystsze niż podczas poprzedniego pobytu. Teraz jeździ się tu na bezolowiowej benzynie.

Spogląda na drzewa otaczające pałac cesarski i widzi te kilka kawałków dachów, obiecanych przez pracownicę Bigenda.

Między drzewami są na pewno ścieżki o zupełnie niewyobrażalnym uroku, których nie zobaczy nigdy.

Próbuje ocenić poziom opóźnienia duszy, ale zupełnie nic nie czuje. Jest sama, tylko w tle szumi klimatyzacja. Sięga po telefon i zamawia śniadanie.

16.
WĘDRUJĄCE GŁOSY

Poprzednio czuła zapach jakby rozgrzanego płynu do czyszczenia piekarnika, drapiący w gardle. Rozwiął się całkowicie?

Skupia się na śniadaniu, idealnie usmażonych jajkach sadzonych i grzance z chleba nieco obcych rozmiarów. Bekon jest kruchy i bardzo płaski, jakby wyprasowany. Luksusowe japońskie hotele podchodzą do zachodniego śniadania tak, jak pracownicy Ricksona do MA-1.

Cayce zastyga z widelcem w połowie drogi do ust, spoglądając na szafę, w której wczoraj powiesiła kurtkę. Tokijski oddział Blue Ant ma pomagać jej we wszystkim, co się da.

Po tym, jak skończyła jeść i wyczyściła talerz ostatnim kawałkiem grzanki, nalewa drugą filiżankę kawy i sprawdza w laptopie miejscowy numer Blue Ant. Dzwoni z komórki i ktoś odzywa się: „Muszi mu-szi”, co sprawia, że Cayce nie może powstrzymać się od uśmiechu. Prosi o Jennifer Brossard i po krótkim: „Cześć” mówi, że potrzebuje kurtki lotniczej MA-1, repliki wytwarzanej przez Buzza Ricksona, numer 38 albo jego japoński ekwiwalent.

- Jeszcze coś?
- Są nie do kupienia. Zamawia się je na rok z góry.
- Czy to wszystko, czego potrzebujesz?
- Tak, dzięki.
- Mamy ci ją posłać do hotelu?
- Tak. Dziękuję.

- To pa. - Jennifer Brossard się rozłącza.

Cayce wyłącza komórkę i przez krótką chwilę wpatruje się w jasne, czyste niebo i wysokościowce o dziwnych kształtach, zwieńczonych jakby talerzami mikrofalówek albo technologicznie wydumanyimi falbankami.

Dochodzi do ciekawego wniosku, że już nie interesuje jej to.

Kiedy sprzątac psychosomatycznego pieca wracza do akcji, przychodzi czas zająć się innymi sprawami, takimi, które coś dają pozwalają zapomnieć. Bierze prysznic, ubiera się, pisze e-maila do WPar-kęUbranego.

Muszi muszi. Mam nadzieję, że rozwinąłeś Judy z tego elastycznego bandaża. Jest z niej fantastyczna Keiko. Każę to wydrukować i napisać tekst odręcznie, a potem decyduj. Mam laptopa, który łączy się z siecią przez komórkę, chociaż jeszcze nie wiem, jak połączyć laptopa z komórką. Ale zabieram go z sobą i wszystkiego dojdę. Będę sprawdzać pocztę. Tu masz numer mojej komórki, gdybyś potrzebował zwyczajnie pogadać.

Sprawdza i wypisuje numer telefonu.

Teraz mogę tylko czekać, żebyś podpiął mnie do Takiego.

Wcześniej rozmawiała z WPar-kęUbranym dwa razy i za każdym razem czuła się dziwnie, jak podczas telefonicznej rozmowy z człowiekiem, którego zna się dobrze z Internetu, ale którego nigdy się nie widziało.

Zastanawia się nad otwarciem poczty od matki, ale uznaje, że to może być za dużo po wspomnieniach w chwili przebudzenia. Z wiadomościami od matki często tak bywa.

Na dole, w centrum dla biznesmenów, przepiękna hostessa w kostiumie sekretarki, wyglądającym jakby zaprojektował go Miyake, drukuje obraz Keiko na sztywnym arkuszu superbłyszczącego papieru formatu A4.

Cayce czuje się zażenowana, ale śliczna hostessa nie okazuje żadnych emocji. Zachęcona tym Cayce każe jej również wydrukować napis w *kanji* podany przez Darryla i prosi o przepisanie go czarnym pisakiem pod fotografią.

- Potrzebujemy tego do filmu - kłamie, wyjaśniając. Niepotrzebnie, gdyż hostessa przygląda się napisowi, spokojnie ocenia ilość wolnego miejsca na fotografii i umieszcza bardzo zbliżoną wersję, z wykrzyknikami włącznie. Zastyga z pisakiem nad fotografią.

- Tak? - pyta Cayce.

- Proszę o wybaczenie, ale może dodać uśmiechniętą buźkę?

- Proszę. - Hostessa szybko dodaje uśmiechniętą buźkę, zakręca pisak, podaje Cayce fotografię, trzymając ją obiema rękami, i kłania się. - Bardzo dziękuję.

- Bardzo proszę. - Kolejny ukłon.

Cayce mija bambusowy gaj w hotelowym holu na wysokości nieba i zauważa w ściennym lustrze stan swojej fryzury. Błyskawiczny telefon do Jennifer Brossard.

- Tu Cayce. Muszę iść do fryzjera.

- Kiedy?

- Teraz.

- Masz coś do pisania?

Dwadzieścia minut później jest w Shibuya, w mrocznym pokoju na piętnastym piętrze cylindrycznego budynku, mgliście przypominającego szafę grającą Wurlitzera, masowana gorącymi kamieniami, o co nie prosiła. Żadna z kosmetyczek i fryzjerek nie mówi po angielsku, ale Cayce decyduje się po prostu poddać harmonogramowi, licząc na to, że wcześniej czy później zrobią jej włosy.

I poddaje się mu, doświadczając przez blisko cztery godziny wielkiego, obcego luksusu, chociaż okazuje się, że obejmuje maseczkę z alg, czyszczenie i masaż twarzy, wyrównanie brwi i usunięcie niepotrzebnego zarostu, manikiur, pedikiur, depilację nóg (do kolan) i pachwin. Z tego ostatniego Cayce wywija się w ostatniej chwili.

Kiedy próbuje zapłacić kartą Blue Ant, kosmetyczki chichocą i opędzają się. Cayce ponawia próbę i jedna z nich wskazuje logo karty. Zapewne Blue Ant ma tu otwarty rachunek albo salon obsługi modelki i modeli firmy, i to jest usługa gratisowa.

Wychodząc, czuje się równocześnie lżejsza i głupsza, jakby razem z innymi tkankami zostawiła za sobą parę szarych komórek. Ma na sobie więcej makijażu, niż zwykle nakłada w miesiąc, ale pomalowały ją spokojnie jak wyznawcy zen profesjonalistki, dla których ideałem jest japoński odpowiednik Enyi.

Na swój widok w pierwszym lustrze zatrzymuje się. Musi przyznać, że ma niebanalnie zrobione włosy, paradoksalne skrzyżowanie uczesania i rozkuślenia. Jak włosy animek w powiększeniu.

Ale reszta image'u nie pasuje. Standardowy zecap nie wytrzymuje konkurencji z tym poziomem kosmetycznej prezentacji, wybitnym jak kuchnia mistrza sushi.

Otwiera i zamyka usta, bojąc się oblicać. Dostała zestaw do poprawienia makijażu, jest w walizeczce laptopa, kolejny produkt wysokiej klasy, wart zapewne setki dolarów, ale wie, że sama nigdy nie dorówna tym, które zrobiły ją przed chwilą.

Na następnej przecznicy napotyka dom Parco, przy którego mikro-butikach Fred Segal* z Melrose Avenue wygląda jak dom towarowy w Montanie.

Po niespełna godzinie wynurza się z Parco w zaklejonym taśmą ricksonie, czarnej wełnianej spódniczce, bawełnianym swetrze, czarnych rajstopach od Fogala, które pewnie kosztują tyle ile dwutygodniowy czynsz za jej nowojorskie mieszkanie, i czarnych zamszowych francuskich botkach w stylu retro, idealnie pasujących do reszty. Zecap, który poprzednio miała na sobie, kazała włożyć do dużej reklamówki Parco, a laptop jest w grafitowej, ergonomicznej torbie na biodrach, wiszącej na szerokim pasku, przebiegającym ukośnie między

piersiami, dzięki czemu sweter nie całkiem maskuje to, czego nie powinien maskować.

Konwersji na zecap dokonano nożykami do szwów w dziale pasmanteryjnym Mujiego**, na ósmym piętrze. Metki bez wyjątku powędrowały do kosza. Bez wyjątku poza minimetką METKA na torbie. Może jakoś to przeżyje. Okaże się.

Wszystko to na kartę Bigenda. Sama nie wie, co powinna o tym myśleć, ale pewnie się dowie.

Dokładnie naprzeciwko jest kawiarnia, piętrowy klon Starbucksa, w którym chyba wszyscy zapalają papierosa od papierosa. Zamawia mrożoną herbatę, dziwiąc się małym pojemniczkom na cukier w pły-

* Fred Segal - minipasaż butików w Los Angeles, oferujący (i kreujący) najmodniejsze ubrania, dodatki i usługi kosmetyczne Wybrzeża Zachodniego; mekka hollywoodzkich gwiazd.

** Muji - japoński producent i sprzedawca cenionych ubrań, mebli, wyposażenia kuchni, łazienek, biur, kierujący się zasadami zen: anonimowością, prostotą i funkcjonalnością.

nie i sok cytrynowy (czemu u nas na to nie wpadli?) i idzie na piętro, gdzie jest mniej palących.

Siada przy kontuarze - jest w stylu skandynawskim, z jasnego drewna - przy oknie wychodzącym na ulicę i drzwi domu Parco, wypakuje laptopa, telefon i instrukcję obsługi. Nie należy do tych, którzy nigdy nie czytają instrukcji, chociaż woli ograniczyć się do przelecenia ich wzrokiem. Po dziesięciu minutach wyłożonych zabiegów ma F:E:F na ekranie, połączenie bezprzewodowe działa sprawnie, słodzi więc cytrynową herbatę i sprawdza, co się dzieje. Wie, czego można się spodziewać na tym etapie, po wynurzeniu się nowego segmentu. Wszyscy już obejrzeni go kilkakrotnie, odbyła się burza mózgów i teraz spływają bardziej osobiste, pogłębione interpretacje.

Patrzy na ulicę, na której pojazdy o dziwnych wymiarach rozdzielają sznury pojazdów wyglądających znajomo (po całym świecie jeździ masa Japończyków) i zauważa srebrny skuter, którego kierowca ma na sobie srebrny hełm z lustrzaną osłoną, dobrany pod kolor karoserii skutera, i wojskową amerykańską parkę M-1951, z wyszytą na plecach białą-niebieską kokardą RAF-u, wyglądającą jak tarcza strzelnicza. Pamięć Cayce błyskawicznie wraca do poranka w londyńskim Soho. Widzi okna sklepu z modnymi dodatkami, oglądanego przed spotkaniem w Blue Ant.

W jej naturze leży dostrzec ten szczegół, ten zabłąkany detal wspomnień; wojskowy symbol angielski, wybrany przez wojowników mody i umieszczony w innym kontekście za sprawą echa międzykulturowego. Ale kierowca skutera dobrze myśli; parka model '51 to jest to.

Cayce sprawdza pocztę. Jest wiadomość od WParkeUbranego.

Nastawiam uszy, o pani Muji.

Jest zaskoczona, bo dopiero co przyleciała do Tokio, ale przypomina sobie, że WParcęUbrany wie, iż lubi Mujiego, bo ten nigdy nie umieszcza żadnych logo. Opowiedziała mu o swojej awersji.

Gdzie dokładnie jesteś? Blisko, na ile mogę ocenić. Taki normalnie pracuje na Shinjuku. Proponuje spotkanie na Roppongi, wczesnym wieczorem. Powiedziałem mu, że masz dla niego pozdrowienia od Keiko i wyjątkową przesyłkę. Jesteś nauczycielką, chociaż nie jej, od niedawna przyjaciółką i pomagałaś jej w angielskim. Jesteś też eme-ferką, o czym on wie, jako że Keiko też nią jest. Keiko daje do zrozumienia, że jak on poda ci ten numer, to ty może jakoś pomożesz jej na uczelni. Taki wie, że nie mówisz po japońsku, ale podobno wystarczająco zna angielski, żeby poradzić sobie podczas tego rodzaju kontaktu. Uff. Mówię uff, bo bardzo ciężko pracowaliśmy, Darryl i ja, będąc Keiko. Myślę, że włożyliśmy w to tyle starań, że powinien podać ci ten numer, jeśli zależy mu na dalszej interakcji. Zakładam, że jesteś gotowa, chociaż przebywasz tam w sprawach zawodowych, więc nie wyłączaj komórki. Zadzwoń, kiedy tylko będę miał czas i sposobność i wyślę ci e-mailem mapę, którą Taki podobno również wyśle Keiko.

Wyłącza laptopa, zamyka go, odłącza komórkę i wszystko pakuje. Dym zaczyna dawać jej w kość. Rozgląda się. Nie ulega wątpliwości, że każdy mężczyzna się na nią gapił, ale pod jej wzrokiem natychmiast patrzą w dół albo w bok.

Pociąga ostatni łyk herbaty, zsuwa się z wysokiego stołka, zakłada torbę na ramię, bierze reklamówkę Parco i idzie do schodów wyjściowych.

Spóźniając się, dusza wyczynia dziwne sztuczki z czasem. Wydaje się, że dowolnie rozszerza go, oddala. Cayce miała wrażenie, że cała ogromna sesja w Shibuya poświęcona jej główce nie od parady i doprowadzaniu dupci do bajecznego stanu, a także późniejsze zakupy w Parco zajęły pełne pięć godzin, ale następne cztery upłynęły, kiedy włączyła się taksówką i piechotą od jednego punktu do drugiego w dziale Hello Kitty!* Kiddylandu**, po czym skurczyły się w jedną chwilę japońskiej magmy.

I dlaczego, zastanawia się, patrząc bezmyślnie na kolejne artykuły w Hello Kitty!, takie japońskie franchisingi nie powodują u niej trzęsienia ziemi, ataków paniki, nie wzywa przy nich kaczkę?

Nie wie, dlaczego. Po prostu nie. Tak jak nie powoduje go Kogepan, obojętny dla oka, niepokojąco pozbawiony wyrazu dzidzius w pieluchach, którego imię, co mętnie sobie przypomina, znaczy: spalona grzanka. Bóstwa Kogepana plasują się niżej Hello Kitty!; ten pierwszy franchising nigdy nie osiągnął globalnego zasięgu drugiego. Można

* Hello Kitty! - japoński producent zabawek i mebli dla dzieci. ** Kiddyland - dziecięcy dom towarowy w Harajuku.

kupić kogepanowe torebki, magnesowane notatniki do wieszania na lodówce, długopisy, zapalniczki, szczotki do włosów, zszywacze, piórniki, plecaki, zegarki, figurki. Poniżej Kogepana jest franchising żalostnej bezkształtnej pandy i jej pandusiąt. I nic z tej masówki, tyleż do niczego nie potrzebnej, co bezwzględnie pchającej się pod oczy, nie działa na Cayce.

Rozlega się dziwny, denerwujący dźwięk, pokonujący nawet elektroniczną wrzawę Kiddylandu, i w końcu Cayce zdaje sobie sprawę, że to jej telefon.

- Halo?

- Cayce? WParęUbrany. - Jego głos brzmi zupełnie inaczej, niż można by to sobie wyobrazić, czytając wpisy na forum. Dojrzałej? Inaczej.

- Co u ciebie?

- Wciąż na nogach - mówi.

- Która tam jest?

- Chyba chodzi ci o to, który dzień? - poprawia ją. - Wolę nie mówić. Jeszcze bym się rozryczał. Ale mniejsza z tym. On chce się z tobą spotkać w barze na Roppongi. Tak myślę, że to bar. Mówi, że nie ma angielskiej nazwy, tylko czerwone latarnie przed wejściem.

- *Nomiya*.*

- Facet tak mnie wymęczył, że mam wrażenie, jakbym tam mieszkał. Mam tego dość. Darryl i ja czujemy się, jakbyśmy kursowali po Marsie wózkami golfowymi dla astronautów; wieczny *jet lag*. Funkcjonujemy w strefie czasowej Tokio i walczymy o to, żeby nie paść z nóg, pracując w dwóch strefach. Więc Taki posłał Keiko mapkę, zgadza się? I ja posłałem ją tobie, i on mówi: wpół do siódmej.

- Czy go rozpoznam?

- Z tego, cośmy widzieli, to nie Ryuichi Sakamoto**. Nie zapomnij, że Keiko myśli inaczej. Praktycznie zapowiedziała mu, że odda mu swój skarb, kiedy wróci do ojczyzny.

Cayce się krzywi. Ten aspekt przyszłości jest wyjątkowo nieprzyjemny.

* *Nomiya* - w Japonii: pijackie nory, poza Japonią: bary i restauracje z klasycznymi japońskimi potrawami i napojami.

** Ryuichi Sakamoto - urodziwy japoński kompozytor, muzyk, producent, aktor.

- Ale poda mi numer?
- Tak myślę. Jak nie, nie ma mowy o obrazku Keiko.
- Ty... to znaczy ona mu to powiedziała? - Ta część podoba się jej jeszcze mniej.
- Nie, oczywiście że nie. To dar miłości, coś co ma go podtrzymać, aż ona dowiezie skarb do Tokio. Ale ty musisz dostać ten numer. Niech to będzie jasne.

- Jak?

- Wyciągniesz go od niego.

- Dzięki.

- Chcesz dowiedzieć się prawdy o tych całych emefach, no nie?

- Jesteś niezastąpiony.

- Jak ty. To dlatego się rozumiemy. Teraz zamierzam zjeść całą torbę ziarenek kawy w czekoladzie i będę tu tkwił, zgrzytając zębami, aż mi same pieńki zostaną, póki się nie odzwiesz.

Rozłącza się.

Cayce wpatruje się w te wszystkie oczy Hello Kitty!, Kogepanów i bezkształtnych pand.

JATKA ULICZNA

Idzie Roppongi Dori spod ANA Hotel, gdzie kazała się dowieźć taksówkarzowi, w cieniu wielopoziomowej estakady, która wygląda w tym mieście jak jakaś straszna starość. Ktoś kiedyś powiedział jej, że Tarkowski filmując *Solaris*, zrobił z estakady odnalezione Miasto Przyszłości.

Teraz, po pół wieku używania i smogu, wygląda jak scenografia *Łowcy androidów*; betonowe krawędzie osiągnęły porowatość rafy koralowej. Zmierzch wcześniej zapada tu, na dole, i Cayce dostrzega ślady obozowisk bezdomnych: zawinięte w plastik koce poupychane w zaśmieconych do granic możliwości szpalerach miejskich zarośli. W górze huczą pojazdy, bębniąc nieustannie, kurz sypie się za każdym przejazdem.

Pamięta Roppongi jako niezbyt miłe miejsce, jedno z tych nieokreślonych terytoriów, rodzaj nadgranicznego miasta, epicentrum międzykulturowego handlu erotycznego w szalonych latach 80. Chodziła tutaj do tłumnych barów, wtedy modnych, ale teraz chyba już nie, ale zawsze zalegał w nich cień jakiejś podłości, którego nie dostrzegało się nigdzie indziej.

Przystaje, czując, jak plastikowa rączka torby Parco wrzyna się w dłoń. Tak od dobrych kilku godzin. Reklamówka nie pasuje na to spotkanie. Nie ma w niej niczego poza trzeciorzędą spódniczką, rajstopami i bluzeczką Fruit of the Loom. Wsuwa ją między postrzępione krzewy w cieniu estakady, skarłowaciałe do rozmiarów bonsai, zostawia i idzie dalej.

Wychodzi z cienia i wchodzi wyżej, w prawdziwy wieczór, do właściwego Roppongi. Spogląda na mapę, przerysowaną wcześniej z ekranu laptopa na serwetkę. W Parkę Ubrany przesłał segment mapy Tokio otrzymany od Takiego. Miejsce spotkania zaznaczono krzyżykiem. To jedna z uliczek za głównym ciągiem komunikacyjnym. Cayce pamięta, że uliczki były albo eleganckie, albo zaplute, zależnie od tego, jak szły interesy.

Po dwudziestu minutach błakania się z serwetką w ręce przekonuje się, że uliczka jest zapluta. W pewnej chwili dostrzega bar Henry Africa, lokal cudzoziemców mieszkających tu na stałe, ale to nie jej cel.

Swój cel rejestruje kątem oka, przechodząc obok. Jeden z tych bezimiennych lokali pubopodobnych, oznaczonych czerwoną latarnią, które turyści z zasady omijają. Mieszczą się zazwyczaj na parterze, przy takich właśnie bocznych uliczkach. Ich zerowy albo prawie zerowy wystrój przypomina Cayce pewne wodopoje na rogach ulic dolnego Manhattanu, teraz już w zaniku, bo historyczne granice miasta się poszerzyły, początkowo pod naporem dekady disneylandyzacji, a teraz pod wpływem jakiegoś jeszcze potężniejszego uroku.

Za brudną zasłoną stoją puste, obrotowe stołki barowe na chromowanych nogach, które zwykle rozstawiano wokół saturatora, przy czym te są bardzo niskie, podobnie jak sam bar. Ich czerwona tapicerka popękała i rozłazi się. Została poklejona taśmą jak kurtka Cayce.

Cayce wzdycha, prostuje się, odwraca i pochylając się, mija zasłonę, wkraczając

w wiekowe i dziwnie przyjemne wonie smażonych sardynek, piwa i papierosów.

Bez trudu poznaje Takiego. Jest jedynym klientem. Unosi się i kłania, z zażenowania czerwony jak pomidor.

- Ty musisz być Taki. Jestem Cayce Pollard. Przyjaciółka Keiko z Kalifornii.

Taki gwałtownie mruga za zaśnieżonymi lupieżem okularami i kiwa się w miejscu, niepewny, czy powinien z powrotem usiąść. Cayce sięga po krzesło naprzeciwko, zdejmując torbę, ricksona, wiesza jedno i drugie na oparciu. Siada.

Taki również siada. Ma przed sobą otwartą butelkę piwa. Mruga, nic nie mówi.

Skopiowawszy mapkę na serwetkę, jeszcze raz przeczytała to, co WParcęUbrany napisał o Takim:

Taki, tak każe się nam nazywać, twierdzi, że krąży po obrzeżu pewnego stowarzyszenia o charakterze *otaku*, grupy, która określa się jako „Mistyczna”, chociaż jej członkowie nigdy nie używają tej nazwy publicznie, więcej, nigdy się do niej nie odwołują. Według Takiego to właśnie pracusie z Mistycznej złamali filigran #78. Taki twierdzi, że w segmencie jest numer, który podobno widział i zna.

Cayce dochodzi do wniosku, że ma do czynienia z wyjątkowym przedstawicielem dziwacznej japońskiej subkultury. Taki jest zapewne tego rodzaju facetem, który wie wszystko, co można wiedzieć na temat jakiegoś sowieckiego transportera opancerzonego, lub który zagracca mieszkanie pudłami z nigdy nie złożonymi plastikowymi modelami.

Chyba sapie.

Cayce dostrzega wzrok barmana. Wskazuje głową plakat z reklamą Asahi Lite.

- Keiko wiele mi o tobie opowiadała - mówi, wcielając się w postać jej przyjaciółki, ale w efekcie tamten chyba tylko jeszcze bardziej chce zapaść się pod ziemię. - Ale raczej nie wspomniała, czym się zajmujesz.

Taki nic nie odpowiada.

Nadzieja WParcęUbranego, że Taki na tyle zna angielski, aby przeprowadzić transakcję, może być płonna. Pięknie. Cayce Pollard siedzi sobie tu, pół świata od domu, próbując wymienić pornograficzny artykuł robiony pod klienta na szereg cyfr, który może nawet nic nie znaczyć. A Taki siedzi dalej, sapie i Cayce żałuje, że nie znajduje się w jakimś innym miejscu, obojętnie jakim, byle nie w tym.

Taki ma jakieś dwadzieścia pięć lat i lekką nadwagę. Jego krótkie włosy owłosienie dziwnie sterczy w różnych kierunkach. Nosi tandetne okulary w czarnych ramkach. Niebieska, starannie zapięta koszula i bezbarwna kurtka w kratę wyglądają na wyprane, ale nigdy nie prasowane.

Zgodnie z tym, co zauważył WParcęUbrany, nie jest to najprzystojniejszy facet, z którym Cayce ostatnio piła drinka. Chociaż jak pomyśli, że ten tytuł przysługiwałby Bigendowi, to krzywi się z dezaprobatą.

- Się zajmuję? - odzywa się Taki, reagując być może na skrzywienie.

- Co robisz?

Barman podaje piwo.

- Gry - udaje mu się wreszcie wydusić. - Projektuję gry. Do telefonów komórkowych.

Cayce uśmiecha się - ma nadzieję, że zachęcająco - i pociąga swoje Asahi Lite. Jej wyrzuty sumienia rosną z każdą chwilą. Zdenerwowany Taki - nie zapamiętała jego nazwiska i prawdopodobnie nigdy nie zapamięta - ma wielkie półkole potu pod pachami. Jego wargi są czerwone, wilgotne i zapewne pluje, kiedy mówi. Gdyby był jeszcze bardziej przerażony, pewnie zwinąłby się w kłębek i umarł.

Żałuje, że doprowadziła dupcię do bajecznego stanu i kupiła te ciuchy. Zrobiła to dla niego, ale naprawdę nie wyobrażała sobie, że będzie miała do czynienia z człowiekiem o takich trudnościach w kontaktach towarzyskich. Może gdyby wyglądała zwyczajnie, nie byłby tak przerażony. A może byłby, bez względu na wszystko.

- To ciekawe - kłamie Cayce. - Keiko dużo mi o tobie opowiadała, o komputerach i takich tam.

Teraz z kolei on się krzywi, jakby dostał w nos, i jednym haustem dopija swoje piwo.

- Takich tam? Keiko? Mówiła?

- Tak. Słyszałeś o emefach?

- Film sieciowy. - Teraz wygląda wręcz rozpaczliwie. Ciężkie szkła, śliskie od potu, zjeżdżają nieuchronnie z nosa. Cayce hamuje się, żeby nie wyciągnąć ręki i nie podsunąć ich.

- Ty... znasz Keiko? - wyduszając to z siebie, znów się krzywi. Cayce ma ochotę zakłaskać.

- Tak! Jest cudowna! Prosiła mnie, żebym coś ci przywiozła. Nagle odczuwa pełne opóźnienie duszy na trasie Londyn-Tokio,

nie tyle miażdżącą falę, co implozję wszechświata. Wyobraża sobie, że przełazi przez bar, obok barmana o dziobatej, dziwnie wypukłej twarzy, kładzie się na podłodze i skulona za rzędem butelek leży nieruchomo przez tydzień.

Taki grzebie w bocznej kieszeni kurtki, wyjmując pogniecioną paczkę casterów. Częstuje ją.

- Nie, dziękuję.

- Keiko przysyła? - Wsadza castera do ust i zostawia nie zapalonego.

- Fotografie. - Cayce jest zadowolona, że nie widzi swojego uśmiechu, musi być upiorny.

- Daj mi zdjęcie Keiko! - Chwilowo wyjęty caster wraca między wargi. Drży.

- Taki, Keiko mówiła mi, że coś odkryłeś. Numer. Ukryty w eme-fie. Czy to prawda?

Oczy zwięzają mu się. To nie jest wyraz wrogości, ale podejrzliwości, przynajmniej tak można to odczytać.

- Jesteś emeferką?

- Tak.

- Keiko lubi emefy?

Teraz musi improwizować, bo nie jest pewna, co WParcęUbrany i Musashi mu napletli.

- Keiko jest bardzo miła. Bardzo miła wobec mnie. Lubi mi pomagać w związku z moim hobby.

- Ty bardzo lubisz Keiko?

- Tak! - Kiwa głową i uśmiecha się.

- Lubisz... *Anię z Zielonego Wzgórza*?

Cayce otwiera usta, ale nic się z nich nie wydobywa.

- Moja siostra lubi *Anię z Zielonego Wzgórza*, ale Keiko... nie zna *Ani z Zielonego Wzgórza*.

Caster pozostaje nie zapalony, a oczy za zaśnieżonymi lupieżem soczewkami kalkulują. Czy WParcęUbrany i Musashi nie przedobrzyli, generując postać tej japońskiej dziewczyny? Gdyby Keiko była prawdziwa, czy powinna przypominać Anię z Zielonego Wzgórza? I wszystko, co Cayce wie o kulcie *Ani z Zielonego Wzgórza* w Japonii, po prostu rozwiewa się w kłębku mgły synaptycznej.

Ale wtem Taki uśmiecha się po raz pierwszy i wyjmuje castera z ust.

- Keiko nowoczesna dziewczyna. - Kiwa głową. - Zwariowana na punkcie zdrowego ciała!

- Tak! Tak! Bardzo nowoczesna.

Caster z zaślinionym pseudokorkowym filtrem wraca między wargi. Taki znów grzebie w kieszeniach, wyjmując zapalniczkę z Hello Kitty! i zapala papierosa. To nie plastikowa jednorazówka, ale chromowane zippo lub dobra podróbka. Cayce ma wrażenie, że zapalniczka towarzyszyła jej z Kiddy landu, że to szpieg grupowego umysłu Hello Kitty! Roznosi się smród benzyny. Taki odkłada zapalniczkę.

- Numer... bardzo trudne.

- Keiko powiedziała mi, że okazałeś wielki spryt, znajdując ten numer.

Taki kiwa głową. Wydaje się zadowolony. Wydmuchuje dym. Strzepuje popiół do popielniczki z reklamą Asahi. Za barem, na skraju pola widzenia Cayce, jest tandetny telewizorek, wykonany z przezroczystego plastiku. Ma kształt hełmu gracza w futbol amerykański. Na sześciocalowym ekranie krzycząca twarz usiłuje się przebić przez cieniutki lateks, potem jest krótka relacja z zapadania się południowej wieży WTC, następnie cztery idealnie okrągłe zielone melony toczą się po płaskiej białej powierzchni.

- Keiko powiedziała mi, że dasz mi ten numer. - Kolejny wymuszony uśmiech. - Keiko mówi, że jesteś bardzo miły.

Twarz Takiego ciemnieje. Cayce ma nadzieję, że to nie oznaka gniewu, ale drgnęły głębsze pokłady zażenowania, lub też Japończycy nie mają enzymu rozkładającego alkohol. Taki błyskawicznym ruchem wyjmując z wewnętrznej kieszeni kurtki palmtopa i kieruje ku niej szczeliną wysyłającą promienie podczerwone.

Chce przesłać numer.

- Nie mam palmtopa - mówi mu Cayce.

Taki marszczy brwi, wyjmując gruby, staromodny pisak. Cayce jest na to przygotowana, podsuwa serwetkę, na której narysowała mapkę Roppongi. Taki się marszczy jeszcze bardziej, przewija obraz na palm-topie, następnie wypisuje numer na złożonej serwetce.

Cayce przygląda się mu, kiedy przepisuje trzy czterocyfrowe zestawienia, filcowa końcówka zostawia gruby niewyraźny ślad na szorstkim papierze. Cayce ma przed sobą numer do góry nogami: 8304 6805 2235. Wygląda jak oznaczenie listu przewozowego Federal Express. Odbiera serwetkę.

Taki zakręca pisak.

Cayce szybko sięga do torby, którą ukradkiem rozsunęła na wszelki wypadek, i wyciąga kopertę z wizerunkiem Judy.

- Chciała, aby ci to przekazać - mówi.

Kiedy Taki niezdarnie otwiera kopertę, Cayce boi się, że ją podrze. Ręce mu drżą. Ale udaje mu się wyjąć zdjęcie, patrzy na nie i oczy zachodzą mu łzami.

Cayce ledwo może to znieść.

- Przepraszam, Taki - wykonuje gest w kierunku, w którym powinny być toalety - zaraz wracam.

Zostawia ricksona, torbę z laptopem i wstaje. Nie wypuszcza serwetki z rąk. Porozumiawszy się na migi z barmanem, idzie maleńkim korytarzykiem i wchodzi do najbrudniejszej japońskiej toalety, jaką widziała od nie wiedzieć kiedy, jednego z tych staromodnych pomieszczeń z dziurą w betonowej podłodze. Cuchnie środkiem odkażającym i, zapewne, uryną, ale są drzwi, które Cayce może zamknąć, oddzielając się od Takiego.

Oddycha głęboko, zaraz tego żałuje i patrzy na numer na serwetce. Tusz wsiąka w papier i możliwe, że napis wkrótce stanie się nieczytelny. Ale w tym momencie Cayce dostrzega niebieski plastikowy długopis, leżący na ściennej suszarce do rąk. Bierze go, przedmiot zostawia brudę w warstwie gruboziarnistego kurzu, przebłysk chromu. Cayce sprawdza na poźółkłej, wyzbytej graffiti ścianie, czy długopis pisze. Pojawia się cienki niebieski ślad.

Przepisuje numer na wnętrze lewej dłoni, odkłada długopis na suszarkę, zgniata serwetkę i ciska do kloacznej dziury w podłodze. Następnie decyduje, że skoro już się tu znalazła, zrobi siusiu. Nie po raz pierwszy sika w takich warunkach, ale nie byłaby zmartwiona, gdyby po raz ostatni.

Kiedy wraca do stolika, Takiego już nie ma. Na stoliku, obok pustej butelki po piwie, na wpół pustej szklanki z piwem, popielniczki i rozerwanej koperty leżą dwa zmięte banknoty. Cayce ogląda się na barmana, który jakby ledwo zwraca na nią uwagę.

W czerwonym telewizorze owadzi superbohaterowie mkną na opływowych motocyklach przez komiksowy pejzaż miasta.

- Dostał kaczką w twarz - mówi do barmana, narzuca ricksona i przekłada przez głowę pasek torby.

Barman ponuro kiwa głową.

Na zewnątrz nie ma nawet śladu po Takim, zresztą wcale się go nie spodziewała. Rozgląda się na boki, zastanawiając się, jak szybko złapać taksówkę, która zawiozłaby ją do hotelu.

- Znasz ten bar?

Widzi gładką, opaloną, ewidentnie europejską twarz, która jakoś zupełnie się jej nie podoba. Ocenia resztę. Klon Prądy; czarna skóra, lśniący nylon, buty z czubkami, których Cayce nie cierpi.

Ręce łapią ją z tyłu, mocno, tuż nad łokciami, przyciskają ramiona do boków.

„Tego można było się spodziewać” - myśli Cayce. „Tego można było się spodziewać...”.

Kiedy znalazła się z ojcem w Nowym Jorku, ten uparł się, żeby wzięła lekcje samoobrony u niskiego, wymuskanego grubaska, Szkota nazywanego „Królik”. Cayce kłóciła się, argumentując, że Nowy Jork nie jest już tak niebezpieczny, jak pamięta go Win, co było prawdą, ale prościej było złożyć sześć wizyt Królikowi, niż przekonać Wina.

Ojciec opowiedział jej, że Królik służył w SAS, ale kiedy spytała o to Królika, wyjaśnił, że zawsze był za gruby na SAS i prawdę mówiąc, służył jako sanitariusz. Królik lubił swetry

na guziki i koszule w wielobarwną kratę, miał prawie tyle lat co Win i zapowiedział Cayce, że nauczy ją, jak „twardzi faceci” walczyć w pubach. Pokiwała z powagą głową dochodząc do wniosku, że gdyby takie typy kiedykolwiek się jej narzucały, przynajmniej da sobie z nimi radę. I tak, podczas gdy niektóre jej przyjaciółki zgłębiały tajemnice boksu tajskiego, ją nauczono skromnego półtuzina układów najczęściej wykorzystywanych w karczerach angielskich więzień.

Królik posługiwał się terminem: jatka uliczna. Zawsze wymawiał go z lubością unosząc jasnopiaskowe brwi. Tak się złożyło, że Cayce nigdy nie znalazła się w sytuacji, w której mogłaby urządzić na Manhattanie uliczną jatkę Królika.

Kiedy palce klona Prądy miętola rzep paska między jej piersiami, usiłując przejąć torbę, Cayce uświadamia sobie, że oto instynktownie wprowadza w życie scenariusz, którego nauczył ją Królik: nagle wyciąga ręce, łapiąc cienkie jak skórka rękawiczek skórzane klapy przeciwnika. Gdy już trzyma go mocno, drugi napastnik nieświadomie współpracuje z nią szarpiąc ją w tył. Wtedy ona przyciąga z całą mocą pierwszego i równocześnie uderza go, jak tylko potrafi najsilniej, czołem w nos.

Nigdy wcześniej nie przerabiała praktycznie tego układu, gdyż Królik nie miał nosa do stracenia, i jest nieprzygotowana zarówno na ból, którego doznaje, jak i ogłuszający trzask przegrody nosowej, pękającej na jej czole.

Bezwładne ciało, które nagle osuwa się na chodnik, jest tak ciężkie, że Cayce puszcza klapy i przypomina sobie, że powinna zrobić krok w tył, wytrącając z równowagi tego kogoś za nią, spojrzeć w dół między nogi (widzi czarny męski but, z takim samym ohydny kwadratowym noskiem) i najsilniej, jak potrafi, nastąpić obcasem na odsłonięte śródstopie. Robi, spogląda, wytrąca i następuje, co skutkuje niezwykle chrapliwym wyciem, rozlegającym się tuż przy jej lewym uchu.

Wrywa się i ucieka.

- I uciekaj - brzmiał niezmiennie przypis do każdej z lekcji Królika. Wciela przypis w życie najlepiej, jak potrafi, laptop tłucze ją boleśnie w biodro, kiedy pędzi jak strzała w kierunku rogu zaułka i światła jaśniejszej części Roppongi.

Te nagle znikają jednak, przy wtórze pisku hamulców, zasłonięte przez srebrny skuter i jeźdźca w srebrnym hełmie, który unosi lustrzaną osłonę.

To Boone Chu.

Cayce ma wrażenie, że znalazła się w jakimś ciekłokrystalicznym środowisku. We śnie przepelnionym czystą adrenaliną.

Usta Boone'a Chu otwierają się, mówią ale Cayce nic nie słyszy. Wszystko zgodnie z logiką snu: podkasuje spódnicę, siada na siodełku pasażera i widzi, jak dłoń Boone'a Chu robi coś, co ciska ich w przód, wyrzucając gwałtownie poza kadr dwóch mężczyzn ubranych na czarno, tak że na siatkówce Cayce pozostaje zamazany obraz tego podskakującego na jednej nodze, próbującego dźwignąć na nogi tamtego, którego walnęła głową.

Przed sobą ma kokardę RAF-u parki Boone'a Chu. Łapie go w pasie, żeby nie spaść, i równocześnie zdaje sobie sprawę, że to jego widziała wcześniej pod klonem Starbucksa i w Kabukicho poprzedniej nocy. Teraz suną bardzo szybko między dwoma rzędami samochodów czekających na skrzyżowaniu, których wypolerowane drzwi lśnią jak meduzy w neonowym morzu.

Przez skrzyżowanie, zanim światła się zmieniają. W lewo, co przypomina jej, że musi się kłaść razem z nim, kiedy skręca, i że nigdy nie lubiła motocykli, a potem Boone Chu rwie w dół prawie śródmiejskiej alei, obok baru Słodka Skrępowana Stopka.

Boone podaje jej hełm w kolorze niebieski metalik, z rysunkiem pływających oczu.

Cayce udaje się wsadzić go na głowę, ale mając wolną tylko jedną rękę, nie potrafi zapiąć paska. Hełm pachnie papierosami. Czuje pulsujący ból czoła.

Boone Chu nieco zwalnia, skręca w następny zaułek, tym razem wąski, nieprzejezdny dla samochodów. To jeden z tych rezydencjalnych tokijskich korytarzy, jak ze snu, obrzeżony małymi domkami i pływającymi gdzieś tam kłami automatów z napojami, gumą do żucia i papierosami. Na jednym z nich sparaliżowany uśmiech Billy'e-go Priona, pociągającego z butelki bikkle'a.

Nigdy nie widziała, aby ktoś z taką prędkością prowadził skuter takimi uliczkami i zastanawia się, czy to legalne.

Boone Chu zatrzymuje się na wąskiej ulicy w miejscu jej przecięcia z szerszą, dla samochodów, opuszcza widelki i zsiada, zdejmując hełm. Dwa japońskie wyrostki o lodowatym spojrzeniu odrzucają papierosy, gdy Boone podaje jednemu z nich hełm i rozpina parkę.

- Co tu robisz? - pyta go Cayce, tonem jakby nie wydarzyło się nic godnego uwagi, zsiadając i obciążając spódnice. Boone zdejmuje jej hełm i podaje drugiemu wyrostkowi.

- Daj mu kurtkę.

Cayce patrzy na ricksona, widzi taśmę zwijającą się w miejscu, w którym Dorotea wypaliła dziurę. Zdejmuje ricksona i podaje chłopcu, zapinającemu pasek niebieskiego hełmu. Na tle pływającego oka widać brakujący palec. Chłopiec nakłada ricksona, zapina zamek i wskakuje na skuter, za współnika, który ma na sobie hełm i parkę Boone'a. Kierowca opuszcza osłonę hełmu, unosi kciuk, odpowiadając na gest Boone'a, i już ich nie ma.

- Masz krew na czole - mówi Boone.

- To nie moja - odpowiada, podnosząc rękę i czując coś lepkiego pod palcami. - Chyba mam wstrząśnienie mózgu. Mogę wymiotować. Albo zemdleć.

- Damy sobie radę. Będę przy tobie.

- Dokąd pojechali ci na skuterze?

Metalowa kolumna świateł pojazdów po drugiej stronie ulicy, najeżonej dziwacznymi miejskimi techościami rozdziela się, tańczy i znów łączy.

- Z powrotem, zobacz, gdzie tamci dwaj.

- Wyglądają jak my.

- O to właśnie chodzi.

- A co, jeśli tamci ich złapią?

- Chodzi o to, że mogą żałować, że się im udało. Ale po tym, co im zrobiłaś, nie za bardzo będą się do czegośkolwiek nadawać.

- Boone?

- Tak?

- Co tu robisz?

- Obserwuję tych, którzy obserwują ciebie.

- Kim oni są?

- Jeszcze nie wiem. Pewnie Włosi. Masz ten numer? Jest w laptopie?

Cayce nie odpowiada.

18.
HONGO

Przykłada do guza na czole schłodzoną puszkę z tonikiem z automatu. Większa część chusteczek higienicznych, zlanych tonikiem, została zużyta na okład czoła.

Taksówka przeciska się wąską uliczką na tyłach betonowego blokowiska najeżonego nierówną szczecina klimatyzatorów. Zaparkowane motocykle okryto szarymi pokrowcami.

Boone Chu mówi coś po japońsku, ale nie do taksówkarza. Do mikro fonowo-słuchawkowego zestawu komórki. Ogląda się przez tylną szybę. Kolejne zdania po japońsku.

- Znaleźli ich? - pyta Cayce.

- Nie.

- Dokąd poszedł Taki?

- W górę ulicy, szybko. Skręcił w lewo. To ten facet z numerem? Powstrzymuje się, aby nie spojrzeć na dłoń trzymającą spoconą puszkę. A jeśli tusz się rozpuścił?

- Kiedy się tu dostałeś? - Ma na myśli Japonię.

- Z tobą. Byłem z tyłu, w turystycznej.

- Dlaczego?

- Byliśmy śledzeni, kiedy wyszliśmy z tamtej restauracji w Camden Town.

Patrzy na niego.

- Śledzeni?

- Młody chłopak, kasztanowe włosy, czarna kurtka. Śledził nas do kanału. Obserwował, stojąc przy słuzach. Albo za pomocą kamery, albo małej lornetki. Potem szedł za nami do metra i przyczepił się do mnie. Zgubiłem go w Covent Garden. Nie wyrobił się przy wyjściu. To kojarzy się jej z pierwszymi lekturami Conan Doyle'a. Jednonogim marynarzem z Indii Wschodnich.

- Potem ty mnie śledziłeś?

Boone mówi coś po japońsku do mikrofonu.

- Myślałem, że nieźle będzie ustalić, na czym stoimy. Od czegoś zacząć. Pracujemy dla Bigenda. Czy ci ludzie, którzy nas śledzą, pracują dla Bigenda? Jeśli nie...

- I co?

- Jak do tej pory, nie mam pojęcia. Wczoraj wieczorem minąłem tamtych dwóch. Mówili po włosku. To było wtedy, kiedy szłaś do dzielnicy czerwonych świateł.

- Co mówili?

- Nie znam włoskiego. Opuszcza puszkę z tonikiem.

- Dokąd jedziemy?

- Za nami jedzie skuter, żebyśmy mieli pewność, że nikt inny tego nie robi. Kiedy przekonamy się na sto procent, idziemy do mieszkania zaufanej osoby.

- Nie znaleźli tamtych?

- Nie. Ten, któremu dołożyłaś głowę, pewnie teraz jest w klinice, nastawiają mu nos. - Marszczy czoło. - Nie nauczyłaś się tego, studiując marketing, no nie?

- Nie.

- Z tego co wiemy, równie dobrze mogą być z Blue Ant. Być może złamałaś nos zastępcy dyrektora działu projektowania.

- Kiedy następny zastępca dyrektora działu projektowania cię zaatakuje, też możesz złamać mu nos. Ale Włosi, którzy pracują w tokijskich oddziałach agencji reklamowych, nie noszą Prądy szytego w Albanii.

Taksówka porusza się teraz drogą szybkiego ruchu. Zakręcają obok drzew i starożytnych murów pałacu cesarskiego. Cayce wspomina, jak spoglądając rano z pokoju, wyobrażała sobie ścieżki za tymi murami. Odwraca się, patrzy w tył, próbując dostrzec skuter i czuje bolesną sztywność karku. Mury i drzewa są piękne, ale bez wyrazu, ukrywają tajemnicę.

- Próbowali zerwać ci torbę? Laptopa Blue Ant?
- Mam w niej torebkę, telefon. - Jakby na zawołanie, zaczyna dzwonić telefon Blue Ant. Cayce wygrzebuje go. - Halo?
- W Parcę Ubrany. Pamiętasz mnie?
- Sprawy się skomplikowały.
- Słyszysz, jak ten wzdycha, daleko, w Chicago.
- W porządku. Żyję, aby truć się zmęczeniem.
- Spotkaliśmy się - mówi, zastanawiając się, czy Boone Chu słyszy to, co ona. Ustawiła wysoko głośność ze względu na tokijski poziom hałasu i teraz żałuje tego.
- Nie wątpię. Nie czekał nawet, żeby wrócić do domu. Prosto do kafejki internetowej i otworzył serce przed Keiko.
- Porozmawiamy, ale potem. Przepraszam.
- Powiedział Keiko, że ci to dał, więc nie jestem za bardzo zmartwiony. Wyślij mi e-maila. - Trzask.
- Przyjaciół? - Boone Chu odbiera od niej tonik i pociąga mały łyk.
- Emefer. Z Chicago. On i jego przyjaciel znaleźli Takiego.
- Masz numer?
- Pokazuje mu dłoń, cyfry spisane niebieską końcówką długopisu.
- I nie wprowadziłaś go do laptopa? Nie wysłałaś nikomu?
- Nie.
- To dobrze.
- Dlaczego?
- Bo muszę rzucić okiem na tego laptopa.

Boone każe taksówkarzowi zatrzymać się w Hongo, koło dzielnicy Uniwersytetu Tokijskiego. Płaci, wysiadają i kiedy taksówka odjeżdża, pojawia się srebrny skuter.

- Chciałabym z powrotem kurtkę.

Boone mówi coś po japońsku do pasażera, który rozsuwa zamek i zdejmuje ricksona Cayce, nie zsiadając ze skutera. Rzuca go jej i szczyrzy groźnie zęby pod opuszczoną osłoną hełmu z płonącym okiem. Boone wyjmuje zza paska czarnych dżinsów białą kopertę i podaje ją kierowcy, który kiwa głową i wsadza kopertę do kieszeni parki. Skuter jęczy i znikają.

Rickson pachnie lekko maścią tygrysią. Cayce wrzuca puszkę po toniku do najbliższego pojemnika na odpadki przeznaczone do recyklingu i idzie za Boone'em. Wciąż dokucza jej ból czoła.

Minutę później unosi wzrok ku trzypiętrowej, oszalowanej budowli, która wisi jak balon nad wąską ulicą, rozpadająca się i niewiarygodnie licha. Srebrzyste deski wyglądają jak listewki gigantycznej okiennicy. Cayce nie przypomina sobie, aby widziała w Tokio coś równie starego, co dopiero tak zaniedbanego.

Postrzeżone, zbrązowiałe palmy strzegą wejścia, osłoniętego ozdobnymi japońskimi dachówkami, zdublowane parą rozsypujących się stiukowych kolumn, które niczego nie wspierają. Zwieńczenie jednej z nich wygląda na nadgryzione przez jakieś wielkie stworzenie. Cayce odwraca się do Boone'a.

- Co to jest?

- Przedwojenny budynek mieszkalny. Większość zniszczyły bomby zapalające. Siedemdziesiąt lokali, wspólne toalety. Publiczna łaźnia jest przecznicę dalej.

Idąc za nim, zgaduje, że na balkonach wietrzy się pościel. Mijają gęste, niskie zarośla rowerów, wchodzą po trzech szerokich betonowych schodkach do korytarzyka wyłożonego świecącym turkusowym linoleum. Kuchenne wonie są nie do zidentyfikowania.

Potem słabo oświetlone, nagie drewniane schody i korytarz tak wąski, że muszą iść gęsiego. Gdzieś w dali migoce pojedyncza świetlówka. Boone się zatrzymuje i Cayce słyszy brzęk kluczy. Otwiera drzwi, włącza światło i przepuszczają. Cayce wchodzi do środka i, nie wiedzieć czemu, próbuje sobie przypomnieć słowa Wina, sprytnie tłumaczącego deja vu. Coś o budowie mózgu...

Oświetlenie dziwne, ale w jakiś sposób znajome, kilka czystych szklanych baniek ze słabymi jasnooranżowymi włóknami, reprodukcje żarówek Edisona. Ich blask jest za słaby, za to niemal magiczny. Meble niskie i o podobnej aurze jak sam budynek; zniszczone, dziwnie wygodne, nadal użyteczne.

Boone wchodzi i zamyka drzwi, gładkie, nowoczesne i białe. Na niskim, postawionym centralnie stole leży otwarta czerwono-brązo-wa walizeczka Boone'a, obok telefonu. Laptop jest otwarty, ale nie włączony.

- Kto tu mieszka?

- Marisa. Moja przyjaciółka. Projektuje materiały ubraniowe. Teraz jest w Madrycie.

Idzie do zatłoczonej wnęki kuchennej i włącza dużo jaśniejsze, białe światło. Na małej ladzie ukazuje się różowy elektryczny garnek Sanyo do gotowania ryżu, obok wolno stojące, wąskie plastikowe urządzenie z przezroczystą rurą. Zmywarka do naczyń?

- Zrobię herbatę. - Napelnia czajnik wodą z butli.

Cayce podchodzi do jednego z papierowych, przesuwanych okien. W środku szybki, niektóre matowe. Spogląda przez zwykłą szybkę na łagodnie opadające dachy, które, co niewiarogodne, wydają się pokryte wysokim do kolan mchem, ale po chwili zdaje sobie sprawę, że to chyba coś podobnego do *kudzu** z farmy Wina w Tennessee. Nie, nie chyba, poprawia się, to jest *kudzu*. *Kudzu* w miejscu pochodzenia. *Kudzu* w ojczyźnie.

Światło okolicznych okien zdradza, że dachy są z blachy falistej; pordzewiały, osiągając różne odcienie głębokiego brązu. Wielki beżowy owad przenika tunel blasku, znika.

- Niesamowite miejsce - mówi Cayce.

- Niewiele takich zostało. - Boone grzechoce pojemnikami, szukając herbaty.

Cayce odsuwa okno. Słyszy gwizd czajnika.

- Znasz Dorotę Benedetti?

- Nie.

- Pracuje dla Heinziego i Pfaffa, grafików. To ich łącznik z Blue Ant. Myślę, że wysłała kogoś, żeby włamał się do mieszkania Damie-na. Używano jego komputera.

- Skąd wiesz?

Podchodzi do wnęki, która dawniej chyba była schowkiem na pościel. KobiECE rzeczy wiszące na drewnianym drążku przyprawiają ją o zażenowanie. Gdyby wnęka miała drzwi, zamknęłyby je.

- Włamywacz skorzystał z telefonu Damiena. Nacisnęłam REDIAL i usłyszałam jej głos nagrany na sekretarkę. - Opowiedziała mu o Dorotei, ricksonie i azjatyckich dziwkach.

Zanim skończyła, siedzieli po turecku na poduszkach na tatami.

* *Kudzu* - azjatycka winorośl sprowadzona w 1878 roku do Stanów Zjednoczonych, rosnąca niebywale szybko w nowych warunkach (latem około 30 cm na dobę).

Wyłączyli światło w kuchni i piją zieloną herbatę, którą Boone nalewa z glinianego dzbanka.

- Więc możliwe, że działalność naszych Włoszków nie wiąże się z tym, że pracujesz dla Bigenda, ani z emefami - zauważa Boone. - Włamanie było najpierw.

- Jakże tam włamanie - protestuje Cayce. - Dostali się bez śladu. Nie wiem jak.

- Jeśli to profesjonaliści, użyli wytrycha. Nie zostawia śladów. Niczego byś nie zauważyła, gdyby nie skorzystali z twojej przeglądarki i telefonu. Niezbyt to profesjonalne, ale mniejsza z tym. I Bigend powiedział ci, że pracowała dla kogoś w Paryżu, kto zajmował się szpiegostwem przemysłowym?

- Tak. Ale myślał, że ona ma do mnie zadrę, bo uznała, że chcą zaproponować mi stanowisko, na którym jej zależy. Dyrektora londyńskiego oddziału Blue Ant.

- I nie powiedziałaś mu o kurtce ani o mieszkaniu?

- Nie.

- Ale nasi chłopcy mówią po włosku. Zresztą nie wiemy, czy byli tu od początku, czy ich przysłano. Nie lecieli z nami, tego jestem pewien. Obserwowałem ich dzisiaj, kiedy obserwowali ciebie. Trudno powiedzieć, czy znają miasto, czy nie. Mieli samochód i japońskiego kierowcę.

Przygląda mu się uważnie w blasku bambusowego włókna, żarówki Edisona.

- Dorotea coś o mnie wie - mówi. - To bardzo osobiste. Mam fobię. Wiedzą o niej tylko moi rodzice, mój terapeuta, parę bliskich przyjaciółek. To mnie gryzie.

- Możesz mi powiedzieć, co to jest?

- Jestem alergiczką. Na pewne znaki towarowe.

- Na znaki towarowe?

- Od dziecka. Wiem, jak rynek zareaguje na nowe logo, ale nic za darmo. - Czuje, że się rumieni. Niech to szlag.

- Możesz mi podać jakiś przykład?

- Choćby ludzik Michelin. Są też inne. Współczesniejsze. Tak naprawdę to bardzo nie lubię o tym mówić.

- Dziękuję ci - powiada z wielką powagą. - Nie musisz. Myślisz, że Dorotea o tym wie?

- Wiem, że wie. - Opowiada mu o drugim spotkaniu, o Bibendum, laleczce na gałce drzwi Damiena.

Boone marszczy brwi, bez słowa nalewa herbatę. Patrzy na Cayce.

- Myślę, że masz rację.

- Dlaczego?

- Bo ona coś o tobie wie, coś do czego niełatwo było jej dotrzeć. Pytanie tylko, do czego dotarła? Ktoś zadał sobie wiele trudu. I po co wyciągnęła tamten obrazek z koperty i pokazała ci go, a potem podrzuciła tę lalkę, sama albo przez kogoś. Myślę, że lalka miała zmusić cię do wyjazdu, do powrotu do Nowego Jorku. Ale nie wróciłaś, potem ja się zjawiłem i teraz tu jesteśmy, i podejrzewam, że ludzie, którzy cię obserwowali, pracują dla niej.

- Dlaczego?

- Dopóki ich nie znajdziemy, co teraz jest niezbyt prawdopodobne, i nie przekonamy ich, żeby powiedzieli, ile wiedzą - a prawdopodobnie wiedzą tyle co nic - nie mam pojęcia. A już zupełnie nie mam pojęcia, dla kogo mogłaby ona pracować. Czy teraz pozwolisz mi zajrzeć do twojego komputera?

Cayce wyjmuje iBooka z torby, która leży na macie obok i podaje go Boone'owi. On kładzie go na stoliku obok własnego laptopa i wyjmuje z teczki starannie zwinięty kabel.

- Nie przejmuj się mną. Potrafię pracować i rozmawiać.

- Co robisz?

- Chcę się upewnić, czy to co piszesz, nie jest przesyłane osobom trzecim.

- Możesz się tego dowiedzieć?

- W dzisiejszych czasach? Nie mam absolutnej pewności. - Komputery są połączone i włączone. Boone odwraca się do swojego i wkłada CD. - Od września mamy zupełnie inny obraz bezpieczeństwa informatycznego. Gdyby FBI robiło z twoim laptopem to, do czego się przyznaje, mógłbym to zauważyć. Jeśli robiłoby to, do czego się nie przyznaje, to zupełnie inna historia. A mówimy o samym FBI.

- FBI?

- To tylko przykład. Dzisiaj wielu ludzi robi różne rzeczy i nie wszyscy z nich to Amerykanie, pracownicy agencji rządowych. Stawki niebotycznie podskoczyły. - Wystukuje różne rzeczy na jej klawiaturze, patrząc na swój ekran.

- Czyje to mieszkanie?

- Marisy. Mówiłem ci.

- A Marisa to? Podnosi wzrok.

- Moja była. - Cayce jakoś to przeczuwała i nie była tym zachwycona, a teraz nie jest zachwycona tym, że nie jest tym zachwycona. - Po prostu zostaliśmy przyjaciółmi - mówi Boone i z powrotem patrzy na ekran.

Cayce unosi dłoń i otwiera ją, demonstrując wewnętrzną stronę, numer Takiego.

- Więc co możesz z tym zrobić?

Boone podnosi wzrok. Ożywia się.

- Jeśli jakaś firma zrobiła to filigranowanie, znajdę ją. Potem spróbujemy się czegoś dowiedzieć. Jeśli oznaczali każdy segment, powinni wystawiać faktury. Idąc tym tropem, poszukamy odpowiedzi na pytanie, czy klient i twój twórca to jedna i ta sama osoba.

- I już?

- Żadne już. To, że ich znajdziemy, wcale nie znaczy, iż zaraz wszystkiego się dowiemy

Cayce wreszcie gryzie się w język. Pije herbatę i w bursztynowym blasku żarówek rozgląda się po ośmiomatomym mieszkaniu, zastanawiając się instynktownie - chociaż zżyma się na samą siebie, że takie myśli łązą jej po głowie - jaka jest kobieta, która tu mieszka.

Równocześnie czuje tego guza na czole i wie, że jej bajeczna dupcia to zapewne tylko wspomnienie. Korci ją poszukać dobrze oświetlonego lustra i ocenić szkody, ale nie szuka i nie ocenia.

To nieważne. Bo chociaż nie czuje się zmęczona, zjetlagowana, po drugiej stronie lustra, ani nic w tym stylu, to ma wrażenie, że jej dusza bardzo daleko oddzieliła się od ciała. I chociaż w tej chwili jej poziom serotoniny sięga dolnej strefy stanów dolnych, to wcale nie znaczy, że się podniesie. Przeciwnie.

19.
MIĘDZY MISTYCZNYCH

Nocny ochroniarz w hotelu wygląda jak młodsza, nieco bardziej niedostępna wersja Beata Takeshiego, japońskiego aktora, którego egzystencjalne filmy gangsterskie uwielbiali jej dwaj byli faceci. Prowadzi ją do windy i do pokoju, wściekle wyprężony, w zapiętej na ostatni guzik nieskazitelnej czarnej marynarce sportowej.

Eskortuje ją, gdyż powiedziała mu, że klucz zostawiła wewnątrz. Ten dwustuprocentowy mężczyzna wyjmuje teraz własny klucz, prawdziwy, metalowy, wiszący na mocnym łańcuszku u pasa, i otwiera zamek. Uchyła drzwi, włącza światło i gestem zaprasza ją do pokoju.

- Dziękuję. Proszę chwilę poczekać, znajdę mój klucz. - Faktycznie jest w kieszeni ricksona, gotowy znaleźć się w jej dłoni, kiedy będzie potrzebny, ale Cayce sprawdza łazienkę, szafę ścienną, zagląda za duże czarne meble, po czym zauważa u stóp łóżka dużą szarą reklamówkę z logo Blue Ant z boku. Klęka, aby zajrzeć pod łóżko, ale przekonuje się, że nie jest to model, pod który można by zajrzeć i prostuje się. Nadal klęcząc, demonstruje jednak w dłoni swój klucz, plastikową kartę. - Znalazłam. Bardzo dziękuję.

Tamten kłania się i odchodzi, zamykając za sobą drzwi. Cayce zamyka je na klucz, zasuwając łańcuch. Na wszelki wypadek barykaduje drzwi wielkim czarnym fotelem, tak że można je uchylić tylko trochę. Od wysiłku czuje ból w karku. Opanowuje pragnienie, żeby zwinąć się w kłębek, tam gdzie stoi i pożegnać świadomość. Zamiast tego wraca do łóżka i zagląda do torby od Blue Ant. W środku jest nie noszony czarny MA-1 od Ricksona, starannie owinięty czarną bibułką. Ranek wydaje się bardzo odległy.

Cayce czuje woń maści tygrysiej ze starego ricksona. Wpycha nowego do reklamówki, zdejmując torbę z ramienia i rozbiera się.

W lodowatym świetle łazienkowego lustra czoło jest tylko lekko spuchnięte. Szczątki bajejcznej dupci wyglądają jak efekt usiłowań praktykanta z domu pogrzebowego w pierwszym dniu pracy. Wyjmuje mydło z opakowania, notując w myślach, żeby nie korzystać z szamponu hotelowego o nieodpowiednim dla *gajjina* pH, starannie przepisuje numer Takiego z dłoni do firmowego notatnika Park Hyatt, po czym zamyka się w oszklonej kabinie prysznicowej o rozmiarach kuchni dziewczyny Boone'a w Hongo.

Czując się dużo czystsza, chociaż wcale nie mniej wyczerpana, owija się we frotowy szlafrok i przegląda menu, wybierając małą pizzę i przystawkę z ziemniaków piure. Niejapońskie jedzenie na poprawę nastroju.

Pizza okazuje się świetna, chociaż bardzo japońska, ale ziemniaki są superkopia, bardziej zachodnie niż na Zachodzie. Cayce zamówiła również dwie butelki bikkle'a i kończąc ziemniaki, jest przy drugiej.

Musi sprawdzić pocztę. Musi zadzwonić do Pameli Mainwaring i wyrwać się stąd najszybciej jak to możliwe. I naprawdę powinna zadzwonić do WParkeUbranego.

Dopija jednym łykiem bikkle'a i podłącza iBooka do hotelowej końcówki Internetu. Jedna wiadomość. Widzi nagłówek. To od WParkęUbranego.

Cudownie przedziwne

Otwiera pocztę. Jest załącznik o nazwie cp.jpg.

„Nie ma pokoju dla bezbożnych”*. Taki wystął nam, czy raczej Keiko, z dwóch różnych kafejek e-maile, dotarł do domu i wysłał załącznik.

Klika plik jpg.

Mapa. Obszar w kształcie pogruchotanego T, ulice, litanie nume-

* Iz 48, 22. Cytat za *Biblią Tysiąclecia*.

rów. Jak kostka po schabowym, dłuższa część pokrzywiona, z uskokami, lewe ramię przycięte. Aleje, place, ronda, długi kwadrat, park? Tło bladoniebieskie, T szare, linie czarne, numery czerwone.

Jeśli poprzednio Taki był ogarnięty miłością, teraz jest ogarnięty pożądaniem. A może na odwrót. Ale w nowej gorączce uwielbienia i pragnienia przypodobania się posłał to, co, jak wyjaśnia Keiko, jest ostatnim połowem Mistycznej. Darryl, którego DNA ma również geny *otaku*, jest przekonany, że Taki nie należy do Mistycznej, ale płąta się po jej obrzeżu - prawdopodobnie jako źródło informacji, gdyż projektuje gry japońskim operatorom sieci telefonicznych. Według Darryla najwyższy poziom gry technomaniaków to pozyskiwanie informacji dla samego pozyskiwania informacji, stąd wniosek, że Mistyczna zawzięła się na emefy nie jak emeferzy, ale żeby rozwiązać zagadkę, której nikt inny nie rozwiązał. Podejrzewa istnienie jakiejś komórki zawodowych teoretyków informatyki, którzy są tak samo związanymi z *otaku* infonarko-manami. Mogą pracować w dziale badań i rozwoju jednej albo kilku korporacji. Mogą potrzebować czegoś, o czym Taki wie. Tak naprawdę to bez znaczenia, bo Taki trafiony psychoseksualnym pociskiem samoste-rującym, czyli Judy, odwrócił przepływ strumienia danych i znalazł cel w życiu. Żeby zaoszczędzić ci kłopotu i liczenia, numerów jest sto trzydzieści pięć, każdy składa się z trzech grup czterocyfrowych.

Cayce czuje gęsią skórę na głowie. Wstaje, idzie do łazienki, wraca z notatnikiem.

8304 6805 2235

Kładzie notatnik obok laptopa i wpatruje się w czerwony woal numerów, częściowo zasłaniający urbanistyczną kość.

Oto ona. Ulice bezpośrednio poniżej są małe i powykręcane, biegną w kierunku półwy-

spu, tworzącego pionową laseczkę T. Chociaż, napomina samą siebie, nie ma powodu wierzyć, że jest to wizerunek jakiejś wyspy, faktycznej czy wymyślonej. To może być segment większej mapy, tworzący literę T. Z drugiej strony, jeśli to ulice, biegną wzdłuż granic...

Pamiętasz to rozjaśnienie, kiedy się całują? Jakby nad nimi coś eksplodowało? Gdybyś śledziła F:E:F, wiedziałabyś, że wielu naszych angielskich korespondentów skojarzyło ten wybuch z Blitzkriegiem. Żaden z rozlicznych dowodów, że nasza opowieść jest osadzona w Londynie lat 40., nie jest do końca przekonujący. Ale to rozjaśnienie.

Puste tło. Taki mówi, że Mistyczna rozszyfrowała szkic z tej bieli. Nie będę udawać, że wiem, jak można coś wypatrzeć na pustym tle, chociaż to, jak sądzę, problem leżący u podstaw całej historii sztuki. Tak czy inaczej, co z tego wynika dla nas? Jeśli każdy segment jest znakowany jednym z tych numerów, to akcja każdego segmentu powinna być tu zaznaczona i mamy po raz pierwszy rodzaj harmonogramu i możliwe, że gdybyśmy potrafili przypisać numery segmentom, ustalilibyśmy ich porządek. (Wprowadziłem je wszystkie do bazy danych i nie układają się w jakąś sekwencję. Podejrzewam przypadkowe generowanie i/lub przypadkowe przyporządkowanie). Darryl sprawdza szkic programem - szukaczem map. Na razie. Wyczerpany, ogłupiały, ale niezdrowo podniecony pozdrawiam. WParcęUbrany.

Cayce patrzy na urbanistyczną kość. Dzwoni do Pameli Mainwaring.

20. UBERKOŚCI

Zegarek budzi ją, ćwierkocząc niemiłosiernie. Siada w wielkim łożu, nie bardzo wiedząc, gdzie jest.

Szósta rano. Pamela Mainwaring zarezerwowała jej lot z Narita wczesnym popołudniem.

Sprawdza, czy włączyła przerośnięty odpowiednik zwykłego czajnika elektrycznego, owija się w ten sam szlafrok, w którym była wczoraj, podchodzi do okna, pilotem rozsuwa zasłony i odsłania niewyraźne Tokio na dnie akwarium deszczowego świata. Wilgoć gnana porywami wiatru tnie szkło jak śrutem. Miota się ciemny, gęsty mech pałacowego ogrodu.

Dzwoni komórka. Cayce wraca do łóżka, przewierca dłonią pościel, znajduje telefon.

- Halo?

- Boone. Jak twoja głowa?

- Zmęczona. Dzwoniłam do Pameli...

- Wiem. Ja też. Spotkamy się w holu o wpół do dziewiątej. Mamy zarezerwowane miejsca w pociągu. - Jego zachowanie w jakiś uciążliwy sposób ogranicza jej autonomię. - Do zobaczenia - Boone kończy rozmowę.

Woda osiąga punkt wrzenia, gdy Cayce grzebie między przegryzkami na górnej półce minibaru, szukając zafoliowanego zestawu do kawy z ekspresu.

Hotelowe centrum fitnessu jest tak wielkie, jakby zaprojektowano je głównie po to, aby obrazowało zagadnienia perspektywy wnętrza, i ma własny reformer do pilatesu w pseudoklasycznej wersji japońskiej, z lakierowanym na czarno drewnem i przypominającą skórę rekina tapicerką. Cayce udaje się poćwiczyć, wziąć prysznic, umyć głowę, spakować i dotrzeć do holu o wpół do dziewiątej.

Boone zjawia się chwilę po niej, w odwiecznej czarnej kurtce, targając skórzaną walizkę i jedną z tych toreb podróżnych Filsona, które wyglądają jak artykuły od L.L. Beana* dla olbrzymów.

Cayce podnosi swoją bezimienną koreańską torbę z nylonu i, mijając bambusowy gaj, wchodzi do windy.

Budzi ją stewardesa, proponując gorący ręczniczek. Cayce przez chwilę myśli, że jest nadal w drodze do Tokio i że to wszystko był tylko sen.

Ta myśl wprawia ją w przerażenie i Cayce nadweręża sobie szyję, kiedy szybko odwraca głowę. Przekonuje się, że Boone Chu śpi w najbliższym gniazdowatym fotelu, odchylonym maksymalnie w tył. Wydaje się przedziwnie zamaskowany, jak każdy z czarną opaską na oczach.

Nie mieli sobie wiele do powiedzenia w pociągu do Narita. Cayce spała w poczekalni na lotnisku po zastosowanych przez ochronę lotniska procedurach kontrolnych, do których nale-

zał rentgen butów i odpowiadanie na pytania przed urządzeniem na promienie podczerwone, rejestrującym mikrozmiany temperatury skóry wokół oczu. Teoretycznie kłamstwa na temat bagażu powodują niewidzialny i nieunikniony mikrorumieniec. Z drugiej strony Japończycy wierzą też, że grupa krwi determinuje osobowość, przynajmniej wierzyli, kiedy Cayce ostatni raz była w Japonii. Boone był jednak pod wrażeniem i oznajmił, że wkrótce spodziewa się takich czytników rumieńców w Ameryce.

Kiedy wchodzili na pokład, powiedziała mu, że za pośrednictwem WParkeUbranego dostała coś jeszcze od Takiego, ale jest zbyt zmęczona, żeby się tym zajmować i pokaże mu to po tym, jak się prześpi. Zastanawia się, co takiego ją wstrzymuje? Zapewne to, że zbyt krótko

* Filson, L.L. Bean - amerykańskie firmy specjalizujące się w ubiorach i ekwipunku dla turystów i myśliwych.

z sobą pracują, ale również coś, co poczuła w tamtym mieszkaniu i czemu nie chce się bliżej przyglądać. Poza tym potrzebuje czasu na zastanowienie się nad tą urbanistyczną kością. A tak w gruncie rzeczy, Boone za bardzo się szarogęsi.

Przede wszystkim jednak należy przeanalizować tę kostkę. Przekształca więc łóżko w fotel i podnosi iBooka z podłogi. Włącza go, znajduje plik od WParkeUbranego i otwiera zdjęcie.

Wydaje się jej ono jeszcze bardziej enigmatyczne niż wtedy, kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, chociaż już wówczas wprawilo ją w osłupienie.

Czy możliwe, że Taki po prostu wymyśla to wszystko, aby zrobić wrażenie na Keiko? Ale WParkeUbrany i Darryl znaleźli go na japońskiej stronie, kiedy Keiko jeszcze nie istniała. Nie, Cayce wie, że Taki mówi prawdę. Jest zbyt smutny, żeby nie być prawdziwym. Wyobraża go sobie, jak pokrzepiony wiadomościami od Keiko idzie do kogoś i za nie wiedzieć jak dziwną cenę zdobywa ten obrazek, uzyskany z białego rozbłysku.

Ale w swojej nieśmiałości, swojej ostrożności, nie przyniósł go na spotkanie. Tylko ten jeden numer. Potem spreparowana wersja Judy Tsuzuki zrobiła swoje, więc poszedł do siebie i posłał to WParkeUbrany, myśląc, że wysyła swojej wielkookiej miłości, swojemu żreba-czysku o pękających pęcinach.

Cayce zastanawia się, co by z tym zrobiła Bluszcz z Seulu, założycielka F:E:F. Co by pomyślała?

Marszczy brwi, dostrzegając po raz pierwszy, że praca z Boone'em Chu dla Bigenda wypaczyła jej stosunek do F:E:F i społeczności eme-ferów. Nawet WParkeUbrany, którego udział w ostatnich odkryciach trudno przecenić, nie wie, jaki jest jej cel, na czyj rachunek pracuje.

- Co to jest? - Boone wychyla się z zacienionego przejścia. Czarny T-shirt i zsunięta na pierś opaska kojarzą się dziwnie z koloratką. Do kompletu wystarczyłby kilkucentymetrowy skrawek białego papieru i stałby się młodym księdzem z zapuchniętymi od snu oczami.

Cayce unosi fotel i Boone dołącza do niej, siadając na strapontenie przy dolnej części siedzenia. Podaje mu laptopa.

- Taki jest zachwycony fotografią. Nie mógł wytrzymać z przyjściem do domu. Musiał wpaść do kafejek internetowych, posłać jej e-maile. Z domu wysłał to.

- Całe sto trzydzieści pięć? - pyta, wskazując numery.

- Nie liczyłam, ale tak. Numer od Takiego jest na dole tego T.

- To tak wygląda, jakby naniesiono wszystkie segmenty. Chociaż mapa wirtualnego świata wygląda inaczej. Przynajmniej wykonana profesjonalnie.

- A w innym przypadku?

- To znaczy jakim?

- A co jeśli to powstawało równoległe z segmentami? Czemu mielibyśmy zakładać, że to zostało zaplanowane z góry przez twórcę?

- Możemy założyć, że zaplanował, ale robi wszystko po swojemu. Ci, którzy zaprojektowali wszystkie wielkie gry Nintendo, rysowali je na długich zwojach papieru. Lepiej nie dało się tego zrobić. Można było rozwinąć całą rolkę i dokładnie prześledzić całą akcję. Układ był dwuwymiarowy, przewijało się ekran... - Milknie, marszczy czoło.

- Co?

Potrząsa głową.

- Muszę się z tym przespać. - Wstaje, oddaje laptopa i wraca na swoje miejsce.

Cayce wpatruje się bezmyślnie w grafikę, czując ciepło iBooka na udach, i zastanawia się, dokąd powinna się udać z Heathrow. W koper-tówce Stasi, leżącej w torbie podróżnej, są nowe klucze do mieszkania Damiena. Tak naprawdę to ma ochotę tam pojechać, chociaż nieustający ból czoła podaje to w wątpliwość.

Czy w tym czasie ktoś dobierał się do zamków? Nie wie, kto zajmuje dwa pozostałe mieszkania, ale bez względu na to kim są lokatorzy, raczej regularnie wychodzą do pracy. Włamywacz mógłby dostać się do środka za dnia i otworzyć mieszkanie Damiena.

Ale jak nie Damien, to pozostaje jedynie hotel, a nawet dysponując kartą Blue Ant, ma po dziurki w nosie tych wszystkich hoteli. Postanawia pojechać do Camden. Heathrow Express do Paddington, potem taksówka. Podjąwszy decyzję, zamyka plik z grafiką od Takiego, odkłada laptopa i przywraca tryb łóżkowy siedzenia.

Po formalnościach paszportowych czeka na nich Bigend, jedyna uśmiechnięta twarz wśród zwartego tłumu ponurych szoferów unoszących kartony z ręcznie wypisanymi nazwiskami. Na jego kartonie wypisano szorstkim czerwonym flamastrem: POLLARD&CHU.

Bigend naprawdę wygląda tak, jakby miał zbyt wiele zębów. Zbyt równo nałożył stetsona i ma tę samą przeciwdeszczową kurtę, którą widziała na nim podczas poprzedniego spotkania.

- Tędy proszę. - Ostentacyjnie przejmuje wózek bagażowy od Boone'a i wychodzą za nim na zewnątrz, wymieniając spojrzenia, obok czekających taksówek i ostatnich przyjezdnych, którzy pokasłują z ulgą, zaciągając się papierosem po wyjściu z samolotu. Cayce dostrzega hummera zaparkowanego tam, gdzie na pewno nigdy nie wolno parkować i przygląda się, jak Bigend i Boone unoszą kwadratowe drzwi bagażnika i ładują bagaże.

Bigend otwiera przed nią drzwi pasażera, Cayce wsiada. Boone zajmuje miejsce na tylnej

kanapie, za nią.

Bigend składa ogromne plastikowe pozwolenie na parkowanie.

- Nie musiałeś nas odbierać, Hubertusie - mówi Cayce, ponieważ czuje się w obowiązku coś powiedzieć i ponieważ to do bólu oczywista prawda. Bigend na wstępie, zaraz po przyjeździe, to wrzód na dupie i ograniczenie wolności osobistej. „Chociaż mam w torebce jego kartę kredytową” - napomina samą siebie.

- Ależ bynajmniej - odpowiada dwuznacznie Bigend, ruszając od krawężnika. - Chcę o wszystkim wiedzieć jak najszybciej.

I dowiaduje się, głównie od Boone'a, ale Cayce zauważa dwa istotne pominięcia. Boone nie wspomina o uderzeniu głową ani grafice od Takiego. Opowiada, że byli w Tokio, śledząc trop wskazujący, iż przynajmniej jeden segment emefów jest specjalnie oznaczony.

- I jest? - pyta Bigend.

- Może - odpowiada Boone. - Mamy dwunastocyfrowy szyfr, pozyskany może z konkretnego segmentu.

- I?

- Cayce była śledzona w Tokio.

- Przez kogo?

- Przez dwóch mężczyzn, prawdopodobnie Włochów.

- Prawdopodobnie?

- Podśledzałam ich rozmawiających po włosku.

- Kim byli?

- Nie wiemy.

Bigend ściąga wargi.

- Masz pojęcie - zwraca się z pytaniem do Cayce, rzucając jej przelotne spojrzenie - czemu ktoś miałby cię śledzić? Jakies nie-zamknięte zlecenie? Coś przypadkowego?

- Mieliśmy nadzieję, że to ty mógłbyś to wyjaśnić, Hubertusie - mówi Boone.

- Myślisz, że kazałem śledzić Cayce, Boone.

- Ja bym to zrobił, gdybym był w twojej sytuacji, Hubertusie.

- Pewnie tak, ale nie jesteś - mówi Hubertus. - Ja nie stosuję takich metod, nie wobec współników. - Są teraz na autostradzie i deszcz nagle uderza w przednią szybę. Cayce ma wrażenie, że pogoda pognąła za nimi z Tokio. Bigend włącza wycieraczki, ciężkie łopatki, zamontowane u góry zamiast u dołu szyby. Przyciskiem redukuje o ułamek atmosfery ciśnienie opon. - Fakt, że jesteście moimi współnikami, sprawia, iż jesteście o wiele bardziej narażeni na inwigilację, to chyba jasne. Takie są minusy przebywania na świeczniku.

- Ale kto wie, że jesteście twoimi współnikami? - pyta Cayce.

- Blue Ant jest agencją reklamową, nie wywiadownicą. Ludzie gadają. Nawet ci, którym się płaci za niegadanie. Kiedy na przykład planujemy kampanię, tajność może zadecydować o wyniku. A mimo to są przecieki. Sprawdzę, kto dokładnie miałby powód zakładać, że pra-

cujecie dla mnie, ale teraz ciekawią mnie ci dwaj niby-Włosi.

- Zgubiliśmy ich - mówi Boone. - Cayce właśnie dostała szyfr od łącznika i pomyślałem, że to właściwa chwila, żeby ją zgarnąć. Kiedy później chciałem się za nimi rozejrzeć, znikli.

- A ten łącznik?

- To ktoś, na kogo trafiłam przez sieć emeferów - mówi Cayce.

- Na to właśnie liczyłem.

- Wątpimy jednak, żeby miał coś więcej do zaoferowania - mówi Boone, na co Cayce ogląda się na niego - ale jeśli filigran jest autentyczny, to może mamy jakiś punkt zaczepienia.

Cayce patrzy przed siebie, na siłę śledząc zataczające łuk wycieraczki. Boone okłamuje Bigenda, czy raczej nie udostępnia mu pewnych informacji, a przy okazji miesza ją w swoje kręactwa. Przez chwilę zastanawia się, czy nie wspomnieć o Dorotei lub azjatyckich dziwkach, choćby tylko po to, żeby nadać rozmowie kierunek, którego Boone się nie spodziewa, ale nie ma pojęcia, ku czemu zmierzają jego matactwa. A nuż mają jakiś sensowny cel? Kiedy znajdują się sami, musi to wyjaśnić.

Mruga zaskoczona, gdy nagle opuszczają autostradę, wjeżdżając w labirynt Londynu. Zapalają się latarnie.

Po Tokio wszystko ma inny rozmiar. Jak dziecięca kolejka w innej skali. A równocześnie ma wrażenie, że te dwa miasta łączy jakaś tajemnicza więź. Być może gdyby Londyn wzniesiono kiedyś z drewna i papieru, a potem spłonąłby jak Tokio i został odbudowany, tajemnica, którą zawsze wyczuwała w tych ulicach, zachowałaby się, zaszyfrowana w stali i betonie.

Jest bardzo zażenowana i nie może się pozbierać, gdy muszą ją obudzić, kiedy hummer zatrzymuje się pod domem Damiena.

Boone zanosí jej torbę aż pod drzwi.

- Wejść z tobą.

- Nie trzeba - mówi. - Jestem tylko zmęczona. Nic mi się nie stanie.

- Zadzwonił. - Kiedy zbliżali się do Heathrow, wprowadził numery swoich komórek do jej telefonu. - Daj znać, że wszystko w porządku.

- Dam znać - mówi, czując się jak idiotka. Otwiera zamek frontowych drzwi, zdobywa się na uśmiech i wchodzi do środka.

Stosy czasopism znikły z podestu, a z nimi czarny worek na śmieci.

Wchodzi na ostatni szereg schodów, jest niemal przy drzwiach Damiena, trzymając drugi niemiecki klucz w ręce, i wtedy dostrzega światło bijące przez szparę progu.

Stoi bez ruchu, z kluczem w jednej ręce, torbą w drugiej, słyszy głosy. Rozpoznaje też głos Damiena.

Puka.

Drzwi otwiera młoda kobieta, wyższa od niej. Ogromne, chabrowe, nieco skośne oczy nad niebywale wydatnymi kośćmi policzkowymi spoglądają na nią zimno.

- Tak? Czego chcesz? - pyta blondynka jakby teatralnym, żartobliwie wyzywającym to-

nem, ale kiedy sznuruje idealnie uszmkowane usta o ekstrawagancko pełnej dolnej wardze, nadając im wyraz ponurego obrzydzenia, Cayce zdaje sobie sprawę, że o żarcie nie ma mowy.

Za kobietą z uberkościami policzkowymi pojawia się Damien, przez moment zupełnie nie do rozpoznania, ze świeżą szczeciną na głowie i zalotnie obejmuje kobietę, szczerząc zęby do Cayce.

- To Cayce, Marina. Moja przyjaciółka. Na Boga, gdzieś ty była, Cayce?

- W Tokio. Nie wiedziałam, że wróciłeś. Jadę do hotelu.

Ale Damien nawet nie chce o tym słyszeć.

21. MARTWI PAMIĘTAJĄ

Cayce szybko się orientuje, że Marina Szczegłową pracuje przy produkcji filmu Damiena w Rosji, pilnuje budżetu, i że poczuła do niej natychmiastową antypatię, zresztą nie pierwsza z jego panienek. Widząc znów torsy dziewczyn-robotów, przypomina sobie, że tamta, na wzór której odlano te piękności, okazała się najwredniejszą małpą - przynajmniej do tej pory.

Na szczęście prawie natychmiast konwersacyjnie rozdziela je Wojtek, którego obecność Cayce początkowo traktuje jako jeszcze jeden z wielkich dopustów zwielokrotnionego *jet lagu*, i Fergal Collins, irlandzki księgowy i doradca podatkowy Damiena, znany Cayce z kilku poprzednich spotkań. Wojtek zmusza Szczegłową do wysłuchiwania jakiejś perory, rozpoczętej jeszcze przed przybyciem Cayce, prowadzonej zapewne po rosyjsku, z szybkością, płynnością i pewnością siebie zupełnie inną niż jego wypowiedzi po angielsku. Marina nie wydaje się zachwycona rolą odbiorcy tego słowotoku, ale chyba uznała, że nie pozostaje jej nic innego, jak słuchać.

Wojtek jest ubrany w swój zwykły strój osieroconego deskorolkarza, natomiast Marina ma na sobie ekskluzywną kolekcję Prądy z tego sezonu, same czernie, czego Cayce nie może nie zauważyć, choć się stara. Kości policzkowe Mariny są doprawdy niesamowite, do tego stopnia, że przy niej Wojtek w ogóle nie wygląda na Słowianina. Można by pomyśleć, że ma ich dwie pary, jedną wepchniętą pod drugą; przedstawicielka rasy kaukaskiej w pierwotnym, niemal wykopaliskowym wydaniu.

Wygląda jak postać z *Matriksów*, a gdyby miała większe cyce, mogłaby wylądować na pudełku interaktywnej gry dla całego przedziału wiekowego dojrzewających chłopców.

Fergal to sympatycznie mięsożerny egzemplarz biznesmena, pozujący na maniakałnego wielbiciela sztuki. Siedzi w przemyśle muzycznym, ale pracuje dla Damiena, od kiedy Cayce go poznała.

- Jak tam w Tokio po dewaluacji? - pyta, zajmując miejsce obok niej na brązowej kanapie Damiena.

- Jest jak nigdy przedtem - odpala cytatem z Dwighta Davida Eisenhowera, którym się czasem posiłkuje, kiedy nie ma nic do powiedzenia. Fergal lekko marszczy brwi. - Przepraszam, Fergalu. Trudno powiedzieć, żeby tam naprawdę była. Damien skończył film?

- Gdyby tak było, dziękowałby Bogu na kolanach, ale nie. Wrócił po nowe fundusze, dodatkowe kamery, chyba dodatkową ekipę i, jak myślę - obniża lekko głos - dlatego że dama miała ochotę zwiedzić stolicę.

- Nadzoruje budżet?

- Tak na to mówimy, ale prawda jest bardziej prozaiczna. Dziewczyna jest zorientowana.

- W czym?

- Jak dawniej mówiło się w pewnych kręgach u was, zna ludzi, którzy znają ludzi. Nasza

Marina ma znajomości. Jej ojciec był w dawnych, dobrych czasach dyrektorem fabryki aluminium. Kiedy doszło do prywatyzacji, dziwnie szybko został jej właścicielem. I jest nim nadal, a poza tym ma browar i bank handlowy. Prawdę mówiąc, ten browar to dar bogów. Od pierwszego klapsa piwo przywozili beczkowozami. Damien został ulubieńcem wszystkich, a poza tym gdyby nie piwo, chlaliby wodę.

- Byłeś tam?

- Przez jedno popołudnie. - Krzywi się.

- Jak to wygląda?

- Coś między trzymiesięcznym koncertem rockowym w 1968, rozbebeszaniem zbiorowego grobu i *Czasem Apokalipsy* Coppoli. Naprawdę trudno to opisać, co oznacza wielki plus dla naszego bohatera. Znasz tego Polaka?

- Wojtka?

- Kto to?

- Artysta. Zatrzymałam się tu i kiedy wyjeżdżałam do Tokio, zostawiłam mu klucze.

- Chwała Bogu, że zna rosyjski. Dzięki temu nie jesteśmy skazani na Marinę. Ale czy ci się nie wydaje, że on do niej uderza?

- Nie - mówi Cayce, widząc, jak Wojtek wyjmuje z torby jeden ze swoich notesów - on uderza do jej kieszeni, żeby zasponsorowała jego przedsięwzięcie. - Marina zbywa go lekceważącym gestem i idzie do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Uśmiechnięty Wojtek podchodzi do Cayce, z zeszytem w jednej ręce, butelką piwa w drugiej.

- Casey, byłaś gdzie?

- Daleko. Poznałeś Fergala?

- Tak! - Siada na kanapie. - Damien do mnie z lotniska dzwoni, prosi się tu z kluczami spotkać, jedzeniem od Hindusa i piwem. Ta producentka, Marina, ona bardzo interesująca jest. Znajomości w galeriach w Moskwie ma.

- Mówisz po rosyjsku?

- Oczywiście. Magda tam się urodziła. Ja w Polsce. Nasz ojciec inżynierem w Moskwie był. Ja Polski nie pamiętam.

- Chryste, ta *khoorma* jest boska! - woła Damien zza ściany.

- Przepraszam - mówi Cayce, wstając. Idzie do żółtej kuchni i zastaje gospodarza zamurowanego z radości na widok rzędu otwartych plastikowych misek pełnych jedzenia.

- Wreszcie nie żaden pieprzony gulasz - Damien odzyskuje głos. - Przy wykopalisku jechaliśmy na gulaszu. Nie było lodówek. Ten gulasz perkotał nam przez prawie dwa miesiące. Po prostu wrzucało się do gara, co w ręce wpadło. Jakby nasz szary sos, mięso niewiadomego pochodzenia i ziemniaki. I do tego chleb. Rosyjski chleb palce lizać, ale ta *khoorma*...

Cayce ściska go.

- Damien, nie mogę tu zostać.

- Nie bądź głupia.

- Nie. Twoja dziewczyna się wkurza, że jestem.

Damien uśmiecha się szeroko.

- Nie wkurza się. Zawsze ma taką minę. To nie ma żadnego związku z tobą.

- Twoje szczęście do znajomości z ponurymi panienkami dalej cię nie opuszcza, co?

- Bez Mariny nie zrobię tego filmu.
- Nie myślisz, że byłoby ci łatwiej, gdybyś nie łączył pracy z łóżkiem?
- Nie. W ogóle nie byłoby o niczym mowy. Ona taka jest. Kiedy przyjeżdżasz?
- Gdzie?
- Do wykopu. Musisz to zobaczyć. Niesamowite. Też coś, wieża szarych kości.
- Nie mogę, Damienie. Pracuję.
- Wciąż dla Blue Ant? Kiedy dostałem tamtego e-maila o kluczach, myślałem, że jest już

po wszystkim.

- To nowe zlecenie.

- Ale dopiero co przyleciałaś z Tokio. Jesteś tu, na górze stoi tapczan, a ja jutro wyjeżdżam. Jak pojedziesz do hotelu, zupełnie się nie zobaczymy. Idź na górę, prześpij się, jak potrafisz, a ja załatwię wszystko z Mariną. - Uśmiecha się. - Znam się na tym.

Nagle myśl o tym, że faktycznie ma szukać hotelu, jeździć nie wiadomo gdzie, przerasta jej siły.

- Dobra, przekonałeś mnie. Jestem za bardzo skołowana. Ale jak wyjedziesz do Rosji nie budząc mnie, zabiję cię.

- Idź na górę i połóż się. A tak w ogóle, to gdzie znalazłaś tego Wojtka?

- Na Portobello Road.

- Podoba mi się.

Cayce ma wrażenie, jakby jej nogi należały do kogoś innego. Będzie musiała ostro z nimi pogadać, żeby zaniósł ją na górę.

- Nieszkodliwy - mówi, nie bardzo wiedząc, co to ma znaczyć. Idzie po torbę, a potem na górę.

Udaje się jej rozłożyć tapczan i pada na niego. W tej samej chwili przypomina sobie, że Boone prosił ją o telefon. Wyjmuje komórkę i wybiera pierwszy z jego numerów.

- Halo?

- Cayce.

- Gdzie jesteś?

- U Damiena. Przyjechał. Pauza.

- To dobrze. Martwiłem się o ciebie.

- Ja też martwiłam się o siebie, kiedy usłyszałam, jakie gówna wstawiasz Bigendowi po drodze. Co to było?

- Improvizowałem. Wiesz, jest szansa, że on wie.

- Skąd?

- „Skąd” to akademickie rozważania. Jest taka możliwość. Kto ci dał komórkę, z której dzwonisz?

Boone ma rację.

- I myślałeś, że może coś mu się wysunie?

- Pomyślałem, że zaryzykuję.

- Nie podoba mi się to. Mieszasz mnie w swoje kręactwa, a nie pozwoliłeś mi zdecydować, czy mam na to ochotę.

- Przepraszam - te przeprosiny nie wydają się jej szczerze. - Potrzebuję ten plik od Takiego. Wyślij mi go e-mailem.

- Czy to bezpieczne?

- Taki przesłał go w ten sposób twojemu przyjacielowi, a on tobie. Jeśli ktoś kontroluje ten kanał, już ma plik.

- Co chcesz z tym zrobić?

- Razem z przyjacielem chcemy policzyć anioły na główce od szpilki.

- Pytam poważnie.

- Poimprovizować. Pogrzebać. Pokazać paru ludziom mądrzejszym ode mnie.

- W porządku. - Nie jest zachwycona tym, że wciąż robi wszystko pod jego dyktando. - Wpisałeś swój adres do laptopa?

- Nie. Proszę. Chu, kropka, b, małpa... - Cayce wklepuje adres.

- Jaka domena? - pyta.

- Moja była firma. Tyle z niej zostało.

- W porządku. Wyślę ci to zaraz. Dobranoc.

- Dobranoc.

Żeby wysłać grafikę, musi wyjąć laptopa i podłączyć go do telefonu. Robi to na automatycznym pilocie, chyba pamięta wszystko, jak trzeba, bo wiadomość do chu.b przechodzi natychmiast.

Automatycznie sprawdza PRZYCHODZĄCE. Kolejna poczta od matki, tym razem z jakimś obco wyglądającym załącznikiem.

Bezwiednie otwiera pocztę od Cynthii.

Te cztery fragmenty w załączniku przypadkowo zarejestrował student antropologii z miejskiego uniwersytetu w Nowym Jorku, dokonujący 25 września pomiarów przekazów werbalnych i niewerbalnych, pozostawionych przez osoby zaginione w pobliżu blokady przy Houston i Var-rick. Stwierdziliśmy, że ta taśma szczególnie obfituje w ESP i stosując różne metody odzyskaliśmy szereg wiadomości.

- Dostał kaczka w twarz - mówi Cayce, zamykając oczy. W końcu musi je otworzyć.

Jestem skłonna uwierzyć, że cztery z nich są od twojego ojca. Wiem, że nie wierzysz w to, co ja, ale mam wrażenie, że Win zwraca się do ciebie, kochanie, a nie do mnie (dwa razy mówi całkiem wyraźnie „Cayce”) i że zależy mu na kontakcie.

Przekazy tego rodzaju nie są łatwe do rozszyfrowania technikami konwencjonalnymi, a ci z drugiej strony znakomicie potrafia modulować tę część pasma, którą my zwykle odbieramy jako szum. Dlatego zwiększenie względnego wskaźnika szumów powoduje zatarcie przekazu. Jeśli słucha się jednak w skupieniu, na słuchawkach, to można usłyszeć, jak twój ojciec mówi, co następuje:

Plik nr 1: Spożywczy... [??] Wieża światła... [życia?].

Plik nr 2: Cayce... Sto... [początek twojego adresu?].

Plik nr 3: Zimno tu... Korea... [błędny rdzeń?]**] Zaniechane...

Plik nr 4: Cayce, kości... W głowę, Cayce... [ktoś zasugerował, że ktoś „oberwał w głowę”***, ale szczerze mówiąc, wątpię, aby twój ojciec się tak wyraził].

Wiem, że to sprawy ci obce, ale ja od dawna wierzę w ich realność. Nieważne. Wierzę, więc jestem tu, w Rose of the World, pomagając, na ile potrafię, w tych pracach. Twój ojciec stara się coś ci powiedzieć. Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby powiedział nam dokładnie kiedy, jak i co. Przede wszystkim, gdzie przeszedł na drugi brzeg, bo wtedy moglibyśmy przebadać DNA i mieć dowód, że faktycznie nas opuścił. Prawne ustalenie zaginięcia dalej nie jest możliwe, chociaż zmieniałam kancelarię i kazałam adwokatom uzyskać nakaz sądowny... Cayce patrzy na rękę, która sama z siebie zamknęła wiadomość. Nie chodzi o to, że matka jest szalona (Cayce w to nie wierzy) ani o to, że wierzy w te sprawy (choć ślepo wierzy), ani nawet o to, że

* W oryg. wymawiane podobnie słowa: light/life (światło/życie). ** W oryg. Korea/core error (Korea/błędny rdzeń). *** W oryg. Head, Cayce/headcase (głowa, Cayce/oberwał w głowę).

domniemane przekazy mają banalny, chaotyczny charakter i zupełnie nie trzymają się kupy (przywykła do tego), ale o to, że teraz Win staje się żywym trupem, podtrzymywanym przy życiu upiorem i to na dwa sposoby.

Mieć kogoś, kto znikł na Manhattanie w tamto przedpołudnie 11 września, o kim nie wiadomo, czy przebywał w sąsiedztwie WTC, a nawet czy miał powód tam przebywać, to nie kończący się koszmar. Zostali powiadomieni o zniknięciu Wina dopiero dziewiętnastego, zwykle policyjne procedury nie działały, a firma, która wydała Winowi kartę kredytową, nie spieszyła się z udzielaniem informacji krewnym klienta. Cayce sama musiała sobie radzić podczas pierwszych etapów poszukiwań. Cynthia pozostała na Maui, bojąc się wsiąść do sa-

molotu jeszcze długo po wznowieniu lotów komercyjnych. Dziewiętnastego twarz Wina dołączyła do bardzo wielu innych twarzy, które dzień po dniu towarzyszyły Cayce po zamachach. Bardzo możliwe, że znalazł się wśród tych, na których natrafił student antropologii, szeptał we wszechświecie Cynthii przez membranę z tamtej strony, którą Cynthia i jej towarzysze wymyślili mu na Maui. Sama Cayce rozłożyła w pobliżu blokady przy Houston i Varrick kilka zdjęć Wina, odbitek wykonanych w zakładzie fotograficznym koło jej mieszkania, troskliwie zabezpieczonych plastikiem. Win starannie unikał portretowania, być może ze względów zawodowych, zostawił więc po sobie bardzo niewiele dobrych ujęć. Najlepsze, dzieło Cayce, przyjaciele mylnie brali za fotografię Williama S. Burroughsa w młodym wieku.

Następni zaginieni nieznajomi stawali się jej bliscy, w miarę jak pokonywała stacje tej niepojętej drogi krzyżowej.

Robiąc odbitki, patrzyła, jak twarze zmarłych krewnych innych ludzi wynurzają się z sąsiednich kopiarek, pomnażając pamiątkowy album strat miasta. A ustawiając te odbitki, zauważyła, że ani jedno zdjęcie nie zasłania innego i to dlatego w końcu się rozpląkała, skulona na ławce przy Union Square, przed morzem świeczek płonących u stóp posągu George'a Washingtona.

Pamiętała, że zanim się rozpląkała, siedziała tam, patrząc to na pomnik rosnący u stóp Washingtona, to na dziwną rzeźbę po drugiej stronie 14. Street, przed Virgin Mcgastore, wielki nieruchomy metronom ciągle dymiący parą, i znów wracała wzrokiem do rosnącego skupiska świeczek, kwiatów, fotografii, wiadomości. Jakby odpowiedź na pytanie, dlaczego to się stało, jeśli taka odpowiedź w ogóle była, wynikała z zestawienia tych widoków.

Potem wróciła do domu, pieszo, do bezgłośnej jaskini z pomalowanymi na niebiesko podłogami i skasowała program, który umożliwiał oglądanie CNN na komputerze. Od tamtej pory starała się nie oglądać telewizji i nigdy, jeśli tylko nie istniała nadzwyczajna konieczność, wiadomości.

Ale jak się okazało, zagubiona osoba Cayce zagubiła się w jakiś inny niż wszystkie pozostałe i wyjątkowo niejasny sposób.

Gdzie był ojciec? Wyszedł z Mayflower i nie wrócił, tyle wiadano. Za radą adwokatów matki najęła prywatnych detektywów, którzy przeprowadzali wywiady z taksówkarzami, ale miasto dostało bardzo dziwnej amnezji na punkcie Wingrove'a Pollarda, przepadł tak całkowicie i bezgłośnie, że nie dało się udowodnić, iż nie żyje.

Martwi pamiętają, zawsze powtarzała matka. Cayce nigdy nie miała ochoty się dowiedzieć, co pamiętają.

- Spisz? - Ostrzyżona głowa Damiena pojawia się u góry schodów. - Wychodzimy do Brasserie. Zapraszamy.

- Nie, dzięki, idę spać. - I ma rozpaczliwą nadzieję, że te słowa się ziszczą.

22. KAMUFLAŻ

Zasypia szybko i bardzo głęboko, zapada się przez pokłady czegoś zbyt ulotnego, żeby zasługiwało na słowo „sen”, po czym nagle zostaje wypluta na powierzchnię.

Podświetlony zegarek informuje, że spała zaledwie trzy kwadranse.

Na dole cisza. Cayce przypomina sobie, że wszyscy poszli do Brasserie, restauracji przy High Street w Camden, ulubionego lokalu Damiena.

Wstaje, wkłada dzinsy, sweter i krokiem osiemdziesięciolatki wlecze się na dół wąskimi schodami. Trudno już mówić o opóźnieniu duszy, to fizyczny upadek.

Zaglądając do sypialni Damiena, widzi, że walizki Mariny są od Louisa Vuittona, dostrzega powtarzające się monogramy, coś realnego i obrzydliwego, na co ma ostrą alergię. Z dwóch otwartych świeżutkich walizek wylewa się czarna ekskluzywna kolekcja Prądy. Srebrna rękawica kuchenna leży na podłodze, a na poskręcanych prześcieradłach zmięty mundur polowy. Jego wzór kamuflażu poznała, pracując nad konfekcją dla deskorolkarzy. Zna większość kamuflaży. Najpiękniejszy jest południowoafrykański, beżowe ekspresjonistyczne smugi, replika pejzażu nieziemskiej urody. Ten jest inny. Niemiecki? Rosyjski? Angielski? Coś jej przypomina. Świat wymarłych jezior Poego?

W łazience unika lustra, obawiając się tego, co mogłaby zobaczyć przy tak niskim poziomie serotoniny. Szybko bierze prysznic, wyciera się, ubiera, starannie rozwiesza ręcznik (Marina to wyjątkowe prosię, nie ma co gadać), marszcząc z obrzydzeniem nos na widok licznych drogich kosmetyków, rozrzuconych na umywalce Damiena. Ale odkrywa też parę produktów nie służących upiększaniu, butelkę doskonałej kalifornijskiej melatoniny, którą w Stanach wydają od ręki, a w Anglii tylko na receptę. Łyka pół tuzina dużych, jasnobrązowych, żelowych kapsulek, popijając dziwnie smakującą londyńską wodą z kranu i pełźnie z powrotem na górę, rozpaczliwie udając, że jest bardzo zmęczona (co zapewne jest prawdą) i wmawiając sobie, że zaraz zapadnie w głęboki, nie przerywany niczym sen (co jest bardzo wątpliwe).

Ku swemu zdumieniu zasypia; sen jest płytki, ale ciągły, chociaż Cayce czuje wściekłość i wrzask za suchą warstwą melatoniny oklejającą mózg.

Otwiera oczy i widzi głowę Damiena w tym samym miejscu gdzie poprzednio, u góry schodów. Poniżej głowy dostrzega zapiętą pod szyję kurtkę polową.

- Przepraszam. Tylko sprawdzałem, czy śpisz. Nie chciałem cię budzić - mówi prawie szeptem.

Cayce patrzy na zegarek. Jest siódma rano.

- Nie, w porządku. Nie śpię.

- Marina tak. Zostanie u mnie. Jak będziemy cicho, to może nie obudzimy jej, wycho-

dząc. Wypijemy kawę i pogadamy.

- Pięć minut.

Głowa znika.

Kamuflaż Damiena wygląda jak czekoladowe okruszki sypnięte na konfetti barwy ostatnich liści jesieni.

Tu płaci się więcej za kawę na miejscu niż na wynos. Zapewne w Tokio panują podobne zwyczaje, ale nie zauważyła.

Pada deszcz i Damien włożył pod czekoladowo-liściastą kurtkę czarną bluzę z kapturem. Po wejściu do tego klona Starbucksa nie ściągnął kaptura i Cayce jest z tego zadowolona, gdyż ogolony czerep Damiena budzi w niej dezorientację. Zawsze nosił włosy do ramion, z przedziałkiem na środku głowy jak *shoegazerzy* i fryzura była mu obojętna.

Cayce czuje się jak za dawnych czasów, siedząc z Damienem naprzeciwko stacji metra Camden, w mokrym ubraniu, grzejąc ręce o kubeczek z kawą *latte*.

- Co z twoim ojcem? - pyta Damien, spoglądając piwnymi oczami spod bawełnianego kaptura.

- Znaku życia. Matka jest na Hawajach, odbiera od niego przekazy na pustych taśmach audio, więc jest przekonana, że nie żyje. - Wie, że brzmi to dziwnie, ale jak mówić o takich sprawach?

- Pierdolone zasaństwo - mówi Damien z tak wyraźnym i jednoznacznym współczuciem, że Cayce ma ochotę go uściskać. - To musi być okropne.

Cayce kiwa potakująco głową. Pije kawę z kartonowego kubka.

- Są problemy z ubezpieczeniem, ale to pewnie tylko sprawa czasu.

- A jak ty myślisz, nie żyje?

- Nigdy w to nie wątpiłam, naprawdę. Nie wiem dlaczego. - Ucieka wzrokiem z jasno oświetlonej miejskiej jaskini, poza rząd klientów i syk pary z ekspresu, do nieznanomych pewnie przemierzających ulicę w deszczu.

- Masz tu robotę dla Blue Ant? - Zrobił Bigendowi kilka reklamówek. Słyszała, że jest jego ulubieńcem. - I w Tokio?

Wraca do niego wzrokiem.

- Chcieli, żebym wpadła i oceniła, czy nowe logo zaskoczy, czy nie. - Wymienia nazwę firmy i Damien kiwa potakująco głową. - Potem sprawy przybrały inny obrót.

- Nie widzę, żeby inny obrót wprawiał cię w nirwanę.

- Nie wprawia. Nie spytałeś mnie, dlaczego zmieniłam zamki.

- Zastanawiałem się.

- Miałaś gościa. Nieproszonego. Nie było mnie wtedy.

- Ktoś się włamał?

- I nie zostawił śladów włamania, choć drzwi były zamknięte na zamek. Jest jakaś szansa,

że jeszcze ktoś mógł mieć klucze?

- Nie. Przypilnowałem tego. Wymieniłem zamki zaraz po remoncie.

- I możliwe, że użyto twojego komputera. - Myśli przy tym o Boonie sprawdzającym jej iBooka.

- Strasznie wiele to im da. Masz pojęcie, kto to mógł być? Więcej w tym pytaniu ciekawości niż złości. Prawdę mówiąc, żadnej złości. Tego się spodziewała. Ludzie fascynowali go w jakiś szczególny, abstrakcyjny sposób: liczyły się rzeczy, które robili, a nie to, dlaczego je robili.

Opowiada mu o Dorotei, ricksonie i azjatyckich dziwkach, o wymianie zamków. Potem o drugim spotkaniu z Doroteą. O ludziku Mi-chelin na spotkaniu, a potem o lalce na gałce u drzwi.

- Zaczekaj. Nie rozgłaszasz tego, no nie?

- Nie.

- Więc kto o tym wie?

- No... ty, kilka bliskich przyjaciółek, paru byłych facetów, czego żałuję, psychiatra i dwóch psychoterapeutów.

- A czemu byłaś w Tokio?

- Dla Bigenda. Szuka twórcy emefów.

Przygląda się mu, kiedy on rozważa to, co usłyszał. Jest jednym z ludzi pozornie obojętnych na moc przyciągania emefów. To dlatego, iż sam jest twórcą, opętanym potrzebą generowania własnych emefów.

- Czy mówi po co?

- Nie był wylewny, ale jest przekonany, że to mocna, zupełnie nowa rzecz i chce wsiąść do tego pociągu jako maszynista, nie pasażer.

- Więc pracujesz nad tym dla Blue Ant?

- Nie. Bigend określił to jako współdziałanie. Z nim. I amerykańskim konsultantem od bezpieczeństwa komputerowego, Boone Chu.

- Boonchoo?

- Boone, jak Daniel Boone. Ce-ha-u.

- Doszłaś do czegoś?

- Głównie do irytacji, chociaż gdybym nie miała takiego *jet lagu*, pewnie wpadłabym jeszcze w ciężką paranoję. - Szybko i pobieżnie opisuje przeżycia w Japonii, nie wdając się w szczegóły o WParceU-branym ani o Takim, napomyka tylko o Włochach i Boonie.

- Dołożyłaś mu z byka?

- Rozbiłam mu nos czołem.

- Właśnie tak na to się tu mówi. A przynajmniej mówiło. Zdziwiający. Nigdy nie myślałem, że jesteś zdolna do czegoś takiego.

- Ja też nie. - Wokół ludzie z mokrymi, luźno złożonymi parasolami rozmawiają, piją ka-

wę. Nagle słyszy zdumiewający akcent rdzennego mieszkańca Glasgow, kiedy ktoś zamawia kawę *latte* z poczwórnym mlekiem. Damien też to słyszy i uśmiecha się szeroko.

- Co z tobą? - pyta Cayce. - Widać, że strasznie ci zależy na tym twoim przedsięwzięciu, chyba bardziej niż na producentce.

- Czasem myślę, że byłoby łatwiej, gdybym sypiał z jej ojcem niż z nią. To nowy Rosjanin starej daty. Dorobił się, grabiąc własny kraj, ale to postawa bez przyszłości. Rosja ma dochód narodowy Holandii, ale to się zmienia. Nowi Rosjanie nowej daty są za uczciwą grą; firmy prowadzą księgowość, płacą podatki. Dojrzeli, że w ten sposób można zarobić większe pieniądze. To nie przypadek, że Putin mówi o sobie, że jest prawnikiem. Bo jest. Ale ojciec Mariny pochodzi ze starej szkoły i w naszej sytuacji potrzebowaliśmy kogoś właśnie takiego. Żeby załatwił co trzeba z ludźmi, którzy faktycznie kontrolują teren wykopu, żeby trzymał z daleka miejscową milicję. - Unosi rękę, wykonuje gest odżegnywania uroku, krzyżuje palce. Drugą podnosi kubek do ust, pociąga łyk.

- Fergal mówił, że wróciłeś znaleźć inwestora.

- Załatwione. Mieliśmy w Brasserie spotkanie z ludźmi od kasy.

- Nie potrzebujesz pieniędzy od nowych Rosjan starej daty?

- To ostatnia rzecz, która jest mi potrzebna. Myślę, że będziemy filmować jeszcze trzy tygodnie i koniec.

- Nie boisz się kręcić z tą córką dona?

- To nie mafioso - mówi bardzo poważnie Damien, chociaż Cayce tylko żartowała. - Oligarcha niższego szczebla. Mam dobre stosunki z Borysem. Wydaje się zadowolony, że ma ją z głowy.

- Ale nie chcesz, żeby zbyt często się przyzwyczaił do tej sytuacji, co?

- Przerażasz mnie. - Dopija resztki swojej kawy. - Ale gdybym był na twoim miejscu, bardziej bym się martwił. Propozycja pracy dla Hubertusa Bigenda przeraziłaby mnie nawet przy najbardziej sprzyjających okolicznościach. - Wstaje.

Cayce też się podnosi, biorąc torbę z oparcia krzesła.

- Co będziesz dziś robił, Damien?

- Po południu lecimy Aerofłotem do Sankt Petersburga. Muszę załadować na pokład nasze bagaże i dodatkową ekipę. Plus Marinę. To Tupolew 185. Wsadzenie Mariny do rosyjskiego samolotu będzie wymagało wysiłku. Fergal pilnuje budżetu jak bulterier kości. Muszę zrobić ten film, nie ma dwóch zdań. A ty?

- Wybieram się do studia pilatesu. O której ten lot?

- Druga dwadzieścia pięć.

- Nie będę ci się płatać pod nogami. Nie masz mi za złe, że miałeś przez mnie to włamanie?

- Nie wyobrażam sobie, że miałabyś się płatać gdzie indziej. - Na dworze, pod markizą, kładzie jej rękę na ramionach. - Będziesz na siebie uważać? Masz prawdziwy młyn i wygląda

na to, że dzieją się naprawdę dziwne rzeczy.

- Nic mi nie będzie. Strasznie się cieszę, że się spotkaliśmy.

- Wiem - mówi, przywołując taksówkę. - Wiem, że nic ci nie będzie, i że się cieszysz! - Taksówka podjeżdża i Damien otwiera jej drzwi, muskając przelotnie w policzek. Cayce wsiada, on zamyka za nią drzwi.

- Neal's Yard.

23. CIULE

Opuszczając NeaFs Yard i studio pilatesu, Cayce stara się wejść w skórę zagubionej turystki, chociaż wie, że nigdy się w nią nie wpasuje. Jak Magda rozsiewająca w niezbyt uczciwy sposób mikromemy, tak Cayce wie, że jest i była współwinna. Chociaż trudniej już określić, czego współwinna. Chyba tego czegoś, co sprawia, że Londyn i Nowy Jork stopniowo upodabniają się do siebie, czegoś co rozpuszcza membrany między światem i światem po drugiej stronie lustra.

Wie zbyt wiele o procesie plasującym dany produkt w świecie i czasem aż powątpiewa, czy tak naprawdę jest jeszcze miejsce na spontaniczne reakcje. Ale mówi sobie, że to sprawa nastroju, trochę nieprzyjemnego nastroju, spowodowanego opóźnieniem duszy. Ta ciągnąca się za nią część jej osoby powoli do niej dociera i zadanie Cayce polega po prostu na tym, żeby iść, żeby być w Londynie, bo w ten sposób sygnalizuje ciału, gdzie jest.

Deszcz przestał padać, ale krople nadal sączą się z parapetów i markiz, rosząc nylon nowego ricksona. Z roztargnieniem dotyka miejsca, w którym powinna być taśma klejąca, ale jej tam nie ma. Żadnej dziury. Historia wymazana, jeden przedmiot zastąpiony drugim, identycznym.

W tej chwili żałuje, że nie można równie łatwo zastąpić jednego życia drugim, ale wie, że takie postępowanie byłoby nie w porządku. Czyż bez względu na to, jak dziwne jest twoje życie, ta dziwność nie może wykroczyć poza pewien poziom, bo zaczęłabyś wieść życie kogoś innego? Jej życiu nigdy nie brakowało porcji dziwności, ale ma wrażenie, że niektóre rzeczy, zwłaszcza te, które ostatnio jej się przytrafiły, są nie z jej życiorysu. Nigdy nie robiła niczego takiego, żeby musieć korzystać z ukrytych drzwi, tajemnych przejść, tych widomych oznak kłamstwa, gruntownej nieuczciwości, która jej zdaniem nie ma z nią żadnego związku. Nigdy wcześniej nie była nachodzona, śledzona, napadana. Przez cały czas spędzany na ulicach świata na tropieniu tego co *cool*, i czego domagali się producenci artykułów masowych, nic takiego jej się nie zdarzało. Czemu więc zdarza się teraz? Jaki błąd popełniła?

A może chodzi po prostu o to, że w momencie, w którym opadł tamten płatek, w momencie uderzenia samolotów w wieżowce, świat dokonał tak zasadniczego zwrotu, że teraz tak naprawdę nic nie jest takie, jak było, a jej oczekiwania względem tego, jak powinny wyglądać parametry jej życia, są tylko pobożnymi życzeniami, coraz bardziej rozmijającymi się z samym życiem, w miarę jak oddala się od okna w SoHo Grand, z którego patrzyła na płonące wieżowce. Podejrzewa, że wielu jej przyjaciół widzi swoje życie podobnie jak ona, chociaż czuje, że jej życie zamiera, gdy przyjmuje taką postawę. Więc odżegnuje się od niej.

Przystaje przed taflą szkła Duffera przy St. George, za którą wisi anorak, nadal dręczona brakiem serotoniny. Nagle otrząsa się, przypominając sobie uścisk tamtego człowieka na Roppongi, tego, który zaszedł ją od tyłu. Wtedy nie czuła strachu. Za to teraz wyłania się z jej

rdzenia, zimny i twardy.

- Dostał kaczką w twarz. - No cóż, tamten faktycznie dostał. Dostał od Cayce w twarz przy nie wiadomo ilu węzłach.

Czuje głód. Długo nie zaspokajany głód grozi szaleństwem. Cayce idzie przed siebie, aż trafia na bar kanapkowy, mały, sprzed epoki globalizacji, do tego elegancki, jako że znalazła się przy St. Martin's Lane i czynsze chyba nie są tu niskie. Kupuje sałatkę z jajkiem na bagietce, kawę z ekspresu i zanoszą to do małego stoliczka przy oknie. Siada, wyglądając na ulicę, i je.

Pierwszy raz trafiła do Covent Garden po ciężkich opadach śniegu. Spacerowała za rękę z Winem i przypomina sobie tajemniczo wyciszony Londyn, niesamowite milczenie; śnieżna breja ciamkała pod butami, a trapezoidalne czapy topiącego się śniegu szurały, osuwając się 2 przewodów. Win powiedział jej, że ogląda dawny Londyn. Samochody przeważnie się pochowały, a biel otuliła nowoczesne fragmenty, wysuwając na pierwszy plan te starsze. I tamtego dnia dzieciństwa dostrzegła, że to miasto to nie ciągi budynków, jak miasta amerykańskie, ale najprawdziwszy jednorodny labirynt, żywy, bo nadal rosnący organizm z cegły i kamienia.

W torbie dzwoni komórka Blue Ant. Zirytowana, że nie wyłączyła dzwonek i że teraz telefon przerywa jej myślenie, wyjmując go, spodziewając się Boone'a.

- Halo?

- Cześć, Cayce. Jak się masz? Wyspana? - Bigend.

- Tak, wyspana.

- Gdzie jesteś?

- Przy Saint Martin's Lane.

- No, to bardzo blisko. Podejź do Blue Ant. Musimy porozmawiać.

Fundamentalny instynkt pracobiorcy knebluje w niej jęk, ale z najwyższym trudem.

- Kiedy?

- Kiedy tylko będziesz mogła.

- Jem śniadanie.

- To kiedy skończysz. Poślę samochód.

- Nie - potrzebuje jak najwięcej czasu, żeby osiągnąć szybkość działania zbliżoną do Bigendowego pędu. - Muszę się przejść.

- Kiedy tylko będziesz mogła. Proszę. Do widzenia. - Rozłącza się.

Komórka natychmiast znów dzwoni.

- Halo?

- W Parke Ubrany. Gdzie jesteś?

- Przy Saint Martin's Lane.

- W Londynie? Muszę coś z tobą obgadać. Mamy problem. Z Judy.

- Judy?

- Judy Tsuzuki. Keiko.

- Tą dziewczyną ze zdjęcia?

- Z nią całą od stóp do głów. Lubi wypić po pracy, więc zaczęła zachodzić do knajpy Darryla, a Darryl startuje do każdej. No i stawia jej drinki, i próbuje ją olśnić, mówiąc, jaki to ma superkomputer. To nie chwyta, więc demonstruje, jaki z niego wielki lingwista i jakie wrażenie zrobiło jej zdjęcie na tym kretynie w Japonii. Czyta jej fragmenty e-maila Takiego. Ona się na niego wkurwia, całe metr siedemdziesiąt trzy kobiecego ciała w skórzanej mini, w której zasuwą za barem. Że trzeba być ciulem, żeby zrobić coś takiego temu facetowi w Japonii, który powiedział jej takie rzeczy, jakich żaden inny facet dotąd jej nie powiedział...

- Ale on myśli, że jest uczennicą...

- Wiem, ale ona była po kilku drinkach, więc Darryl jest ciul...

- Ty też jesteś ciul. I ja też, że na to poszłam. - Dwie starsze Angielki wchodzące do baru patrzą na nią, ale szybko odwracają wzrok.

- Metafizykę zostawmy na później. Problem w tym, że Judy jest faceta żal, jest wkurzona na Darryla i w konsekwencji na nas, i chce tamtemu odpisać. Chce posłać mu więcej zdjęć i uszczęśliwić go. Mówi, że tego właśnie chce, a jak Darryl na to nie pójdzie, to ona pójdzie do jednego dziennikarza z „Chronicie”, z którym wcześniej chodziła, i opowie mu o jednym perwersyjnym hakerze przy Mission, który omotał faceta z Tokio, bo tamten ma zamiar na jakąś dużą sprawę związaną z tym filmem w sieci.

- O tym też wie?

- To wynika jasno z e-maili Takiego. Wydarła je Darrylowi i przeczytała.

- To nie były po japońsku?

- Z przetłumaczonych.

- Więc czego chcesz ode mnie?

- Jak mamy ją uciszyć? Powiedz.

- Nie uciszajcie. Nie uda się wam. Niech pisze do Takiego.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście, że mówię poważnie. Jak chcecie dalej ciągnąć tę sprawę, to dajcie Judy być Judy/Keiko. Pamiętaj, że Taki jest zakochany w obrazku, który stworzyliście.

- Tego się obawiałem. Prawdę mówiąc, doszedłem do niemal identycznego wniosku. Chodzi tylko o to, że nie cierpię tracić kontroli nad sytuacją, no wiesz?

- Trzeba zacząć od tego, że twoja kontrola była bardzo iluzoryczna.

- Wolne żarty, kurwa. Z ciulem kalibru Darryla na głowie? Co się tam dzieje z tym T-czymś?

- Jest oglądane.
- Przez?
- Przyjaciół przyjaciela. Dokładnie nie wiem.
- Tam u ciebie wszystko gra? Masz zmęczony głos.
- Jestem zmęczona, ale wszystko gra.
- Kontaktuj się. Pa.

Cayce patrzy na telefon i zastanawia się, kim jest WParkeUbrany. Poza tym, że jest teoretykiem emefów. Co robi, kiedy się nimi nie zajmuje? Nie ma pojęcia i nie ma pojęcia, jak naprawdę wygląda, jak osiągnął ten stopień poświęcenia, każący trzymać się emefów i wciąż je zgłębiać. Ale teraz wszechświat F:E:F uzewnętrznia się w jakiś niepojęty sposób. Objawia się w tym świecie. Wkurzona japońsko-teksta-ska barmanka Darryla-Musashiego to jeden z dowodów tego procesu.

Ale Cayce jest zadowolona, że jeszcze komuś oprócz niej nie podoba się to, co zrobiono Takiemu.

Kiedy zbliża się do Blue Ant, telefon znów dzwoni.

- Gdzie jesteś?
- Prawie na miejscu. Dwie minuty. Bigend rozłącza się.

Cayce idzie dalej, mija okno galerii, w której wisi ogromne płótno. Niebieski kształt w środku przypomina kostkę Takiego. Co to jest? Czemu zostało przesłonięte rozbłyskiem? Co jeszcze ukryto w innych segmentach?

Kiedy wyciąga rękę do domofonu Blue Ant, drzwi otwiera brunet w przeciwsłonecznych okularach, z nosem starannie oklejonym przylepcem cielistego koloru. Zastyga, robi dziwny unik, potem rusza, ocierając się o wyciągniętą rękę Cayce i pędzi ulicą tam, skąd Cayce właśnie przyszła.

- Hej - mówi Cayce, łapiąc drzwi, zanim się zamknęły. Włosy jeżą się jej na karku.

Wchodzi do budynku.

- Czekają na panią na górze - mówi młoda recepcjonistka. Uśmiecha się. Ćwiek błyszczy w skrzydełku jej nosa.

- Ciule - mówi Cayce i ogląda się na drzwi. - Kto to wyszedł? - Dziewczyna chyba nie rozumie. - Z przylepcem na nosie.

Twarz dziewczyny rozjaśnia uśmiech zrozumienia.

- Franco. Szofer Dorotei, od Heinziego i Pfaffa. Miał wypadek.
- Ona tu jest?
- Czeka na panią - mówi recepcjonistka. Uśmiecha się. - Trzecie piętro.

24.
CYPR

Kiedy Cayce dociera na trzecie piętro, Bernard Stonestreet przechodzi właśnie obok schodów, z nietypową dla niego kwaśną, zdradzającą roztargnienie miną. Stercząca szopa włosów i nieskazitelnie wygnieciony czarny garnitur aż za dobrze przypominają jej poprzednią wizytę.

- Czeeeeść - mówi, przez chwilę wytrącony z równowagi. - Zastanawiałem się, gdzie jesteś. Idziesz na spotkanie z Hubertusem i Doroteą?

- Raczej tak.

- Wszystko w porządku? - pyta zaniepokojony chyba tonem jej odpowiedzi.

- Cudownie - odpowiada przez zaciśnięte zęby Cayce.

- To nieco zaskakujące, no nie? - Zniża trochę głos, choć w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby go usłyszeć. - Z Doroteą.

- To znaczy?

- Przyjął ją na stanowisko łącznika z grafikami. Absolutnie wbrew ustaleniom, które sam z góry narzucił. Zawsze się upierał, żeby graficy pracowali bezpośrednio z klientem - mówiąc, zaciska lekko wargi. - Wiem, wiem, ona ma doświadczenie. - Wzrusza ramionami, pięknie skrojona marynarka wyraźnie unosi się. - Przesłała już nawet rezygnację Heinziemu... dziś rano.

- Kiedy została zaangażowana? Stonestreet sprawia wrażenie zaskoczonego.

- Dziś rano - mówi. - Dopiero co się dowiedziałem.

- Gdzie oni są?

- W sali, w której rozmawialiśmy. Tam - dopowiada, wskazując drzwi.

Cayce mija go. Otwiera drzwi.

- Dzień dobry! - witają Bigend, siedzący na dawnym miejscu Stonestreeta, u szczytu długiego stołu. Dorotea po jego lewej ręce, z boku, bliżej drzwi i Cayce. Boone naprzeciwko niej. Ani Boone, ani Dorotea nie odzywają się.

Cayce zatrząskuje za sobą drzwi. Z hałasem.

- Cayce... - zaczyna Bigend.

- Zamknij się. - Cayce mówi tonem, którego rzadko używa, co nie znaczy, że nigdy.

- Cayce... - próbuje z kolei Boone.

- Co się tu, kurwa, wyprawia? Hubertus zaczyna otwierać usta.

- Zaangażowałeś ją?! - pyta Cayce, wskazując Doroteę.

- To zrozumiałe, że jesteś wściekła - mówi z absolutnym spokojem Dorotea. Ma na sobie coś miękkiego, barwy bardzo ciemnego popielu, ale włosy szeszała jak zwykle, gładko.

- Facet - mówi Cayce, odwracając się do Bigenda - który napadł na mnie w Tokio...

- Franco - ze spokojem przerywa jej Dorotea.

- Zamknij się!

- Kierowca Dorotei - dorzuca Bigend, jakby to wszystko wyjaśniało. Sprawia wrażenie jeszcze bardziej zadowolonego z siebie niż zwykle.

- Bandyta - mówi Cayce.

- I co zrobił biedny Franco, kiedy cię spotkał? - pyta Dorotea.

- Uciekł.

- Przeraził się - mówi Dorotea. - Lekarze w Tokio powiedzieli mu, że gdybyś była centymetr niższa, mogłabyś go zabić. Przegroda nosowa zmiażdżyłaby mu przedmózgowie. Dobrze mówię? Miał wstrząs mózgu, wylewy pod oczami, oddycha tylko przez usta i zapewne czeka go operacja. - Z jakiegoś niewiadomego powodu lekki ton tych słów hamuje Cayce w równej mierze co ich sens. - Nie poprowadzi na razie samochodu - konkluduje Dorotea - a z pewnością nie mojego.

- Tylko będzie napadał na ludzi? - nie mówi tego tym samym głosem, co poprzednio. Zaszły się w swojej klatce. Szkoda.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - mówi Dorotea. - Gdybym była na miejscu, nie doszłoby do tego. Franco nie ma ciężkiej ręki, ale żądano ode mnie wyników. - Nie widać, żeby wzruszała ramionami, ale odczuwa się, jakby to robiła.

- Cayce, wiem, że jesteś wyprowadzona z równowagi, ale usiądź, proszę - mówi Hubertus. - Mieliśmy wyjątkowo owocne spotkanie. Wyłożyliśmy karty na stół. Dorotea bardzo dużo wie o tym, co się dzieje, i wygląda na to, że to wszystko bezpośrednio dotyczy także ciebie. Bardzo bezpośrednio, bo zajmowała się tobą przed zleceniem Heinziemu i Pfaffa, a przynajmniej tym naszym obecnym spotkaniem. Zechciej usiąść.

Cayce z urazą i bezradnością zauważa, że Boone słucha uważnie, chociaż demonstrując całkowitą neutralność. Siedzi w tej swojej starej czarnej kurtce jak skupiony chiński pokerzysta grający o dużą stawkę. Nie pogwizduje, ale ma minę, jakby to robił.

Cayce czuje, że podjęła decyzję, tylko jej jeszcze nie zna. Sięga po krzesło przy końcu stołu i siada, ale nie wsuwa nóg pod stół. Jeden ruch mniej w razie gdyby chciała wstać i wyjść.

- Boone uznał za konieczne opowiedzieć mi o interakcjach między tobą i Dorotea - mówi Bigend - o twojej faktycznej i hipotetycznej wiedzy na temat tego, co się zdarzyło.

- Hipotetycznej?

- Hipotetycznej, ale w każdym wypadku zgodnej z prawdą. - Bigend rozsiada się wygodnie. Cayce dochodzi do wniosku, że teraz przydałby mu się stetson, bo zachowuje się tak, że kapelusz byłby bardzo na miejscu. - Była bardzo niegrzeczna i nieprzyjaźnie nastawiona. Faktycznie przypaliła ci kurtkę, faktycznie nasłała Franco i jego współnika, żeby włamali się do mieszkania twojego przyjaciela i zainstalowali pluskwę w komputerze. Podczas drugiego spotkania celowo pokazała ci obrazek, o którym wiedziała, że wyprowadzi cię z równowagi i faktycznie podrzuciła lalkę pod drzwi mieszkania twojego przyjaciela, aby znów cię nastraszyć. Przy okazji założono podsłuch telefoniczny i Franco śledził cię przy różnych okazjach, w tym podczas twojej przechadzki z Boone'em. I, jak sama wiesz, w Tokio.

Cayce posyła Boone'owi spojrzenie mające znaczyć: „Jeszcze ja się z tobą policzę”. Następnie odwraca się od Bigenda.

- I? I co, Hubertusie? Wiedząc to, angażujesz ją?

- Tak, bo potrzebujemy jej po naszej stronie - mówi Bigend, cierpliwie potakując głową. - I teraz jest po naszej stronie. - Przy tych słowach spogląda na Doroteę.

- Cayce, to dla mnie sprawa kariery - mówi Dorotea, kładąc ten szczególny nacisk na słowo „kariery”, kiedyś częściej się używało, mówiąc „religia”. - Blue Ant to moje miejsce. Hubertus o tym wie.

- Ależ, Hubertusie - mówi z przekonaniem Cayce - a co, jeśli Dorotea to...

- Tak? - Przy tym słowie Bigend pochyla się, kładąc dłonie płasko na stole.

- Podła, kłamliwa suka?

Bigend wydaje z siebie chichot, głęboki i niepokojący.

- No cóż, nie ma zmiłuj, zajmujemy się reklamą. - Uśmiecha się.

- Ale ty mówisz o lojalności, nie o uczciwości. Ja mocno i zwyczajnie wierzę, że możemy liczyć na absolutną lojalność Dorotei wobec... - nagle zmienia wyraz twarzy, lodowato patrzy na Doroteę-jej kariery.

Cayce niechętnie uświadamia sobie, że Bigend ma rację. Hubertus kupuje oddanie Dorotei za jedyną rzecz, której absolutnie nikt inny nie może jej zaoferować: szybki awans w Blue Ant. I Cayce nagle jest bardzo ciekawa, co wie Dorotea.

- Więc powiedz, co zdaniem Hubertusa bardzo mnie zainteresuje - zwraca się do Dorotei, ostentacyjnie ignorując Boone'a.

- Ładna kurtka - mówi Dorotea. - Nowa? - Cayce później pomyśli, że w tamtej chwili bardzo niewiele brakowało, aby Franco przestał być jedynym osobnikiem narażonym na to ryzyko, że przegroda nosowa zmiążdży mu przedmózgowie, ale Dorotea siedzi za daleko, a Cayce nie da się sprowokować. Dorotea się uśmiecha. - Trzy tygodnie temu we Frankfurcie - zaczyna - dostałam telefon od nieznanego Rosjanina z Cypru. Powiedział, że jest doradcą podatkowym. Początkowo wyglądało to na nowy kontrakt dla Heinzięgo, ale szybko wyszło na jaw, że ewentualny zleceniodawca jest zainteresowany moją poprzednią specjalnością zawodową. - Unosi pytająco brew.

- Wiem o niej.

- Chodziło o to, żeby tak obrzydzić pewnej osobie pracę dla pewnej firmy, aby zerwała kontrakt. Firma to Blue Ant. Osoba to ty. - Dorotea kładzie ręce na udach. - Mój zleceniodawca natychmiast przyleciał z Cypru, jeśli to rzeczywiście był Cypr, i spotkaliśmy się.

Wyjaśnił, że chodzi o ciebie. Trochę się tego spodziewałam, siedzę przecież w tym biznesie. Znał moją przeszłość i moje relacje zawodowe z Blue Ant. Tego nie dało się ukryć.

- To faktycznie Rosjanin?

- Tak. Wiesz coś o Cyprze?

- Nie.

- To raj podatkowy Rosjan. Prawdziwy raj. Wielu tam mieszka. Dostałam twoje dossier i opłaciłam najemnika.

- Doroteo, nie chciałem przerywać wcześniej - wtrąca Boone - ale jaką formę miała zapła-

ta?

- To były dolary amerykańskie.

- Dziękuję - mówi Boone i milknie.

- Jakie dossier? - pyta Cayce.

- Kiedy przestałaś odwiedzać Katherine McNally? - pyta w odpowiedzi Dorotea.

- W lutym - automatycznie odpowiada Cayce, czując gęsią skórę na głowie.

- Mój Rosjanin dał mi jej notatki. W formie maszynopisu. - Katherine robiła notatki podczas ich rozmów. - Z nich dowiedziałam się o twojej wrażliwości na...

- Nie musisz się w to zagłębiać - przerywa jej Cayce. Czy terapeuta mogłaby ją zdradzić? Katherine powątpiewała, czy Cayce rozwiązała wszystkie swoje problemy, ale doszły do porozumienia i zakończyły terapię w dobrej atmosferze. Katherine chciała popracować nad sprawami związanymi z Winem i jego zniknięciem, ale wszystko to było zbyt świeże i Cayce nie chciała w tym grzebać. - Nie mogę uwierzyć, że Katherine...

- Zapewne to stało się bez jej udziału - mówi Dorotea, jakby czytając w jej myślach. - Wątpię, czy znasz ludzi pokroju tego zleceniodawcy. Ja tak. Jest co najmniej prawdopodobne, że jego człowiek w Nowym Jorku włamał się do gabinetu tej kobiety i sfotografował jej dokumenty. Mogła o niczym nie wiedzieć.

- Zauważ, że nie możemy ustalić daty poznania historii twojej terapii - mówi Bigend. - Jeśli przestałaś odwiedzać terapeutkę w lutym, oni mogli dostać się do jej gabinetu w każdej chwili, zanim nawiązali kontakt z Doroteą.

Cayce patrzy kolejno na Bigenda, Boone'a i Doroteę.

- A jakie było twoje... - przez chwilę szuka odpowiedniego słowa - zlecenie?

- Zatruc ci życie, zmusić do opuszczenia Londynu. Tak obrzydzić Blue Ant, żebyś trzymała się z daleka, a szczególnie unikała Hu-bertusa. Poza tym miałam zainstalować w komputerze twojego przyjaciela dostarczony program i monitorować cię w Londynie.

- Zażądali zwrotu programu po instalacji - dodaje Boone. - Na nieszczęście, zrobiła to.

- Więc Franco dostał się do mieszkania Damiena, wsadził coś do jego komputera. O co chodziło z tymi azjatyckimi dziwkami?

- Azjatyckimi? - Doro tea lekko wytrzeszcza oczy, jakby naprawdę była zdziwiona.

- I po co dzwonił do ciebie? Potwierdzić wykonanie zlecenia?

- Skąd o tym wiesz?

- Skorzystał z telefonu Damiena.

Dorotea mówi pod nosem coś po włosku, niewątpliwie wulgarnego. Zapada milczenie. Obecni w sali konferencyjnej spoglądają po sobie.

- Kiedy tamci się dowiedzieli, że lecisz do Tokio - mówi Dorotea - chyba ich prąd poraził. Zażądali, żebym cię nadal śledziła. Miałam zobowiązania wobec Heinziego i sama nie mogłam. Posłałam Franco i Maxa.

- Tamci? Czyli?

- Nie wiem. Kontaktowałam się tylko z tym Rosjaninem. On niewątpliwie dla kogoś pracuje. Chciał przejąć wszystko, co dostaniesz od ludzi, z którymi się spotkasz.

- Ale skąd wiedział...

- Już ja się tego dowiem - mówi Boone.

- Ale Pamela Mainwaring już dla nas nie pracuje - mówi Hubertus.

- Ją było łatwo podejść - wtrąca Dorotea.

- A teraz, jeśli ty i Boone nam wybaczycie, chciałbym przedstawić Doroteę grafikom, z którymi będzie pracować - mówi Hubertus, wstając.

Cayce i Boone zostają sami.

25.
SIGIL

„Trudno się denerwować w Starbucksie” - myśli Cayce, siedząc w kawiarni nieopodal Blue Ant, pod dokładnie takimi samymi imitacjami lamp-wahadeł z Murano, które wiszą w Starbucksie najbliższym jej mieszkania w Nowym Jorku.

Proces decyzyjny, który poprzedził dotarcie w to miejsce, miał wysoce nieprzyjemną i w gruncie rzeczy pozawerbalną postać. Cayce nie chciała pozostać w Blue Ant ani sekundy dłużej, niż musiała. Dlatego Boone czeka teraz na zamówienie przy ladzie z napojami, identycznej we wszystkich Starbucksach, takiej z bębnową osłoną.

Wystrój w jakiś sposób służy emocjonalnej neutralności, tonizacji afektów. Cayce czuje opadające zdenerwowanie (choć być może po prostu czuje się w tu swojsko), ale w tej samej chwili wraca Boone, stawiając na stoliku kawy *latte*.

- Powiedz, czemu Starbucks nie działa ci na nerwy, skoro czynnikiem wyzwalającym reakcję alergiczną jest nadmiar znaków towarowych? - pyta.

Cayce przeszywa go wzrokiem, oniemiała z irytacji.

- Wyglądasz, jakbyś była wściekła - mówi Boone, siadając naprzeciwko.

- Jestem wściekła. Poza tym, że Hubertus zatrudnił Dorotę, a ona dostała w łapy notatki mojej terapeutki, zadaję sobie pytanie, czy mogę dalej z tobą pracować.

- Chyba cię rozumiem.

- Nie podobało mi się, kiedy w samochodzie rozmawiałeś z Big-endem bez uzgodnienia...
- Przepraszam. Zrobiłem to bez zastanowienia, ale byłem wkurzony, że tak się nam władował na głowę. Uznałem, że czujesz to samo.

Prawdę mówiąc, tak było.

- Na dodatek opowiedziałeś mu, o co podejrzewam Doroteę. Bez konsultowania ze mną. To było tylko do twojej wiadomości, nie do jego.

- Myślałem, że śpisz...

- Powinieneś do mnie zadzwonić!

- Wiedziałem, że Franco i Max siedzą w samochodzie pod mieszkaniem twojego przyjaciela.

- Byli tam? Kiedy?

- Kiedy wróciłem rozejrzeć się o pierwszej w nocy.

- Wróciłeś? Po co?

- Sprawdzić, czy nic ci zagraża.

Wlepia w niego wzrok.

- Wtedy zadzwoniłem do Bigenda i powiedziałem mu, co się dzieje, i że ci faceci chyba pracują dla Dorotei. Zaraz do niej zadzwonił. Wiedział, że jest w Londynie. Nie mam pojęcia, co jej zakomunikował, ale nie minęło dziesięć minut, a Franco odebrał telefon i znikli. Oczekałem chwilę, uznałem, że chyba jesteś bezpieczna i wróciłem do hotelu Bigenda. Zjedliśmy bardzo wczesne śniadanie, a potem Do-rotea dołączyła do nas na kawę.

- W ogóle nie spałeś?

- Nie.

- I byłeś przy tym, jak zawarł umowę z Doroteą?

- Byłem tylko przy tym, jak szlifowali szczegóły umowy zawartej przez telefon. Ale wysłuchałem jej wersji wydarzeń, tak więc wiem, że Franco i Max byli gotowi do powrotu prawie zaraz po tym, jak kazałaś Mainwaring kupić bilety na lot. Śledzili nas już z lotniska. Tak przy okazji, Hubertus tego nie zauważył. Jest ponad takie drobiazgi.

Zaczyna do niej docierać, że zapewne faktycznie tylko dlatego nadużył jej zaufania, aby zapewnić jej bezpieczeństwo. Co nie znaczy, że w tej chwili czuje się choć trochę bezpieczniej.

- A co jeśli ona w dalszym ciągu kłamie? W dalszym ciągu pracuje dla nie wiadomo kogo?

- Może. Hubertus to pokerzysta. Wyjątkowo metodyczny gracz, niemniej jednak pokerzysta. Swoją strategię opiera na założeniu, że rozszyfrował ją lepiej niż oni. Tamci Rosjanie, czy Cypryjczycy, nieważne, zapewne mogą jej zaproponować tylko pieniądze. Ale Bigend dostrzega też inny wariant. Napomknął o nim, opowiadając mi, co robi. Gdyby znów jej potrzebowali, nie będą się wysilać. Użyją groźby.

- Co masz na myśli?

- Trudno cieszyć się rozwojem kariery, leżąc w grobie.

- Nie dramatyzujesz?

- Ludzie, którzy rozkazują Rosjanom na Cyprze wynajmować szpiegów przemysłowych, mogą mieć skłonność do dramatycznych gestów. Zwłaszcza jeśli są Rosjanami.

- Czy ona wciąż się z nimi kontaktuje? Czy to Rosjanie? Kim oni są?

- Rozmawiała z nimi wczoraj wieczorem. Od tej pory unika kontaktu.

- Czemu wcześniej użyłaś liczby mnogiej? Powiedziałaś „oni”.

- Ona uważa, że to jakaś organizacja. Spotkała się tylko z jednym Rosjaninem, ale przez telefon rozmawiała z paroma. To była prosta wymiana zdań, oni pytali, ona odpowiadała. Uważa, że wszyscy są Rosjanami albo pracują dla Rosjan.

Cayce rozważa to, czego się dowiedziała, próbując uporządkować największe niewiadome. Nie jest to łatwe.

- Czy oni wiedzą o tobie?

- Tyle co z pluskwy w telefonie twojego przyjaciela i z tego, że Hubertus chciał nas skrzyżnić. Sfotografowali nas też przy kanale i muszą wiedzieć, że to ja byłem na skuterze na Roppongi. To wszystko, chyba że mówiłaś o mnie jeszcze komuś, zwłaszcza z telefonu w Camden.

- Nie. Nie mówiłam. Co z moją komórką, skoro Pamela pracowała dla Dorotei?

- Dorotea mówi, że jest czysta. Nie było czasu założyć pluskwy. Mainwaring wzięła aparat z podręcznego magazynu Blue Ant. Gdyby Dorotea miała czas, coś by zmajstrowała. Twojego laptopa kupił technik w najbliższym sklepie. Rozmawiałem z nim. Mówił, że włączył go, sprawdził, czy działa, wprowadził to, co Hubertus mu kazał wprowadzić, i wręczył go Mainwaring, kiedy wychodziła. Poza tym nie zauważyłem niczego, kiedy sprawdzałem go w Tokio. Co jeszcze ci dała?

- Nic. - Przypomina sobie. - Kartę Blue Ant na koszty. Vise.

- W takim razie można założyć, że znają numer karty. Poprosiłbym o nową.

- Ten facet, który próbował odebrać mi torbę w Tokio...

- Franco. Potencjalne słabe ogniwo. - Wyjmuje z kieszeni telefon i sprawdza godzinę na wyświetlaczu. - Tylko że on teraz jedzie na Heathrow, ma lot do Genewy. Bigend zapłacił za bilet. Leci na rekonwalescencję i konsultacje z bardzo droгим szwajcarskim chirurgiem, który obejrzy jego nos. Pozbyto się go i sownie opłacono, żeby nie zawracał głowy. Drugi facet dostał dwa tygodnie wakacji w Cannes i niezłą premię. To zmniejsza prawdopodobieństwo,

że będą rozmawiać z Cypryjczykami, czy kim tam oni są. Mamy nadzieję. Ci specjaliści od nagłych wypadków to przeważnie tylko specjaliści od siedmiu boleści.

- A co Dorotea powie temu człowiekowi z Cypru?

- Że Bigend ją zaangażował. Tego nie da się ukryć. W tej chwili wychodzi informacja dla prasy. Będą podejrzewać, że ją przekupił, ale to też pokerzystka.

- Co z jej telefonem, tym od Bigenda? Skąd wiesz, że nie jest na podsłuchu?

- Bigend w pewnym momencie sam go jej dał i powiedział, żeby go nie używała, tylko trzymała w pogotowiu, na wypadek, gdyby jej potrzebował. Chociaż zwykle problem z telefonem komórkowym polega nie na podsłuchu, ale na tym, że ktoś pozna twoją częstotliwość. Są dostępne, więc pozostaje jedynie szyfrować rozmowy.

- I przyszedłeś pod Damiena o pierwszej w nocy, żeby sprawdzić, czy nic mi nie grozi?

- Nie mogłem spać.

Cayce odstawia kubeczek z kawą.

- Dziękuję.

- Teraz jesteśmy kwita? Uważasz, że możesz ze mną pracować?

Cayce patrzy mu prosto w oczy.

- Tylko wtedy, kiedy zawsze będę miała cię w zasięgu. Muszę wiedzieć, co robisz. Czy to wykonalne?

- W ramach możliwości.

- Co to znaczy?

- Wylatuję do Columbus w stanie Ohio. Dziś wieczorem. Jeśli mi się poszczęści, nie będę musiał ryzykować dokładnego opowiadania ci tego, co się dzieje. Ty za to będziesz musiała czytać między wierszami, aż do naszego bezpośredniego spotkania.

- Co takiego jest w Columbus?

- Sigil Technologies. Firma filigranująca wszelkie media cyfrowe. Na swojej stronie nie wspominają słowem o klientach firmy, ale moi przyjaciele mówią, że Sigil obsługuje kilka grubych ryb.

- Myślisz, że to Sigil filigranowało emefy?

- Na to wygląda. Posłałem numer Takiego mojemu koledze na Uniwersytecie Rice'a. Spróbował kilku metod. Numer jest na pewno zakodowany w segmencie 78. Ale kolega mówi, że użyta technika filigranowania wskazuje na określoną szkołę myślenia. I że ludzie związani z tą szkołą pracują w Sigil Technologies.

- I co zrobisz, kiedy się tam dostaniesz?

- Pozawieram znajomości. Zmiękczyć kogo trzeba.

- Umiesz to robić?

- Opracowałem kilka schematów - mówi Boone i pociąga kawy.

- Posłałeś temu koledze kostkę Takiego?

- Tak. Spróbuje kilku metod, opierając się na tym, co już wie po analizie #78. Może uda mu się przyporządkować segmenty punktom na mapie. Jeśli to mapa.

- To wygląda na mapę. Znam kogoś - myśli o Darrylu - kto zamierza wrzucić to do szuflacza map. Jeśli to obraz jakiegoś miasta, może udałoby się je odnaleźć.

- Niezły pomysł, ale w tej chwili bardziej chciałbym poznać charakter prac Sigil. Czy dostają z zewnątrz każdy segment, filigranują go i odsyłają? Bo jeśli tak i jeśli znaleźlibyśmy źródło pochodzenia segmentów albo adres zwrotny, moglibyśmy trafić na twój twórcę.

- Czy Sigil musiałyby dostać i obejrzeć materiał, żeby go oznaczyć?

- Nie sądzę, ale chcę się tego dowiedzieć.

- Jak się do tego zabierzesz?

- Zastukam do ich drzwi jako przedstawiciel małej, ale świetnie prosperującej firmy, która ostatnio uznała, że musi oznaczać swoje produkty niewykrywalnym cyfrowym znakiem wodnym. Od tego zacznę. Czemu interesuje cię, czy Sigil ogląda emefy?

- Emeferzy są wszędzie. Ktoś mógł zostać emeferem, zapoznając się z emefami w pracy. Jeśli w Sigil wpadniesz na emefera, zorientuj się, czego szukasz.

- Może wpadnę. A co innego nam pozostaje? - Boone ma rację. Znów spogląda na telefon, sprawdzając godzinę. - Muszę iść - mówi.

- Dokąd?

- Do Selfridge'a. Na gwałt potrzebuję garnituru.

- Nie wyobrażam sobie siebie w garniturze.

- Nie musisz wyteżać wyobraźni - mówi, stojąc już i trzymając w dłoni swoją walizeczkę.

- Nigdy mnie w czymś takim nie zobaczysz. - Uśmiecha się przy tych słowach.

Jakiś głos w niej mówi: - „Ale założę się, że będziesz w nim dobrze wyglądał”. Cayce się rumieni. Wstaje, czując się niewiarygodnie niezręcznie.

- Powodzenia w Ohio - mówi na głos, wyciągając rękę.

Nie zachowuje się jak typowy Amerykanin, nie macha jej dłonią jak dźwignią wiejskiej pompy, tylko ściska ją, pochyla się szybko i lekko całuje w policzek.

- Uważaj na siebie. Będę w kontakcie - mówi.

Odprawdza go wzrokiem do drzwi, w których mija dziewczynę w szarawarach w tygrysy, a la Maharishi. Dziewczyna zauważa nieprzytomną minę Cayce, uśmiecha się i puszcza do niej oko.

26. WU-ER

Sprzątnięcie mieszkania Damiena okazuje się przedsięwzięciem poważniejszym, niż się spodziewała, ale nie poddaje się, ufając, że praca fizyczna i upór konieczny, żeby nie rzucić jej w połowie, w jakiś sposób przyspieszą powrót duszy. W salonie, po rozpakowywanych tam kilku kamerach wideo, walały się kawałki białego styropianu o abstrakcyjnych kształtach, niezliczone styropianowe drobiny, porwane i pozgniatane folie, puste torby z zaciskowymi krawędziami, karty gwarancyjne i instrukcje obsługi. Wygląda to tak, jakby jakiś rozpieszczony dzieciak rozbebeszył stos drogich prezentów. Z pewnością wielu uznałoby hobby Damiena za dziecinną zabawę.

Oto butelki po piwie, podstawka pod filiżankę, służąca tymczasowo za popielniczkę i pełna pomazanych szminką marlboro, brudne talerze z reszkami indyjskich potraw, drogie figi, które Cayce z przyjemnością wyrzuca do kosza, podobnie jak przeróżne kosmetyki znalezione w łazience. Zmienia pościel w łóżku na dole, rozściela porządnie gigantyczną rękawicę, ściera kurze i rusza w dziewiczy rejs jaskra woczer-wonym niemieckim odkurzaczem.

Wchodzi na górę, sprawdzając, co jeszcze powinna zrobić, i nagle obrywa, jak w kreskówce, wielkim młotem zmęczenia, który powala ją na stęsknione miękkości tapczanu.

Kiedy się budzi, słyszy telefon na dole. Światło docierające z zewnątrz zmieniło barwę. Patrzy na zegarek. Minęło osiem godzin. Telefon milknie, ale po chwili znów się odzywa.

Kiedy Cayce podnosi słuchawkę, okazuje się, że to Magda, pyta, czy ma ochotę zjeść z nią kolację.

Spodziewa się tylko Magdy, ale kiedy dociera na umówione miejsce, w pobliże stacji, zastaje również Wojtka i dużego Afrykanina. Wszyscy są w różowych humorach, ale to pewnie tylko dlatego, że nie *ma & jet lagu* i ich życie nie jest tak skomplikowane jak ostatnio jej. Nikt nie szczerzy się tak jak Ngemi, zapięty pod szyję, w kurtce ze sztucznej skóry. Kiedy ruszają do pobliskiej greckiej restauracji, pyta go, co jest powodem tej radości.

Sprzedawca kalkulatory, które widziała koło Portobello. Kupcem okazała się wyczekiwana wysłanniczka japońskiego kolekcjonera. Najwyraźniej wyłożyła ładną sumkę. Ngemi jest szczęśliwy, jak to człowiek, który przeżył nieoczekiwany i niesłychanie przyjazny obrót fortuny, chociaż w pewnej chwili ciężko wzdycha.

- Teraz muszę jechać do Poole i odebrać je od Hobbsa. Cayce przypomina sobie niemiłego mężczyznę z brudnym samochodzikiem.

- On mi się nie podoba - mówi bez ogródek Magda i Cayce ma wrażenie, że zwraca się głównie do Wojtka.

- To człowiek błyskotliwy - odpowiada Wojtek, wzruszając ramionami.

- Zapity stary szpieg.

Cayce wyczulona od jakiegoś czasu na słowo „szpieg” zauważa je, ale nie przywiązuje tu do niego większej wagi.

Trafiają do przytulnej knajpki, której wystrój świadczy, że powstała przed krucjatą dziecięcą. Pomalowane na biało ściany ze skrawkami błękitu egejskiego i charakterystyczne greckie koronki, wpychane turystom, dziwnie przypominają Cayce chińską restaurację w Roanoke w stanie Wirginia.

- Ślicznie zrobiłaś włosy - mówi szczerze Magda, gdy kelner rozlał już retsinę. - W Tokio?

- Dziękuję. Tak.

- Jakim cudem? Byłaś tam tylko przelotem.

- Tak. W sprawach zawodowych. - Cayce tłumaczy ziewnięcie, które pojawiło się nie wiedzieć skąd. - Przepraszam.

- Wciąż funkcjonujesz w ich strefie czasowej? Musisz padać z nóg.

- Teraz chyba funkcjonuję tylko we własnej strefie czasowej - mówi Cayce. - Tyle że nie wiem, jaka ona jest.

Ngemi wspomina o dewaluacji jena, bo to wiąże się z jego sprawami zawodowymi, a co z kolei prowadzi do rozmowy o koleżance z klasy Magdy, którą ostatnio zaangażowano do zespołu projektującego ubrania postaci w nowej japońskiej grze wideo. Ngemi i Wojtek nie bardzo wierzą, że ktoś może poważnie zajmować się takimi rzeczami, ale Cayce zapewnia ich, że to całkiem normalna działalność w branży; więcej, szybko się rozwija.

- Ale te animki nie noszą kapeluszy - lamentuje Magda, nalewając sobie kolejny kieliszek żółtego wina o żywicznym zapachu, krzywiąc się po wypiciu. - Wszystkie mają takie fryzury... jak ty! - Magda ma na sobie skórzaną obcisłą bluzkę w kolorze turboblękitnym, używanym do malowania powierzchni urządzeń elektrycznych w fabrykach. Cienie na oczach też ma turboblękitne.

- Życie artysty serio nie przelewki to - zauważa Wojtek, który sposepniał po tych rewelacjach. - Czas to pieniądz, ale i pieniądz to pieniądz.

- Jeszcze będziesz miał swoje rusztowanie - mówi Magda. - Wszystko się ułoży. - Wyjaśnia Cayce, że brat zebrał blisko trzysta ZX-81 i stoi przed niezwykłym wyzwaniem: musi zmodyfikować obudowy, dopasować odpowiednie złączki, a potem wszystkie pracowicie polutować. Wojtek słucha z uwagą, wyraźnie rozkoszując się zgryzotami artysty serio.

Cayce dowiaduje się, że Wojtek tworzy maszynę prymitywną jak ryba dwudyszna. Rysuje na serwetce trójwymiarowe rusztowanie, które ma być załatwione od podrzędnego budowniczego, zlokalizowanego przez Ngemiego w Bermondsey. Cayce patrzy na tusz rozproszony na serwetce i myśli o Takim w barze na Roppongi.

Ngemi zapewnia Wojtkę, że załatwiane rusztowanie jest dokładnie takie, jakiego potrzebuje: bardzo zardzewiałe i bardzo poplamione. Ale zanim dopasuje same do koncepcji Wojtki, minie wiele tygodni, jeśli nie miesięcy. Rusztowanie nie jest drogie, ale też nie za darmo. Musi jeszcze zostać przewiezione, zmierzone, przycięte, ustawione, prawdopodobnie kolejny raz przycięte, kolejny raz ustawione, a potem gdzieś zmagazynowane, aż znajdzie się galerię.

- Bez sponsora ani rusz - mówi Ngemi. Cayce przychodzi na myśl Billy Prion, ale gryzie się w język, zanim wygadała, że widziała go w Tokio. Poza tym Prion jest teraz bardzo zajęty.

- W tym czasie, kiedyśmy cię poznali, myśleliśmy, że koniec Wojtkowych problemów z funduszami - kontynuuje - ale niestety nie. Wyszło inaczej.

- Czyli jak? - pyta Cayce, przeczuwając, że to ją upatrzone na sponsora.

- Hobbs i ja nie mieliśmy nic dość ciekawego, żeby solo zainteresować naszego Japończyka, ale uznaliśmy, że można połączyć siły i naciągnąć go na składowisko. Kolekcjonerzy traktują składowiska z nabożeństwem. Niemcy mówią na nie *Konvolut**. Fajne słowo. Kiedy zbieracz widzi pełny magazyn albo duży skład, traci głowę i jest załatwiony. Wmawia sobie, że znalazł ukryty skarb. - Uśmiecha się, a światło żyrandola odbija się od ciemnej ogolonej czaszki. - Myślałem sobie, że gdyby towar zszedł, to fundnąłbym Wojtkowi to rusztowanie.

- Ale przecież mówiłeś, żeście wszystko sprzedali? - pyta Cayce.

- Tak, ale teraz negocjuję zakup wanga Stephena Kinga - spokojnie i z wyraźną dumą odpowiada Ngemi. Cayce wytrzeszcza na niego oczy. - Papiery ma czyste jak łza - zapewnia ją - cena wysoka, ale uważam, że rozsądna. Duża rzecz, jeden z wczesnych minikomputerów robionych pod klienta. Sam transport pochłonie fundusze, które odłożyłem na rusztowanie, a pewnie trzeba będzie jeszcze dołożyć. - Cayce kiwa głową. - No i teraz muszę jechać do Hobbsa Baranova - dodaje już mniej radośnie - a on jest w tym swoim piekielnym humorze.

„Jeśli wtedy nie był w piekielnym humorze - myśli Cayce, wspominając tamto przypadkowe spotkanie - to wolałabym go nie oglądać, kiedy w nim jest”.

- Hobbs chciał swojej działki ze sprzedaży curtów, bo szykował się na aukcję bardzo rzadkiego egzemplarza, który ostatniej środy wypłynął w Hadze. Prototyp fabryczny najwcześniejszej wersji, ze szczególną, prawdopodobnie wyjątkową odmianą mechanizmu. Ale zamiast wylądować u Hobbsa, dostał się w ręce jednego handlarza z Bond Street, i to za całkiem przystępną cenę. Teraz trudno będzie się dogadać z Hobbsem.

- Ale przecież sprzedałeś i jego egzemplarze, no nie?

* *Konvolut* (niem.) - plik, sterta.

- Tak, ale jeśli coś ląduje na Bond Street, to zwykli śmiertelnicy mogą przestać o tym marzyć. Nawet Hobbs Baranov. Za drogie.

Magda, która atakuje retsinę nieco bardziej zdecydowanie niż reszta towarzystwa, robi kwaśną minę i mówi:

- To odpychający typ. W ogóle nie powinieneś się z nim zadawać. Jeśli tacy są wszyscy amerykańscy szpiegzy, to już wolę Rosjan, chociaż ich pobili!

- Nigdy nie był szpiegiem - mówi ponuro Ngemi, odstawiając kieliszek. - Tylko kryptografem. Matematykiem. Gdyby Amerykanie naprawdę byli tak bezwzględni albo sprawni, jak to sobie ludzie wyobrażają, to nigdy nie pozwoliliby biednemu Hobbsowi zapijać się na śmierć w przyczepie kempingowej z przeciekającym dachem.

Cayce nie uważa się za osobę bardzo bezwzględną ani bardzo sprawną, więc pyta:

- A gdyby byli, to co by zrobili?

Ngemi zatrzymuje widelec z resztką plasterków ośmiornicy w połowie drogi do ust i mówi:

- No, pewnie by go zabili.

Cayce, częściowo wychowana w upiornej, choć niezwykle banalnej bańce amerykańskiej społeczności szpiegowskiej, ma własne poglądy na prawdopodobieństwo jej zachowań. Choć Win zapewne nigdy nie był samodzielnym funkcjonariuszem wywiadu, to znał prawdziwych szpiegów, pracował z nimi i dzielił pewien zasadniczy zasób doświadczeń, uczestnicząc na swój sposób w życiu tajnego świata i w jego wojnach. Dlatego strzępki wiadomości z tamtego obszaru, docierające do uszu Cayce z ust tych, którzy mają o nim jeszcze mniejsze pojęcie niż ona, wydają się jej czystą fantazją.

- Tak po prawdzie - mówi - to część tradycji zostawiać ich samym sobie, żeby zapijali się na śmierć. - Coś w jej głosie sprawia, że konwersacja zamiera, chociaż Cayce nie zamierzała tak mrozić towarzystwa. - W jakiej przyczepie, o czym ty mówisz? - pyta Ngemiego, żeby przerwać ciszę.

Win żył na tyle długo, że pogrzebał paru kolegów. Z tego, co Cayce wie, żadnego nie powaliło nic bardziej złowrogiego niż stres i przepracowanie, a może depresja spowodowana zbyt długą i zbyt bliską obserwacją ludzkiej duszy, prowadzoną z pewnych oczywistych, choć równocześnie nietypowych punktów widzenia.

- Mieszka w małej przyczepie kempingowej - mówi Ngemi. - Tak naprawdę to na dziko. Koło Poole.

- Ale ma emeryturę z CIA, cholera - protestuje Magda. - Nie wierzę w tę jego przyczepę! I kupuje te curty, kosztują fortunę. On coś ukrywa. Tajemnice. - Pociąga głęboki łyk retsiny.

- Z NSA - poprawia ją Ngemi. - I rentę inwalidzką tak mi się wydaje, chociaż nigdy go nie spytałem, bo to chyba jasne. Ma teraz tego wszystkiego może nawet gdzieś z dziesięć tysięcy funtów. Przeważnie w kalkulatorach. Żadna fortuna. Tak naprawdę to nie ma nawet tyle, żeby je sobie zatrzymać. Jako zbieracz, musi kupować, ale jako biedak - sprzedawać. - Wzdycha. - Wielu jest na to skazanych, nie wyłączając mnie.

Ale to nie przemawia do Magdy.

- To szpieg. Sprzedaje tajemnice. Wojtek mi powiedział.

Sploniony brat Magdy patrzy kolejno na Cayce i Ngemiego, po czym wraca wzrokiem do Cayce.

- Szpieg żaden. Rządowe tajemnice żadne. Nie powinnaś mówić tak, Magda.

- To co sprzedaje? - pyta Cayce.

- Czasem chyba ludziom pewnym informacji źródła znajduje - mówi Wojtek, lekko ściszej głoś.

- To szpieg! - oświadcza Magda ze złośliwą radością.

Wojtka aż skreca.

- Być może utrzymuje pewne kontakty - rozsądza spór Ngemi - i może dowiedzieć się pewnych rzeczy. Wyobrażam sobie, że są ludzie w... - Z powagą marszczy szerokie czoło. - Jest nadzieja, że to nic nielegalnego. Tu jest normalne, że kumple z młodości trzymają się razem. Nikt nie stawia pytań. Ale zakładamy, że Hobbs ma swoje kontakty.

- Wu-er - powiada triumfująco Magda. - Wojtek mówi, że jego działka to wu-er.

Wojtek topi ponury wzrok w kieliszku.

Cayce wie, co oznacza to „wu-er”. Wywiad radiowy. Postanawia zmienić temat rozmowy. Nie chce psuć sobie wieczoru.

Po wyjściu z restauracji zatrzymują się w zatłoczonym pubie przy stacji. Cayce pamięta ze szkoły, że nie należy mieszać retsiny z innymi alkoholami, i zamawia małe shandy, piwo ze słodką białą lemoniadą. Ledwo macza usta w niewielkiej szklance.

Wyczuwając, że atak w sprawie sponsorowania niebawem przybierze bardziej otwartą formę, decyduje się na uderzenie wyprzedzające.

- Mam nadzieję, że szybko znajdziesz sponsora, Wojtku. Na pewno ci się uda. Żałuję, że sama nie mam takiej forsy, ale trudno.

Tak jak się spodziewała, tamci patrzą po sobie. Ngemi podejmuje jeszcze jedną próbę.

- A może twój pracodawca jest w stanie...

- Nie mogę go o to prosić. Za krótko dla niego pracuję. - Myśli jednak nie o Bigendzie,

ale o jego karcie kredytowej w swoim portfelu. Prawdę mówiąc, mogłaby kupić Wojtkowi to zardzewiałe rusztowanie. I postanawia, że kupi, jeśli nikt inny się nie pojawi. Niech Rosjanie Dorotei, w których istnienie jakoś nie do końca wierzy, łamią sobie nad tym głowę.

ENTUZJASTKA DO SZPIKU KOŚCI

Wchodząc po schodach, zdaje sobie sprawę, że zupełnie przeszła jej ochota na numery w stylu Bonda.

Żadnego włosa przyklejonego śliną, czekającego na sprawdzenie. Ma mniej wiary w niemieckie zamki, jej fatalizm wzrósł. Skoro komuś tam udało się sforsować zamki w drzwiach gabinetu Katherine Mc-Nally przy 5. Avenue i ukraść jej notatki ze spotkań z Cayce lub zrobić ich kopie, to i te zamki nie będą dla niego problemem. Ale czy naprawdę ktoś wszedł w środku nocy i przekradł się obok stoliczka w małej poczekalni ze starymi numerami „Time’u” i „Cosmopolitan”?

Otwiera zamki. Przekręca gałkę w drzwiach i uchyla je. Widzi, że zapomniała zostawić włączone światło.

- Mam cię w dupie! - krzyczy pod adresem tego, kto mógłby czekać w środku.

Zapala światło. Rygluje drzwi, zagląda na górę.

Według urzędowego czasu Cayce Pollard jeszcze nie warto próbować zasnąć.

Włącza komputer Damiena, otwiera przeglądarkę i przechodzi do F:E:F, patrząc na klawisze, w które musi uderzyć. Jeśli Dorotea mówi prawdę, to jej facet od azjatyckich dziwek zainstalował program, który zapisuje każde uderzenie w klawiaturę. Czy ten zapis można odczytać w innym miejscu, czy można tu zajrzeć tylnymi drzwiami? A czy tamci ludzie potrafią również prześledzić kliknięcia myszą? Ale w jaki sposób dowiadują się, co Cayce klika? Widzą tylko to, co pisze, czy również kliknięte adresy internetowe?

Po stosunkowo długiej nieobecności na forum Cayce czuje się obco. Nie zna większości autorów wpisów. Przypomina sobie, że po niedawnym programie telewizyjnym pojawiła się wielka fala świeżych entuzjastów. Czy to oni kryją się za tymi nic nie mówiącymi jej imionami? Przegląda kilka wątków, nie otwierając wpisów, ocenia je tylko po tytułach. Segment #135 jest nadal na topie, podobnie jak sprawa wątku satanistycznego, pochodzącego od emerytów z Brazylii.

Siedzi wygodnie i wpatruje się w monitor, trzymając ręce na udach; teraz klawiatura budzi w niej lęk. Wyobraża sobie, że w pokoju obok - który przybrał wygląd hali jak w *Man from U.N.C.L.E.** - siedzą nieuchwytnie postaci, wpatrują się w wielki ekran, na którym jest tylko strona F:E:F, i czekają, aż otworzy jakiś wpis.

Daje im czekać, po czym zamyka przeglądarkę i wyłącza komputer.

Już nie musi się zastanawiać, jak podłączyć iBooka do komórki. Jeśli Boone miał rację, to laptop nie przekazuje żadnych uderzeń w klawisze do „serialowej hali”. „Chociaż przecież mogli tu wpaść, kiedy wyszłam do Greka...” - myśli, otwierając skrzynkę pocztową.

- Mam was w dupie - dodaje głośno do dziewczyn-robotów Da-miena. Nie może żyć w ten sposób. Nie godzi się na to.

Ma trzy wiadomości.
Pierwszą od Boone'a.

Cześć. Pozdrowienia z La Guardia, krainy Bardzo Ścisłych Zabezpieczeń. Stąd już blisko do Columbus i spotkania zapoznawczego z wiadomą firmą. Oczywiście, będziemy musieli całkowicie improwizować. Jak się czujesz? Daj mi znać.

„Nie jesteś najbardziej elokwentnym z korespondentów” - myśli. Ale czego się spodziewała. Strof Szekspira z La Guardia?

Cześć. Z mojego laptopa, tak jak mówiliśmy. U mnie wszystko gra. Nic nowego.

* *Man from U.N.C.L.E.* - serial z lat 60., którego bohaterowie walczą z organizacjami dążącymi do dominacji nad światem.

Następna jest od WParzęUbranego:

Jezu. (Moja matka była bardzo religijna na swój postrzelony sposób. Mówiłem ci? Podejrzewam, że dlatego zawsze kiedy jestem w strachu, wzywam imienia boskiego nadaremnie). Darryl pozwala Judy pisać wiadomości od Keiko, bo, jak sama powiedziałaś, nie mamy innego wyjścia. Prawie się do niego wprowadziła i dwa dni z rzędu nie poszła do roboty. Zadzwoiła, że jest chora. Jest zahipnotyzowana głębią (chwyatającej za serce czystości, jak mówi) namiętności Takiego. I to chociaż wie, że Taki bierze ją za malutką Japoneczkę w wieku szkolnym, i mimo że Darryl musi tłumaczyć ich prywatną korespondencję. Dał mi już do zrozumienia, że maksymalnie jak może tonuje wypowiedzi, a jej oświadczył, że słabo opanował slangowe japońskie określenia dotyczące seksu (co oczywiście mija się z prawdą). Ona rozplywa się we łzach i powtarza, że całe życie czekała na taką miłość, którą zaoferował jej Taki. Szczerze mówiąc, to najbardziej niesamowite gówno, które od jakiegoś czasu spadło na mój zaułek i pewnie miałbym ubaw po pachy, gdyby tylko nie zależało nam... a tak przy okazji, NA CZYM NAM ZALEŻY? Dopuszczając Judy do Takiego, straciliśmy szansę wyciągnięcia jeszcze czegoś od Mistycznej. Poza tym możemy całkowicie stracić Takiego - zejdzie na nieuleczalny priapizm. Twój WPU

Następna poczta od Bluszcza, założycielki i właścicielki F:E:F, od której nie miała wiadomości od czasu wyjazdu z Nowego Jorku.

Cześć, Cayce. Dawno nikt nie widział cię na forum. Jesteś w Japonii? Ja wciąż w Seulu, w wielkim budynku z numerem!

Bluszcz posłała Cayce plik z fotką wysokościowca z wielką czwórką na bocznej ścianie, sięgającą dziesiątego piętra. W oddali widniały identycznie oznaczone bloki z piątką i szóstką.

Mamma Anarchia nie pisuje do mnie zbyt często. Nie cierpię z tego powodu. Działa mi na nerwy.

Bluszcz i Cayce musiały czasem koordynować działania dyplomatyczne, łagodząc tarcia między WParkeUbrany a Anarchią, bo mogłyby rozsadzić stronę, albo po prostu zajmowały zbyt wiele miejsca... Zamiera.

Jesteś w Japonii?

Jeśli WParkeUbrany nie powiedział Bluszczowi o podróży Cay-ce, a nie bardzo mieści się jej w głowie, że w tych okolicznościach mógłby palnąć takie głupstwo, to coś tu śmierdzi.

Dziś dostałam od niej bardzo dziwnego e-maila. Bardzo przyjaznego. Dziękuję mi za F:E:F itp. Potem pyta o ciebie tonem, jakby byta twoją starą przyjaciółką. Z tego wnoszę, że jesteś w Tokio? Ale jest w tym coś, co mnie niepokoi. Tu masz fragment odnoszący się do ciebie. Jak chcesz, mogę ci przysłać całość.

- > I co słyhać u CayceP? Ostatnio nie pisze. Wiesz, oczywiście, że
- > często zaglądałam na forum, zanim stałam się aktywnym człon-
- > kiem, i przemyślenia CayceP robiły na mnie piorunujące wrażenie
- > od pierwszego wpisu, który przeczytałam. Taka entuzjastka do
- > szpiku kości. Wiesz, to był tamten wpis sugerujący, że twórca czer-
- > pie z funduszy rosyjskiej mafii albo innej podobnej tajnej organiza-
- > cji. Pamiętasz? Mam nadzieję, że któregoś dnia poznam ją osobiś-
- > cie, być może kiedy wróci z Tokio.

Zachmurzona Cayce wpatruje się w ekran. Ma ochotę cisnąć laptopem w najbliższą dziewczynę-robotę. To nie fair. Cholera, nie fair. To nie powinno się jej przytrafić.

Ale jeśli Mamma Anarchia jest jakoś zamieszana w ostatnie niesamowite zdarzenia, czemu zdradzałaby się przed Bluszczem? Żeby dać znać jej, Cayce? Lub też...?

A może popełniła błąd, freudowską pomyłkę? Chciała napisać „Londyn”, a bezwiednie napisała „Tokio”? Win zawsze zalecał panowanie nad piórem i językiem, ale Cayce wie, jak to ciężko, kiedy medium, z którego korzystasz, nie wyraża się ani jednym, ani drugim. A pomyłki chodzą po ludziach.

Cayce i Mamma Anarchia w żadnym wypadku nie są przyjaciółkami.

Wszystko, na co ją było stać, to parę wymuszonych e-maili. Witrynowa przyjaźń Cayce

i W Parkę Ubranego jest aż nazbyt wyraźna, a obrzydzenie W Parkę Ubranego wobec Mammy Anarchii aż nazbyt głośne, od przypadkowych ataków na francuskich filozofów, których ona cytuje, po celowo absurdalne wycieczki osobiste (biorąc pod uwagę, że nigdy się nie spotkali i W Parkę Ubrany nie ma pojęcia, jak Anarchia może wyglądać). Ten e-mail do Bluszcza to bardzo niezręczna przynęta, chociaż Cayce nie ma pojęcia, skąd Mamma Anarchia mogłaby wiedzieć o przyjaźni jej i Bluszcza i o tym, że dość często prywatnie dyskutują o wydarzeniach na stronie i wyróżniających się uczestnikach forum.

Ciarki chodzą po plecach, jak się nad tym zastanowić. Oddycha głęboko.

- Dostał kaczka w twarz przy dwustu pięćdziesięciu węzłach.

Odruchowo, jak hazardzista szarpiący dźwignię jednorękiego bandyty w nadziei sprowadzenia lepszej rzeczywistości, klika ODSWIEŻ, na wypadek gdyby przyszła następna wiadomość.

Margot. Australijska przyjaciółka z Nowego Jorku, była dziewczyna Bigenda, regularnie ostatnio opiekująca się mieszkaniem Cayce: wyjmuje listy ze skrzynki, dogląda, czy wszystko gra, i takie tam. Mieszka o dwie przecznice bliżej Harlemu niż Cayce, niemniej w psychologicznym zasięgu Columbii.

Cz. kochana. Troszkę się tu martwię. Dziś wpadłam do ciebie, jak zwykle. Spotkałam stróża zmywającego schody i nie był wyraźnie wkurzony, ale to nic na tyle niezwykłego, żeby o tym pisać. Wolalabym mieć większą pewność w tej sprawie, ale wydaje mi się, że ktoś był u ciebie od czasu mojej ostatniej wizyty. Dwie rzeczy. Woda lała się w klozecie, kiedy weszłam do łazienki. Ostatnim razem korzystałam z klopa i lało się ze spłuczki, więc podniosłam pokrywę, coś tam w środku poruszałam i udało mi się, przestało się lać. Tym razem, kiedy weszłam, znów się lało, ale początkowo tego nie zauważyłam. Wszystko pięknie ładnie, porządek aż miło (jak ty to robisz?), aż zauważyłam, że spłuczka znów puszcza. Dostałam gęsiej skórki. Ale oczywiście, te twoje urządzenia należały już do prehistorii, kiedy wojna burska zajmowała pierwsze strony gazet, więc znów mogły trochę się obluzować, jak to one. Ale trochę się wystraszyłam. Przeszłam się po całym mieszkaniu, rozejrzeć się i choć dokładnie nie pamiętam, jak wszystko było, ale ty masz tak mało rzeczy i w tak wzorowym porządku, i wszystko naprawdę wyglądało tak samo. Ale to był słoneczny dzień, naprawdę cudny, słońce padało przez te twoje, trochę rozsunięte, białe zasłony w salonie, i próbowałam sobie przypomnieć, jak przedwczoraj ułożyłam pocztę, kiedy kładłam ją obok komputera. Dziś nic nie przyszło. I w tym słońcu zobaczyłam kurz i pomyślałam, że zrobię ci przysługę i pościeram za ciebie kurze, i wtedy zobaczyłam prostokątny ślad. Tam, gdzie położyłam twoją pocztę! Ktoś ją przesunął i okryła się nową warstwą kurzu. Czy tylko ja mam klucze? Twój pijany stróż grzebał przy klopie? Daj mi znać i czy uważasz, że powinnam coś zrobić. Kiedy wracasz? Myślałam, że wyjeżdżasz na krótko. Spotkałaś się z Największym Gównem Świata? Nie, nie mów mi. Margot

Cayce zamyka oczy i widzi swoją jaskinię z niebieską podłogą swoje mieszkanie przy 111. Street, za które płaci miesięcznie 1200 dolarów, od kiedy jej współlokatorka, poprzedni główny najemca, wróciła do San Francisco. Jej dom. Kto w nim był? Stróż? Niemożliwe, musiałby zostać przekupiony.

Jakże nienawidzi tych drobiazgów, niby nieważnych, niby marginalnych, a ostatecznie potwornie ważnych. Ciężar zwałił się na jej życie, czuje go, jakby znów próbowała zasnąć pod srebrną kuchenną rękawicą Damiana.

Nagle czuje się śmiertelnie zmęczona, czas urzędowy Cayce Pollard przeskoczył pięć godzin w przód. Trzęsie się z wyczerpania, chociaż równocześnie nie wierzy, że zdoła zasnąć. Zamyka iBooka, odłącza komórkę, sprawdza zamki w drzwiach. Szuka w łazience melatoniny, ale wyjechała do Rosji. Jasne.

Zbiera się jej na płacz, chociaż bez szczególnego powodu. To tylko ta natarczywa niesamowitość zdarzeń, które nie wiedzieć czemu zajmują coraz większą część jej świata.

Gasi światło, rozbiera się, wczołguje do łóżka, błogosławiąc własną przezorność, która kazała jej wcześniej złożyć i schować rękawicę.

I zupełnie nie pamięta tego, jak to się stało, że zaraz przenosi się na West Broadway, stoi pośrodku pustego, pokrytego bielą chodnika, w cienkim na centymetr świeżym śniegu. Jest cicha godzina nocna, godzina, w której człowiek budzi się samotny, a Cayce jest samotna, nie ma pieszych ani samochodów, wszystkie okna, wszystkie latarnie są wygaszone, a jednak Cayce widzi otoczenie, jakby śnieg był wystarczającym źródłem światła w tej zmarłej strefie. Nie szpecą go ślady stóp ani opon, a kiedy Cayce się odwraca, spoglądając za siebie, widzi, że tam też nie ma żadnych śladów stóp, nawet jej własnych. Po prawej ręce ma ceglana twarz SoHo Grand. Po lewej ma bistro, do którego zabrała raz Donny'ego. Wtem przed sobą, na rogu, widzi chłopca. Czarny płaszcz, może ze skóry, a może nie, podniesiony kołnierz. Mowa ciała znana z niezliczonych przeglądów 135 segmentów.

Chce krzyknąć, ale coś w piersi to udaremnia i z największym wysiłkiem robi pierwszy krok, potem drugi, zostawiając ślady na dziewiczym śniegu. Potem biegnie, rozpięty rickson furkoce poniżej jej ramion jak skrzydła, ale gdy biegnie ku niemu, on zdaje się rozplwać i Cayce przenosi się do Chinatown, białe ulice są tak samo wyludnione, jego nie ma. Obok sklep spożywczy z opuszczonymi żaluzjami. Cayce dyszy.

Podnosi wzrok i widzi delikatne jak zorza polarna, lecz ostro zarysowane i wysokie jak niebiosa bliźniacze wieże światła. Kiedy odchyła się w tył, szukając szczytów, ogarnia ją zawrót głowy; zwężają się w nicość, w znikający punkt, jak tory kolejowe biegnące w pustynny bezkres nieba.

- Zapytaj go - powiada ojciec i kiedy Cayce się odwraca, widzi go. Jest ubrany tak, jak wyobraża go sobie w tamto przedpołudnie. Rozpięty, drogi płaszcz na garniturze z kamizelką. Wyciąga rękę z czarnym cylindrem, kalkulatorem Curta Herzstarka. - Zmarli nie mogą ci po-

móc, a z tego chłopaka żadna pociecha.

Szare oczy w cienkich złotych ramkach. Nabierają barwy nieba.

- Tato...

I kiedy udaje się jej wydobyć słowo, budzi się, pełna żalu, grozy i poczucia tego, że decyzja została podjęta, chociaż nie wie, co to za decyzja, kto ją podjął i czy kiedykolwiek ją zrealizuje.

Musi zapalić światło, żeby mieć pewność, że to mieszkanie Damie-na. Ach, żeby Damien tu był. Żeby ktokolwiek tu był.

W ZNACZENIU USTAWY

Cześć, Wojtek.

Kiedy Ngemi odwiedzi Baranowa? Muszę porozmawiać z Baranovem.

Naciska WYŚLIJ.

Odłącza drukarkę od cube'a Damiena, podłącza do iBooka z nadzieją, że ma właściwy sterownik. Ma. Z atramentowej drukarki wyłania się kartka błyszczącego papieru z urbanistyczną kostką. Cayce ma wrażenie, że to jest jej potrzebne, ale nie chce wiedzieć dokładnie, do czego.

Sprawdza pocztę. Mija limit czasu dostępu, brak nowych wiadomości.

Sen przestaje być istotny.

Cayce patrzy na wydruk. Place i aleje. Siatka numerów.

Sprawdza pocztę. Jedna wiadomość.

Casey, on dziś rano jedzie, pociąg z Waterloo do Bournemouth 8:10. Ngemi się pisze. Tam jego przyjaciel samochód mu pożycza, żeby do Baranowa pojechał. Czemu ty teraz nie śpisz! Wojtek

Godzina i minuty w górnym prawym rogu ekranu: 4:33.

A ty czemu nie śpisz? Możesz porozumieć się z Ngemim i spytać, czy mogę z nim jechać? Nie mogę tego wyjaśnić, ale to bardzo ważne.

Odpowiedź przychodzi prawie natychmiast.

Nad przedsięwzięciem z ZX-81 pracuję. On wcześniej się budzi. Do niego zadzwonię, do ciebie.

Posyła mu podziękowania i numer komórki Blue Ant. Bierze prysznic. Nie myśli.

Skład z High Street w Camden dociera na stację Waterloo o 7:50. Wiekowe schody ruchome przesuują ją do hali, poniżej kilku gołębi i czterotarczowego, wiktoriańskiego zegara, wiszącego nad rozkładami jazdy i podróżnymi ciągnącymi walizy z czarnego, balistycznego nylonu do pociągów przemierzających tunel pod Kanałem. Może ku Belgii, Bigendlandii.

Cayce ma się spotkać z Ngemim pod zegarem, ale przyjechała wcześniej, więc kupuje bulwarówkę, cienką kanapkę z bekonem owiniętą w folię i fantę. Kawa niewskazana, bo Cayce ma nadzieję zdrzemnąć się w pociągu.

Stoi, przeżuwając kanapkę pod zegarem. Niedzielny poranek na falującej wokół niej stacji. Potężne niezrozumiałe głosy recytują i charczą nad tłumem, jakby jakaś ważna informacja próbowała wydobyć się z zakurzonych cynowych gardeł stuletnich tub gramofonowych.

Fanta ma ostry, sztuczny smak. Cayce zastanawia się, dlaczego ją kupiła. Gazeta też ją rozczarowuje, tryska jednakowymi strugami wstydu i wściekłości, rytualnie i z bólem wałkując jakiś podtekst doprowadzający naród do białej gorączki, paradoksalnie zresztą przynosząc mu chwilową ulgę.

Wrzuca jedno i drugie do kosza. Widzi, że zbliża się Ngemi, wielki, czarny, w zapiętej pod szyję, ciasnej czarnej kurtce. Niesie tkaną torbę podróżną, afrykańskie rękodzieło.

- Dzień dobry - wita ją, jakby lekko zaskoczony. - Wojtek mówił, że chcesz złożyć wizytę Baranowowi.

- Zgadza się. Mogę z tobą jechać?

- Masz dziwne życzenie. O charakterze tego człowieka nie da się powiedzieć, że zmienia się na lepsze. Zawsze jest w parszywym humorze. Kupiłaś bilet?

- Jeszcze nie.

- To chodź ze mną.

Ngemi mówi, że podróż do Bournemouth potrwa dwie godziny. Wcześniej jechało się krócej, teraz „ekspres” tłucze się po starych, wciąż czekających na wymianę szynach.

Zaskoczona Cayce przekonuje się, że Ngemi z jego skrzypiącą sztuczną skórą i zawodową powagą dobrze na nią działa.

- Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że Baranov uczestniczył w aukcji, jego oferta została przebita i nie będzie w różowym nastroju - zaczyna, kiedy pracownik Kolei Brytyjskich w poliestrowej sportowej marynarce pcha obok wózek, którego zawartość niezwykle dobitnie przypomina jej, że znajduje się w świecie po drugiej stronie lustra: gu-miaste białe kanapki z pastą jajeczną w sztywnych trójkątnych opakowaniach, puszki z piwem, miniaturki whisky i wódki.

- Gorzej - mówi Ngemi. - Już to, że w ogóle ktoś podkupił mu kalkulator, pewno doprowadziłoby go do wściekłości, a na dodatek załatwił go Lucien Greenaway z Bond Street.

- A kto to?

- Handlarz. Niegdyś wyłącznie od zegarów. Bardzo nielubiany wśród kolekcjonerów. Zeszłego roku wziął się za curty. Widzisz, rynek curtów nie jest jeszcze całkiem zracjonalizowany.

- To znaczy?

- Nie jest zorganizowany w światowe środowisko specjalistów. Nie to co z rynkiem rzadkich znaczków i monet. Albo z rynkiem zegarów, którymi handluje Greenaway. Curty wciąż mają płynne ceny. Wciąż jeszcze trafiają się dziwne egzemplarze za stosunkowo małe pieniądze, wcześniej obrastające gdzieś kurzem na półkach. Wszystkie tego rodzaju rynki zostały

zracjonalizowane dopiero dzięki Internetowi.

- Naprawdę?

- Jak najbardziej. Sam Hobbs - Cayce gubi się przez chwilę, aż przypomina sobie, że to drugie nazwisko Baranova - częściowo się do tego dokłada.

- Jak?

- Przez eBay - mówi Ngemi. - Bardzo sprawnie sobie poczyniła i sprzedała Amerykanom dużo kurtek, zawsze za więcej, niż by tu dostała. Ceny ulegają globalnej racjonalizacji.

- Czy tyje... lubisz? Jak on?

Ngemi wzdycha, kurtka skrzypi przeraźliwie.

- Cenię je. Dają mi radość. Ale w przypadku Hobbsa to coś więcej niż pasja, to namiętność. Widzisz, ja uwielbiam historię komputerów i kurty to dla mnie po prostu szczybel. Fascynujący szczybel, ale mam hewlett-packarda, który sprawia mi taką samą radość, albo może większą. - Spogląda przez okno na angielski krajobraz; bezkształtne pola, ciemną wieżyczkę odległego kościoła. Z powrotem odwraca się do Cay-ce i mówi: - Hobbs cierpi i cieszy się, jak tylko znawca potrafi. Dla niego pewnie liczy się nie tyle sam artefakt, co źródło pochodzenia.

- Czyli?

- To że powstały w obozie koncentracyjnym. Herzstark nie przerwał pracy w Buchenwaldzie, chociaż otaczały go tylko śmierć, zagłada i beznadzieja. W końcu obóz wyswobodzono. Herzstark wyszedł na wolność, nie rozstając się ze swoją wizją kalkulatora. Hobbs oddaje cześć jego triumfowi. Nie każdy potrafi uciec przed śmiercią.

- Czy sam Hobbs musi przed czymś uciekać?

- Dokładnie biorąc, przed sobą samym. - Kiwa głową. Zmienia temat. - Czym się zajmujesz? Nie zrozumiałem w restauracji.

- Marketingiem.

- Sprzedają?

- Nie. Znajduję rzeczy, style, które inni ludzie albo firmy mogą potem sprzedać. I oceniam logo, znaki towarowe.

- Jesteś Amerykanką?

- Tak.

- Myślę, że nastał trudny czas dla Amerykanów - mówi Ngemi, opierając dużą głowę o pozbawiony pokrowca zagłówek fotela drugiej klasy. - Pozwolisz, że teraz pośpię.

- Ależ proszę.

Ngemi zamyka oczy.

Cayce patrzy na szachownicę pól, słońce od czasu do czasu połyskujące w kałuży. Kiedy ostatni raz jechała pociągiem, nie metrem, przez pola? Nie pamięta.

Natomiast przypomina sobie, kiedy pod koniec października po raz pierwszy zobaczyła Strefę Zero. Platformy widokowe. Słońce świeciło tak mocno, że w środku miasta wydawało się wręcz nienaturalne. Wyciągano pociąg szybkiej kolejki kursującej pomiędzy New Jersey a miastem, zagrzebany pod gruzami. Zamyka oczy.

W Bournemouth Ngemi prowadzi ją kilka ulic od stacji do sklepu warzywnego, przez dziwną, nielondyńską Anglię.

W warzywniaku wita go starszy, bardzo poważny mężczyzna o jaśniejszej nieco karnacji, porządnie uczesanych siwych włosów i cienkim nosie Etiopczyka. To najwyraźniej sprzedawca, o czym świadczy nieskazitelny niebieski fartuch. Cayce bierze go za rastafarianina o konserwatywnych poglądach. Ngemi i sprzedawca wymieniają długie powitanie albo wiadomości w jakimś obcym jej języku, może amhar-skim, może zupełnie niezrozumiałym dialekcie angielskim. Ngemi jej nie przedstawia. Mężczyzna wręcza mu kluczyki od samochodu oraz reklamówkę ze śliwkami i dwoma dojrzałymi bananami.

Ngemi z powagą kiwa głową, zapewne w podzięcie, i Cayce idzie za nim ulicą, aż Ngemi zatrzymuje się i otwiera drzwi pasażera w ciemnoczerwonym samochodzie ze światła po drugiej stronie lustra. To vaux-hall, ale w niczym nie przypomina tego, którym Hobbs był w Porto-bello. W środku pachnie jakimś nieznanym odświeżaczem powietrza, raczej z Afryki niż stąd.

Ngemi zastyga za kierownicą, potem wkłada kluczyk do stacyjki.

Skomplikowane ronda pokonują z prędkością, przy której Cayce musi zamykać oczy. W końcu woli ich nie otwierać wcale.

Kiedy otwiera wreszcie oczy, widzi falujące zielone wzgórza. Ngemi prowadzi w milczeniu, bardzo skoncentrowany. Na kolejnym wzgórzu wyrastają ruiny zamku.

- Normandzki - mówi Ngemi, ale nie rozwija tematu. Nie czekając na poczęstunek, Cayce wyjmuje banana z reklamówki, obiera go i zjada. Niebo zachmurza się i zaczyna siąpić. Ngemi włącza wycieraczki. - Zaproponowałbym lancz, zanim dojedziemy do Hobbsa - tłumaczy się - ale kiedy się go odwiedza, najważniejsze jest trafić na właściwy moment.

- Możemy do niego zadzwonić, upewnić się, że będzie.

- Nie ma telefonu. Wczoraj wieczorem udało mi się go dopaść w lokalu. Oczywiście był pijany. Zanim przyjedziemy, powinien już wstać i mam nadzieję, że nie zdąży znowu złapać za butelkę.

Dwadzieścia minut potem Ngemi zjeżdża z drogi głównej na zwykłą asfaltówkę. Ładna wiejska okolica. Owce pasą się na wzgórzu. Wspinają się wąską okrążającą je drogą szutrową. Po drugiej stronie, w dole ukazuje się kompleks opuszczonych ceglanych budynków różnej wielkości. Kompletny bezruch.

Zjeżdżają, żwir trzeszczy pod oponami vauxhalla, widać ogrodzenie z siatki i drutu kolczastego.

- Dawniej był tu ośrodek treningowy - mówi Ngemi. - MI6 albo MI5. Chyba pięć. Teraz hodują i szkolą psy policyjne. Tak mówi Hobbs.

- Jacy oni?

- Nie mam pojęcia. Trudno sobie wyobrazić bardziej ponure miejsce.

Cayce nie ma pojęcia, gdzie się znaleźli. W Bournemouth? W Poole?

Ngemi zjeżdża z szutru na zwykłą polną drogę. Rozbryzguje brązowe kałuże. Między kępami drzew i ogrodzeniem wyrastają przyczepy. Jest ich może z siedem. Robią wrażenie tak samo opuszczonych jak zabudowania. Stoją przy domach, ale wyraźnie osobno.

- To tu mieszka?

- Tak.

- Co to jest?

- Obóz cygański. Hobbs wynajmuje jeden wóz.

- Widziałeś ich? Cyganów?

- Nie, nigdy - mówi, zatrzymując samochód.

Cayce patrzy na wielką prostokątną tablicę, łuszczącą się sklejkę na dwóch ocynkowanych rurach, czarne litery na białym tle:

**MINISTERSTWO OBRONY
WSTĘP WZBRONIONY
ZGODNIE Z USTAWĄ
O INFORMACJACH NIEJAWNYCH
ŁAMIĄCYM ZAKAZ
GROZI ARESZTOWANIE I SĄD**

29.
PROTOKÓŁ

Ngemi wysiada zeszywniały, prostuje nogi. Kurtka mu trzeszczy, kiedy sięga na tylną kanapę po kolorową torbę. Cayce też wysiada. Cisza. Nie słyhać nawet ptaków.

- Jeśli tu są psy, to czemu ich nie słyhać? - pyta Cayce. Spogląda na zabudowania za siatką. Między wysokimi kwadratowymi słupami z odbarwionego betonu biegnie drut. Wszystko jest stare i w jakiś sposób martwe. To relikw II wojny światowej?

- Nigdy ich nie słyzałem - mówi ponuro Ngemi i rusza ścieżką, omijając małe kałuże. Ma na nogach czarne, miejskie martensy z pierwszej dekady punku, z czterema oczkami na sznurówki, które już daleko odbiegają od pierwotnego celu projektanta i są teraz niedrogim obuwem dla każdego.

Nie skoszona trawa. Dzikie krzewy z żółtymi kwiatuškami. Cayce podąża za Ngemim do najbliższej przyczepy ze świata po drugiej stronie lustra. To dwutonówka, górna część beżowa, dolna burgundowa, powyginana i zmatowiała. Niski dach do szpica przypomina Cayce rysunki arki Noego w książkach dla dzieci. Z tyłu kwadratowa, spłowiała tablica rejestracyjna ze świata po drugiej stronie lustra: LOB i cztery cyfry. Dawno nigdzie się nie ruszyła, obrosła ją trawa, ukrywając koła, które może są, a może nie. Okna zabito ocynkowanymi płytami metalu.

- Hobbs - woła półgłosem Ngemi. - Hobbs, tu Ngemi. - Zawiesza głos, podchodzi bliżej. Beżowo-burgundowe drzwi wyglądają na wiecznie nie domknięte. - Hobbs? - Stuka lekko dwa razy.

- Odwal się - jęczy ktoś ze środka, zapewne Hobbs, skomle z bólu. W głosie ma krańcowe zmęczenie.

- Przyjechałem po kalkulatory - mówi Ngemi. - Żeby dobić targu z Japończykiem. Mam twoją działkę.

- Co za pizda. - Baranov kopnięciem otwiera drzwi, jakby nie musiał się unosić z miejsca, w którym siedzi. Ukazuje się bezdenny prostokąt ciemności. - Kto to, kurwa?

- Poznałeś ją przelotnie koło Portobello - tłumaczy Ngemi. - Koleżanka Wojtka.

Cayce dochodzi do wniosku, że to prawda, chociaż wtedy koleżanką jeszcze nie była.

- A po coś ją tu przywłókl? - pyta Baranov, pochylając się nieco, tak że słońce daje krótki odbłask w szklach jego okularów. Wszelkie znużenie znika mu z głosu, napiętego i wyrazistego; precyzyjnie wypowiedane głoski niosą ton groźby.

- Niech sama wyjaśni - mówi Ngemi, oglądając się na Cayce - ale najpierw załatwmy interes. - Unosi torbę w kierunku Baranowa, wskazując, o jaki interes chodzi. Zwraca się do Cayce: - Hobbs ma miejsca tylko dla jednego gościa. Wybacz, proszę. - Wspina się do środka, przyczepa groźnie kołysze się na resorach, grzechoce jak kontener pustych butelek. - Raczej nam długo nie zejdzie.

- Upierdliwa pizda - mówi Baranov, chociaż nie wiadomo czy pod adresem Cayce, czy Ngemiego, czy życia.

Ngemi zgarbiony niemal wpół siada na czymś niewidocznym, rzuca Cayce przepraszające spojrzenie i zamyka drzwi.

Osamotniona, chociaż słysząc przytłumione głosy, patrzy po innych przyczepach. Jedne rozlatują się bardziej niż Baranowa, inne są nowsze i nieco większe. Nie podobają się Cayce. Żeby stracić je z oczu, okrąża lokum Baranowa. Kieruje wzrok na drucianą siatkę i wymarłe ceglane budynki. Też się jej nie podobają.

Recytuje pod nosem mantrę o kaczce.

Między czubkami zamiszowych butów od Parco wyrasta czarny przewód. Cayce ogląda się i widzi, że wypełza z otworu wentylacyjnego w boku przyczepy Baranowa. Idzie za nim i znajduje miejsce, w którym przechodzi pod siatką. Biegnie między kępkami pozółklej trawy ku ceglanyemu budynkom. Prąd? Poprowadzony przez MI5 czy kogoś innego? Może przez właściciela?

- Hej! - woła Ngemi z przyczepy. - Chodź, porozmawiaj z Hobbsem, jak chcesz. Nie ugryzie cię. Jest chyba nawet w lepszym humorze. - Cayce wraca, udając, że nie zauważa przewodu. - Śmiało - zachęcają. Zerka na swój staromodny zegarek z kalkulatorkiem. Chromowa koperta błyska w słońcu. W drugiej ręce trzyma torbę, której chyba przybyło zawartości. - Nie wiem, ile czasu ci poświęci. Jeśli się uda, chciałbym złapać następny pociąg.

Przyczepa kołysze się, gdy Cayce wchodzi do niej, mrugając w ciemności. Napiera potwornie bliska czerń, cuchnąc popiołem papierosowym i brudnymi ubraniami.

- Siadaj - rozkazuje Baranov. - Zamknij te drzwi.

Wykonuje polecenie, lądując na stercie książek wysokości krzesła, dużych tomach z płóciennymi oprawami bez obwolut. Baranov pochyła się.

- Dziennikarka?

- Nie.

- Nazywasz się.

- Cayce Pollard.

- Amerykanka.

- Tak.

W miarę jak jej wzrok oswaja się z mrokiem, dostrzega, że Baranov pótleży na wąskiej pryczy, która pewnie pełni rolę łóżka, chociaż zalega na niej tak stroma góra zbitych ubrań, iż Cayce nie pojmuje, jak można spać na czymś takim. Opuszczany wąski stolik wspiera się na jednej nodze obok pryczy.

Baranov wsadza do ust papierosa z jasnego tytoniu i pochyła się. W błysku plastikowej zapalniczki wyrasta brudny zaśmiecony blat z laminatu w bumerangowy wzorek z lat 50. Na nim leży kupka niedopałków, być może skrywająca popielniczkę. I trzy grube pliki banknotów, spięte szerokimi różowymi gumkami.

Papieros rozżarza się potężnie jak meteoryt rozcinający atmosferę Ziemi, zapewne za jednym zamachem spala połowę. Cayce szykuje się na chmurę dymu, ale ta się nie pojawia. Baranov nie wypuszcza oddechu, tylko zbiera banknoty i wsadza je w kieszeń zniszczonej kurtki od Barboura, którą Cayce pamięta z Portobello.

W końcu wypuszcza dym z płuc i przyczepa jest go pełna, chociaż nie tak, jak Cayce się spodziewała. Promienie słońca wpadające przez dziurki w karoserii tworzą widowiskową scenę, plan zdjęciowy Ri-dleya Scotta w skali domku dla lalek.

- Znasz tego cholernego Polaczka.

- Tak.

- To wystarczy, żeby cię unikać. Marnujesz mój czas, kochana. - Meteoryt znów wpada w atmosferę, druga połowa papierosa kończy żywot. Baranov gasi go częściowo lub całkowicie w kupce niedopałków.

Cayce zdaje sobie sprawę, że do tej pory nie widziała jego lewej ręki. Wszystko brał prawą, papierosa, zapalniczkę, banknoty.

- Nie widzę twojej lewej ręki.

W odpowiedzi pojawia się broń, idealnie oświetlona jednym z hi-perminiaturowych reflektorów kierunkowych Ridleya Scotta.

- Nie widzę obu twoich rąk - rzuca Baranov. Cayce nigdy do tej pory nie patrzyła w otwór lufy. W przypadku tej lufy jest niewiele do oglądania, od otworu do zamka; to duży rewolwer z łamanym szkieletem, którego lufę i przednią część kabłąka spustowego niezdarnie odpiłowano; zardzewiały metal zachował ślady szybkich ruchów pilnika. Dłoń Baranova, drobna i brudna, jest zbyt mała do wielkiego, drewnianego chwytu. U dołu zwisa pierścień temblaka, przywołując wspomnienie białych hełmów i epoki brytyjskiego panowania w Indiach. Cayce unosi dłonie; znany gest z dawnych czasów, z dziecięcych zabaw. - Kto cię posłał?

- Sama się posłałam.

- Czego chcesz?

- Ngemi i Wojtek mówią, że możesz wydostać pewne informacje.

- Tak mówią?

- Chcę coś przehandlować za informację.

- Kłamiesz.

- Nie. Wiem dobrze, czego chcę. I w zamian mogę ci dać coś, czego ty chcesz.

- Za późno, kochana. Na co mi, kurwa. - W tej samej chwili szorstki metal lufy, niewiarygodnie zimny i wyraźny, wciska się w środek jej czoła.

- Lucien Greenaway - mówi Cayce. Czuje, jak pierścień chłodu drga o milimetry, zdradzając reakcję. - Handlarz. Z Bond Street. Ma kalkulator. Mogę ci go kupić. - Zimny pierścień napiera. - Nie mogę ci dać pieniędzy - odpowiada naporowi, wiedząc, nie wiadomo skąd, że musi powiedzieć właśnie to jedno kłamstwo i to tak, żeby zabrzmiało wiarygodnie - ale dysponuję kartą osoby trzeciej i mogę ci kupić ten kalkulator.

- Muszę przymknąć jadaczkę Ngemiemu.

W tej chwili dociera do niej, dlaczego nie powinna oferować pieniędzy, chociaż Bigend na pewno by je dostarczył: jeśli Baranov sam płaciłby, miałby poczucie, że płaci handlarzowi, którego nienawidzi.

- Gdybym mogła zaproponować ci gotówkę, zrobiłabym to, ale mogę zaoferować ci tylko kalkulator. Dać kalkulator. W zamian za to, czego potrzebuję. - Skończywszy, zamyka oczy. Cały horyzont ogranicza się do pierścienia zimnej stali.

- Greenaway. - Horyzont ustąpił. - Wiesz, ile on chce?

- Nie - mówi Cayce. Mocno zaciska powieki.

- Cztery tysiące pięćset. Funtów.

Cayce otwiera powieki. Rewolwer już nie jest skierowany w jej czoło.

- Jeśli mamy rozmawiać, to mógłbyś we mnie nie celować?

Baranov jakby przypomina sobie, że trzyma rewolwer.

- Masz - mówi, upuszczając go tak, że wszystko grzechoce na laminatowym blacie - po-

celuj w mnie. - Cayce przenosi wzrok z rewolweru na mężczyznę. - Kupiłem go na pchlim targu. Chłopak wykopał go tu w lesie. Kosztował dwa funciaki. W środku rdza i ziemia. Bęben się nie kręci - dodaje i uśmiecha się do niej.

Cayce spogląda na broń, wyobrażając sobie, że podnosi ją, uśmiecha się do niego i uderza go w czoło najsilniej, jak potrafi. Opuszcza ręce. Wraca wzrokiem do Baranova.

- Ponawiam ofertę.
- Dysponujesz kartą kredytową z limitem na cztery i pół?
- Platynową Visa.
- Mów, o co chodzi. To jeszcze nie znaczy, że to załatwię.
- Muszę wyjąć coś z tej torby. Wydruk.
- Śmiało.

Odsuwa na bok rewolwer i obtłuczony biały kubek, tak że Cayce może zmieścić na stole wydruk urbanistycznej kostki po schabowym. Baranov wyciąga rękę w prawo i światło halogenowej żarówki pada na blat. Cayce przypomina sobie o przewodzie, biegnącym pod siatką. Baranov bez słowa patrzy na wizerunek.

- Każdy z tych numerów to szyfr - mówi Cayce - odnoszący się do sekwencji pewnej informacji. Każda sekwencja ma przypisany jeden z numerów, w celu identyfikacji i monitorowania.

- Steganografia - mówi Baranov i zbliża cienki palec wskazujący z plamami po nikotynie do wydruku. - Czemu tu zakreślono?

- Szyfrowała pewna firma amerykańska, Sigil. Chcę się dowiedzieć, dla kogo to zrobiła, ale przede wszystkim zależy mi na adresie e-mailowym, pod który wysłała cały rysunek po zakodowaniu.

- Sigil?

- W Ohio. - Baranov cmoka, dziwnie, jakby naśladował jakiegoś ptaka. - Możesz się tego dowiedzieć?

- Ustalmy protokół - mówi. - Zakładając, że mogę, co potem?

- Jeśli będę wiedziała, że możesz, pójdę do tego twojego handlarza i kupię kalkulator.

- A potem?

- Ty dasz mi adres e-mail.

- A potem?

- Ja dam Ngemiemu kalkulator. Ale jak nie dasz mi adresu...

- Tak?

- To kalkulator wleci do kanału przy Camden Lock.

Pochyliła się, oczy za okrągłymi szklami zwążają się, ginąc w niezliczonych zmarszczkach.

- Zrobiłabyś to, no nie?

- Tak. I zrobię, jeśli uznam, że mnie oszukujesz. Wpatruje się w nią.

- Wierzę, że cię na to stać - mówi w końcu. W jego głosie jest prawie uznanie.

- Cieszę się. Więc zadzwoń do Ngemiego, jeśli będziesz coś miał. On wie, jak się ze mną skontaktować. - Baranov milczy. - Dziękuję za rozważenie mojej propozycji - mówi Cayce i podnosi się, garbiąc pod niskim sufitem. Łokciem uchyla drzwi i wychodzi na blade światło i pachnące, niesłychanie świeże powietrze. - Do widzenia. - Zamyka za sobą drzwi.

Ngemi trzeszczy obok.

- No i co, był w lepszym humorze? - pyta.

- Postraszył mnie bronią.

- Tu jest Anglia, dziewczyno - mówi Ngemi. - Ludzie nie trzymają broni.

30.

.RU

W pociągu do stacji Waterloo Ngemi kupuje piwo i chipsy o smaku smażonych kurczaków.

Cayce kupuje butelkę niegazowanej wody mineralnej.

- Jak Baranov wylądował w takich warunkach?

- Chodzi ci o miejsce?

- Ogólnie. Zapija się tam?

- U siebie, w kraju, miałem kuzyna - mówi Ngemi - który przepił cały sklep z artykułami elektrycznymi. Poza tym że pił, był z niego całkiem normalny gość, wszyscy go lubili. Jego jedyny problem polegał na tym, że pił. Myślę, że w przypadku Hobbsa picie to objaw czegoś innego, chociaż tak się przywiązał do butelki, że w tej chwili to już straciło znaczenie. Hobbs to panięskie nazwisko jego matki. Przy urodzeniu wpisali mu Hobbs-Baranov, z kreską w środku. Jego ojciec, sowiecki dyplomata, uciekł do Ameryki i ożenił się z bogatą Angielką. Hobbsowi udało się zgubić to, co po kresce, ale kiedy się upije, zawsze do tego wraca. Raz powiedział mi, że ciągle mu to ciąży, chociaż się odciął.

- Pracował jako matematyk dla amerykańskiego wywiadu?

- Chyba zaproponowali mu współpracę, kiedy był na Harvardzie. Ale tak naprawdę nie wiadomo. Wspomina o tym tylko wtedy, kiedy jest pijany. - Otwiera puszkę i pociąga łyk. - To pewnie nie mój interes, ale czy wizyta się udała?

- Może. Ale jeśli tak, to będę musiała cię prosić o dalszą pomoc.

- Możesz powiedzieć mi coś więcej?
- Potrzebuję czegoś, a Baranov może mi to znaleźć. Powiedziałam, że w zamian kupię mu kalkulator od tamtego handlarza z Bond Street.
- Od Greenaway? Żąda nieprzyzwoitej ceny.
- To nieważne. Jeśli Baranov załatwi mi to, czego chcę, umowa stoi.
- I potrzebujesz mojej pomocy?
- Jesteś mi potrzebny, żeby pójść ze mną do tego handlarza i pomóc w zakupie. Muszę mieć pewność, że to właściwy egzemplarz, ten na którym zależy Baranowowi. A jeśli Baranov da mi to, na czym mi zależy, będę cię potrzebowała, żebyś dostarczył mi kalkulator.
- Pewnie, że mogę to zrobić.
- Od czego zaczniemy?
- Greenaway ma stronę w sieci. Nie otwiera interesu w niedzielę. Cayce otwiera torbę, wyjmując laptopa i komórkę.
- Mam nadzieję, że ten kalkulator wciąż tam jest.
- Przy tej cenie na pewno - zapewnia ją Ngemi.

Wieczorem na stacji Waterloo panuje już zupełnie inny ruch. Gołębie, które Cayce rano oglądała w locie, teraz bez lęku drepcą między nogami podróżnych, zbierając to, co przyniósł dzień.

Pod nadzorem Ngemiego wysłała pocztę do Greenaway, prosząc o rezerwację prototypu kalkulatora Curta, który, co widać, wciąż figuruje w ofercie. Obejrzy go jutro, przed kupieniem.

- Kiedy prosisz o rezerwację, nie masz pewności, że artykuł nie zejdzie - wyjaśnia Ngemi, kiedy Cayce idzie z nim do ruchomych schodów. - W międzyczasie może pojawić się inna tragiczna ofiara, ale zwracasz na siebie uwagę i ustalasz ton rozmowy. Przyda się, że jesteś Amerykanką. - Nalegał, aby wspomniała, że mieszka w Nowym Jorku i jest w Londynie tylko przelotnie. - Wiesz, kiedy Hobbs mógłby dostać dla ciebie tamtą informację?

- Nie mam zielonego pojęcia.
- Ale chcesz dobić targu z Greenawayem?
- Tak.
- Jesteś bogata?
- Gdzie tam. Wykładam nie swoje pieniądze.

- Gdybyś zaoferowała Hobbsowi tyle gotówki, ile chce Green-away, pewnie by ci odmówił. Nie stać go na taki zakup, tak samo jak mnie. Wiem, że odmawiał, kiedy oferowano mu pieniądze za usługę, chociaż w grę wchodziły poważne kwoty.

- No, ale przecież zależy mu pieniądzech, no nie?

- Tak, ale chyba ma ograniczone możliwości. Pewnie niezbyt wielu ludzi ma wobec niego dług.

- Jaki dług?

- Wdzięczności. Nie wyobrażam sobie, żeby miał jakieś wyjątkowe źródła informacji. Nie ma też wyjątkowych umiejętności ani wiedzy. Pewnie dzwoni do kogoś, kto ma wobec niego dług wdzięczności, zadaje pytanie i czasem dostaje odpowiedź.

- Wiesz, do kogo dzwoni? - pyta, niezbyt licząc na to, że usłyszy odpowiedź.

- Słyszałaś o programie Echelon?

- Nie - mówi, chociaż wydaje się jej, że słyszała, ale nie kojarzy w jakich okolicznościach.

- Program amerykańskiego wywiadu do monitorowania całego Internetu. Jeśli naprawdę istnieje, to Hobbs może być jego dziadkiem. Niewykluczone, że przysłużył się do jego powstania. - Unosi brew na znak, że to wszystko co wie lub chce powiedzieć na tak dziwaczny temat.

- Rozumiem - mówi Cayce, niepewna, czy tak jest naprawdę.

- No cóż... - Ngemi zawiesza głos, gdy są blisko ruchomych schodów, jadących w dół - musisz wiedzieć, co robisz.

- Nie, nie wiem. Zupełnie nie wiem. Ale dziękuję ci za pomoc.

- W takim razie, miłego wieczoru. Zadzwoń do ciebie rano. Odprowadza wzrokiem przekrzywioną, ogoloną kopułę ciemnej głowy, sunącą w dół londyńskiego metra.

Idzie poszukać taksówki.

Ja pierdolę. Znasz to powiedzonko? Z lat 70. Nie chodzi o pierdolenie, ale o głębokie zdumienie połączone z niewiarą.

Jest gotowa wcześniej iść spać zgodnie z urzędowym czasem Cayce Pollard i przed umyciem zębów sprawdza pocztę elektroniczną. Pierwsza wiadomość od WParkeUbranego.

Judy nie wyszła od Darryla od czasu mojej ostatniej wiadomości. Jest napalona na Takiego, który chce lecieć do Kalifornii, ale na szczęście siedzi nad zleceniem dla japońskich operatorów telefonicznych. Chcę wiedzieć jedno. Czy to co robimy, jest coś warte? Masz coś? Jesteś bliżej?

Cayce dochodzi do wniosku, że może. Więcej nie potrafi powiedzieć.

Może. Mam tu coś nagranych, ale sprawdzenie, czy coś z tego wyniknie, zajmie chwilę. Kiedy będę więcej wiedzieć, dowiesz się.

WYŚLIJ.

Następna od Boone'a.

Pozdrowienia z Holiday Inn przy drodze do parku technologicznego. Hotel oryginalny, cały w beżach. Nawiązałem kontakt w wiadomej sprawie, ale nie mam pojęcia, czy coś uzyskamy. Następny przystanek - bar na dole, gdzie słabsze owieczki z wiadomej firmy mogą się zbierać. U ciebie wszystko gra?

„To wyboisty szlak - myśli Cayce - chociaż nie wiadomo, czego jeszcze mógłby próbować poza skumpłowaniem się z pracownikami. Sigil”.

Gra.

Zastanawia się.

Nic nowego.

Co jest nawet bliskie prawdy.

WYŚLIJ.

Następna to... spam? Adres mailowy z samych cyfr.

Tak. Kończy się na.ru. Trzymaj się protokołu. H-B

Baranov, podpis z łącznikiem.

.ru

Rosja.

31.

PROTOTYP

Następnego ranka podczas ćwiczeń przy Neal's Yard Cayce trzyma włączoną komórkę Blue Ant blisko siebie.

Telefon dzwoni, kiedy Cayce jest na PediPole, urządzeniu, któ/e kojarzy się jej z rysunkiem Leonarda, obrazującym proporcje ludzkiego ciała w stosunku do wszechświata. Rozcapierzonymi palcami ciągnie strzemiona z czarnej pianki.

Kobieta ćwicząca na najbliższym reformerze marszczy brwi.

- Przepraszam - mówi Cayce. Zwalnia sprężyny, wyjmując ręce ze strzemion i komórkę z kieszeni ricksona. - Halo?

- Dzień dobry. Tu Ngemi. Jak się masz?

- Dziękuję, dobrze. A ty?

- Świetnie. Wang Stephen Kinga dziś wyrusza w podróż. Jestem bardzo podekscytowany.

- Z Maine?

- Z Memphis. - Głośno oblizuje wargi. - Dzwonił Hobbs. Mówi, że ma to, czego chcesz i teraz twój ruch. Czy odwiedzimy pana Greenawaya i zapłacimy mu tę nieprzyzwoitą cenę?

- Tak. Proszę. Możemy to zrobić teraz?

- Nie otwiera przed jedenastą. Spotkamy się tam?

- Proszę.

Podaje jej numer przy Bond Street.

- Do zobaczenia na miejscu.

- Dziękuję.

Cayce kładzie telefon na podstawie PediPole z jasnego drewna i przyjmuje pozycję.

Jeśli jakaś cecha Anglików kompletnie wyprowadza ją z równowagi, to ich wyczerpanie na „przynależność klasową” - bardzo dziwną przynależność, definiowalną tylko w świecie po drugiej stronie lustra. Cayce już dawno zrezygnowała z tłumaczenia angielskim znajomym, o co jej chodzi.

Gdyby szukała równie monstrualnej przywary swoich rodaków, wskazałaby przywiązanie części Amerykanów do broni. Anglicy generalnie uważają je za oburzające, błędne samo w sobie, niepojęte uzależnienie, często prowadzące do straszliwego i rozrutnego niszczenia ludzkiego życia. Cayce uznaje ich racje, ale też wie, że instynkt posiadania broni głęboko tkwi w psychice Amerykanów i że wszelka zmiana w tym zakresie jest prawie nieprawdopodobna, chyba że stopniowa i długotrwała. Podobnie jest ze sprawą przynależności klasowej w Anglii.

Cayce przeważnie stara się ją ignorować, chociaż te angielskie zachowania, ten ich sposób

bycia, to obwąchiwanie kasty od pierwszego kontaktu z nieznanym sprawiają, że dreszcz ją przechodzi.

Katherine sugerowała, że Cayce być może reaguje tak dlatego, że jest niesłychanie wrażliwa na skodyfikowane zachowania. A te zachowania są bardzo skodyfikowane; ludzie w Anglii wpierw patrzą na buty innych. Tak jak właśnie Lucien Greenaway popatrzył na obuwie Ngemiego.

I nie jest nim zachwycony.

Są to z lekka zakurzone czarne martensy, na nie przepuszczających tłuszczu (wedle reklamy) podeszwach z poduszkami powietrznymi, rozstawione teraz przed kontuarem sklepu, na którego szyldzie widnieje po prostu: L. GREENAWAY. Buty Greenawaya są niewidoczne za ladą, ale gdyby był Amerykaninem, to pewnie miałby na nogach płytkie, odsłaniające nasady palców mokasyny z frędzlami. Tu trudno się spodziewać czegoś takiego. Raczej obuwia z Saville Row, ale nie szytego na miarę.

Poznała w Anglii ludzi, którzy z sześciu metrów potrafią ocenić, czy dziurki na guziki przy mankietach marynarki są prawdziwe.

- Muszę panią zapytać, panno Pollard, czy jest pani absolutnie zdecydowana na ten zakup.

L. GREENAWAY należy do tego rodzaju sklepów, do których wchodzi się po naciśnięciu dzwonka u drzwi i odblokowaniu zamka przez sprzedawcę, a sam Greenaway wygląda tak, jakby trzymał wielki palec u nogi nad brzęczykiem, wzywającym pluton ochroniarzy w hełmach, uzbrojonych w pałki.

- Tak, panie Greenaway, jak najbardziej. Ten patrzy na jej czarną nylonową kurtkę.

- Jest pani kolekcjonerem?

- Mój ojciec.

Greenaway rozważa tę informację.

- Nie kojarzę nazwiska. Rynek curtów obejmuje raczej wąską grupę ludzi.

- Pan Pollard jest amerykańskim urzędnikiem na emeryturze, byłym naukowcem - mówi Ngemi. - Posiada parę egzemplarzy z serii pierwszej, wszystkie sprzed 1949 roku i oczywiście nisko sygnowane, do numeru trzysetnego. Ma również kilka egzemplarzy serii drugiej, wybranych głównie ze względu na dobry stan i ciekawy wariant obudowy. - Ta pobieżna, daleka od rzeczywistości charakterystyka Wina jest wynikiem delikatnego wywiadu na chodniku przed sklepem. Handlarz przewierca go wzrokiem. - Mogę pana o coś zapytać? - Kontynuuje niewzruszony i lekko się skłania, głośno trzeszcząc sztuczną skórą.

- O co zapytać?

- O pochodzenie tego artykułu. Wiadomo, że Herzstark trzymał u siebie w domu w Nendeln, w Lichtensteinie, trzy prototypy. Wiadomo, że po jego śmierci w 1988 zostały one sprzedane prywatnemu kolekcjonerowi.

- Tak?

- Czy oferowany egzemplarz to jeden z tamtych trzech, panie Greenaway? Opis, który znalazłem na pańskiej stronie internetowej, jest pod tym względem nieco dwuznaczny.

Na twarz Greenawaya wpęła lekki rumieniec.

- Nie, to żaden z nich. To dawna własność głównego mechanika i jest do niej dołączona szeroka dokumentacja, w tym zdjęcie, na którym Herzstark i wspomniany mechanik, jego wytwórca, trzymają ten egzemplarz. Tamte trzy z domu w Nendeln są numerowane jeden, dwa i trzy, cyframi rzymskimi. Oferowany egzemplarz ma numer cztery. - W dalszym ciągu patrzy na Ngemiego z idealnie obojętnym wyrazem twarzy, równocześnie sygnalizującym bezbrzeżną nienawiść i obrzydzenie. - Rzymskie.

- Możemy go zobaczyć? - pyta Cayce.

- Główny mechanik - powtarza Ngemi. - Wytwórca.

- Proszę? - rzuca Greenaway jak najdalszy od tego, aby prosić.

- Kiedy dokładnie wykonano ten prototyp? - uśmiechając się lekko, pyta Ngemi.

- A co pan chce zasugerować tym pytaniem?

- Ależ nic. - Ngemi unosi brwi. - W 1946? '47?

- W 1947.

- Zechce pan nam go pokazać, panie Greenaway - znów próbuje Cayce.

- A jak zamierza pani zapłacić, jeśli zdecyduje się pani go nabyć? Proszę wybaczyć, ale nie mam zwyczaju przyjmować czeków, jeśli nie znam kupującego.

Visa Blue Ant, czekająca w dłoni Cayce, wynurza się z kieszeni ricksona i spoczywa na prostokątnej zamszowej podkładce biurkowej na ladzie Greenawaya. Ten spogląda na nią, wyraźnie zdziwiony rysunkiem mrówki w starożytnym egipskim stylu. Wreszcie odczytuje nazwę banku, emitenta karty.

- Rozumiem. I pani limit pokrywa cenę tego egzemplarza, plus VAT?

- To bardzo obraźliwe pytanie - mówi pozbawionym wyrazu tonem Ngemi, ale Greenaway ignoruje go, obserwując Cayce.

- Tak, panie Greenaway, ale sugeruję, żeby pan bez zwłoki sprawdził to u emitenta. - Prawdę mówiąc, nie jest całkiem pewna wysokości limitu, ale mętnie sobie przypomina uwagę Bigenda, iż może kupować samochody, ale nie samoloty. Bigend na pewno ma wiele wad, ale wątpliwe, aby był skłonny do przesady.

Teraz Greenaway spogląda na nich tak, jakby napadli na niego z bronią w rękę, przy czym samo zdarzenie nie budzi w nim lęku czy niepokoju, jedynie pełne irytacji zdumienie wywołane ich pewnością siebie.

- To nie będzie konieczne - odpowiada. - Przekonamy się o tym podczas autoryzacji.

- Czy teraz mógłbym go zobaczyć? - pyta Ngemi, opierając się czubkami palców o blat, jakby zamierzał czegoś zażądać.

Greenaway sięga pod ladę, wyjmując szare kartonowe pudełko, jakiego Cayce nigdy do tej pory nie widziała: kwadratowe boki szerokie na około piętnaście centymetrów z dwoma drucianymi zamknięciami w kształcie litery U, przechodzącymi przez precyzyjnie wycięte otwory w brzegu pokrywki. Pudełko jest prawdopodobnie dużo starsze niż Cayce. Greenaway zastyga i Cayce wyobraża sobie, że odlicza w myślach. Następnie unosi pokrywkę i odkłada ją na bok.

Trumienna szara bibułka otula kalkulator. Greenaway sięga do pudełka, ostrożnie wyciąga kalkulator i kładzie go na zamszowym prostokącie.

Cayce przedmiot wydaje się bardzo podobny do tych, które widziała w bagażniku Baranova, chociaż jest chyba nieco bardziej toporny.

Ngemi wyjął lupę i obrotowym ruchem starannie wciska ją w lewy oczodoł. Pochyliła się z trzaskiem i skupia cyklopowe spojrzenie na curcie. Cayce słyszy jego oddech i tykanie wielu zegarów, stojących na półkach wokół, którego poprzednio nie była świadoma.

- Hm - słychać Ngemiego, i po chwili jeszcze bardziej basowo - hm. - Należy podejrzewać, że wydaje te dźwięki zupełnie nieświadomie. Wydaje się bardzo daleki i Cayce czuje się pozostawiona samej sobie. Ngemi prostuje się wreszcie, wyjmując lupę z oczodołu. Mruga. - Będę musiał wziąć go do ręki. Będę musiał przeprowadzić działanie.

- Czy państwo w ogóle wiecie, co robicie? Nie chodzi wam tylko o to, żeby mnie wnerwić, co?

- Nie, proszę pana - mówi Ngemi - wiemy, co robimy.

- No to rób pan swoje.

Ngemi sięga po kalkulator, obracając go najpierw o 180 stopni. Cayce zauważa rzymską czwórkę, wrytą na okrągłej metalicznej podstawie. Ngemi ustawia kalkulator pionowo, przemieszcza suwaki w szczelinach albo prowadnicach. Zastyga, przymykając oczy, jakby nasłuchiwał, i obraca górną częścią przypominającą rączkę młynka do pieprzu. Rozlega się szelest, jeśli można powiedzieć, że mechaniczne urządzenie szeleści. Ngemi otwiera oczy, patrzy na cyfry, które pojawiły się w okrągłych otworkach. Przenosi wzrok na Greenaway.

- Tak - mówi.

Cayce wskazuje na Vise Blue Ant.

- Weźmiemy go, panie Greenaway.

Przecznicę od L. GREENAWAY, dokąd Ngemi zaniósł pudełko z kalkulatorem, trzymając je przy brzuchu jak urnę z prochami krewnego, czeka Baranov, z wypalonym do połowy papierosem, przyklejonym do kącika ust.

- To to?

- Tak - mówi Ngemi.

- Autentyczny.

- Oczywiście. Baranov bierze pudełko.

- To również jest godne uwagi. - Po tych słowach Ngemi rozpina zamek kurtki i wyjmuje brązową kopertę. - Dokumentacja pochodzenia.

Baranov wsadza pudełko pod pachę i bierze kopertę. Wręcza Cayce wizytówkę.

The Light of India Curry House. Poole.

Cayce odwraca kartonik. Rdzawy napis wiecznym piórem. Kształtna kursywa.

stellanor@armaz.ru

Oczy za okrągłymi optycznymi szklami mierzą Cayce wzrokiem pełnym pogardy, niechęci.

- Ropa bałtycka, co? Myślałem, że stać cię na coś więcej.

Odrzuca papierosa i rusza tam, skąd właśnie przyszli Ngemi i Cayce, prototyp kalkulatora Curta trzyma pod pachą, brązową kopertę w dłoni.

- Nie będziesz mi miała za złe, jeśli zapytam, co to znaczy? - pyta Ngemi.

- Nie będę - mówi Cayce, przenosząc spojrzenie z oddalającej się kurtki Baranova w kolorze gnoju na adres e-mail w kolorze rdzy. - Ale nie wiem.

- Tego szukałaś?

- To musi być to - mówi. - Tak przypuszczam.

MISTYKA UCZESTNICTWA

Ngemi odłącza się od niej przy stacji Bond Street, zostawia Cayce w nagłym rozbłysku słonecznego blasku. Cayce nie ma pojęcia, dokąd iść ani po co.

Taksówka zabiera ją na High Street w Kensington. Wizytówkę Ba-ranova, tę z hinduskiej restauracji, wsunęła do zamykanej na zamek błyskawiczny kieszeni rękawa ricksona, oryginalnie przeznaczonej na amerykańskie papierosy.

„Stan progowy” - myśli, wysiadając z taksówki obok czegoś, co kiedyś było zatęchłą wielopoziomową jaskinią Kensington Market, labiryntem pełnym punkowych i hippisowskich szmatek i dodatków, a teraz znikło. Stan progowy. Katherine McNally tak określa obszar przemiany. Czy teraz przeżywa stan progowy, czy po prostu niezdecydowanie? Płaci kierowcy przez okno i ten odjeżdża.

„Ropa - zastanawia się - powiedział Baranov”?

Idzie w kierunku parku. Błyszczą pozłacany Albert Memoriał, który na zawsze utracił w jej oczach realność po tym, jak został oczyszczony. Pomnik oglądany przez nią po raz pierwszy był czarny, nagrobkowy, niemal groźny. Win opowiadał jej, że kiedy pierwszy raz ujrzał Londyn, był niemal tak samo czarny, miasto sadzy, którego jednobarwna faktura wydawała się bardziej żłobiona, niż była w rzeczywistości.

Czeka na zielone światło, przecina ulicę. Skręca do ogrodu, gdzie żwir skrzypi pod podszwami jej butów.

Urzędowy czas Cayce Pollard dobija godziny zwątpienia i rozpacz. Dusza zbyt długo przebywa w niebycie.

Dróżki z czerwonym żwirem, szerokie jak wiejskie drogi Tennessee, przecinają park, wiodąc do pomnika Piotrusia Pana, którego postumentu strzegą króliki z brązu.

Cayce zdejmuje torbę, odkłada. Zdejmuje ricksona i rozpościera go na krótko przyciętej trawie. Siada na kurtce. Żwirem sunie biegacz. Cayce otwiera kieszeń na rękawie i patrzy na wizytówkę od Baranova.

stellanor@armazu.ru

W ostrym świetle litery są spłowiałe, jakby Baranov pisał je przed laty. Starannie chowa wizytówkę, zapina zamek kieszonki. Otwiera torbę, wyjmuje laptopa i komórkę.

Łączy się z serwerem Hotmail. Upływa limit czasu połączenia. Brak nowych wiadomości. Cayce klika NOWA WIADOMOŚĆ.

Nazywam się Cayce Pollard. Siedzę na trawie w parku w Londynie. Świeci słońce i jest ciepło. Mam 32 lata. Mój ojciec zginął 11 września 2001 roku w Nowym Jorku, ale nie udało mi się stwierdzić, czy został zabity podczas ataku terrorystów. Niedługo potem zaczęłam oglądać materiały filmowe, które robisz.

To „robisz” z ukrytym podmiotem „ty” każe się jej zatrzymać. Uderza klawisz DELETE, kasuje „które robisz”.

Katherine McNally zachęciła ją do pisania listów, które tak naprawdę nigdy nie miały, a w niektórych wypadkach nie mogły być wysłane, jako że adresat już nie żył.

Ktoś pokazał mi jeden segment i poszukałam następnych. Znalazłam poświęcone im forum dyskusyjne i zaczęłam pisać, wysyłać pytania. Nie mogę ci

Tym razem to jej nie zatrzymuje.

wytłumaczyć, dlaczego, ale to stało się dla mnie bardzo ważne, dla nas wszystkich z forum. Dla WParkeUbranego, Bluszcza, Maurice’a i Celulo, wszystkich innych też. Łączyliśmy się z forum, kiedy tylko mogliśmy, żeby być z ludźmi, którzy zrozumieli. Szukaliśmy następnych urywków taśm. Niektórzy ludzie surfowali po sieci tygodniami, nie wysyłając żadnej poczty, aż ktoś odkrył nowy segment.

Przez całą zimę, najłagodniejszą jaką Cayce przeżyła na Manhattanie, chociaż również najbardziej mroczną, otwierała F:E:F - żeby śnić i marzyć.

Nie wiemy, co robisz ani dlaczego. WParkeUbrany myśli, że śnisz. Śnisz dla nas. Czasem tak to mówi, jakby myślał, że jesteście twoim snem. Uważa, że jesteście wzorcowym przykładem mistyki uczestnictwa; tak się wciągnęliśmy w poszukiwania tego co robisz, że staliśmy się częścią tego czegoś. Włamaliśmy się do systemu. Tak głęboko w niego weszliśmy, że on, nie ty, zaczyna z nami rozmawiać. Mówi, że to jak z Coleridge’a i De Quinceya. Mówi, że to szamanizm. Że być może nam się wydaje, że siedzimy wpatrzeni w ekran, a tak naprawdę przynajmniej część z nas udała się na wyprawę. Wędrujemy, szukamy, narażamy się. W nadziei, jak mówi, że natrafimy na cuda. Kłopot w tym, że ostatnio tak żyłam i żyję.

Podnosi wzrok; w jasnym świetle wszystko zbielało i wyblakło. Znów sobie przypomina, że zapomniała przeciwsłonecznych okularów.

Bywałam tam, bywałam tu, szukałam. Narażałam się. Nie wiedząc dobrze, czemu. Bałam się. Okazuje się, że i tam, i tu są niezbyt mili ludzie. Chociaż to pewnie żadna nowość.

Przestaje pisać i spogląda na Piotrusia Pana; zauważa, że dziecięce dłonie wypolerowały uszy królików.

Czy wiesz, że tu wszyscy czekamy na kolejny segment? Przez całą noc włócząc się w tę i we w tę po sieci, nie wiedząc, gdzie go nam zostawiłeś? Tak jest. No, ostatnio ja osobiście nie, ale to dlatego że poszłam za radą WParęUbranego i próbowałam inaczej się włamać. I chyba dlatego, że ja... że my znaleźliśmy te szyfry na segmencie, mapę wyspy, miasta, czy czegoś tam, wiemy, że ty albo ktoś inny za ich pośrednictwem monitoruje cyrkulację segmentu, ocenia rozpowszechnianie. I dzięki znalezieniu tych szyfrów, tych cyfr wplecionych w klatki, udało mi się znaleźć ten adres e-mail i teraz siedzę w parku, obok pomnika Piotrusia Pana, pisząc do ciebie i...

I co?

...chcę cię zapytać:

Kim jesteś?

Gdzie jesteś?

Czy śniesz?

Czy jesteś tam? Jak ja tu?

Czyta, co napisała. Jak większość listów, które Katherine kazała jej napisać - do matki, do Wina, przed zniknięciem i po, do różnych byłych facetów i jednego byłego terapeuty - kończy list do twórcy pytajnikami. Katherine była przeciwna takim zakończeniom. Uważała, że najwięcej pożytku przyniosłyby jej listy zamknięte jeśli już nie wykrzyknikami, to kropkami, ale Cayce ani kropki, ani wykrzykniki nigdy szczególnie nie wychodziły.

Pozdrawiam serdecznie Cayce Pollard

Przygląda się rękóm, które przez krótki czas dalej piszą, jak ręce pry-muski kursu pisania bezwzrokowego, jakby tylko udawała, że coś robi.

(CayceP)

W tej chwili zdaje sobie sprawę, że park tłumi hałas Londynu, i ma wrażenie, że znalazła się w stałym punkcie, wokół którego wiruje wszystko inne, że szerokie zwirowane alejki zbiegające się u stóp Piotrusia Pana są liniami łączącymi miejsca z prehistorii, w których żyły magiczne moce.

Palce rozgniewanego dziecka piszą:

stellanor@armaz.ru

i to w okienku adresowym, jakby faktycznie wysyłała wiadomość.

Najeżdża kursorem na WYŚLIJ.

Oczywiście nie wyśle.

Przygląda się, jak wysyła.

- Nie wysłałam - protestuje wobec laptopa na trawie, wobec wyblakłych w słońcu kolorów ekranu. - Nie wysłałam - mówi Piotrusiowi Panu.

Nie mogła wysłać. A jednak wysłała. Siedzi po turecku na kurtce, zgarbiona nad laptopem. Nie umie nazwać tego, co czuje.

Automatycznie sprawdza pocztę. Koniec limitu czasu, brak nowych wiadomości.

Obok przebiega kobieta, chrzęści żwir, kobieta sapie jak miech.

Mechanicznie zjada miseczkę z tajską sałatką w azjatyckiej restauracji po drugiej stronie ulicy. Nie jadła dziś śniadania i może ten posiłek ją uspokoi. Choć wątpi, żeby się uspokoiła po tym, co zrobiła.

„Pogódź się z tym, co się stało” - mówi sobie w duchu. „Nie pytaj, czego się spodziewałaś, wysyłając wiadomość”.

Czuje się niemal tak, jakby coś w parku kazało jej to zrobić. Genius loci, powiedziała by WParcęUbrany. Za dużo słońca. Zbieg linii. (Zbieg czegoś, to oczywiste, ale w tej części jej, ja”, do której ona nie ma dostępu).

IBook jest znów otwarty, stoi na stoliku przed nią i właśnie prze-googlowała „argaz”. Ekran informuje, że to „człowiek” po berberyj-sku. Sprawdziła na innej stronie nazwisko i adres osoby odpowiedzialnej (przy czym nie bardzo wie, co to znaczy) za domenę argaz.ru: niejaki A.N. Poliakow i zapewne jakiś budynek biurowy na Cyprze.

Gdyby paliła i była wytrzymalsza na smród papierosów, to pewnie mogłaby bardziej przycisnąć Baranova. W tej chwili niemal żałuje, że nie ma tego nałogu.

Patrzy na swoje antycasio i próbuje ustalić, która godzina jest teraz w Ohio. Przypomina sobie, że maki mają mapki ze strefami czasowymi, ale nie chce się jej odgrzebywać w pamięci, jak się po nich poruszać.

Zadzwoń do Boone’a. Musi mu powiedzieć, co się wydarzyło. Zamyka laptopa i odłącza komórkę. Coś jej mówi, że fakt, iż nie dzwoni wpierw do WParcęUbranego, o czymś świadczy, ale postanawia go nie analizować.

Wybiera pierwszy numer Boone’a.

- Boone?

Odpowiada jej chichot kobiety, która zaraz pyta:

- Kto dzwoni?

Z głębi pomieszczenia słychać przytłumiony głos Boone’a:

- Daj mi to.

Cayce patrzy na dymiący kubek zielonej herbaty, przypomina sobie, kiedy ostatni raz piła zieloną herbatę. W Hongo, z Boone'em.

- Cayce Pollard.

- Boone Chu - mówi Boone. Widocznie odebrał telefon kobiecie.

- Tu Cayce, Boone. - Przypomina sobie *kudzu* na dachu z blachy falistej. „Powiedziałeś, że ona jest w Madrycie” - myśli. - Dzwonię tylko, żeby przypomnieć, że żyję. - „Marisa. Damien ma Marinę. Za niedługo okaże się, że ktoś ma Marikę”.

- Dobrze - mówi Boone. - Masz coś nowego? Patrzy na samochody przejeżdżające High Street.

- Nie - mówi.

- Może na coś trafię tutaj. Dam ci wtedy znać.

- Dzięki. - Dźga przycisk. - Nie wątpię, że dasz. - Kelner chyba zauważył wyraz twarzy Cayce, bo lustruje ją z najwyższym niepokojem. Cayce posyła mu wymuszony uśmiech i opuszcza wzrok na miseczkę. Z przesadnym spokojem odkłada telefon i sięga po pałeczki. - Kurwa - burczy pod nosem, zmuszając się do jedzenia.

„Czemu ja wciąż ładuję się w takie układy?” - pyta samą siebie.

Kiedy kluski i kurczak znikły i kelner przyniósł następną herbatę, Cayce czuje potrzebę zrobienia czegoś dla siebie i z własnej woli. Dzwoni na komórkę do Bigenda.

- Tak?

- Tu Cayce, Hubertusie. Pytanie.

- Tak?

- Ten facet z Cypru. Czy Dorotea miała jego nazwisko?

- Tak. Zaczekaj. Andreas Poliakow.

- Hubertusie?

- Tak?

- Czy sprawdzałeś?

- Tak.

- Gdzie?

- W zapisie rozmowy.

- Czy ona wiedziała, że jest nagrywana?

- Gdzie jesteś?

- Nie zmieniaj tematu.

- Właśnie zmieniłem. Masz dla mnie jakieś informacje?

- Jeszcze nie.
- Boone jest w Ohio.
- Tak. Wiem. Cześć.

Podłącza znów laptopa do komórki i włącza go. Musi powiedzieć WParcęUbranemu, czego się dowiedziała i co zrobiła.

Sprawdza wiadomości przychodzące.

Jedna.

Od stellanor@armaz.ru.

Krztusi się herbatą, kaszle. Mało nie opluwa klawiatury.

Zmusza się otworzenia poczty, po prostu otworzenia, tak jakby była to jakakolwiek inna wiadomość. Jakby...

Witam! To bardzo dziwna wiadomość.

Cayce zamyka oczy. Kiedy je otwiera, słowa nadal widnieją na ekranie.

Jestem w Moskwie. Ja też nie mam ojca, zginął od bomby. Matka też. Skąd masz ten adres? Kim są ludzie, o których mówisz? Segmenty to części twórczości?

I nic więcej.

- Tak - mówi laptopowi Cayce - tak. Twórczości.
- Twórczości.

- Znów Cayce, Hubertusie. Do kogo mam zadzwonić w sprawie lotu?

- Do Sylvie Jeppson. Do biura. Gdzie lecisz?

- Do Paryża, w przyszłą niedzielę. - Pije trzecią zieloną herbatę i czuje nieprzychylne spojrzenia, gdyż blokuje stolik.

- Po co?

- Wyjaśnię jutro. Dzięki. Cześć.

Dzwoni do Blue Ant i łączy się z Sylvie Jeppson.

- Czy do Rosji potrzeba wizy?

- Tak.

- Ile się na nią czeka?

- To zależy. Jeśli zapłacisz więcej, dadzą ci w godzinę. Ale wcześniej mają zwyczaj kazać ci siedzieć godzinę w pustej poczekalni. To z nostalgii za sowieckimi czasami. Ale mamy dojście do Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rosji.

- Tak?

- Zrobiliśmy coś dla nich. Po cichu. Gdzie jesteś?

- W Kensington przy High Street.
- To się dobrze składa. Masz paszport?
- Tak.
- Możemy się spotkać za pół godziny? Kensington Palace Gardens 5. Przy Bayswater. Metro Queensway. Będziesz potrzebowała trzech fotografii paszportowych.
- Możesz to załatwić?
- Hubertus nie chciałby, żebyś czekała. Zresztą wiem, z kim rozmawiać. Ale musisz się pośpieszyć. Nie pracują po południu.

Wychodząca z wydziału wizowego konsulatu rosyjskiego wysoka, blada, zawsze nie-wzruszona Sylvie pyta:

- Kiedy chcesz lecieć?
- W niedzielę. Przed południem. Do Paryża.
- To BA, chyba że wolisz Air France. Nie wolałabyś pociągiem?
- Nie, dzięki.
- A kiedy do Rosji?
- Jeszcze nie wiem. Tak prawdę mówiąc, w tej chwili są na to małe szanse, ale na wszelki wypadek chciałam mieć wizę. Dziękuję za pomoc.
- Zawsze do usług - mówi, uśmiechając się Sylvie. - Mam zajmować się tobą najlepiej, jak się da.
- Zajął się najlepiej, jak się dało.
- Wracam taksówką do Soho. Podwieź cię? Cayce widzi nadjeżdżające dwie wolne taksówki.
- Nie, dzięki. Jadę do Camden. Oddaje Sylvie pierwszą.
- Aeroflot - mówi, kiedy kierowca pyta, dokąd chce jechać.
- Na Piccadilly - informuje taksówkarz. Cayce dzwoni do Wojtka.
- Halo?

- Tu Cayce, Wojtku.

- Casey! Cześć!

- Znów wyjeżdżam z miasta. Muszę dać ci klucze od domu Da-miena. Mógłbyś tam wpaść? Powiedzmy, o wpół do piątej? Raczej się spieszę. - Obiecuje sobie, że kupi mu to rusztowanie.

- Problem żaden, Casey!

- Dzięki. Do zobaczenia.

Kupi mu rusztowanie na kartę Bigenda. Ale za bilet Aeroflotu zapłaci własną.

- Mam gdzieś twoją mistykę uczestnictwa - mówi, chociaż nie wie, czy te słowa odnoszą się do WParkeUbranego, Londynu czy też ogólnych lub szczególnych tajemnic jej życia dzisiaj.

Taksówkarz zerka na nią w lusterku.

33.

PROGRAMIK

Okazuje się, że samolot Aeroflotu, rejs SU244 z Heathrow o 22:30, to Boeing 737, nie tupolew, jak liczyła. Nigdy wcześniej nie była w Rosji i wyobrażają sobie głównie przez pryzmat opowiadań Wina, słuchanych w dzieciństwie; świat za granicą świata, którego ochronie się poświęcił; świat szpiegowskich urządzeń pływających w toaletach i niekończącego się szeregu zdrad. W Rosji jej dzieciństwa zawsze pada śnieg, a ludzie noszą ciemne futrzane czapy.

Odnajduje swój fotel obok przejścia i zastanawia się, czy Aeroflot musiał stawać do konkursu, chcąc zatrzymać logo z sierpem i młotem, i w jakim zakresie może go używać. Sierp i młot ma potężny współczynnik rozpoznania. Jest to uskrzydłona, delikatna wersja i Cayce nie potrafi dopasować jej do konkretnej daty; wygląda na futurystyczne dziełko epoki wiktoriańskiej. Z wielką ulgą stwierdza jednak, że nie budzi w niej żadnej reakcji alergicznej.

Tak jest z wszystkimi znakami państwowymi poza symbolami nazistowskich Niemiec, przy czym te ostatnie budzają lęk i obrzydzenie nie tyle z powodu ciężącego na nich stygmatu zła (choć ma on znaczenie), ile dlatego, że Cayce jest świadoma przerażającego talentu ich twórców. Hitler miał naprawdę zbyt błyskotliwy wydział graficzny i aż za dobrze rozumiał potęgę znaków. Heinzi całkiem dobrze sprawdziliby się w minionej epoce, ale wątpliwe, czy nawet on przeskoczyłby konkurencję.

Swastyki, a szczególnie ta specyficzna czcionka do zapisu skrótu „SS”, powodują u niej gwałtowną reakcję, zbliżoną do tommyfobii, ale jeszcze silniejszą. Kiedyś pracowała przez rok w Austrii, w której te symbole nie są zakazane prawem jak w Niemczech, i nauczyła się przechodzić na drugą stronę ulicy, kiedy zauważała wystawę sklepu ze starociami.

Symbole ojczyzniane nie wzbudzają w niej żadnej reakcji, a przynajmniej nie wzbudzały. Przebywając w zeszłym roku w Nowym Jorku, była z tego bardzo zadowolona. Alergia na gwiazdzone flagi i orły z rozpostartymi skrzydłami skazałaby ją na status dobrowolnego więźnia, osobnika gatunku obciążonego semiotyczną agorafobią.

Pakuje ricksona do górnego schowka bagażowego, siada i wsuwa torbę z laptopem pod fotel, który ma przed sobą. Przestrzeń na nogi jest przyzwoita i Cayce czuje rodzaj pseudonostalgii za Winową wersją Aeroflotu: złośliwymi stewardesami wciskającymi pasażerom zatechłe kanapki i plastikowe torebki na pióra, zmyślne zabezpieczenie na wypadek częstych spadków ciśnienia. Powiedział jej, że Polska z powietrza wygląda jak Kansas, tylko uprawiane przez krasnoludki; szachownica nieskończenie malutkich poletek, kraina płaska i rozległa.

Niebawem kołują na pas startowy; fotel obok jest pusty i Cayce uświadamia sobie, że szczęśliwym trafem ma prawie tyle samo miejsca i prywatności, ile do i z Tokio, chociaż ekspresowa wiza kosztowała ją tylko niewiele więcej niż poprzedni lot.

Lista osób znajdujących jej obecne plany obejmuje Magdę, która pojawiła się w zastępstwie

Wojtka odebrać klucze, matkę, nad którą Cayce w końcu się zlitowała i do której wysłała pocztę, oraz WParkęUbrane-go. Tych troje wie, dokąd się wybiera, ale ktoś jeszcze, ktoś jej nieznanym wie, że przybędzie.

Wycie turbin boeinga rośnie.

Cześć mammo,

Mam nadzieję, że wybaczysz mi moje milczenie, a przynajmniej nie weźmiesz go do siebie. Zakończyłam pracę, z powodu której tu przyleciałam. Teraz zatrudnia mnie szef i właściciel tej firmy, dla którego wykonuję bardziej bezpośrednie zlecenie - nie chcę robić tajemnic, ale mogę tylko powiedzieć, że chodzi o śledztwo w świecie sztuki, dotyczące nowych pomysłów dystrybucji filmów oraz samej ich budowy. To może się wydać nudne, ale jestem tym zafascynowana i głównie dlatego się nie odzywałam. Poza tym myślę, że wyjazd z Nowego Jorku i większy dystans do sprawy taty dobrze mi zrobiły, to też powód, dla którego nie pisałam. Pamiętam, że ustaliłyśmy, iż dalsze nasze dyskusje na temat EVP są bez sensu, bo mamy zbyt różne poglądy, ale klipy, które mi przysłałaś, naprawdę mnie przestraszyły. Nie ma co w tym bardziej grzebać, bo i tak nic się nie wygrzebie. Mimo tego wszystkiego śnił mi się ostatnio i udzielił bardzo konkretnej rady, z której skorzystałam i która okazała się słuszna, więc może są takie aspekty tego zagadnienia, co do których nie różnimy się aż tak bardzo. Nie wiem. Wiem tylko, że w końcu zaczynam godzić się z tym, iż on naprawdę odszedł, a wszystko, co wiąże się z ubezpieczeniem i emeryturą, to tylko biurokratyczne kłody pod nogi. Chciałabym przestać się tym zajmować, ale czasem myślę, że to nigdy się nie uda. Tak czy siak, chcę też napisać, że dziś w nocy lecę do Moskwy, w sprawie tego zlecenia, o którym wcześniej wspomniałam. To dziwne lecieć tam, dokąd tato zawsze latał, kiedy byłam małą. Ten kraj nigdy nie wydawał mi się prawdziwy, był raczej czymś z bajki, skąd wracał z tymi malowanymi drewnianymi jajkami i opowieściami. Pamiętam, jak mówił mi, że chodzi tylko o to, żeby mieć nad nimi jakąś kontrolę, dopóki nie wybuchną rozruchy głodowe. Kiedy wszystko się zmieniło i nie było żadnych rozruchów, pamiętam, że przypomniałam mu to. Powiedział mi, że wykończyli ich Beatlesi, tak że rozruchy głodowe niekoniecznie musiały wybuchnąć. Beatlesi i ich Wietnam. Muszę iść, jestem w hali odlotów na Heathrow. Cieszę się, że jesteś w Rose of the World, bo wiem, że lubisz tych ludzi. Dzięki za kontakt i sama postaram się poprawić pod tym względem. Ucałowania, Cayce

Nigdy sobie nie wyobrażałam, że ci to powiem, ale być może znalazłam twórcę. Niewykluczone, że to od niego dostałam pocztę, na którą zaraz odpowiem. Jestem na Heathrow, czekam na nocny lot do Moskwy, przylot jutro o 5:30. On mówi, że tam jest. Znalazłam kogoś, kto na podstawie numeru Takiego znalazł mi adres e-mail. Nie pytaj, jak to zrobił” (lepiej, żebyśmy nie wiedzieli). Zachowałam się jak trzepnię-ta. Siedziałam w parku i zaczęłam pisać do niego list, którego wcale nie zamierzałam wysłać. Był to jakby list do Pana Boga,

z tym wyjątkiem, że miałam adres i wpisałam go, i potem wysłałam ten list. Tak prawdę mówiąc, nie zamierzałam go wysłać, nawet nie widziałam, że wysłałam, ale wysłałam. Po niecałej półgodzinie przyszła odpowiedź. Napisał, że jest w Moskwie. Słuchaj, wiem, że chcesz wiedzieć WSZYSTKO, ale to w zasadzie wszystko, co wiem, niewiele więcej przyszło w tej odpowiedzi i nie chcę ci tego tak przekazywać, nie tą drogą. Powiem więcej, dostałam ten adres w taki sposób, że mam poczucie, iż cała nasza działalność może być monitorowana i ostatnią rzeczą, na której by mi teraz zależało, to ściąganie na siebie uwagi. Więc trochę cierpliwości, W Parkę Ubrany; wytrzymaj, niedługo dowiesz się więcej. Może nawet wszystkiego. W każdym razie jest szansa, że jutro dowiem się więcej i wtedy do ciebie zadzwonię. Będę bardzo potrzebowała wyrzucić z siebie najświeższe wieści. Czy jestem podekscytowana? Chyba tak; to dziwne uczucie, nawet nie potrafię go opisać. Jakbym nie wiedziała, czy krzyknąć z radości, czy ze strachu.

Cześć! Dziękuję za odpowiedź. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć, ale jestem szczęśliwa, że odpowiedziałeś, i podekscytowana. Zamierzam być jutro w Moskwie, w sprawach zawodowych. Nazywam się Cayce Pollard. Gdybyś chciał do mnie zadzwonić, będę w hotelu Prezydent. Ale możesz też wysłać e-maila. Mam nadzieję, że to zrobisz. Pozdrawiam, CayceP

Przegląda te wiadomości w laptopie, kiedy samolot osiągnął wysokość przelotową, i nie chce myśleć, jak będzie się czuła jutro, pojutrze czy popojutrze, jeśli nie dostanie odpowiedzi na ostatnią wiadomość. Co, jak sobie myśli, jest całkiem możliwe.

Rosja. Rosja serwuje pepsi. Cayce pije łyk.

Przychodzi jej na myśl pośrednik Dorotei z Cypru, właściciel domeny argaz.ru. Zastanawia się, czy na F:E:F znalazłaby inne wątki związane z Rosją, w ramach dyskusji nad emefami.

Wkłada płytkę z F:E:F, której nadal nie skopiowała Bluszczowi. Przechodzi do funkcji wyszukiwania i wypisuje „Rosja*”.

Zaskoczona natrafia na swój bardzo dawny wpis, na samym dole wątku zaczynającego się od rozważań nad tym, czy twórca to nie uznany filmowiec zachowujący kompletną anonimowość.

To do mnie zupełnie nie przemawia. Nie dlatego że chyba nigdy nie osiągniemy porozumienia, kim ten ktoś mógłby być, ale dlatego że to zbyt oczywiste, za bardzo narzucające się. Czemu to nie miałby być, powiedzmy, jakiś wielki rosyjski mafioso, obsesyjnie pragnący wyrazić swoje „ja”, jakiś nie odkryty talent, stąd też dysponujący środkami do generowania i rozpowszechniania emefów? To świadoma przesada, ale nie wykraczająca poza prawdopodobieństwo. Krótko mówiąc, wydaje mi się, że idąc tymi torami, za bardzo trzymamy się schematów.

Ledwo sobie przypomina ten wpis. Poprzednio nigdy nie miała dość sił i ochoty, aby się cofnąć i jeszcze raz przeczytać swoje wpisy, a nawet gdyby wystarczyło jej sił, i tak pewnie nie miałyby na to ochoty. Ale teraz czyta dalej, śledząc wątek do końca.

I widzi, że następny zaczyna się od pierwszego wpisu Mammy Anarchii. Teraz sobie wszystko przypomina.

To co powiem, jest na temat, chociaż nie wydaje się, aby ktoś z was miał blade wyobrażenie, o czym mówię. Czy wy nic nie wiecie o sztuce narracji? Gdzie „gra” i przesada Derridy? Gdzie powiązanie graniczne Foucaulta? Gdzie gry językowe Lyotarda? Metafory Lacana? Gdzie oddanie praxis, umocowujące nostalgię i rozpacz u Jamesona - jak i lęków przed irracjonalnością u Habermasa - w pełnych rozpachy rozprawach, sygnalizujących klęskę oświeceniowej hegemonii na polu teorii kultury? Ale nie, rozprawy na tej stronie są rozpaczliwie zacofane. Mamma Anarchia

„No cóż, Mamma przyłożyła się jak się patrzy” - myśli Cayce. Użyła przy tym słowa „hegemonia”, bez którego WParcęUbrany uważał każdy wpis podpisany „Mamma Anarchia” za fałszywkę. (Chociaż nie wyjechała z „hermeneutyką”; wpis Mammy Anarchii bez hermeneutyki też jest podejrzanym).

Ale urzędowy czas Cayce Pollard wskazuje, że pora spać, więc Cayce wyjmując CD z laptopa, odkłada go i zamyka oczy.

Śni o dobrze zbudowanych mężczyznach, nieznanym, ale w jakiś sposób przypominających Donny’ego, przebywających w jej nowojorskim mieszkaniu. Ona też tam jest, ale oni nie widzą jej ani nie słyszą, a ona chce, żeby się wynieśli.

Na lotnisku Szeremietiewo-2, kiedy już minęła ujednoczone beże odprawy celnej i paszportowej, jak żywcem przeniesione z lat 70. ubiegłego wieku, uderza ją wszechobecność reklam, umieszczonych wszędzie, ale to wszędzie. Na wózku bagażowym jest ich co najmniej cztery, jedna Hertza i trzy inne po rosyjsku. Jak w Japonii częściowo chroni ją nieznanostwo języka. To dobrze, jako że tutejsze natężenie reklamy, przynajmniej na lotnisku, rywalizuje z tokijskim.

Jedyne, co potrafi odczytać to BANKOMAT. Dochodzi do wniosku, że gdyby te urządzenia wynaleziono w latach 50., w Ameryce też nazywałyby się „bankomat”*. Korzysta ze swojej karty, nie z Visy Blue Ant, podejmując pierwszą partię rubli i w końcu wyjeżdża z wózkiem na zewnątrz, wchłaniając pierwszy łyk rosyjskiego powietrza, gęstego od jeszcze jednej miejscowej specjalności, smrodu spalin. Czeka ją parkująca byle jak taksówka i Cayce wie, że ma znaleźć „zarejestrowany” pojazd. Tak jak radziła jej Magda.

Niebawem jej się to udaje i opuszcza Szeremietiewo-2 w leciwym mercedesie, dieslu barwy jodełkowej zieleni, uświęconym małą cerkiewką na desce rozdzielczej z podświetloną

białą, papierową serwetką, imitującą koronkę.

Wielka, nieco ponura ośmiopasmowa droga, to Leningradskij Pro-spiekt, stwierdza Cayce, po przejrzaniu moskiewskiego przewodnika Lonely Planet, kupionego na Heathrow. Samochody jadą w obie strony zderzak w zderzak, ale jadą. Wielkie zabłocone ciężarówki, luksusowe samochody, wiele autobusów, wszystko zmienia pasy w sposób nie budzący zaufania, nie mówiąc o tym, że jej kierowca prowadzi rozmowę przez komórkę, mając słuchawkę w jednym uchu, i słuchawki odtwarzcza CD na obu. Cayce pojmuję, że pojęcie jazdy pasami jest tu płynne i pewnie nie należy oczekiwać, aby prowadzący byli skupieni na kierowaniu. Sama próbuje się skoncentrować na trawiastym pasie biegnącym środkiem jezdni, na którym rosną dzikie kwiaty.

W oddali wyrastają wysokie oranżowe budynki i kominy wypuszczające biały dym, zapewne strefa przemysłowa, chociaż dziwne, że fabryki są tak blisko osiedli. W jej świetle to już od dawna nie do pomyślenia.

Im bliżej miasta, tym więcej rozmaitych billboardów reklamujących komputery, dobra luksusowe i artykuły elektroniczne. Niebo nad pióropuszcami kominów i żółtobrazowymi smugami spalin jest bezchmurne, niebieskie.

W samej Moskwie najbardziej uderza ją niepojęta gigantomania. Ceglane cyklopowe budynki z epoki stalinowskiej mają barwę ciem-nopomarańczową, wykończenia frontonów i dachów - rdzawoczer-

* Rosjanie używają identycznego określenia jak Polacy, w Stanach Zjednoczonych jest to ATM (ang. *Automatic Teller Machine*, dosł.: mechaniczny kasjer).

woną. Wzniesione, aby poniżać i przerażać. Latarnie uliczne, fontanny i place, wszystko jest w tej samej, przesadzonej skali.

Kiedy przecinają Sadowoje Kol'co, osiem pasów wypchanych samochodami, wskaźnik miejskiego nasycenia podnosi o kilka kresek i reklam przybywa. Po prawej wznosi się ogromny dworzec w stylu Art Nouveau, przeżytek z wcześniejszej ery, przy którym największy dworzec londyński wygląda jak dla liliputów. Potem ukazuje się równie wielki McDonald's.

Jest więcej drzew, niż Cayce się spodziewała, i gdy zaczyna się przyzwyczajać do tutejszej skali, dostrzega mniejsze budynki, wszystkie uderzająco brzydkie, zapewne z lat 60. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś równie koszmarnego; na dodatek wyglądają tak, jakby lada chwila miały się rozsypać. Jest sporo wyburzeń i wszędzie widać rusztowania, remonty. Tłumy przechodniów równie gęste jak w Camden podczas krucjaty dziecięcej, choć przemieszczają się ze znacznie większą determinacją. Cayce zgaduje, że to ulica Twierskaja.

Szerokie transparenty wiszą nad ulicami, billboardy wieńczą większość budynków.

Jest wprost niewiarygodna ilość bladoniebieskich trolejbusów. Wiele z nich wygląda, jakby nie miały prawa już wyjeżdżać na trasę. Do tej pory myślała, że nie ma prawdziwych aut w tym kolorze, jedynie modeliki Dinky Toy.

Z epoką sowiecką czy postsowiecką zetknęła się w jeden jedyny wieczór w byłym Berlinie Wschodnim, kilka miesięcy po zburzeniu muru.

Powróciwszy do hotelu, na bezpieczne terytorium Zachodu, mało się nie rozpląkała, wstrząśnięta okrucieństwem, o którym nie miała pojęcia, nie mówiąc już o prostackiej głupocie, i musiała zadzwonić do Wina, do Tennessee.

- Te skurczysyny od tak dawna fałszowały księgi, że nawet same nie miały pojęcia, co się u nich dzieje - tłumaczył jej ojciec. Powiedział, że tuż przed upadkiem Niemiec Wschodnich CIA oceniła tamtejszy przemysł, i oświadczyła, że trzyma się najlepiej w całym obozie komunistycznym. - A to dlatego, że wierzyliśmy ich danym. Powiedzmy, fabryka opon świetnie wyglądała. Nie wedle naszych standardów, ale lepiej niż w Trzecim Świecie. Mur się wali, my wchodzimy, cała fabryka jest w ruinie. Połowa maszyn stała odłogiem od dziesięciu lat. Warta w gruncie rzeczy tyle, co nagie mury. Okłamywali samych siebie.

- Ale jacy oni byli podli wobec swoich obywateli, jacy małostkowi - skarżyła się. - Dopuszczali tylko dwa kolory, trupio szary i brązowy. Ten brązowy jest tak gówniany, jak to tylko możliwe. Aż cuchnie.

- Ale za to nie ma za dużo reklam, żeby działały ci na nerwy, co? Musiała się roześmiać.

- W Moskwie było podobnie?

- Ależ skąd. Niemcy przegonili nawet Sowietów. Tamci chyba uznali, że Niemcy Wschodni kupili całe to komunistyczne pieprzenie w bambus. No, a sama widziałaś, teraz się na nie wypięli.

Taksówka przejeżdża pod wielkim logo Prądy. Cayce ledwo się powstrzymuje, żeby się nie skulić.

Co zdumiewające, kilka billboardów jest w wiekowym sowieckim stylu, mdłe czerwienie, biele i szarości pokryte imperatywną czernią.

Patrząc na nie, widzi, albo przynajmniej wydaje się jej, że widzi, wykrzywioną w uśmiechu, znajomą i na wpół sparaliżowaną twarz Billy'ego Priona.

Hol hotelu Prezydent z łatwością pomieściłby trybuny Placu Czerwonego, a mauzoleum Lenina znikłoby w kącie. Tymczasem ten obszar wielkości połowy boiska do futbolu amerykańskiego zajmują tylko cztery małe zestawy wypoczynkowe. Cayce czeka na zakończenie przedłużających się formalności meldunkowych, do których niezbędny jest jej paszport, i obserwuje młodą kobietę kursującą gniewnie tam i z powrotem po drugiej stronie tego wykładzinowego pola, obutą w szmaragdowe kozaki za kolana, na wysokich szpilkach, wyglądające na wspólne dzieło jakiegoś florenckiego rękawicznika i Fredericka z Hollywood. Dziewczyna ma takie same niesamowite kości policzkowe jak kierowniczka produkcji Damiana. Ich elegancki kształt powtarzają kości biodrowe, uwydatnione bardzo opiętą, bardzo krótką spódniczką, z aplikacjami z wężowej skórki w kształcie płomieni, uwydatniającymi pośladki. Spódniczka oddaje hołd linii Versacego stworzonej w Miami.

Jest dziesiąta rano i Cayce wie, że trzy dziewczyny w podobnych strojach kłócą się na zewnątrz, w korytarzu ochrony, z czterema stacjonującymi tam, potężnie zbudowanymi młodymi ludźmi w kevlaro-wych kamizelkach. Zapewne usiłują dostać się do środka i przyłączyć do zniecierpliwionej koleżanki po fachu.

Kiedy ma dość zielonych kozaków, robiących nieco bajkowe wrażenie na tle jesiennej palety holu, przegląda angielskojęzyczny folder, wyłożony na beżowym kontuarze. Dowiaduje się, że obszar mijanych oranży i brązów to dawna Oktiabr'skaja. Folder donosi między wierszami, że nadal należy do Kremla.

Pokój na dwunastym piętrze jest większy, niż Cayce się spodziewała. Z głębokiego wykuszowego okna rozciąga się rozległy widok na rzekę Moskwę i miasto. Na drugim brzegu rozległa katedra, a na własnej wysepce pomnik niewiarygodnej brzydoty. Przewodnik informuje, że to pomnik Piotra Wielkiego. Musi być strzeżony, gdyż miejscowi esteci grożą, że go wysadzą. Wygląda jak fontanna do rozlewania szampana obsługująca staromodne wesela robotnicze.

Odwraca się. Jesienna mroczność okrywa pokój, kapa barwy ciemnego mułu zasnuwa łóżko. Wszystko to tworzy przykry dysonans, wrażenie niskiego poziomu, jakby projektant zapatrzył się w zdjęcie zachodniego hotelu z lat 80., ale w rzeczywistości nigdy nie widział żadnego z nich. Łazienkę wyłożono kafelkami w trzech odcieniach brązu (choć Cayce zauważa z ulgą, że nie nawiązują do kolorystyki wschodnioniemieckiej). Pysznic, wanna, bidet i klozet. Każdy sprzęt oklejony papierową opaską z napisem: DIZIENFEKTED.

Napis na biurku zachęca do używania laptopa z pokoju lub też, jeśli woli, odwiedzenia BIZNEZ CENTRA w holu.

Cayce wyjmuje iBooka i podłącza go do biurkowego gniazdka. Może Pamela Mainwaring miała rację, mówiąc, że komórka powinna tu działać, ale Cayce nie jest tego pewna. Już zdała sobie sprawę, że nie podała numeru ostatniemu, niesłuchanie tajemniczemu korespondentowi i zastanawia się, czy była to jakaś podświadoma decyzja. Łącze jest powolne, ale Cayce w końcu widzi pocztę.

Dwie wiadomości.

WParcęUbrany i stellanor.

Bierze głęboki wdech i bardzo powoli robi wydech.

Jesteś na Zamoskworzeczu, to znaczy po przeciwnej stronie rzeki Moskwy niż Kreml, w dzielnicy starych domów mieszkalnych i cerkwi. Hotel jest przy Bolszoi Jakimiance, to znaczy przy „Dużej Jakimian-ce”. Jeśli pójdziesz tą ulicą w kierunku Kremla, trzymając się mojej mapki, i przejdziesz Bolszoi Kamiennyj Most, zobaczysz Kreml. Idąc trasą wyznaczoną na mapce, dojdiesz do Kofeiny, szyld jest po rosyjsku. Bądź tam dziś o 17:00. Proszę, usiądź przy rybie. Będę wtedy wiedzieć, że to ty.

- Przy rybie - powtarza Cayce.

No jasne, że chcę wiedzieć WSZYSTKO i chętnie wczoraj, ale jesteś pewnie w powietrzu i ten numer, który mi dałaś, łączy z upierdliwą Angielką, powtarzającą w kółko, że użytkownik jest bla, bla, bla. Ale grunt, że się odezwałaś. Wiesz, tak naprawdę nigdy nie wątpiłem, że dożyjemy tego historycznego dnia. Nigdy. Twórca żyje. Jest. Nie od dziś. Czeka na nas. Ale teraz czekam na ciebie, żebyś powiedziała mi WSZYSTKO. Jedyne wiadomości, które mam, są dość małego kalibru, chociaż czy w porównaniu z twoimi doniesieniami można liczyć na coś poważnego? Dwie sprawy. Judy odpłynęła. W ramiona miłości. Wczoraj, więc już jest na miejscu. Wykupiła czarter z Seattle. Odpłynęła, żeby być z Takim. Darryl jest w siódmym niebie, ma ją z głowy. Taki chyba zacznie się domyślać, że coś tu nie gra, widząc, że Judy ma rozmiary dwa razy większe niż jego ideał i nie mówi po japońsku, ale z drugiej strony Darryl chyba zaczął mieć nas dość. Teraz kiedy jest sam z sobą i miseczką smażonego japońskiego makaronu z torebki, wraca na szlak i tu sprawa druga. Związana z tą kostką po schabowym Takiego. Darryl zaprzął do tego wszystkich hakerów, włącznie z jego kumplem z Palo Alto, który siedzi nad programem - wyszukiwarką danych wizualnych. Ten kumpel ma programiki do projektowania komputerowego, wyszukujące różne rzeczy na podstawie wzorca. Darryl kazał mu rozejrzeć się za dwoma rzeczami: najpierw za częścią mapy, odpowiadającą ulicom z kostki. Wiązali z tym wielkie nadzieje, ale na nadziejach się skończyło. Druga rzecz była tylko dodatkiem do pierwszej; chodziło o znalezienie w ogóle czegoś w kształcie takiej kostki po schabowym. No i trafili na stuprocentowy odpowiednik 75% całości. Poza kawałkiem z wyszczerbionym brzegiem nasza kość wygląda, wypisz wymaluj, jak ręczny mechanizm uzbrajający miny M18A1 Claymore będącej na wyposażeniu armii Stanów Zjednoczonych. To po prostu klucha materiału wybuchowego C4 upakowana za siedmiuset stalowymi kulkami. Kiedy C4 wybucha, kulki wylatują na prawie dwa metry w górę, pod kątem 60 stopni. Wszystko w promieniu ponad 50 metrów (chyba że natrafia na drzewa czy krzewy) zostaje przerobione na siekane. Te miny są detonowane na odległość. Wyglądają jak ciężkie, zwarte anteny satelitarne, prostokątne i lekko wklęsłe. Nie pytaj mnie; programik to wyszukał. Czy TERAZ łaskawie zadzwonisz i powiesz mi WSZYSTKO?

ZAMOSKWORZECZE

Cayce jednak nie dzwoni do WParkeUbranego. Jest zbyt podekscytowana, zbyt niespokojna.

Ale to miasto narzuca pewien szyk, szyk, który miałaby w głębokim poważaniu, gdyby mieszkała tu dłużej, więc ubiera się w zestaw Prądy i nawet próbuje szczęścia z kosmetykami, które dostała w salonie w Tokio. Podejrzewa, iż wynik jej uśiłowañ wzbudziłby radość kosmetyczek, ale przynajmniej widać, że ma makijaż. Zapewne wygląda teraz jak reporterka jakiejś nieznannej stacyjki radiowej, subsydiowanej przez okręgowe władze kulturalno-oświatowe. Na pewno nie telewizyjnej.

Sprawdza, czy wzięła kartę magnetyczną do drzwi, nakłada rick-sona, zarzuca na ramię torbę z iBookiem, zabiera komórkę i idzie do miniholu z windami. Tam, pod niesłychanie wielkimi donicami z kwiatami i zeschniętymi liśćmi, siedzi umundurowana kobieta, zapewne nigdy nie opuszczająca posterunku. Cayce kiwa jej głową, ale bez odzewu.

Między windami jest duże okno, zasłonięte do podłogi ochrową tkaniną superkąwą. Obok stoi chłodziarka zapakowana szampanem, wodą mineralną, niewątpliwie znakomicie schłodzonymi butelkami burgunda i masą butelek pepsi. Czekając na windę, Cayce odsuwa ochrowe superki i widzi stare budynki mieszkalne, białe wieżyczki i po-marańczowo-turkusową dzwonnice, zwieńczoną zdumiewającymi blankami. W oddali złote cebule kopuły.

Zapewne tam ma iść.

W rozległym holu nikogo, nawet dziewczyny w zielonych kozakach.

Znajduje drogę na zewnątrz budynku, obok stróżówki z barczystymi chłopakami w kuloodpornych kamizelkach, i próbuje obejść kwartał, żeby wyjść w kierunku na cebulaste kopuły.

Prawie natychmiast gubi się. Ale to jej nie przeszkadza. Wyszła tylko po to, aby się odprężyć. W pewnym momencie przypomina sobie, że powinna zadzwonić do WParkeUbranego.

Czemu się waha? Pewnie dlatego, że będzie musiała opowiedzieć mu o Bigendzie i Boonie, a boi się, boi się tego, co on powie. Ale jeśli tego nie zrobi, ich przyjaźń, którą sobie bardzo ceni, przestanie być tym, czym była.

Zatrzymuje się, patrząc na starą dzielnicę mieszkalną i w pełni zdaje sobie sprawę, że instynktownie wykonuje ten numer z niesamowite! - ale-to-przecież-zupełnie-jak, powtarzany zawsze, kiedy widzi po raz pierwszy coś poruszającego jej wrażliwość estetyczną: niesamowite!, ale to przecież zupełnie jak Wiedeń, tyle że nie Wiedeń i niesamowite!, zupełnie jak Sztokholm, tyle że nie Sztokholm, niesamowite!...

Idzie dalej, czując się jak dziecko, które wypuściło się na wagary i trochę się boi, od czasu do czasu podnosząc wzrok w nadziei zobaczenia złotych cebul. Z tego stanu wyrывa ją

dźwięk telefonu.

Nie zadzwoniła. Odpowiada z poczuciem winy.

- Tak?

- Wszystko. Teraz.

- Właśnie miałam do ciebie zadzwonić.

- Spotkałaś się z nim?

- Nie.

- A spotkasz wkrótce?

- Tak.

- Kiedy?

- Po południu, o piątej, w restauracji albo kawiarni, nie jestem pewna.

- Nie możesz spotkać się z nim w Starbucksie.

- To nie Starbucks. Nie jestem pewna, czy tu nawet mają Star-bucksa.

- Będą mieli.

- WParcęUbrany? - Czuje się dziwnie, wymawiając jego imię.

Tak naprawdę *nick*. Nagle czuje się jeszcze dziwniej, przypominając sobie, że nie zna jego imienia.

- Tak?

- Muszę ci coś powiedzieć. WParcęUbrany chwilę milczy. Wreszcie mówi:

- Nosisz nasze dziecię pod sercem?

- To poważna sprawa...

- Zgaduję. Pewnie od tygodnia huczy o niej w Internecie.

- Nie. Pracuję dla kogoś.

- Myślałem, że pracujesz dla tej zabójczo skutecznej postmodernistycznej agencji reklamowej.

- Pracuję dla kogoś, kto jest zainteresowany znalezieniem twórcy. Dla kogoś, kto mnie finansuje. To dlatego było mnie stać, żeby lecieć do Tokio i spotkać się z Takim.

- Więc? Dla kogo?

- Wiesz, kim jest Hubertus Bigend?

- Jak „big” plus „end”?

- Tak.

- Założyciel i właściciel wspomnianej agencji?

- Tak.

- Nowy mistrz srania w banię na łamach kolorowych periodyków, w dziale wywiadów ze sławnymi ludźmi?

- Ten sam. I ja pracuję dla niego. Lub też, jak twierdzi, z nim. Ale dzięki niemu tu jestem. Dzięki niemu miałam pieniądze, żeby zdobyć ten adres, który mnie tu ściągnął. - Milczenie. - Bałam się, że to będzie z nami koniec - dodaje.

- Nie bądź śmieszna. Przecież nosisz nasze dziecko pod sercem, no nie?

- Czuję się gównianie, że ci nie powiedziałam.

- Jeśli dalej zamierzasz spotkać się z twórcą i dalej ze mną rozmawiasz, naprawdę nie obchodzi mnie, ile capów i w jaki sposób musiałaś zaliczyć, żeby się tam znaleźć. A jeśli musiałaś kogoś zabić, to pomogę ci ukryć trupa.

- Nie mówisz tego tylko tak sobie?

- Przecież mówię, no nie? Czego jeszcze chcesz? Mam to wypisać na bicepsie złamanym tipsem? - Chwila milczenia. - Ale na co temu twojemu panu Bigendowi nasz twórca?

- Mówi, że nie wie. Mówi, że emefy to najsprytniejszy sposób marketingu w tym stuleciu, i jaki widział do tej pory. Mówi, że chce wiedzieć więcej. Myślę, że może nawet mówić prawdę.

- Podejrzewam, że świat zna dziwniejsze rzeczy. W tej chwili to moje najmniejsze zmartwienie.

- W takim razie jakie są twoje zmartwienia?

- Jak mam się tam dostać. Czy mój paszport, kiedy go znajdę, jeśli go znajdę, jest wciąż ważny. Czy uda mi się szybko załatwić bilet, nie obciążając hipoteki.

- Mówisz poważnie?

- A co myślisz?

Jasnowłosa opiekunka do dziecka, z wyglądu Kalifornijka, mija Cayce, prowadząc małe, ciemnowłose, rosyjskie dziecko z czerwonym balonem. Obrzuca Cayce spojrzeniem i pogania dziecko.

Cayce przypomina sobie Sylvie Jeppson, wspólne wyjście z rosyjskiego konsulatu.

- Będziesz musiał załatwić sobie wizę - mówi - i możesz ją szybko dostać, jak zapłacisz ekstra, ale nie musisz załatwiać sobie biletu. W Blue Ant w Londynie jest taka kobieta, nazywa się Sylvie Jeppson. Zaraz do niej zadzwonię i dam jej twój numer. Znajdzie najbliższe połączenie i zarezerwuje ci lot z O'Hare. Wiem, że to brzmi zupełnie zwariowanie, ale muszę wiedzieć, jak się nazywasz. Prawdę mówiąc, nie wiem.

- Thornton Vaseltarp*.

- Proszę?

- Gilbert.

- Gilbert?

- Peter Gilbert. W Parkę Ubrany. Przyzwyczajasz się. Co się kryje za tym lotem do Moskwy?

- Nic się nie kryje. Mam fundusz na koszt. Właśnie stałeś się jednym z nim. Muszę cię tu mieć. Po prostu.

- Dziękuję.

- Ale nie wsyp mnie przed nią, że tu jestem. Myśli, że przylecę za tydzień.

* Thornton Vaseltarp - pseudonim literacki Johna Keela, autora powieści o dziwnych, niewytłumaczalnych zjawiskach.

- Czy zawsze musisz tak mieszać?
- Nie, ale się uczę. W Parkę Ubrany... Peter... zaraz do niej dzwonię.

Milczenie.

- Dziękuję. Wiesz, że muszę tam być.
- Wiem. Zadzwoń później. Pa.

Idzie dalej z telefonem w ręce, aż dochodzi do grubego, granitowego słupka sterczącego z chodnika. Nie ma pojęcia, do czego kiedyś służył, ale przysiada na nim, czuje ciepło przez sukienkę. Dzwoni do Blue Ant w Soho. Moskwa dodaje swój pogwizd do sygnału, ale połączenie przebiega pomyślnie, chociaż tylko z pocztą głosową Sylvie.

- Cześć Sylvie. Tu Cayce Pollard. 'Jest ktoś w Chicago, kogo muszę mieć w Moskwie, najszybciej jak się da. Peter Gilbert. - To imię i nazwisko dziwnie brzmi w jej ustach. Dwukrotnie powtarza numer telefonu W Parkę Ubranego. - Zarezerwuj mu pokój w hotelu Prezydent. Załatw to najszybciej, jak możesz, proszę. To ważne, dziękuję. Pa.

Obok z wyciem przejeżdża nieoznaczony wóz policyjny, nowiutki mercedes z włączonym niebieskim kogutem. Cayce odprowadza go wzrokiem, kiedy z piskiem kół bierze ciasny średniowieczny zakręt.

Chowa telefon, wstaje i idzie dalej. Po zaledwie kilku krokach zalewa ją wielka fala zmęczenia, płynąca jakby od strony rzeki, coś zarządzającego urzędowym czasem Cayce Pollard oznajmia z głębokich pokładów organizmu, że pora na nieświadomość. Cayce uznaje, że lepiej się zastosować do tego polecenia, więc zawraca i zaczyna szukać drogi powrotnej do hotelu Prezydent.

Budzi ją komórka, chociaż spodziewałaby się raczej telefonu z recepcji czy alarmu zegarka. Siada naga pod grubą białą poszwą i firmową kapą mulistej barwy, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest. Słoneczny blask padający przez szparę w zasłonach jest dziwnie sztuczny.

Wstaje z łóżka, mocuje się z zamkiem błyskawicznym torby.

- Halo?
- Tu Boone. Gdzie jesteś?
- Właśnie się obudziłam. A ty gdzie jesteś?
- Wciąż w Ohio. Ale coś mam.

- To znaczy co? - Siada na krawędzi łóżka. Sprawdza godzinę na zegarku.
- Nazwę domeny. Argaz kropka ru. - Nic nie przychodzi jej do głowy. - Nazrań - dodaje.
- Co to jest?
- Stolica Republiki Inguskiej. Ofszornaja zona.
- Co?

- Zagraniczny raj podatkowy. Rosjan. Tak się im Cypr spodobał, że postanowili zbudować własny. Wybrali Inguszetię. Facet, na którego zarejestrowano domenę, mieszka na Cyprze, ale pracuje dla jakiejś zagranicznej firmy w Inguszetii. To pewnie stąd ten rosyjski wątek Dorotei.

- Skąd wiesz, że jest z... Inguszetii?
- Z Google.

Nie pomyślała o tym.

- I to z tej domeny... - Waha się przed powiedzeniem kłamstwa. Kłamię. - I to z tej domeny rozsyłają emefy?

- Trafiłaś.
- Ale masz tylko domenę, nie adres?
- Hej, to lepsze niż nic. - W jego głosie słyhać zawód. - Mam jeszcze coś.
- Co?

- Chodzi o ropę naftową.

Cayce czuje, jak włosy jeżą się jej na głowie.

- Nie rozumiem.

- Nie jestem do końca pewien. Ale sprawdziłem tego faceta z pomocą mojego kolegi z Harvardu, który jest w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Mówi, że firma, dla której tamten pracuje, ma powiązania z grubymi rybami, które decydują o rosyjskiej ropie.

- O rosyjskiej ropie?

- Po jedenastym wrześniu saudyjska ropa naftowa przestała się podobać gościom, którzy mają coś do powiedzenia na światowym rynku paliw. Ten region zaczął im wychodzić bokiem. Potrzebują stabilnego źródła. Federacja Rosyjska je ma. To oznacza poważne zmiany w przepływie światowego kapitału. To oznacza, że będziemy jechać na rosyjskiej ropie.

- Ale jaki to ma związek z emefami?

- Jeśli się dowiem, dam ci znać. Co z tobą? Coś drgnęło?

Wciąga głęboki oddech i ma nadzieję, że nie było go słyhać.

- Nie. Nic. Boone?

- Tak?

- Kto był u ciebie, kiedy dzwoniłam? Pauza.

- Pracowniczka Sigil.

- Czy znałeś... ją wcześniej? - To niewłaściwe pytanie i Cayce wie o tym, ale wciąż myśli o Marisie, mieszkaniu w Hongo i o tym, że wtedy w jego głosie był jakiś dziwny ton.

- Poznałem ją w barze, do którego oni wszyscy chodzą po pracy - mówi teraz zupełnie bezbarwnym tonem i Cayce skądś wie, że nie jest tego świadomy. - Nie podoba mi się to, co robię, ale ona pracuje w rachunkowości i okazuje się, że taki ktoś jest nam właśnie potrzebny.

- Och. - I przypomina sobie pistolet za wezglowiem łóżka Don-ny'ego. - Na kolejnym spotkaniu wyciągniesz cały adres? - Od razu żałuje tych słów.

- To tak brzmi, że czuję się gównianie, Cayce.

- Przepraszam. Nie chciałam, żeby tak wypadło. Ale muszę fść. Mam spotkanie o piątej. Pogadamy wkrótce. Pa.

- No... pa. - Boone nie wydaje się zadowolony.

Dźwięk przerwane go połączenia.

Cayce siedzi w ciemności, zastanawiając się, co się właśnie wydarzyło. Nagle niemal równocześnie zaczyna piszczeć zegarek i dzwoni telefon hotelowy, wydając dziwny, obcy dźwięk, którego nigdy nie słyszała.

35.
КОФЕИН

Bolszój Kamiennyj Most, Wielki Kamienny Most, jest rzeczywiście wielki, chociaż prawdopodobnie zmienił się bardzo od czasu, kiedy nadano mu tę nazwę.

Znalezienie go nie sprawia kłopotu, podobnie jak Kofeiny, dzięki mapie, którą skopiowała z załącznika ostatniej wiadomości. Narysowała ją na hotelowej papeterii, złożonej we czworo.

To musi być ten lokal, chociaż Kofeina to KO<t>EMH.

- Dostał kaczka w twarz... - szeptem Cayce, przechodząc obok drzwi i sondując wzrokiem lokal.

Z wyglądu przypomina raczej bar z wygodnymi fotelami niż kawiarnię, chociaż w Seattle była podobna kawiarnia w czasach, w których Cayce zaczęła pracować nad ubraniami dla deskorolkarzy. Brakuje tylko kanap jak z instytucji dobroczynnych zaopatrujących bezrobotnych.

Jest zatłoczona.

Pędzi kolejny nieoznaczony radiowóz, błyskając niebieskim kogutem, może już piąty, lśniący, nowy i drogi jak wszystkie pozostałe.

Wygląda na to, że tego popołudnia mantra o kaczce jest na nic.

- Przejdź przez strach - mówi sobie. Margot często to powtarzała, kiedy wciąż chodziła na zajęcia swojej grupy uzależnionych od innych ludzi. To też niewiele pomaga. - Pieprzę to. - Liczy na to starsze zakłęcie dużego kalibru. Po tych słowach zawraca i wkracza do środka.

Przytulne, tłoczne pomieszczenie, błysk miedzi i polerowanego drewna.

Zajęte są chyba wszystkie stoliki, poza jednym, przy którym stoją dwa ogromne, głębokie, a do tego puste fotele i, niewątpliwie, ryba: duża wolno stojąca rzeźba o łuskach wyciętych z jednofuntowych puszek kawy Medaglia d'Oro, używanych już przez Wassily'ego Kandinsky'ego, ale ułożonych raczej zgodnie z estetyką Franka Gehry'ego.

Idzie za szybko, żeby przyjrzeć się ludziom, ale czuje na sobie wiele spojrzeń, kiedy przeciska się między stolikami i siada w jednym z foteli.

Natychmiast pojawia się kelner. Młody, całkiem przystojny, w białej kurtce, z białą serwetą przerzuconą przez rękę i na pewno nie uszczęśliwiony jej obecnością. Mówi coś ostro po rosyjsku. Na pewno nie pyta o zamówienie.

- Przepraszam - odpowiada Cayce. - Mówię tylko po angielsku. Jestem umówiona ze znajomym. Poproszę kawę.

Ledwo Cayce otwiera usta, a w zachowaniu kelnera następuje nagła zmiana, nie mająca bynajmniej związku z uwielbieniem języka angielskiego.

- Oczywiście. Amerikano?

Zgaduje, że włoski jest tu domyślnym językiem przy zamawianiu kawy, i że nie jest pyta-

na o narodowość.

- Proszę.

Gdy kelner odchodzi, Cayce omiata wzrokiem ludzi. Gdyby znaki towarowe ubrań, które mają na sobie, były widoczne, miałyby się z pyszna. Sporo Prądy, Gucciego, choć w zbyt indywidualnej, drogiej i artystowskiej odmianie jak na Londyn czy Nowy Jork. Poza dwoma dziewczynami ubranymi w stylu gotyckim, w czarnych brokatakach, i chłopakiem reprezentującym ubiorem czysty grunge w najlepszym wydaniu, klientela wygląda na gości Rodeo Drive w Los Angeles z dodatkiem sterczących kości policzkowych.

Ale na młodej kobiecie, która mija teraz wejście, wszystko jest matowe i popielate, prawie czarne. Błada cera. Ciemne oczy. Włosy rozczesane na środku głowy, niemodnie długie. Biała, koścista, a jednocześnie miękka twarz zaćmiewa wszystko.

Cayce łapie się na tym, że tak mocno zacisnęła dłonie na poręczach fotela, aż sprawia jej to ból.

- To ty piszesz, tak?

Akcent tylko lekki, głos cichy, ale bardzo czysty, jakby idealnie wyraźnie dobiegający z oddali.

Cayce zaczyna się unosić, ale nieznajoma gestem daje znak, żeby siedziała, i zajmuje miejsce naprzeciwko.

- Stella Wołkowa. Podaje dłoń do powitania.

- Cayce Pollard.

Cayce wyciąga dłoń. Czy to twórca? Czy twórca ma na imię Stella? Czy Stella to rosyjskie imię?

Stella Wołkowa krótko ściska wyciągniętą dłoń.

- Jesteś pierwsza - mówi.

- Pierwsza? - powtarza Cayce. Oczy mało jej nie wyskoczą z orbit.

Pojawia się kelner z kawą dla dwóch osób, nalewa ją do delikatnych, białych porcelanowych filiżanek.

- Tu kawa jest bardzo dobra. Kiedy byłam małą, tylko nomenklatura miała dobrą kawę i wtedy nie była taka dobra. Słodzisz? Śmietanki? - Cayce boi się, że nie zapanuje nad drżeniem rąk i potrząsa przecząco głową. - Ja też nie. Czarna gorzka. - Stella podnosi filiżankę, wdycha zapach, pociąga łyżeczkę. Wygłasza jakąś pochwałę, po rosyjsku. - Podoba ci się Moskwa? Byłaś tu wcześniej?

- Nie - mówi Cayce. - To dla mnie coś nowego.

- Mam wrażenie, że jest nowa dla nas wszystkich. Teraz każdego dnia.

Nie uśmiecha się, jej oczy są szeroko otwarte.

- Czemu tu jest tyle radiowozów? - pyta Cayce. To wszystko, co przychodzi jej do głowy, ten żalony wysiłek w celu przerwania milczenia, którego się jakoś boi, jakby mogło ją zabić. „Zadaj kolejne pytanie” - myśli. - Zawsze łamią przepisy, ale jeżdżą bez syren.

- Radiowozów?

- Nieoznaczonych. Z niebieskimi kogutami.

- To nie radiowozy! To samochody ważnych ludzi, bogaczy albo ich podwładnych. Kupuje się pozwolenie i można nie respektować przepisów. Koguty są ze względu na ludzi, ostrzegają. Myślisz, że to dziwne?

„Wszystko wydaje mi się dziwne” - myśli Cayce. „Albo nic”.

- Stello? Mogę cię o coś zapytać?

- Tak?

- Czy ty jesteś twórcą? Stella skłania głowę na ramię.

- Jestem jej siostrą bliźniaczką. - Jeśli jeszcze pokaże, że umie równocześnie przebywać w dwóch miejscach, Cayce nie będzie zdziwiona. - Ona jest artystą. Ja... Kim ja jestem? Dys-trybutorem. Tym, który znajduje publiczność. Wiem, że to żaden wielki talent.

- Mój Boże - mówi Cayce, która nie bardzo wierzy w Jego istnienie - więc to prawda.

Oczy Stelli, już szeroko otwarte, rozszerzają się jeszcze bardziej.

- Tak. To prawda. Nora jest artystą.

Cayce czuje, że znów zamyka się w sobie. Musi zadać kolejne pytanie. Byle o co.

- Czy Stella i Nora to rosyjskie imiona?

- Nasza matka uwielbiała waszą literaturę. Szczególnie William-sa i Joyce'a.

- Williamsa?

- Tennessee.

Stella. I Nora.

- Mój ojciec mieszkał w Tennessee - mówi Cayce, czując się jak pajacyk na sznurkach.

- Pisziesz, że zginął, kiedy wieżowce runęły.

- Zginął, tak.

- Nasi rodzice zginęli. Od bomby. W Leningradzie. Moja siostra i ja, i moja matka, mieszkaliśmy w Paryżu. Nora studiowała w szkole filmowej, ja w szkole biznesu. Ojciec nie chciał, żebyśmy byli w Rosji. Niebezpiecznie. Pracował dla brata, mojego wuja, który stał się bardzo potężnym człowiekiem. Powiedział nam w Paryżu, że powinniśmy żyć ze świadomością, że nigdy nie wrócimy. Ale nasza babcia, jego matka, umarła i wróciliśmy na pogrzeb. To miało być tylko na trzy dni. - W wielkich oczach skierowanych na Cayce zalega mrok. - Bomba jest na drzewie, kiedy wychodzimy z naszego domu, wszyscy na czarno, na pogrzeb. Oni detonują ją przez radio. Nasi rodzice umierają natychmiast, to łaska. Bomba ciężko rani Norę. Bardzo ciężko. Ja miałam tylko złamanie, ramię, szczękę, i dużo małych ran.

- Współczuję...

- Tak. - Stella kiwa potakująco głową, chociaż Cayce nie ma pojęcia, czemu przytakuje. - Od tamtej pory mieszkamy w Moskwie. Wujek często tu bywa, a Nora potrzebuje wielu rzeczy. Kim są twoi przyjaciele?

- Przepraszam?

- Pisziesz, że szukasz sztuki Nory z twoimi przyjaciółmi. Namiętnie. - Uśmiech, kiedy wyłania się zza bladego spokoju Stelli, to cud. „A może nie spokoju - myśli Cayce - tylko jakiegoś hiperczujnego znieruchomienia. Nie ruszaj się, to oni nas nie zobaczą”. - Kim jest Maurice? To piękne imię.

- Pracuje w banku, w Hongkongu. Anglik. Nie znam go bezpośrednio, ale bardzo go lubię. Rozumiesz, że robimy to przez serwer WWW i pocztę elektroniczną?

- Tak. Może to widziałam. Mam oprogramowanie. Dzięki numerkom Sigil widzę, jak sztuka Nory się rozchodzi. To oprogramowanie jest bardzo dobre. Siergiej je nam znalazł.

- Kto to Siergiej?

- Obsługuje system. Gwiazda politechniki. Boję się, że kariera nie ułoży mu się, tak jak powinna, bo wuj za dobrze mu płaci. Ale on też uwielbia to, co robi Nora. Jak ty.

- Czy te materiały filmowe... sztuka Nory... jest generowana komputerowo, Stello? Czy aktorzy są prawdziwi?

Boi się, że pytania są zbyt bezpośrednie, zbyt obcesowe.

- W szkole filmowej w Paryżu nakręciła trzy krótkometrażówki. Najdłuższą szesnastominutową. Była pokazywana w Cannes i spotkała się z przychylnym przyjęciem. Byłaś tam? Znasz plażę Croisette?

Przez głowę Cayce przelatują obrazy jak fotografowane aparatem z ultraszybką migawką.

- Tylko raz.

- Po zamachu zabrano nas do Szwajcarii. Nora wymagała operacji. Tu krew nie jest dobra. Miałyśmy szczęście, że nic nie było w pierwszych transfuzjach, robionych w Rosji. Oczywiście, zostałam z nią. Na początku nie mogła mówić. Nie poznawała mnie. Kiedy w końcu zaczęła się odzywać, to tylko do mnie i naszym językiem z dzieciństwa.

- Językiem bliźniaczek?

- Językiem Stelli i Nory. Potem wróciły inne języki. Lekarze pytali mnie o jej zainteresowania, oczywiście był tylko film. Po jakimś czasie zaprowadzono nas do studia montażowego, które wuj kazał urządzić, tam, w klinice. Pokazaliśmy Norze film, nad którym pracowała wcześniej w Paryżu. I nic. Jakby go nie widziała. Potem pokazano jej film z Cannes. Ten widziała, ale sprawiał jej wielki ból. Wkrótce zaczęła pracować w studio. Montowała. Cięła i kleiła.

Zahipnotyzowana Cayce dopija kawę. Pojawia się kelner, bez słowa dolewa kawę.

- Trzy miesiące cięła i kleiła. W tym czasie przeszła trzy operacje i wciąż pracowała. Na moich oczach jej film stawał się coraz krótszy. W końcu zredukowała go do jednej klatki.

W Kofeinie zapada cisza, to moment pozornej synchronizacji planów, od której mróz

idzie po kościach. Cayce drży.

- Co to było?

- Ptak. Nawet nie zbliżenie. Skrzydła na tle szarej chmury. - Zakrywa dłonią pustą filiżankę, kiedy kelner podchodzi dolać kawy. - Potem się schowała.

- Gdzie?

- W sobie. Przestała mówić. Reagować. Jeść. Znow karmili ją przez rurkę. Szalałam. Mówiło się o zawiezieniu jej do Ameryki, ale amerykańscy lekarze sami przylecieli. W końcu powiedzieli, że nie mogą nic zrobić. Nie da się go usunąć.

- Czego nie da się usunąć?

- Ostatniego odłamka. Utknął między półkulami, w jakiś straszny sposób. Nie dało się usunąć. Ryzyko było za duże. - Ciemne, teraz bezdenne oczy wypełniają pole widzenia Cayce. - Ale wtedy zobaczyła ekran.

- Ekran?

- Monitor. Pod sufitem, w korytarzu. Taki wewnętrzny, pokazujący tylko recepcję przed oddziałem prywatnym. Siedzi szwajcarska pielęgniarka, czyta. Ktoś przechodzi. Zauważyli, że ona to obserwuje. Najbardziej inteligentny lekarz był ze Stuttgartu. Kazał przeciągnąć linię od monitora do jej montażowni. Kiedy pokazywały się te obrazy, skupiała na nich wzrok. Kiedy je wyłączano, znow zaczynała umierać. Lekarz zarejestrował dwie godziny monitoringu i puścił na stole montażowym. Zaczęła montować. Manipulować. Wkrótce wyodrębniła postać. Mężczyznę, pracownika personelu. Sprowadzili go do niej, ale nie zareagowała. Zignorowała go. Dalej pracowała. Pewnego dnia zastałam ją, jak w Photoshopie opracowywała komputerowo ujęcie jego twarzy. Tak się to zaczęło. - Cayce przyciska głowę do oparcia. Na siłę zamyka powieki. Kiedy je otworzy, zobaczy starego rickso-na, wiszącego na ramionach dziewczyny-robota Damiena. Albo wnękę w mieszkaniu w Hongo, pełną ubrań obcej kobiety.

- Jesteś zmęczona? Źle się czujesz?

Otwiera oczy. Stella jest nadal tam, gdzie była.

- Nie. Tylko słucham tego, co mówisz. Dziękuję ci, że mi to opowiadasz.

- Proszę.

- Stello?

- Tak?

- Czemu mi to opowiedziałas? Wszystko co robicie, ty i siostra, jest otoczone wielką tajemnicą. A mimo to, kiedy w końcu znajduję twój adres i wysyłam do ciebie e-mail, natychmiast odpowiadasz. Przyjeżdżam, i spotykasz się ze mną. Nie rozumiem.

- Jesteś pierwsza. Mojej siostry nie interesuje publiczność. Myślę, że ona nie rozumie, co ja robię z jej twórczością, że przedstawiam ją światu. Ale chyba czekałam i kiedy do mnie napisałaś, zdecydowałam, że jesteś prawdziwa.

- Prawdziwa?

- Wujek to niesłychanie ważny człowiek, wielki biznesmen, a od śmierci naszych rodzi-

ców jeszcze większy. Nie widzimy go często, ale jego aparat nas ochrania. Oni się boją, rozumiesz, więc są bardzo ostrożni. To bardzo smutny styl życia, ale tak to bywa, kiedy w tym kraju jest się bardzo bogatym. Chciałam, żeby świat obejrzał twórczość mojej siostry, ale oni się uparli, żeby była anonimowa. - Smutny, łagodny uśmiech wynurza się zza zastygłej, długiej i bladej twarzy. - Kiedy powiedziałaś mi, że twój ojciec zginął, pomyślałam, że nie zrobisz nam krzywdy. - Na bladej twarzy pojawia się niepokój. - Ona, moja siostra, bardzo się zdenerwowała. Zrobiła sobie krzywdę.

- Z powodu mojego przyjazdu?

- Oczywiście że nie. Nie wie o nim. Kiedy zobaczyła zamach w Nowym Jorku. - Ale mówiąc to, nie patrzy na Cayce, lecz w kierunku wejścia. Cayce dostrzega tam dwóch oczekujących młodych ludzi w ciemnych spodniach i czarnych skórzanych kurtkach. - Teraz muszę iść. To moi kierowcy. Samochód czeka, żeby odwieźć cię do hotelu. - Stella wstaje. - Kobieta nie powinna sama chodzić po nocy.

Cayce też wstaje i widzi, że Stella jest od niej kilka centymetrów wyższa.

- Spotkamy się jeszcze?

- Oczywiście.

- Czy będę mogła spotkać się z twoją siostrą?

- Tak, jasne.

- Kiedy?

- Jutro. Skontaktuję się z tobą. Przyślę samochód. Chodź. - I rusza pierwsza do wyjścia, nie żądając rachunku ani nie płacąc, ale bardzo przystojny kelner skłania się nisko, kiedy go mijają, podobnie jak starszy mężczyzna w białym fartuchu. Nie poświęcając uwagi mężczyznom w kurtkach, Stella wyprowadza Cayce na ulicę. - To jest twój samochód. - Czarny mercedes. Stella ujmuje dłoń Cayce, ścisną ją. - To wielka przyjemność.

- Tak - mówi Cayce - dziękuję ci.

- Dobranoc.

Jeden z młodych ludzi otwiera drzwi przed Cayce. Wsiada. Ten zamyka za nią drzwi, obchodzi samochód z tyłu i zajmuje miejsce za kierownicą. Odjeżdżają i Cayce ogląda się. Stella macha jej na pożegnanie.

Kiedy czarny mercedes dojeżdża do Wielkiego Kamiennego Mostu, kierowca dotyka czegoś na desce rozdzielczej i rozbłyskuje migocące niebieskie światło. Kierowca przyspiesza, płynnie zmieniając biegi, jedzie w górę wielkiego kamiennego garbu i w dół, do Zamoskworzecza.

WYKOPALISKO

Otwierając oczy, widzi klin światła, rozdzielający ciemny sufit jak przekrój ostrza, którego brzezi spoczywają między cienistymi ochro-wymi zasłonami.

Pamięta, że po powrocie ze spotkania ze Stellą oglądała na laptopie montaż Maurice'a i Celulo, przeżywając go w zupełnie nowy sposób, którego nie potrafi w żaden sposób opisać.

Wyczołguje się z trudem spod ciężkiej pościeli i rozsuwa zasłony. Zarówno światło poraża jej wzrok, jak i ogromny, koszmarny posąg na swojej rzecznej wysepce.

W łazience, pośród natłoku brązów, ustawia kurki prysznic. Automatycznie zauważa, że to repliki Kohlera, bez znaku towarowego. Rozwija mydło z opakowania i wchodzi do brodzika.

Dwadzieścia minut potem, ubrana, z ledwie wysuszonymi suszarką włosami, schodzi na dół i niespokojnym wzrokiem ocenia bufet śniadaniowy. Stosy wędlin, piramidy wędzonych ryb, srebrne misy z czerwonym kawiozem, wazy kwaśnej śmietany. Bliny. Nie, to chyba nie bliny, ale ze słodkim serem. W końcu, kiedy już ogarnia ją czarna rozpacz, daleko w głębi widzi muesli, płatki kukurydziane i świeże owoce. Wielki dzban soku. Kawa w wielkich, starych termosach z wciskanymi wiekami.

Znajduje stół. Je powoli, ze wzrokiem wbitym w talerz. Od pobliskiego stołu dobiega ją francuszczyzna, lekka jak ptasi świergot na tle ciężkiego rosyjskiego.

Czuje się, jakby wydarzyło się coś wielkiego i nadal trwało, ale nie potrafi określić, co to takiego. Wie, że ma to związek ze spotkaniem ze Stellą i z opowieścią o niej i jej siostrze, ale jakoś nie potrafi tego dopasować do swojego życia. Trwa raczej w tej opowieści, zostawiwszy za sobą własne życie jak pokój, z którego się wyszło, niedaleko, ale bezpowrotnie.

Wróciwszy na górę, dzwoni do WParzęUbranego, do Chicago.

- Będę z tobą szczerzy - mówi jego głos po ostatnim, urwanym dzwonku. - Wyjechałem na jakiś czas. Ale nie zostawiłem gotówki ani prochów, a pitbull zaliczył pozytywnie test na wściekliznę. Dwukrotnie.

Cayce nie zostawia wiadomości.

Czy to oznacza, że WParzęUbrany jest już w drodze?

Mogłaby zadzwonić do Sylvie Jeppson i dowiedzieć się, ale myśl o kontaktowaniu się z Blue Ant nie budzi w niej entuzjazmu.

Stella jej ufa. Bez względu na to w jakim dziwnym, smutnym i przerażającym rosyjskim scenariuszu tkwią Stella i jej siostra bliźniaczka, Cayce rozpaczliwie nie chce zdradzić tego, co na jej oczach wyłoniło się zza zastygłej białej twarzy.

WParzęUbrany by ją zrozumiał. Ale kto poza nim? Nie Boone, teraz jest tego pewna. Zapewne Bigend, ale na swój sposób, rozumiejąc emocje i w najmniejszym stopniu ich nie odwzajemniając.

Otwiera butelkę rosyjskiej wody mineralnej.

Dorotę wynajął Rosjanin z Cypru, ten sam, który widnieje jako rejestrator argaz.ru, domeny w jakiś sposób związanej z rosyjskimi magnatami naftowymi. Tak twierdzi Boone.

Zastanawia się, czy to ci sami Rosjanie, którzy dostali w swoje ręce notatki Katherine McNally? Niekoniecznie, jako że Dorotea użyła w Tokio Włochów. To spisek, w którym każdy ma równe szanse.

Ale jak się nad tym zastanowić, to trudno zaprzeczyć, że Baranov też jest Rosjaninem, a przynajmniej pół Anglikiem, pół Rosjaninem. Chociaż to nie pasuje do układu, który Cayce próbuje stworzyć. Tak jak nie pasuje do niego Damien, który na głębokim zadupiu realizuje swoje archeologiczne punkowe przedsięwzięcie, chociaż ojciec jego dziewczyny jest świetnym kandydatem na cara mafii.

Zawsze trzeba zostawić miejsce na przypadki, utrzymywał Win. Jeśli myślisz inaczej, uważasz, że wszystko jest tylko częścią po-

wszechnego spisku, masz ciężką apofenię. Gdy już cieszysz się symetrią swojej wizji, to niemal na pewno grozi ci, iż przegapisz autentyczny ślad, zawsze mniej symetryczny, mniej doskonały, tyle że na pewno prawdziwy.

Rosja to coś innego...

Połykając wodę, przypomina sobie coś i krztusi się, kaszle.

Chodzi o ten stary wpis, na który trafiła, przeglądając CD z F:E:F w poszukiwaniu związków sprawy z Rosją.

Wkłada płytkę do napędu. Powtarza przeszukiwanie. Jest.

...Czemu to nie miałyby być, powiedzmy, jakiś wielki rosyjski mafioso, obsesyjnie pragnący wyrazić swoje „ja”, jakiś nie odkryty talent, stąd też dysponujący środkami do generowania i rozpowszechniania emefów?...

To było w styczniu. Nadal chodziła do Katherine. Nie miała pojęcia, że będzie pracować dla Blue Ant, że przyjedzie do Londynu lub że zwiąże się z Bigendem.

„Mafioso”.

„Skąd też”.

Wyciera usta w tył dłoni.

To nie ktoś obsesyjnie pragnący wyrazić swoje „ja”, to sieroty bliźniaczki.

Jeśli Baranov nadal mógł liczyć na chociaż jednego znajomego, który miał wobec niego dług wdzięczności, kogoś w trzewiach Lan-gley lub Falls Church, chętnego i zdolnego wyłowić adres stellanor z sieci lub skądinąd, to na co było stać bardzo bogatego, wpływowego Rosjanina we własnym kraju, czy też nawet bardzo ważną bogatą Rosjanę?

I co może się kryć za eufemizmem „bardzo bogaty, bardzo ważny”, kiedy mowa o dzisiejszych Rosjanach?

Czuje, jak między jej łopatkami rośnie supeł napięcia.

Kiedy się okazuje, że w internetowej książce telefonicznej nie ma moskiewskiego studia pilatesu, Cayce nakład strój do ćwiczeń i idzie piętro wyżej, do hotelowej siłowni. Jest tu sama, jeśli nie liczyć jednego starszego, otyłego Rosjanina, który z wyrazem niemal religijnego smutku mozolnie drepce po ruchomej bieżni.

Urządzenia robią wrażenie krajowych, chociaż nowych, i Damien z pewnością chciałby je sfilmować. W głębi, w kącie jest coś w rodzaju twardego gimnastycznego materaca i Cayce usiłuje przypomnieć sobie ćwiczenia na materacach, których uczono ją na samym początku.

Czuje na sobie smutny wzrok Rosjanina, kiedy przechodzi przez poszczególne ćwiczenia, ale ku swojemu zaskoczeniu jest zadowolona z jego obecności.

To taki poranek.

Strasznie chce wyjść z hotelu, znaleźć najbliższą stację metra, uiszczyć sławną minipłatę

i zapuścić się w świat ozdobnych mineralnych cudów, znanych jej tylko z fotografii. Te stacje to jedyne pałace proletariatu. Odwiedzając je, uwolniłaby się na chwilę od mąk oczekiwania.

Ale nie może tego zrobić i nie robi. Czeka na wiadomość od Stelli.

Tuż po południu dzwoni komórka.

- Halo?

- Gdzie jesteś? - Bigend.

- Pływam - kłamię odruchowo, nie myśląc trzeźwo.

- Pływasz?

- Jak to w Poole*. A ty?

- W Paryżu. Sylvie mówiła, że wkrótce tu będziesz?

- Teraz nie jestem pewna. Analizuję pewien ślad. Mam nadzieję, że nie jesteś tam tylko ze względu na mnie. Mogę nie przylecieć.

- Nie, nie tylko. Nie powiesz mi, o co chodzi?

- Nie przez komórkę. Kiedy się spotkamy. - Ma nadzieję, że to wystarczy, jak Boone'owi.

- Rozmawiałaś z Boone'em. - To nie pytanie.

- Tak.

- Miał wrażenie, że to, co osiągnął w Ohio, nie zrobiło na tobie wrażenia.

- Więc chyba jest nadwrażliwy.

- Nie układa się między wami?

- My nie chodzimy z sobą, Hubertusie.

- Ale będziesz mnie informować na bieżąco, prawda?

* Poole - miasto w Anglii, nad kanałem La Manche; nazwę wymawia się jak *pool*, „basen pływacki”.

Cayce zakłada, że Bigend nie może teraz sprawdzić, gdzie ona jest, i ma nadzieję, że założenie pokrywa się z rzeczywistością, chociaż jeśli nie, to nic na to nie poradzi.

- Tak, oczywiście. Muszę już iść, Hubertusie. Pa. Wyobraża sobie, jak Bigend patrzy na telefon. Komórka znów dzwoni.

- Tak?

- Halo. Tu Stella. Wciąż masz ochotę na odwiedzinę?

- Tak. Mam. Wielką.

- Czy nie za wcześnie? Wyspałaś się?

- Tak, dzięki. - Zastanawia się, jaki jest rozkład dnia Stelli.

- Czekaj przy stróżówce ochrony, podjedzie samochód. Za pół godziny będzie dobrze?

- Tak! Jasne!

- Do widzenia.

Wstaje, mając na sobie majteczki i T-shirt Fruit of the Loom, i zaczyna się ubierać. Nie wie, czemu czuje się w obowiązku włożyć możliwie najbardziej oficjalny strój, więc wy-

biera dobre, japońskie rajstopy, francuskie buty i spódniczkę ogólnego zastosowania, maksymalnie rozciągniętą, aż na piersi, dzięki czemu całkiem skutecznie udaje sukienkę. Idzie do łazienki, maluje się, wraca, wkłada czarny cienki kardigan i szybko sprawdza pocztę.

Damien.

Ciężki dzień. Musiałem ci mówić pewnie z pięćdziesiąt razy, że głęboko wierzę w dokumentalistykę. Wiem, że ludziom wydaje się to dziwne, bo jestem mistrzem sztuczności i tego, co nigdy nie jest tym, na co wygląda. Bla, bla. Cholera, ale to prawda, bo tak mówią na tych różnych witrynach, które można oglądać w tych małych telewizorkach. No i dzisiaj wieczorem tracę wiarę, bo wcześniej wykopaliśmy tego sztuka-sa. Mówiłem ci o nim? To cały samolot i nie wiedzieć czemu, kurna, siedział w błocie, ponad metr pod powierzchnią, ale Guru Szuru-Buru wiedział, gdzie jest. Głosi, że wie dzięki snom i wizjom, ale podejrzewam, że łązi tu zimą z detektorem metali. No i powiedział: „Samolot tu jest, kopcie” i, zanim wróciliśmy do Londynu, zrobili wykop i trafili na niego. Łapówki i groźby odniosły skutek i w końcu wróciliśmy z dodatkowymi kamerami i ekipą, bo chciałem, żeby ten samolot był zwieńczeniem filmu. Nie miałam pojęcia, że to będzie sztukas, niech mnie szlag; żaden inny samolot nie wygląda tak hitlerowsko, niesamowity.

Bombowiec nurkujący, używany w Hiszpanii, Guernica itp. Absolutna ikona. No więc w końcu jest tu dzisiaj przed nami, cały w szarym syfie, jak samolot z mułu ulepiony przez człowieka z Nowej Gwinei*, na dole tej wielkiej pieprzonej dziury, którą oni tu wygrzebali. O ile wiemy, to do tej pory największy wykop i niesamowity triumf socjotechniki, bo nie rozwalili od razu owiewki i nie dorwali się do kokpitu. Brian i Mick trzymali wartość przez ostatnie dwie noce i kopacze go nie tknęli. Ale przyszedł ten dzień, którego żeśmy się spodziewali, i ustawiliśmy się kręcić to, po cośmy tu przyjechali. I podsadzili dwóch wielkoludów, całych w wytatuowanych pajęczynach, na skrzydła, które są śliskie od mułu, ale na których ustali w tych swoich butach, a ja widziałem ze skraju wykopu, że ten cały interes jest w idealnym stanie. Jak eksponat muzealny. Niesamowite. I potem podsadzili Briana, żeby kręcił z ręki zbliżenia, a oni zgarniali muł z owiewki. A cholerny pilot siedzi w środku. Widać było zarys głowy, gogle. Nigdy nie widziałem, żeby Brian oderwał oko od celownika, kiedy kręcił, ale obejrzał się na mnie z miną CO JEST, KURWA?!, ale dałem mu znak DALEJ, KRĘĆ TO. Więc kręcił. Wszystko; jak odciągnęli owiewkę i po prostu rozerwali go na kawałki, tego pilota. Na strzepy. Zerwali z niego zegarek, kompas, zabrali pistolet i bili się o łup, aż spadli ze skrzydła, a ten pilot po prostu był w kawałkach. Brian skręcił to wszystko. Mick trząsał z drugiej kamery i nakręcił dużo, nowi chłopcy też. Więc mamy masę materiału. W którymś momencie oglądam się na Marinę, a ona się, kurwa, śmieje. Nie dostała żadnej hysterii z powodu potworności tego wszystkiego, tylko się po prostu śmieje, bo to takie, cholera, zabawne. Pisząc to teraz, siedzę w namiocie sam, bo od słowa do słowa i kazałem jej wypieprzać. Mick i Brian są pijani, a ja się boję obejrzyć to, co skręcili. Wiem, że mi przejdzie,

może nawet jutro, ale teraz chyba wyjdę i zaleję się w trupa. Jak on się tak, cholera, zarył tym samolotem? Więc, jak to mówią, dzięki za wysłuchanie i nie zapomnij podlewać cholernej złotej rybki. Mam nadzieję, że dobrze ci idzie z tym gównem, z którym się tam męczysz. Kocham cię.

Cayce potrząsa głową, jeszcze raz czyta wiadomość.

Ja też cię kocham. Teraz nie mogę napisać więcej. Potem. Dobrze mi idzie. Też jestem w Rosji, w Moskwie, opowiem ci później.

Zaczyna z powrotem pakować laptopa do torby, ale się wstrzymuje. Zabieranie tych wszystkich kłopotów na spotkanie z twórcą wyda-

* Aluzja do sekwencji z filmu *Pieski świat - Mondo cane*, w której tubylcy jednej z wysp Pacyfiku oddają cześć boską samolotom.

Je się jej jakoś nieeleganckie. Zamiast torby i laptopa bierze wschod-nioniemiecką kopertówkę i przekładając najważniejsze rzeczy, przypomina sobie, że recepcja jeszcze nie oddała jej paszportu. Weźmie go, wychodząc. Na dnie torebki trafia na coś zimnego. Wyciąga metalowy kawałek dziewczyny-roboty Damiena; camdeński kastet domowej roboty. Dobrze, że nie miała kopertówki w bagażu podręcznym. Wrzuca go z powrotem, na szczęście i wszelki wypadek, upewnia się, że zabrała klucz do pokoju i wychodzi, mając głowę pełną obrazów z wiadomości Damiena.

Kierowca, który przyjeżdża po nią, ma ciemne okulary i krótko ostrzyżoną, interesująco zarysowaną czaszkę. Opływową.

Kiedy odjeżdżają, w kierunku, w którym udała się wczoraj wieczorem, przypomina sobie, że zapomniała poprosić o paszport.

37.
KINO

Skręcają w szeroką ulicę. Cayce, która rano przeglądała internetową mapkę Moskwy, uznaje, że to chyba Twierskaja. Kierowca ma słuchawkę w uchu i używa wody kolońskiej.

Trzymają się Twierskiej, jeśli to Twierskaja, i przepisów ruchu ulicznego. Kierowca nie włącza niebieskiego koguta.

Przejeżdżają pod transparentem z angielskim napisem: WAXEN FIGURES EXHIBITION*. Niektóre szyldy nie są pisane cyrylicą: BOUTIQUE, KODAK, apteka nazywa się PHARMACOM.

Kiedy skręcają w lewo, Cayce pyta:

- Co to za ulica?

- Gieorgiewskij - mówi kierowca, chociaż równie dobrze mógłby się przedstawiać. Skręca jeszcze raz, w zaułek, i zatrzymuje się.

Cayce chce powiedzieć, że nie zamierzała się zatrzymywać, ale on wysiada, obchodzi samochód i otwiera jej drzwi.

- Wyjdz. - Szary, szorstki beton. Graffiti rolkarzy, rozdęte litery, niezdarny hołd Nowemu Jorkowi i Los Angeles. - Proszę. - Kierowca ciągnie wielkie, staromodne stalowe drzwi. Głucho huczy łańcuch ograniczający. W środku ciemność. - Tu.

- Stella jest tu?

- Kino - mówi. Mijając go, Cayce wchodzi w ciemną, nieokreśloną przestrzeń. Kiedy drzwi zatrząskują się za nimi, jedyne

* Wystawa Figur Woskowych.

światło pada z góry. Światło nagiej żarówki nad złowrogo stromymi, betonowymi schodami, które chyba nie mają poręczy. - Proszę. - Kierowca wskazuje schody.

Teraz Cayce dostrzega, że poręcz jest, pajęczy duch poręczy; cienka stalowa listwa. Na nie więcej niż dwóch tralkach. Ugina się między nimi, jest wątpa jak lina i huśta się, gdy Cayce kładzie na niej rękę.

- Dostał kaczką w twarz...

- Do góry, proszę.

- Przepraszam. - Rusza, czując za sobą jego obecność. Pokazują się kolejne stalowe drzwi, węższe, poniżej czterdziesto-

watowej żarówki. Cayce otwiera je.

Kuchnia skąpana w czerwonym świetle. Pomieszczenie przypomina kuchnię w najstarszych, wciąż nie odnowionych czynszówkach Nowego Jorku, ale jest obszerniejsze; piec przysadzisty, z ery przedstali-nowskiej, szerszy niż samochód, który przywiózł Cayce. Opalany węglem lub drewnem.

Na środku, tam gdzie zwykle w takich kuchniach stoją krótkie wanny, jest prysznic; kwadratowy brodzik lekko wyniesiony ponad poziom podłogi, oflizowany, wklęsły, co umożliwia spływ wody. Starodawna, galwanizowana główka prysznicowa, jak ulał do chłopskiego warsztatu lub obory, jest podwieszona do sufitu na wysokości prawie pięciu metrów. Narosłe przez dziesiątki lat osady dymu i sadzy nadały sufitowi barwę sepia. Źródłem czerwonego światła jest kradzione oznaczenie metra, oparte o ścianę, z żarówką w środku.

- Jesteś - mówi Stella, otwierając drzwi, zza których pada blask. Mówi coś po rosyjsku do kierowcy. Ten kiwa głową, cofa się i zamyka za sobą drzwi prowadzące na wąskie schody.

- A gdzie jestem?

- Chodź. - Stella prowadzi ją do dalszego pomieszczenia. Po wewnętrznej stronie wysokich, brudnych okien niegdyś zapewne wisiały żaluzje. - To Kreml - mówi Stella, wskazując najbliższy budynek - i Duma. - Cayce ogarnia wzrokiem wnętrze. Ściany, niemalowane co najmniej od czasów sowieckich, przypominają *nomiya* na Roppongi, nikotyna dziesiątki lat osiadała na farbie, która kiedyś mogła być kremowa. Jest popękana, nierówna. Klepki podłogi giną pod warstwami lakieru; najświeższy jest kasztanowy. Dwa bardzo nowe, bardzo białe biurka z Ikei, profilowane krzesła obrotowe, para komputerów osobistych i kosze na papiery. Na ścianie długi, skomplikowany wykres na trzech połączonych, białych tablicach. - Siergiej twierdzi, że to produkcja, która nigdy się nie kończy - dodaje, widząc, że Cayce patrzy nie na widok z okna, ale na wykres. - Oczywiście, tu twórczość dopiero się zaczyna.

- Ale czy się skończy? - Cayce czuje, że się rumieni, zażenowana, ponieważ nie potrafiła się powstrzymać, aby nie wyskoczyć z kolejnym bezpośrednim pytaniem.

- Chodzi ci o narrację linearną?

- Musiałam spytać. - Czuje się tak, jakby WParęUbrany, Bluszcz, Celulo i Maurice, cała ekipa F:E:F czekała w kulisach, licząc na nią.

- Nie wiem. Któregoś dnia może zacznie ciąć i kleić, tak jak zrobiła ze swoim szkolnym filmem; skróci dzieło do jednej klatki. A może któregoś dnia te postaci zaczną mówić. Kto wie? Nora? Ona nie mówi. - Wchodzi młody człowiek o bujnych rudych włosach, kiwa im głową i zasiada przed jednym z komputerów. - Chodź - mówi, ruszając tam, skąd przyszedł rudzielec. - Znasz ideę squatu? Zajmowanie pustostanów, jak w Amsterdamie albo Berlinie.

- Tak.

- Nie macie tego w Ameryce?

- Nie całkiem.

- Tu właśnie był taki pustostan. Te pokoje były sławne w latach 80. Zajęto je na imprezę. Siedmioletnią. Nieprzerwaną. Ludzie przychodzili, imprezowali, przychodzili inni, niektórzy odchodzili, impreza trwała, zawsze. Mówiło się o wolności, sztuce, rzeczach duchowych. Nora i ja chodziłyśmy do szkoły, kiedy przyszłyśmy tu pierwszy raz. Nasz ojciec bardzo by się gniewał, gdyby nas tu zobaczył. Nie dowiedział się. - Kolejny pokój jest większy, pełny stanowisk komputerowych, oddzielonych laminatowymi płytami. Ekran są wygaszone, krzesła puste. Na jednym z monitorów siedzi Garfield z plastiku, różne maskotki oznaczają stanowiska różnych osób. Cayce podnosi kwadrat przezroczystego akrylu. W środku laserem wycięte logo Coca-Coli, nieporadny rysunek wieżowców WTC i słowo PAMIĘTAMY. Szybko go odkłada. - Teraz trudno to sobie wyobrazić. Kiedyś tu śpiewał Wiktor Tsoi. W tamtej epoce ludzie mieli czas. System zapadał się pod własnym ciężarem, ale każdy miał pracę, często bezsensowną, bardzo źle płatną, ale każdy miał za co jeść. Ludzie cenili przyjaźń, rozmawiali do świtu, jedli i pili. Wielu żyło jak wieczni studenci. Nie myślało się o sprawach materialnych. Teraz mówimy, że wszystko, czego Lenin uczył nas o komunizmie, było kłamstwem, a wszystko, czego uczył o kapitalizmie, prawdą.

- Co tu robicie?

- Transferujemy dzieło siostry do pracowni.

- Czy ona jest tu teraz?

- Pracuje. Zaraz ją zobaczysz.

- Aleja nie mogę jej przeszkadzać...

- Nie. Kiedy pracuje, jest. Zrozum. Kiedy nie pracuje, nie ma jej. Czwarty pokój mieści się na końcu wąskiego korytarza. Sufit jest

równie wysoki jak w innych pomieszczeniach, jasne ściany ściemniały do wysokości ramienia, przez lata brudzone odciskami rąk. Drzwi w głębi, gładkie i białe, robią wrażenie niematerialnych na tle łuszczącego się tynku.

Stella otwiera je, cofa się, łagodnym gestem zaprasza Cayce do środka.

Cayce w pierwszym odruchu myśli, że pokój jest pozbawiony okien, oświetlony jedynie największym ekranem ciekłokrystalicznym, jaki w życiu widziała, kiedy oswaja się jednak z półmrokiem, dostrzega w głębi trzy wysokie, wąskie okna, zamalowane na czarno. Ale rejestruje to tylko częścią świadomości, modułem prymitywnych ssaków, który wyłącznie skanu-

je otoczenie i rejestruje potencjalne drogi ewakuacji. Inteligencja wyższego rzędu bez reszty skupia się na ekranie, na którym zastygła klatka nigdy nie widzianego segmentu.

Oto chłopak, jakby widziany oczami dziewczyny, którą może chce pogłodzić na pożegnaniu. Wyciąga rękę.

Kursor śmiga jak celownik bombowca, zastyga na kąciku ust. Kliknięcie. Wielkie zbliżenie, rozwarstwienie obrazu do poziomu ziarna. Szybki retusz. Kliknięcie. Odjazd.

Wyraz twarzy chłopca, nastrój ujęcia uległ zmianie.

„To byłoby na tyle, jeśli chodzi o poglądy kompletystów” - myśli Cayce. Emefy są dziełem w akcie tworzenia.

- Oto Nora - mówi Stella, bezszelestnie mijając Cayce i kładąc ręce na osłoniętych szalem ramionach postaci siedzącej przed ekranem. Prawa dłoń Nory zastyga. Nadal spoczywa na myszy, chociaż Cayce wyczuwa, że nie ma to żadnego związku z dotknięciem siostry czy obecnością nieznajomej.

Cayce nadal nie widzi twarzy. Włosy Nory, jak i siostry, są długie i ciemne, rozdzielone pośrodku głowy, lśnią, odbijając blask ekranu.

Stella zwraca się po rosyjsku do siostry i Nora powoli się odwraca, poświata bijąca z ekranu oświetla jej profil trzy czwarte.

To twarz Stelli, ale przecięta szramą, zygzakowatym pionowym uskokiem. Żadnych blizn, tylko kość sterczy, napinając skórę równie gładką i białą jak Stelli.

Cayce patrzy w ciemne oczy. Nora ją widzi. Potem przestaje widzieć. Wraca do ekranu.

Stella przyciąga biurowe krzesło.

- Siadaj. Obejrzyj jej twórczość. - Cayce potrząsa przecząco głową, oczy pieką ją od łez. - Siadaj - bardzo łagodnie mówi Stella. - Nie będziesz jej przeszkadzać. Przebyłaś długą drogę. Musisz obejrzeć to, co robi.

Kiedy wychodzi z pokoju Nory, zegarek informuje ją, że minęły ponad trzy godziny.

Zastanawia się, czy kiedykolwiek zdoła komuś opisać, nawet WPar-kęUbranemu, co przeżyła. Jak oglądała segment, a właściwie kościec segmentu, budowany prawie z niczego. Ze szczątków znalezionej wideo. Jak kiedyś jakiś mężczyzna stał na peronie, odwrócił się i podniósł rękę; uchwycono ruch i daleko później ziarnisty obraz znalazł drogę do jednego z pomocniczych ekranów Nory. I dziś wybrał go wędrujący, mknący kursor. Fragmenty gestu mężczyzny stają się szczątkami zachowań chłopca w ciemnym płaszczu z podniesionym kołnierzem. Chłopca, którego życie, jak się wydaje, jest ograniczone do miasta w kształcie litery T, miasta, które nakreśliła Nora, tworząc emefy. Cayce rozumie, że świadomość Nory jest ograniczona czy też przywiązana do odłamka w kształcie litery T w jej mózgu, części mechanizmu uzbrajającego zapalnik miny typu Claymore, która zabiła jej rodziców, osiadłego zbyt głęboko, grożącego zbyt wielkim niebezpieczeństwem podczas usuwania, aby ktokolwiek odważył się go tknąć. Ta część wyszła w tysiącach egzemplarzy spod automatycznej prasy

jakiejś amerykańskiej fabryki zbrojeniowej. Być może robotnicy, którzy ją formowali, myśleli, że posłuży zabijaniu Rosjan, jeśli w ogóle myśleli o tym, do czego i przeciwko komu posłuży. Ale teraz wojna Wina i Baranova jest skończona, wojna stara jak ceglane zabudowania za przyczepą; zostały betonowe słupki ogrodzenia i echo psiego szczekania. I ten element uzbrojenia, może błądzący od przegranej wojny Sowieców z ich nowymi nieprzyjaciółmi, znalazł drogę do rąk nieprzyjaciół wuja Nory i małeńka część bezlitośnie prostego, tylko lekko zniekształconego wybuchem urządzenia wleciała w sam środek mózgu Nory. I to stamtąd, i z innych ran teraz wyłaniają się emefy, do wtóru ciepłych, regularnych kliknięć komputerowej myszy.

W tamtym zaciemnionym pokoju, z którego oczyszczonych okien można by ujrzyć Kreml, Cayce stanęła przed źródłami wspaniałego cyfrowego Nilu, którego poszukiwała razem z przyjaciółmi. Są w płynnych, precyzyjnych ruchach bladej kobiecej dłoni. W ledwo słyszalnych kliknięciach, znaczących elementy obrazu. W oczach, naprawdę patrzących jedynie wtedy, kiedy są skierowane na ekran.

To tylko rana przemawia bezgłośnie w mroku.

Stella zastaje ją na korytarzu z twarzą mokrą od łez, zaciśniętymi powiekami, wciśniętą w tynek tak nierówny jak kość na czole Nory. Kładzie ręce na jej ramionach.

- Teraz widziałaś jej twórczość. - Cayce otwiera oczy, kiwa potakująco głową. - Chodź - mówi Stella - rozmazałaś się. - Prowadzi ją obok stanowisk komputerowych, do kuchni, w której panuje blask zachodu. Podstawia gruby kłęb szarego papierowego ręcznika pod stary mosiężny kran i podaje Cayce nasiąknięty, ta przykłada go do rozpalonych powiek. Papier jest szorstki, woda zimna. - Zostało tylko parę takich budynków - Stella przerywa ciszę. - Ziemia jest za droga. Nawet nasze ukochane miejsce z młodości nie mogło pozostać niczyje. Wuj musiał je kupić. Chroni je przed inwestorami, bo Nora dobrze się tu czuje. Koszt nie ma dla niego znaczenia. Chce, żebyśmy były bezpieczne i żeby Norze było jak najlepiej.

- A ty? Czego ty chcesz, Stello?

- Chcę, żeby świat poznał jej twórczość. Skąd możecie wiedzieć, jak tu żyli artyści. W takich pokojach ludzie oddawali życie budowaniu całych światów, pulsujących krwią i myślą, a potem nikt nigdy ich nie oglądał. Umierały razem z twórcami, szły do ziemi. Teraz to, co robi Nora, łączy się z morzem. - Uśmiecha się. - To sprowadziło cię do nas.

- Czy to wasi rodzice, Stello? Ta para?

- Może, kiedy byli młodzi. Tak, przypominają ich. Ale jeśli Nora tworzy jakąś opowieść, to chyba nie o naszych rodzicach. Nie o ich świecie. To inny świat. To zawsze jest inny świat.

- Tak - przytakuje Cayce, odkładając zimny, ociekający wodą kłęb papieru. - To inny świat. Stello, jak myślisz, przed czym chronią was ci, którzy pracują dla waszego wuja?

- Przed jego wrogami. Przed każdym, kto chciałby nas wykorzystać, żeby go skrzywdzić. Musisz zrozumieć, że w wypadku takiego człowieka jak wujek, te zabezpieczenia wcale nie

są niezwykle. Niezwykle jest to, że Nora jest artystką i niezwykle jest jej sytuacja, jej stan i że zależy mi na tym, aby jej twórczość była oglądana. Tak, to jest niezwykle, ale nie to, że musimy być chronione. Nie tu.

- Ale czy rozumiesz, że jesteście chronione przed czymś jeszcze, być może bezwiednie?

- Nie rozumiem.

- Sztuka twojej siostry stała się bardzo cenna. Rozumiesz, odniosłyście sukces. Sztuka Nory to autentyczna tajemnica ukryta w sercu świata i coraz więcej ludzi na całym świecie poświęca jej uwagę.

- Ale gdzie tu niebezpieczeństwo?

- My też mamy bogatych i potężnych. Wszystko co zwraca uwagę świata, staje się cenne, choćby tylko potencjalnie.

- Komerccjalizacja? Wuj nie pozwoli na tego rodzaju dewaluację.

- To już jest cenne. Cenniejsze, niż sobie wyobrażasz. Komerccjalizacja będzie po prostu polegała na oznaczeniu towarów znakiem kojarzącym się emefami, na franchisingu. Są ludzie, którzy się tym bardzo interesują, Stello. Przynajmniej jeden z nich, bardzo sprytny człowiek. Wiem, bo pracuję dla niego.

- Tak?

- Tak, ale postanowiłam, że nie powiem mu, że was znalazłam. Nie powiem mu, kim jesteście ani gdzie, ani kim jest Nora, ani niczego, czego się tu dowiedziałam. Nie będę dla niego pracować. Ale inni będą was szukać i znajdą, i musicie być gotowe.

- Jak to „gotowe”?

- Nie wiem. Spróbuję to określić.

- Dziękuję - mówi Stella. - To cudowne, że widziałas jej twórczość.

- Dziękuję.

Ściskają się, Stella całuje ją w policzek.

- Twój kierowca czeka.

- Odeślij go, proszę. Muszę się przejść. Poczuc miasto. I nie widziałam metra.

Stella wyjmuję z kieszeni szarej spódniczki telefon i naciska przycisk. Mówi coś po rosyjsku.

PUPPENKOPF

Trafia na zatłoczony Arbat.

Zostawiwszy za sobą opuszczoną kamienicę i Gieorgiewskij, dryfowała bez celu ulicami, aż trafiła na czerwone „M”, znak metra.

Schodząc, zapłaciła, zbyt dużym banknotem i z trudnością zebrała żetony z jarzącego się plastiku barwy zabawkowych szkielecików, błyszczących w ciemnościach. Każdy żeton ze znakiem „M”. Już jeden wystarczyłby jej na podróż, której kierunku i stacji nigdy nie pozna.

Oddała się marzeniu, które zafascynowało ojca - monumentowi na stalinowską modłę, niesamowitemu moskiewskiemu metru.

Pod ziemią groteskowa gigantomania jeszcze się podwoiła, przepych stacji przekroczył dziecięce marzenia Cayce. Złocene brązy, blad różowe marmury z żyłkami barwy akwamaryny, grawerowane gigantyczne błyskotki mocowane do filarów dźwigających podziemne hale, bliższe salom balowym niż peronom metra, promieniste żyrandole. Jakby całe bogactwo ostatniego imperium XIX wieku, jak je nazywał Win, bogactwo, które przetrwało najcięższe, najbardziej ponure lata 30., zasililo te bazyliki transportu publicznego.

Było to tak oszałamiające, miało tak niewiarygodną siłę oddziaływania, że zajęło całą jej uwagę i przynajmniej częściowo odciągnęło od tego, co czuła, gdy schodziła stromymi schodami ku brzękliwym stalowym drzwiom i gdy wracała w boleśnie ostre światło dnia.

Nie miała pojęcia, gdzie jeździła przez co najmniej dwie godziny, przesiadając się impulsywnie, na chybił trafił, kierując się ku szalonym, majestatycznym schodom, zwykłym, ruchomym. Aż w końcu wyłoniła się na powierzchnię, trafiając na szeroki i zatłoczony Arbat, na którym moduł niesamowite!-ale-to-przecież-zupełnie-jak usiłował jej wmówić, że to zupełnie jak Oxford Street, chociaż tak naprawdę to wcale nie Oxford Street.

Spragniona wchodzi do lokalu, przypominającego z pozoru włoską knajpę (moduł porównujący znów zawodzi), oferującego napoje bezalkoholowe i dostęp do Internetu. Kupuje butelkę wody mineralnej i półgodzinne połączenie, aby sprawdzić pocztę.

Klawisze opisane cyrylicą; Cayce wciąż niechętnie wciska klawiszową kombinację rezygnacji z emulacji klawiatury angielskiej, po czym nie może znaleźć kombinacji powrotnej, ale udaje się jej ściągnąć i odczytać wiadomość od WParkeUbranego.

Zwykle udaję tak samo zblazowanego jak inne pretensjonalne dupki, ale muszę powiedzieć, że ta twoja londyńska agentka od organizacji podróży zna się na rzeczy. No, bo: siedzę na Charles de Gaulle w fotelu Air France z najdelikatniejszej, ręcznie wyprawianej skóry, od Hermesa, oglądam CNN we francuskiej wersji językowej i czekam na najbliższe połączenie do Moskwy. Kłopot w tym, choć to nie wina Sylvie, że coś wkurwiło tutejsze czujniki materiałów wybuchowych i nawet my, z uberklasy, musimy czekać, aż samoloty będą mogły latać.

Posadzili całą naszą piątkę przed, muszę z ciężkim sercem przyznać, najlepszym zimnym bufetem, jakiego w życiu kosztowałem, i wciąż otwierają szampana. Być może nie wspominałem o tym wcześniej, ale od ostatnich nieprzyjemności byłem jednym z tych, którzy nie skaczą do góry z radości na myśl o lataniu; stąd tamten pociąg do Darryla. Ale tempo wydarzeń i poziom rozpieszczania są takie, że do tej pory nie byłem za bardzo świadom tego, co się działo. Mam wrażenie, że Ameryka skończyła się przy bramce hali odlotów. I kiedy tylko doprowadzą te czujniki do porządku, pędzę w twoim kierunku, chociaż być może znów trzeba będzie mnie nauczyć, jak samemu karmi się i myje. Możesz się przydać, szykując zapas tych malutkich gorących ręczniczków. Dzięki raz jeszcze.

Zabiera się do odpowiedzi, ale znów trafia nie ten klawisz, co powinna. Pracownik obsługi zaprowadza porządek z alfabetami, Cayce pisze:

Byłam tam. Spotkałam się z nią. Nią. No, raczej, widziałam. Patrzyłam na jej twórczość. Jestem w kafejce internetowej i chyba wciąż to analizuję. To trudne do opisanie. Zresztą to bezcelowe, naprawdę. To jesteś prawie na miejscu. Cieszę się! Może już doleciałeś, nie wróciłam jeszcze do hotelu.

Odległy huk, może wybuch. Cayce podnosi wzrok. Syreny zaczynają wyć.

Obsługujący podszedł do drzwi i spogląda w górę Arbatu, i nagle Cayce jest z powrotem w samochodzie, jedzie do Stonestreeta, widzi motocyklistę leżącego na plecach, prawdopodobnie ze złamanym karkiem, twarzą wystawioną na deszcz. Przepływa ją dreszcz, czuje śmiertelność.

Powinieneś coś wiedzieć, a jak do tej pory nikt inny tego nie wie: stel-lanor@armaz.ru, Stella, to nie twórca, to jej siostra.

WYŚLIJ.

Dopija wodę, wylogowuje się, ześlizguje z wysokiego krzesła. Nadal słyszy syreny, ale jakby z większej odległości. Teraz musi znaleźć taksówkę. Zarejestrowaną.

Kiwając głową chłopakom z ochrony w kevlarowych kamizelkach, przypomina sobie, że nadal nie odebrała paszportu.

Hol hotelu Prezydent jest nadal tak samo rozległy i nawet mniej zaludniony, a jej żądanie wywołuje w recepcjonście jakiś głęboki, atawistyczny odruch z epoki sowieckiej. W jednej chwili jego twarz traci wszelki wyraz i wpatruje się w nią mrużąc oczy. Odwraca się, znika za drzwiami w boazerii i nie ma go prawie dziesięć minut, zegarek Cayce świadkiem. Ale wraca z paszportem i oddaje go jej bez słowa.

Cayce pamięta wszystkie opowieści Wina i sprawdza, czy to faktycznie jej paszport, czy ma wszystkie strony, i czy nie przyleciała skądinąd, niż było w rzeczywistości. Wszystko jest takie, jak powinno.

- Dziękuję.

Wkłada go do kopertówki Stasi.

Czas na długą kąpiel, w długiej brązowej wannie. Potem zadzwoni na recepcję i spyta, czy nie pojawił się niejaki pan Gilbert. Kiedy się odwraca, przed nią stoi Dorotea Benedetti.

- Musimy porozmawiać.

Jest w czerniach, na szyi ma coś z prawdziwego złota, grubsze niż łańcuszek; uczesana idealnie jak zawsze, ale ma mocniejszy makijaż.

- Dorotea? - To oczywiście ona, ale jakiś instynkt każe Cayce grać na czas. Jeszcze głębszy instynkt każe uciekać.

- Wiem, że je znalazłaś. Hubertus nie wie, ale oni wiedzą.

- Kto?

- Aparat Wołkowa. Ludzie, którzy mnie zatrudniali. Musimy zaraz porozmawiać. Chodź ze mną do baru.

- Myślałam, że pracujesz dla Hubertusa.

- Chodzi mi nie tylko o siebie, o ciebie też. Wytlumaczę. Jest mało czasu. - Odwraca się, nie czekając na odpowiedź, i maszeruje po brązowo-ochrowym placu defilad, zapewne w kierunku baru. Na jej rajstopach z tyłu widać stylizowane węże, jakby szew, od pięty do połowy łydki.

Cayce idzie za nią, nie czując cienia zaufania, supeł lęku zaciska się między łopatkami. Ale musi jej wysłuchać, bez względu na to, co ma do powiedzenia.

W barze do przesady króluje motyw października; bukiety suszonych kwiatów wielkości stogów siana okupują zasypane liśćmi przyścienne stoliki, dodatkowo zastawione imitacjami bladych tykw, które niepokojąco kojarzą się z czaszkami. Na ścianie wisi lustro w brązowej oprawie z ciemnozłotymi żyłkami.

Jest tu dziewczyna w zielonych butach, chociaż nie ma ich na sobie. Cayce rozpoznaje płomienie z węzowej skórki maksymalnie wyeksponowane na stołku barowym. Nie tylko jej udało się przekonać ochronę, jest tu co najmniej tuzin jej koleżanek i towarzyszą klienteli lokalu, składającej się wyłącznie z dużych, starannie ogolonych, krótko ostrzyżonych, uderzająco kwadratogłowych mężczyzn w ciemnych garniturach. Bar to jakaś dawno zagubiona Ameryka, z niebieską warstwą papierosowego dymu i Frankiem Sinatra, którego obecność wcale nie ma znaczenia ironicznego. Gesty mężczyzn rzeźbią z dymu i muzyki kształty triumfu i imperium, klęski i frustracji.

Dorotea już siedzi przy dwuosobowym stoliku, kelner w białej kurtce przeładowuje napitki z tacki: kieliszek białego wina dla Doro-tei, perriera i wysoką szklankę z lodem stawia z drugiej strony.

- Zamówiłam ci - mówi Dorotea, kiedy Cayce siada. - Musisz bardzo się sprężyć, więc alkohol nie jest chyba najlepszym pomysłem.

Barman nalewa perriera i odchodzi.

- Co masz na myśli?

Dorotea spogląda na nią.

- Nie oczekuję, że mnie polubisz. W tej sprawie kieruję się własnymi interesami, ale teraz moim interesom najlepiej służy pomaganie tobie. Nie wierzysz mi, ale proszę, rozważ tę możliwość. Co wiesz o Andrieju Wołkowie?

Wołkowa. Stella Wołkowa. Cayce gra na czas, pociąga łyk wody mineralnej. Wydaje się zwietrzała.

- To ich wuj - mówi niecierpliwie Dorotea. - Wiem, gdzie dziś byłaś. Wiem, że się z nimi spotkałaś. Wołków wkrótce też się dowie.

- Nigdy o nim nie słyszałam. - Ma wyschnięte gardło, pociąga kolejny łyk.

- Niewidzialny oligarcha. Duch. Prawdopodobnie najbogatszy ze wszystkich. Wyszedł nietknięty z wojny bankierów w 1993, potem zgarnął jeszcze więcej. Zaczynał od zorganizowanej przestępczości, to tutaj naturalne. Jak wielu, poniósł osobiste straty. Zabito mu brata. Jego działalność wiąże się z czymś, co należałoby raczej nazywać polityką niż przestępczością, ale w Rosji takie rozróżnienia zawsze były naiwne. - Pociąga łyk wina.

- Doroteo, co ty tu robisz? - Cayce zadaje sobie pytanie, co czułaby, gdyby to spotkanie nastąpiło innego dnia. Po tym co świeżo przeżyła, po obejrzeniu tego, jak tworzone są emefy, nie czuje lęku czy gniewu, chociaż pamięta, że Dorotea budziła w niej oba te uczucia. Super na plecach się rozluźnia.

- Czyha na ciebie bliskie niebezpieczeństwo. Ze strony aparatu Wołkowa. Zagrożasz im, bo poznałaś bratanicę ich szefa. To nie powinno się zdarzyć.

- Ale przecież wcale nie są ściśle strzeżone. Posłałam e-maila. Stella odpowiedziała.

- Skąd miałaś adres?

Szkła Baranova błyskają w promieniu angielskiego słońca, przenikającego dziurawą karoserię przyczepy. Z oczu wyglądają głębokie pokłady chłodu i nieufności.

- Od Boone'a - kłamie.

- Nieważne - mówi Dorotea i Cayce jest zadowolona, że nieważne, chociaż chce powiedzieć Dorotei, że Boone jest w Ohio, w Sigil.

- Opowiedz mi o twoim ojcu - mówi Dorotea. - To jest ważniejsze. Jak się nazywał?

- Win. Wingrove Pollard.

- I zaginał w Nowym Jorku w dniu zamachu na WTC?

- Poprzedniego wieczoru zgłosił się do hotelu, a rano wziął taksówkę. Ale nie znaleźliśmy kierowcy i nie możemy znaleźć jego.

- Niewykluczone, że mogę pomóc ci go znaleźć - mówi Dorotea. - Skończ tę wodę.

Cayce dopija perriera. Opadające kostki lodu tłuką o zęby, sprawiając ból.

- Cholera, moje zęby - mówi, odstawiając szklanę.

- Powinnaś bardziej uważać - podsumowuje Dorotea. Cayce patrzy w stronę baru i widzi, że aplikacje z węzowej skórki na spódniczce tamtej dziewczyny pełzają, wilgotne i lśniące. W płomienistych wycięciach napiętego materiału widać żywą zielono-czarną węzową skórę. Cayce chce o tym powiedzieć Dorotei, ale wydaje jej się to jakoś krępujące. Czuje się nieporadnie, bardzo onieśmielona. Dorotea wlewa resztki perriera do szklanki Cayce. - Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że mogłabym być Mammą Anarchią?

- To niemożliwe - mówi Cayce - nigdy nie mówisz, że coś jest hegemonistyczne.

- O co ci chodzi?

Cayce czuje rumieniec.

- Umiesz się ładnie wysłowić, ale nie wydaje mi się, żeby stać cię było na wymyślenie tego wszystkiego. Tych teorii, które doprowadzają do szału WParęUbranego. - „A może nie powinna tak mówić?” - Stać cię?

- Nie. Pij tę wodę. - Cayce pije, uważając na lód. - Ale mam małego *puppenkopfa*, który mi pomaga. Mówię, co chcę powiedzieć, a on tłumaczy na język Anarchii, żeby zdenerwować twojego najbardziej denerwującego przyjaciela. - Dorotea się uśmiecha.

- *Puppen...* co?

- Pacynkę. Amerykanina, studenta ostatniego roku. W ten sposób mogę być Mammą. I teraz ty też jesteś moim małym *puppen-kopfem*. - Wyciąga rękę nad stolikiem i gładzi policzek Cayce. - I nie będziesz nam więcej sprawiać kłopotów, żadnych, ale to żadnych. Teraz jesteś grzeczną dziewczynką i powiesz mi, skąd masz ten adres e-mail, prawda?

Tylko że na stoliku pod ścianą są trupie czaszki i kiedy Cayce otwiera usta, aby powiedzieć o tym Dorotei, widzi za barem samego Bi-bendum, wałki bladego, gumowatego cielska jak fałdy sflaczałego ste-rowca, tłuste, wstrętne. Usta Cayce zastygają otwarte, tak że nie wydaje żadnego dźwięku, podczas gdy straszliwe oczy ludzika Michelin mierzą ją naprawdę złym wzrokiem i chyba ten jeden jedyny raz w życiu słyszy EVP - gdy z głębi głosu Sinatry, tego leniwego zakola wokalne rzeki, wyskakuje dziwnie jaskrawy, poskręcany, komiksowy dymek, robi soniczny ekwiwalent salta w tył i odzywa się głosem ojca, chociaż skompresowanym z uwagi na nieprawdopodobny dystans.

- Dosypała świństwa do mineralnej. Krzycz.

Więc krzyczy.

Kiedy robi się czarno, zaciska jeszcze palce wokół czegoś gładkiego i zimnego, leżącego

na samym dnie kopertówki Stasi.

CZERWONY PYŁ

Chociaż nigdy wcześniej jej nie zauważyła, na pewno ma stalową, z ręcznie ukształtowaną obręcz, dokładnie przylegającą do nieregularnych wypukłości wewnętrznej części obrzeża czaszki.

Teraz, kiedy wie o jej istnieniu, zdaje sobie sprawę, że wykonano ją z cienkiego, wieszakowego pręta, tylko o wiele mocniejszego i sztywniejszego. Wie, bo ją czuje, gdy ktoś obraca klucz wsunięty w czoło, również metalowy, w kształcie litery T, z jednostronnym, niesłychanie delikatnym rysunkiem, mapą miasta, którego nazwę niegdyś знаła, ale teraz umyka jej, pograżonej w niedoli, gdy obręcz się rozpręża. Rozpręża się po każdym obrocie klucza, sprawiając jej rozdzierający ból.

Otwierając oczy, przekonuje się, że źle działają, nie tak, jak się tego spodziewała.

„Będę musiała nosić okulary” - myśli, zamykając powieki. „Albo szkła kontaktowe. Albo będę musiała przejść tę operację laserem”. Wie, że to wynalazek rosyjskiej medycyny, dzieło przypadku, po tym jak uratowano pacjenta z rozciętą rogówką, przywiezionego z wypadku samochodowego...

Znów otwiera oczy.

Jest w Rosji.

Próbuje unieść rękę, aby dosięgnąć bolącej głowy, ale przekonuje się, że nie może.

Przeprowadza inwentaryzację przestrzeni. Leży na plecach, zapewne na łóżku i nie może ruszyć rękami. Ostrożnie unosi głowę, jak przed setką w pilatesie, i widzi, że ręce są na swoim miejscu, a przynajmniej tak to wygląda, pod cienkim szarym kocem i złożonym białym prześcieradłem, ale skrzepowane pasami z szarej plecionki, jednym tuż poniżej ramion, drugim tuż poniżej łokci.

Nie wygląda to dobrze.

Opuszcza głowę i jęczy pod wpływem szybkiego obrotu klucza, co najmniej dwukrotnie.

Sufit, na którym udaje się jej skupić wzrok, jest gładki i biały. Obracając nieporadnie głowę, widzi równie gładką i równie białą ścianę. Po lewej wyłącznik światła, prostokątny i nijaki, a potem rząd przynajmniej trzech pustych łóżek, z pomalowanego na biało metalu.

Wykonała masę pracy i jest bardzo zmęczona.

Siwowłosa kobieta w szarym kardiganie na workowatej, szarej sukience przyniosła tacę.,
Łóżko podniesiono, Cayce może pójść. Zlikwidowano pasy, a także regulowaną obręcz w czaszce.

- Gdzie jestem?

Kobieta coś mówi, nie więcej niż cztery sylaby, i kładzie tacę na drucianej podstawie na

brzuchu Cayce. Jest na niej plastikowa miska z czymś jakby zupą rybną z małżami, choć może bez małży, i plastikowy kubek szarawo-białego płynu.

Kobieta podaje Cayce dziwną, stępioną łyżkę, która okazuje się być z jakiegoś giętkiego plastiku, na tyle sztywnego, że można nią jeść zupę i na tyle miękkiego, że można ją wygiąć w pałąk. Cayce zjada zupę, która jest ciepła, gęsta i bardzo dobra, a także doprawiona, jak żadne szpitalne danie.

Cayce podejrzliwym wzrokiem spogląda na szary napój. Kobieta wyciąga palec i mówi jedną sylabę.

Okazuje się, że płyn smakuje trochę jak bikkle. Organiczny bikkle.

Kiedy kończy i odkłada kubek na tackę, kobieta w nagrodę wypowiada neutralną w tonie monosylabę. Zabiera tackę, przechodzi przez pokój, otwiera jedyne drzwi barwy kremowej i wychodzi, zamykając je za sobą.

Usytuowanie łóżka uniemożliwiło Cayce zobaczenie czegokolwiek za drzwiami, ale jeśli to szpital, to pewnie wychodzą na korytarz.

Siada, odkrywając, że jest w długiej szpitalnej koszuli bez pleców, uszytej z cienkiej, spranej do granic flaneli, z prawie już niewidocznymi różowo-żółtymi klaunami na bladoniebieskim tle.

Lampa na suficie nagle się rozmywa, ale nie znika.

Cayce odrzuca na bok koc i prześcieradło. Uda ma całe w siniakach. Zsuwa nogi z łóżka. Zbiera się w sobie, pewna, że porywa się na niemożliwe. Ale utrzymuje się na nogach.

Pokój, czy raczej salę, wyścielono jednolitą warstwą czegoś szarego i gumowego, pokrytego drobinami piasku.

Stawia stopy razem i szuka „magnesów”, jak mówi opis izometrycznego ćwiczenia w pilatesie, punktów skupienia, napina mięśnie nóg. Maksymalnie prostuje kręgosłup. Ogrania ją fala zawrotów głowy. Odczekuje, aż minie. Skręca się w kłębek, opuszcza głowę, zwija żebro po żebro, równocześnie uginając nogi w kolanach, aż kuca, zwieszając swobodnie głowę...

Coś jest pod łóżkiem. Coś czarnego.

Cayce zastyga. Klęka i wyteża wzrok. Wyciąga rękę, maca. To jej walizka. Wysuwa ją spod łóżka. Zamek błyskawiczny jest rozpięty, pozwijane rzeczy wysypują się na zewnątrz. Obmacuje je, wyczuwa dzinsy, sweter, zimny śliski nylon zewnętrznej warstwy ricksona. Ale nie ma kopertówki Stasi ani torby podróżnej. Nie ma telefonu, laptopa, portfela, paszportu. Zamszowe buty stłamszono i wciśnięto do jednej z bocznych kieszeni.

Wstaje i rozwiązuje tasemki na karku, uwalniając się od tego stroju cyrkowego klauna, w którym świeci gołym tyłkiem. Naga stoi chwilę w zielonkawym, jarzeniowym półmroku, po czym znów się schyla i po omacku rozpoczyna wyszukiwać swoje rzeczy. Nie odnajduje skarpetek, muszą wystarczyć majtki, dzinsy, czarny T-shirt. Siada na skraju łóżka, zawiązuje buty.

Uświadamia sobie, że drzwi przecież będą zamknięte na klucz. Na pewno.

Nie są zamknięte. Przycisk ustępuje gładko. Drzwi lekko obracają się na zawiasach. Otwiera je.

Korytarz - tak; szpital - nie. Może szkoła?

Ściana bładoturkusowych szafek z trzycyfrowymi plakietkami. Jarzeniówki. Na podłodze linoleum korkowego koloru.

Korytarz na lewo kończy się brązowym wyjściem awaryjnym. Po prawej szklane drzwi z poręczami, światło słońca.

Łatwy wybór.

Rozdzierają ją sprzeczne pragnienia. Chce rzucić się do ucieczki, a wie, że powinna się zachowywać, jakby miała prawo przebywać w tym budynku, chociaż nie wiadomo, co to za budynek ani czemu służy. Otwiera drzwi i wychodzi jakby nigdy nic.

Słońce oślepiają. Niemoskiewskie powietrze pachnie letnią roślinnością. Oślaniając oczy przegubem, oszołomiona blaskiem idzie przed siebie, w kierunku jakiegoś pomnika. To Lenin, gigantyczny marksistowski krasnal ogrodowy, tak aerodynamiczny, że prawie nierozpoznawalny. Ukształtowany w białym betonie pomnik wskazuje drogę proletariatu.

Cayce odwraca się i patrzy za siebie. Ceglany budynek wygląda jak brzydki miejski college, wykończony betonową attyką, przypominającą koronę Statuy Wolności. Między wieżkami są okna.

Nie ociąga się ani nie przygląda dokładniej. Dalej opada stok wyschniętej trawy, a wydeptana ścieżka prowadzi do płytkiego zagłębienia terenu, odpływowej niecki poza zasięgiem wzroku ludzi w budynku.

Wygniecioną trawę popstrzyły przydeptane niedopałki papierosów z filtrem, kapsle, kawałki folii.

Cayce idzie, aż dociera do zakurzonego wieńca krzewów, naturalnej kryjówki, wyraźnie cieszącej się popularnością. Butelki i puszki, pomięty papier, wyschnięty kondom, zwisający z gałązki jak część organu trawiennego jakiegoś wielkiego owada. Jak widać, to też miłośne gniazdko.

Kuca, łapie oddech, nasłuchując odgłosów pościgu.

Z góry dobiega monotony huk odrzutowca.

Ścieżka ściele się dalej i gubi w gładkich skałkach, dnie sezonowego strumyka. Cayce kroczy wśród gęstszej i bardziej zielonej roślinności, aż dociera do brzegu niecki.

Na górze widzi ogrodzenie.

Nowsze niż budynek, mocowane na cynkowanych drążkach zatopionych w betonie. Siatka zwieńczona drutem kolczastym. Cayce powoli podchodzi tam i widzi, że drut jest zwykły, nie żyletowy, z krótkimi ostrzami, zaledwie podwójny.

Ogląda się za siebie. Widać tylko krawędź attyki na szczycie ceglanoego budynku.

Wyciąga palce. Bierze oddech. Dotyka siatki najkrócej i najlżej, jak potrafi. Nie kopie jej

żaden prąd, chociaż możliwe, że na murach baraków pełnych znudzonych, uzbrojonych po zęby strażników właśnie zawyły syreny alarmowe.

Ocenia wzrokiem siatkę i czubki swoich butów. Nie za bardzo do siebie pasują. Letnie miesiące w Tennessee nauczyły ją, że do przełazenia przez siatkę najlepsze są kowbojki. Po prostu wciskasz czubki w kwadratowe otwory i idziesz w górę bez problemu. Czubki butów Parco są za szerokie, a podeszwy ledwo profilowane.

Siada na ziemi, rozsznurowuje buty, ściąga i mocno wiąże sznurówki, zdejmuje ricksona i opasuje się nim, zawiązując rękawy najmocniej, jak się da.

Wstaje, patrzy w górę. Słońce jest w zenicie. Słychać dzwonek elektryczny. Obiad?

Łapie się siatki i wspina, odchylając w tył, kładąc płasko podeszwy. To męcząca pozycja, ale jedyna w tych butach. Ręce ją boją, ale docierają do pięciocentymetrowej poprzeczki, tuż poniżej kolców.

Zwisa na prawej ręce, rozwiązuje rękawy kurtki i przerzuca ją przez drut.

Mało nie spada, kiedy przekłada nogę na drugą stronę, ale w końcu stoi okrakiem, czując od razu, jak ostry kolec przebija warstwy formowanego z maniakalnym uwielbieniem nylonu i cieniutką podszewkę.

Przerzucenie drugiej nogi jest trudniejsze. Podchodzi do tego jak do ćwiczenia gimnastycznego. Proszę płynnie. Z wdziękiem. Nie ma powodu do pośpiechu. (Jest, bo ręce dygocą jej w przegubach). Następnie musi oderwać kurtkę. Mogłaby ją zostawić, ale nie zostawi. Mówi sobie, że nie, bo dowiedzieliby się, którędy przeszła, ale tak naprawdę nie, bo nie.

Rozlega się trzask rozpruwanego nylonu, buty ślizgają się po siatce i lądują na tyłku, z ricksonem w ręce.

Wstaje sztywno, ogląda porwane plecy kurtki i wkłada ją.

Zatrzymuje się, kiedy słońce mówi jej, że oddaliła się już od ogrodzenia na trzy godziny marszu.

Roślinność stopniowo nikła, wypierana przez wyschniętą czerwoną ziemię, bez śladu drogi i wody. Zapasy żywności Cayce składają się z gustownej wykałaczkii z hotelu w Tokio i opakowanego w celofan miętusa, zapewne z Londynu.

Zaczyna się zastanawiać, czy to nie przypadkiem Syberia i żałuje, że nie ma wiedzy o Syberii, bo wtedy miałyby jakieś przesłanki oceny sytuacji. Kłopot w tym, że okolica bardziej przypomina skrub australijski, jest tylko jeszcze bardziej wyzbyta śladów życia. Nie widać żadnego ptaka, żuka ani w ogóle nic, poza niewyraźnym odciskiem opon jakąś godzinę temu. Teraz myśli, że powinna była pójść wzdłuż niego.

Siada na ziemi, ssie wykałaczkę i stara się nie myśleć o swoich nogach, które boją jak jaśna cholera. Dorobiła się pęcherzy, o których stara się nie myśleć i których na pewno nie chce oglądać. Postanawia wydrzeć podszewkę z ricksona i owinać nią stopy.

Huk samolotów zaczyna być częścią krajobrazu i Cayce zastanawia się, co by sobie po-

myślała, gdyby nie wiedziała, co to jest. Czy są jeszcze na świecie ludzie, którym to nic nie mówi? Nie wie.

Krzywiąc się, wstaje i rusza dalej, ssąc wykałaczkę. Dzięki temu ma mniej sucho w ustach.

W tej okolicy zachód słońca trwa bardzo długo. Mnóstwo fantastycznych odcieni czerwieni.

Kiedy Cayce zdaje sobie sprawę, że nie zdoła iść w ciemności, poddaje się i siada.

- Piękny syf - mówi, używając powiedzenia Damiena, które dobrze podsumowuje sytuację.

Wyjmuje miętusa, rozwija z opakowania i wkłada do ust.

Robi się chłodno. Cayce wkłada kurtkę i zaciąga zamek. Niemniej jednak nadal czuje chłód na plecach, bo kurtka jest częściowo w strzępach, po tym jak Cayce wydarła podszewkę, opatulając stopy. Podszewka trochę pomogła, ale dalszy marsz wydaje jej się wątpliwy, nawet po wschodzie słońca.

Stara się nie ssać miętusa, aby nie zniknął zbyt szybko. Zapewne powinna go wyjąć z ust i zachować na później, ale nie ma gdzie go schować. Rozsuwa kieszonkę papierosową na rękawie i znajduje wizytówkę hinduskiej restauracji z adresem Stelli. Wpatruje się w precyzyjną kursywę Baranova koloru zaschniętej krwi, aż robi się zbyt ciemno, żeby cokolwiek dojrzeć.

Wyjmuje lepkiego cukierka i przez chwilę ssie.

Wychodzą gwiazdy.

Po chwili, gdy wzrok przywyka do ciemności, zauważa dwie świetlne wieże, daleko, chyba tam skąd przyszła. Nie wyglądają jak pamiątkowa iluminacja Strefy Zero, ale jak wieże ze snu, który miała w Londynie, tylko trochę słabsze, dalsze. Zwraca im uwagę:

- Wasze miejsce nie jest na Syberii. - I wtedy zdaje sobie sprawę, że on tu jest. - Chyba mogłabym tu umrzeć - mówi mu. - Znaczy się, myślę, że mogłabym.

„Tak mogłabyś” - mówi on.

- A umrę? „Nie wiem”.

- Ale czy nie żyjesz? „Trudno powiedzieć”.

- Czy w tej muzyce, wczoraj, to byłeś ty? „Halucynacje”.

- Myślałam, że w końcu objawiło się mamine EVP. „Bez komentarza”.

Cayce się uśmiecha.

- A tamten sen w Londynie? „Bez komentarza”.

- Kocham cię.

„Wiem, że mnie kochasz. Muszę odejść”.

- Czemu?

„Słuchaj”.

I odchodzi, i tym razem Cayce skądś wie, że na zawsze.

Słyszy silnik helikoptera, gdzieś za plecami. Maszyna zawraca, Cayce widzi długi promień światła, przeczesujący martwą ziemię, gdy nadlatuje jak morska latarnia, która oszalała z samotności i przeszukuje nagą ziemię tak głupio, tak przypadkowo, jak może to robić tylko zrozpaczone serce.

40.
UNIWERSYTET MARZEŃ

Śmigłowiec przelatuje dokładnie nad jej głową, ale światło reflektorów pada w bok, nie obejmuje Cayce. Maszyna jest tak blisko, że Cayce widzi detale obłego, żółtego podwozia, rozjaśnione czerwonym, mrugającym światłem.

Następnie reflektory gasną i czerwone światełko zawisa nieruchomo.

Wieże znikają.

Helikopter wraca. Zatrzymuje się pięćdziesiąt metrów dalej i promienie światła znów wystrzeliwiają, przebijając wzbity kurz, i odnajdują ją.

Ośłania oczy. Widzi między palcami, jak maszyna siada, niezgrabna, prawie prostokątna. Jakaś postać wyskakuje z drzwi, umieszczonych w boku, i idzie ku niej, rzucając rozległy, niespokojny cień na światło i kurz.

Rotory zwalniają, cichną, niespiesznie zastygają.

Ktoś zbliża się do niej, wychodząc poza blask i zatrzymuje się. Jest niecałe dwa metry przed nią, plecami do blasku.

- Cayce Pollard?

- Kim jesteś?

- W Parkę Ubrany.

To zupełnie nie mieści się jej w głowie. W końcu pyta:

- Kto zaczął wątek, na którym oparła się formalnie szkoła kompletystów?

- Maurice.
- W odpowiedzi na?
- Wpis Dave'a z Arizony, opisujący teoretyczne ograniczenia kręcenia na żywo.
- W Parkę Ubrany? To ty?

On robi kółko i staje w takim miejscu, że światło pada mu na twarz. To mężczyzna o rudych, przeredzonych włosach, gładko szesanych do tyłu. Ma na sobie oliwkowe spodnie robocze z demobilu, grubą czarną koszulę rozpiętą na białym podkoszulku i na pierśsiach dużą lornetkę. Okulary lornetki wyglądają jak gogle, ale schodzą się do pojedynczej rury, wielkości i kształtu latarki.

W Parkę Ubrany sięga do kieszeni i wyjmuje wizytówkę. Podchodzi i podają ją Cayce. Ta bierze wizytówkę i mrużąc oczy, podrażnione kurzem i mocnym, białym światłem, patrzy na nią.

PETER GILBERT
BIAŁAS W ŚREDNIM WIEKU
„OD 1967”

Cayce podnosi wzrok.

- Przemysł muzyczny - mówi on. - Jak robisz w pewnym nurcie muzyki i siedzisz w Chicago, bez niego ani rusz.

- Bez kogo?

- Bez Be-Wu-eS-Wu. Takiego jednego białasa. - Przezornie kuca dwa metry dalej, żeby nie poczuła się zagrożona. - Możesz chodzić? W helikopterze jest sanitariusz.

- Co tu robisz?

- Wpadło mi do głowy, że może się rozmyśliłaś.

- Względem czego?

- Właśnie uciekłaś z jedyne go rosyjskiego więzienia, do którego ludzie próbują się włamać.

- Włamać? Do więzienia?

- Mówią na nie „uniwersytet marzeń”. Tam właśnie zabrał cię wyspecjalizowany oddział Wołkowa, po tym, jak Mamma przekarmiła cię ryfem.

- Czym?

- Rohypnolem. Koktajlem gwałtu. Mógł cię zabić, ale taka już jest nasza Mamma. Z tym że zareagowałaś odwrotnie. Powinnaś stać się potulna jak baranek, ale wygląda na to, że zbudziła w tobie syberyjskiego tygrysa.

- Naprawdę? Byłeś tam?

- Nie. Właśnie zgłosiłem się do hotelu, kiedy pojawiła się karetka i policja. Znasz ten tekst ze starych westernów, kiedy kowboj umiera z pragnienia na pustyni i zjawia się pomoc,

i pada tekst: „Napij się, ale nie za dużo”?

Wpatruje się w niego, nic nie mówiąc.

On odpina od pasa plastikową manierkę i podaje jej.

Cayce bierze łyk, przepłukuje usta, wypluwa, pije.

- Miałem wrażenie, że Mamma wciąż próbowała zapanować nad sytuacją, ale z rozkwaszonym nosem i okiem spuchniętym do tego stopnia, że zupełnie znikło, nie była zbyt przekonująca.

- Wiedziałeś, że to ona?

- Nie. Nie wiedziałbym też, że to ty, gdybym nie usłyszał pięć razy „Pollard”, czy coś w tym rodzaju. Prawdę mówiąc, widziałem kilka zdjęć na Google, ale na noszach nie wyglądałaś superrewelacyjnie. Z tym że dama z rozkwaszonym nosem tak bardzo wyłaziła ze skóry, że mało jej nie aresztowano. Mówiła coś w stylu, że powinni zawieźć cię do pokoju, że ona z tobą zostanie. Wtedy wpadło trzech gości w czarnych skórach i wszyscy oprócz Mamy natychmiast stanęli na tylnych łapkach. Ty po prostu wyparowałaś, razem ze swoimi noszami, bez żadnego gadania, a Mamma poszła ze skórami, nie wyglądając na zbytnio uszczęśliwioną tym obrotem sprawy. Natomiast ja nie bardzo wiedziałem, co mam z sobą zrobić. Sprawdziłem pocztę. Była wiadomość od ciebie, z adresem Stelli. Wysłałem jej e-maila. Podałem, że jestem twoim przyjacielem i opisałem, co przed chwilą widziałem. Pół godziny potem siedziałem w bmw z niebieskim kogutem i nowym oddziałem czarnych skór, gnając na złamanie karku pod prąd, do centrum Moskwy. Zanim się zorientowałem, co się dzieje, byłem z Wołkowem w jednej z siedmiu sióstr...

- Sióstr?

- Stareńkie komuchowskie drapacze chmur jak z horroru, z betonowymi ozdóbkami. Niebotycznie drogie lokale. Twoim panem Big-endem...

- Bigendem?

- I Stellą. Plus paroma ludźmi Wołkowa i tym chińskim hakerem z Oklahomy...

- Boone'em?

- Tym gościem, który kontrolował twoją pocztę dla Bigenda. - Cayce przypomina sobie pokój w Hongo, Boone'a podłączającego swojego laptopa do iBooka. - Wybacz, ale kurz, który wzbijałaś, ma w sobie za dużo tytanu - mówi. - Zapewne przekroczyłaś dzienne zapotrzebowanie na ten pierwiastek. Może byś tak pozwoliła, żebym wezwał tego sanitariusza? Pomoże ci dostać się do śmigłowca. - Odbiera od niej manierkę, pije, zakręca i wiesza z powrotem przy pasie.

- Tytan?

- Sowiecka katastrofa ekologiczna. Nie tak wielka jak wysychanie Morza Aralskiego, ale odbyłaś turystyczną przechadzkę środkiem pasa skażenia przemysłowego długiego na sześćdziesiąt kilometrów i szerokiego na trzy. Myślę, że dobrze by ci zrobiło dokładne wyszorowanie od wewnątrz.

- Gdzie jesteśmy?

- Z tysiąc trzysta kilometrów na północ od Moskwy.

- Jaki dziś dzień?

- Piątek, piątek wieczorem. Straciłaś przytomność w środę i leżałaś w tym stanie, aż ktoś cię dzisiaj obudził. Pewne dostałaś środki uspokajające. - Cayce próbuje wstać, ale nagle on jest przy niej, kładąc jej ręce na ramionach. - Nie. Nie ruszaj się. - Dziwna lornet-ko-latarka dynda kilka centymetrów od jej twarzy. WParcęUbrany prostuje się, odwracając w kierunku światła. Daje znaki ręką. - Gdyby nie te noktowizory - mówi przez ramię - to moglibyśmy cię nie znaleźć.

- Co wiesz o rosyjskich więzieniach? - pytają. Oboje mają na głowach duże słuchawki ze śliskiego beżowego plastiku, z mikrofonami i zielonymi skręconymi przewodami. Nauszniki są dźwiękochłonne, nie przepuszczają huku silników, ale głos WParcęUbranego dociera do niej jak z bardzo głębokiej studni.

- Że to nie wesołe miasteczka?

- AIDS i gruźlica są na każdym kroku. A to najmniejszy problem. Lecimy do sprywatyzowanego więzienia.

- Sprywatyzowanego?

- Śmiały eksperyment w zarządzaniu nową Rosją. Ich wersja CCA, Zakładów Karnych Cornelia, takich jak Wackenhut. Normalne więzienia to koszmar, realne i nieeliminowalne zagrożenie zdrowia ludności. Gdyby chciano wyhodować nowy szczep gruźlicy odpornej na dostępne specyfiki, pewnie trudno byłoby wymyślić coś lepszego niż to, co samo wykluwa się w więzieniach. Niektórzy ludzie uważają że AIDS w tym kraju rozprzestrzeni się jak dżuma, a stan w więzieniach wcale nie poprawia sytuacji. Kiedy jedna z korporacji Wołkowa zdecydowała się na próbne przedsięwzięcie, polegające na tym, że zdrowi, motywowani więźniowie mogą prowadzić zdrowe, motywowane życie, a oprócz tego mają zapewnione szkolenie i perspektywę pracy, kto stanąłby jej na drodze?

- To tam opracowują emefy?

- I co motywuje tych modelowych więźniów? Interes własny. Zaczniemy od tego, że są zdrowi, w innym wypadku nie zostaliby wybrani. Trzymani w zwykłym więzieniu nie mieliby szans na ucieczkę przed chorobami. To raz. Dwa, kiedy się tam dostają widzą że wcale nie jest tak źle. Penitencjariusze to mężczyźni i kobiety, a jedzenie jest lepsze niż to, którym musi się obejść większość ludzi w tym kraju. Trzy, za swoją pracę są opłacani. Nie dostają fortuny, ale mogą złożyć pieniądze w banku albo posłać rodzinie. Jest trzydzieści kanałów satelitarnych, biblioteka wideo, mogą zamawiać książki i płyty kompaktowe. Ale o dostępie do sieci mowy nie ma. Żadnego surfowania. Żadnych telefonów. Za to grozi natychmiastowy bilet do gruźlicolandii. A jeśli chodzi o zajęcie, to mają tylko jeden wybór.

- Renderują emef?

- Cały. - Podaje jej manierkę. - Jak twoje stopy? Zbywa pytanie machnięciem ręki.

- W porządku, chyba że na nich staję.

- Jesteśmy na miejscu - mówi, wskazując przed siebie, poza dziób śmigłowca. - Ostateczny czynnik motywacyjny, który trzyma tu ludzi: Wołków. Zapewne jego nazwisko nigdy nie padło, ale jeśli siedzisz i jesteś Rosjaninem, a oni wszyscy, oczywiście, są to chyba wiesz, skąd wiatr wieje.

Pilot, którego twarzy nie widziała, ubrany w hełm, mówi coś po rosyjsku. Wśród trasków wyławia głos odpowiadający mu z ziemi.

Przed nimi zapala się pierścień światła.

- Nie rozumiem, jak to wszystko mogło zostać zorganizowane, tylko po to, żeby wspomagać sztukę Nory. Zresztą „jak” to chyba nie problem, ale „dlaczego”?

- Ogromna podaż siły roboczej w służbie władzy absolutnej. Mówimy o erze postsowieckiej, zgadza się? I o niezmiernym bogactwie prywatnym. Wuj Nory nie jest jeszcze Billem Gatesem, ale stawianie ich obok siebie to nie żart. Był na czele wielu zmian i w dużym stopniu udało mu się uniknąć rozgłosu w mediach. To coś na pograniczu czarnej magii. Zawsze miał znakomite kontakty z władzami, bez względu na to, kto rządził. Dzięki temu udało mu się przetrwać wiele burz.

- Poznałeś go?

- Byłem z nim w jednym pokoju. Mówił głównie Bigend. Tłumacze. Nie mówi po angielsku. Mówisz po francusku?

- Tak naprawdę to nie.

- Ja też nie. Nigdy nie żałowałem tego bardziej niż wtedy, kiedy on rozmawiał z Bigendem.

- Dlaczego?

Odwraca się i patrzy na nią.

- To było jak oglądanie kopulujących pajaków.

- Dogadali się?

- Wymieniono wiele informacji, ale prawdopodobnie nie miały wiele związku z tym, co naprawdę sobie powiedzieli, czy to przez tłumaczy, czy po francusku. - Cztery koła podwozia śmigłowca nieoczekiwanie dotykają betonu. Jest to równie miłe jak nagłe opadnięcie z trzech metrów w wózku golfowym. Zabolały ją stopy. - Zaraz cię przebadają, pozawijają, a potem Wołków chce cię zobaczyć.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Kiedy znikłaś, wsadził nas wszystkich w znacznie szybszy helikopter i przysłał tu.

- Jakich „nas”?

Ale już zdjął słuchawki. Nie słyszy jej, rozpinając pasy.

ZA PANA POLLARDA

Cayce stara się nie szurać zbyt wielkimi czarnymi kapciami, które włożyła na obandażowane stopy, kiedy wraz z WParkeUbrany idzie iorytarzem obok żółtych szafek. Na, jak mówi WParkeUbrany, kolację.

Ostatnią godzinę, czy coś koło tego (wciąż nie odnalazła zegar-ca), spędziła na badaniu lekarskim, starannym myciu pod prysznicem bandażowaniu stóp. Teraz znów ma na sobie spódniczkę ogólnego zastosowania i czarny kardigan, po tym jak WParkeUbrany powiedział, że włożenie czegoś wieczorowego na kolację to niezły pomysł.

Spódniczka ogólnego zastosowania, wraz z resztą ubrań i zestawem do makijażu, czekała na nią wyprana i złożona na jednym z łóżek zby chorych, w której odzyskała przytomność.

Śmiesznie czuje się w kapciach dostarczonych przez tę samąkobie-ę, która przyniosła zupę, ale pęcherze i bandaże wykluczały francu-;kie szpilki, a lekarz, chcący oszczędzić jej bólu przy zdejmowaniu za-nszowych butów, rozciął je.

- Jak nazywał się ten specyfik, który dała mi Dorotea?

- Rohypnol.

- Lekarz mówił, że to coś innego. Tak mi się przynajmniej wyda-e. „Środek stosowany w psychiatrii”?

- Powiedziano nam, że z hotelu zabrano cię do prywatnej kliniki, ‘otem miałaś zostać przeniesiona „w bezpiecznie miejsce”, co pewnie >znacza ten zakład. Z opisu środek wyglądał mi na rohypnol; miał prawić, żebyś się podporządkowała.

- Gdzie ona jest? Wiesz? Może oni wiedzą?

- Odnoszę wrażenie, że to niestosowne pytanie. Kiedy je zadajesz, patrzą na ciebie szklanym wzrokiem. Masz pojęcie, o co jej chodziło?

- Chciała się dowiedzieć, jak zdobyłam adres e-mailowy Stelli.

- Sam jestem tego ciekaw. - Wziął prysznic, ogolił się i przebrał w nowe, czyste dżinsy i czystą białą koszulę, choć wymiętą po wyjęciu z walizki. - Ale możemy tylko zgadywać, co ci wrzuciła do szklanki. Kelner myślał, że masz halucynacje.

- Miałam.

- Tam - mówi, pokazując schody biegnące w górę. - Nic ci nie jest?

Pokonuje kilka stopni i zatrzymuje się.

- Człapię w kapciach Myszki Minnie, jestem tak zmęczona, że nie pamiętam, co to znaczy być wypoczęta, *jet lag* wydaje mi się być luksusem dla tych, którzy nie podróżują za dużo, nogi bolą mnie jak po chłóście gumowym węzłem. Nie wspominam już, że nie mam skrawka skóry na podszwach stóp.

Pokonują trzy szeregi betonowych schodów. Cayce coraz mocniej wspiera się o balustradę. Wchodzą do brzydkiej betonowej tiary, którą zauważyła, uciekając.

Okna tego owalu osadzono między ukośnymi betonowymi ścianami. Kopuła sklepienia opada ku frontowi, stykając się z malowidłami ściennymi przedstawiającymi świat. Eurazja wśród heroicznej kośby, pod wzlatającymi międzykontynentalnymi raketami balistycznymi i sputnikami. Jaskrawe niegdyś barwy spełżyły jak na starym globusie, odkrytym na dusznym, zakurczonym strychu nad licealną salą gimnastyczną.

Bigend stoi w środku grupy ludzi. Unosi powitalnym gestem kieliszek.

- Czas poznać grubą rybę - mówi cicho WParcęUbrany, uśmiechając się i podając jej ramię. Wspiera się na nim, mając absurdalne wrażenie powtórki balu szkolnego, i ruszają razem.

- Witaj, Peter - mówi Bigend - wszyscy już wiemy, że to ty ją znalazłeś. - Ścisną dłoń WParcęUbranego, potem obejmuje i całuje Cayce, nie dotykając ustami jej policzków. - Martwiliśmy się o ciebie. - Jest zaróżowiony, kipi jakąś niepokojącą energią, której nigdy wcześniej nie przejawiał. Ciemny kosmyk opada mu na oczy. Odrzuca go w tył gestem zbyt buńczucznym, aby wróżył komukolwiek coś dobrego, po czym zwraca się do mężczyzny obok: - Andriej, to Cayce Pollard, kobieta, dzięki której się spotkaliśmy. Petera już znasz. Cayce, to Andriej Wołków. - Obnaża białe i niepokojąco liczne zęby.

Cayce spogląda na Wołkova i widzi Eichmanna na ławie oskarżonych.

Banalny, łysiejący mężczyzna w średnim wieku. Złote zauszki szkieł bez oprawek błyszczące na skroniach, ciemny garnitur, który za wysoką cenę nagradza właściciela niewidzialnością, biała koszula z kołnierzykiem jak z porcelany obleczona płótnem i krawat z grubego, lśniącego i gładkiego jedwabiu w kolorze bardzo ciemnego granatu.

Wołków ścisną jej dłoń. Gest jest rytualny, przelotny.

- Mojej angielszczyźnie wiele brakuje - mówi - ale muszę pani powiedzieć, że jest nam bardzo przykro, że została pani tak źle potraktowana. Mnie również jest przykro - i zwraca się do młodego człowieka, który był w opuszczonym mieszkaniu za Gieorgiewskim, kontynuując po rosyjsku.

- Żałuje, że nie może uczestniczyć w kolacji, ale ma ważne sprawy w Moskwie - tłumaczy młody człowiek, jego gęsta ruda czupryna jest o kilka odcieni jaśniejsza niż włosy WPar-kęUbranego. Również ma na sobie garnitur, ale wygląda na wypożyczony.

Wołków kontynuuje po rosyjsku.

- Stella Wołkowa także przeprasza za niewygody, które nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności pani wycierpiała. Byłaby tu dziś, ale, jak pani wie, obowiązki wobec siostry sprawiają, że powinna być w Moskwie. Obie panny Wołków z góry cieszą się na pani wizytę, po pani powrocie do Moskwy.

- Dziękuję - mówi Cayce, zauważając głębokie trójkątne nacięcie na prawej małżowinie usznej Wołkowa i słysząc szelest, z którym chirurgiczne nożyczki przecinały zamsz jej butów.

- W takim razie, do widzenia - żegna się Wołków. Odwraca się do Bigenda i szybko dodaje coś idiomatyczną francuszczyzną.

- Do widzenia - mówi automatycznie Cayce, gdy Wołków rusza do drzwi, dwaj młodzi mężczyźni w czarnych garniturach krok za nim. Trzeci oczekuje, aż Wołków zniknie z pola widzenia, po czym wychodzi za tamtą trójką.

- Sistiema - mówi Bigend.

- Co?

- Tych trzech. Rosyjska sztuka walki, dawniej zarezerwowana jedynie dla żołnierzy specnazu i ochroniarzy z KGB. Powstała z tańców kozackich. Coś zupełnie innego niż wschodnie sztuki walki. - Ma wygląd bardzo zdecydowanego dziecka, którego nikt nie potrafi powstrzymać przed rozwinięciem prezentów gwiazdkowych. - Ale nie przedstawiłem ci Siergieja Magomiedowa - mówi, wskazując tłumacza, który wyciąga dłoń.

- Spotkaliśmy się w studio - mówi młody, najwyżej dwudzie-stotrzyletni człowiek.

- Pamiętam.

- I Wiktora Marchwińskiego-Wyrwała - ciągnie Bigend, przedstawiając piątego członka grupy, wysokiego mężczyznę o bardzo starannie ostrzyżonych siwych włosach, ubranego w marynarkę z jedwabistych tweedów, zupełnie jak z wełny nie narodzonych jagniąt, idealny strój na wiejski weekend w Anglii, przynajmniej w mniemaniu paryskich gogusiów. Cayce wymienia z nim uścisk dłoni. Ma Wojtko-we, idealnie horyzontalne kości policzkowe. W prawym uchu ma małą słuchawkę.

- To przyjemność poznać panią - mówi. - Jestem, oczywiście, bardzo rad, że widzę tu panią, bezpieczną i w zadowalającej kondycji. Pozwoli pani, że dodam, iż jestem nowym szefem ochrony Andrieja Wołkowa i to właśnie pani muszę za to podziękować.

- Doprawdy?

Pojawiają się trzej mężczyźni w białych kurtkach kelnerskich i ciemnych spodniach, pchający stoliczki z nierdzewnej stali.

- Może pani pozwoli, że wyjaśnię to przy kolacji - mówi, wskazując okrągły stół, którego poprzednio nie zauważyła. Na białym obrusie zastawa na sześć osób. Dwaj kelnerzy manewrują stolikami, ale trzeci zdejmuje jedno nakrycie.

- Dla kogo to było? - pyta Cayce.

- Dla Boone'a - odpowiada Bigend. - Ale skorzystał z tego, że Wołków leci do Moskwy, i zabiera się z nim. Prosił, żeby ci przekazać, że żałuje.

Cayce patrzy na Bigenda, WParkeUbranego i szóste krzesło, i nic nie mówi.

*

- Andriej Wołków - mówi bez żadnych wstępów Marchwiński-Wyrwał, po tym jak zebrano głębokie talerze - jest obecnie najbogatszym człowiekiem w Rosji. Fakt, że nie jest to wiedza powszechna, najlepiej świadczy o niezwyklej randze tego człowieka. - Jedzą przy świecach, światło padające ze szczeliny pod sufitem przygaszono do bursztynowej poświaty. - Jego, że się tak wyrażę, imperium, powstało z wielu nieprzystających do siebie elementów. Było to nieuniknione i wiązało się z ostatnim, wyjątkowym i niezwykle chaotycznym okresem historii tego kraju. Jest strategiem o nieprzeciętnych umiejętnościach, lecz aż do niedawna nie mógł poświęcić wiele czasu czy energii ukształtowaniu tego, co pozyskał. Firmy i wszelkiego rodzaju nieruchomości były po prostu gromadzone, czekając na zaprowadzenie jakiegoś ładunku w tym gąszczu. Ten proces teraz następuje i z przyjemnością mogę oznajmić, że mam w nim swój udział. Powinna pani wiedzieć, że również pani ma w nim swój udział.

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób.

- No cóż, niełatwo to dostrzec, szczególnie pani. - Odczekuje, podczas gdy kelner dolewa mu białego wina. Cayce zauważa nad kołnierzem kelnerskiej kurtki skrawek czarnego tatuażu i przypomina się jej Damien. - On bardzo kochał brata - kontynuuje polski szef ochrony - i po zamachu zadbał, aby jego bratanice były bezpieczne i miały wszelkie wygody. Szczególnie poruszyła go sytuacja Nory, jak zapewne każdego z nas, i to za jego sugestią zainstalowano w szwajcarskiej klinice urządzenia do montażu filmów. Podczas dalszych wysiłków, mających doprowadzić do wyleczenia Nory, podejście do tego zagadnienia uległo pewnym podziałom...

- To było nieuniknione - wtrąca Siergiej Magomiedow, który być może wypił trochę za dużo w zbyt krótkim czasie - jako że system mający zapewnić bezpieczeństwo pannom Wołków opierał się na ścisłej tajności, podczas gdy mechanizm stworzony do upubliczniania twórczości nie. Anonimowość, filigranowanie, ewolucja strategii...

- Masz tu powód do chwały, Siergiej - rzuca lekko, ale jak się wydaje znacząco, Marchwiński-Wyrwał. - Wiele z tego sam wymyśliłeś.

- ...zawierały nieuchronne ryzyko ujawnienia - kończy Siergiej. - Twórczość wymagała zwrócenia w jakiś sposób uwagi widowni, a Stella Wołkowa z całego serca pragnęła, aby ta widownia miała wymiar globalny. W tym celu użyliśmy metody, z którą jest pani obznajomiona, i sami „znaleźliśmy” pierwsze segmenty.

- Wy?

Cayce i WParcęUbrany wymieniają spojrzenia.

- Tak. Również my czasem wskazywaliśmy ludziom właściwy kierunek. Ale niemal od początku wynik przekroczył nasze najśmielsze oczekiwania.

- Na waszych oczach rodziła się subkultura - wtrąca Bigend. - Eksplodująca subkultura.

- Nie spodziewaliśmy się takiego zasięgu - przytakuje mu Siergiej - ale również poziomu obsesji widowni czy też żądzy rozwiązania tajemnicy.

- Kiedy się w to włączyłeś, Siergiej? - pyta WParcęUbrany.

- W połowie 2000 roku, zaraz po tym, jak panny Wołków wróciły do Moskwy.
- Skąd cię ściągnęli?
- Z Berkeley. Byłem na prywatnym stypendium. - Uśmiecha się.
- Andriej Wołków był szczególnie przewidujący, dostrzegając zawnazas wazę informatyki - mowi Marchwiński-Wyrwał.
- A czym dokładnie się zajmujesz, Siergieju? - pyta Cayce.
- Siergiej odegrał znaczącą role przy tworzeniu tej pracowni - mowi Marchwiński-Wyrwał - jak również podczas organizacji filigranowania przez Sigil. Jesteśmy szczególnie ciekawi, jak udało się pani otrzymać adres, który wykorzystala pani do skontaktowania się ze Stellą. Infiltrując Sigil?
- Nie mogę wam powiedzieć - mowi Cayce.
- Czy to dlatego, że osiągnęła pani cel dzięki znajomościom pani ojca? A może przez niego samego?
- Mój ojciec nie żyje.
- Wiktorze, Cayce ma za sobą bardzo długi i wyczerpujący dzień - mowi Bigend i nagle Cayce zdaje sobie sprawę, że nigdy nie widziała, żeby tak długo milczał. - Może to nie najlepsza chwila.
- Cayce upuszcza widelec. Biała porcelana brzęczy głośno.
- Czemu pan powiedział to o moim ojcu? - pyta, patrząc na Marchwińskiego-Wyrwał.
- Ten chce odpowiedzieć, ale Bigend wchodzi mu w słowo.
- Uchylając rąbka tej uroczej staroświeckości, którą nas tu czarowano, powiem, że Wiktor i Siergiej reprezentują dwa źle skoordynowane szczytce wydziału bezpieczeństwa Wołkowa. Dodatkowo Wiktor wydaje się zapominać, że jest tu po to, aby przeprosić za niezdarność tego narządu.
- Nie rozumiem - mowi Cayce, unosząc widelec - ale masz rację, jestem bardzo zmęczona.
- Wydaję mi się, że mógłbym wytłumaczyć, jeśli Wiktor pozwoli
- powiada Siergiej.
- Ależ proszę - Polak odpowiada mu z uprzejmością i mordem w oczach.
- Stelli i Nory zawsze strzegły dwa działły bezpieczeństwa. Jeden to wydział podporządkowany grupie strzegącej samego Wołkowa. Ma ona korzenie w KGB, ale w takim samym znaczeniu jak Putin jest z KGB, najpierw prawnik, potem szpieg. Druga, przeważnie składająca się z moich kolegów, to mniej konwencjonalna organizacja, głównie działająca na bazie Internetu. Wiktora wprowadzono bardzo niedawno, ma zlikwidować poważny brak zrozumienia i łączności między dwoma działami. Pani pojawienie się na scenie, zasygnalizowane znalezieniem adresu stellanor, to jaskrawy dowód naszych problemów.
- Ale jaki to wszystko ma związek z moim ojcem?
- Po raz pierwszy zwrócili na ciebie uwagę - mowi Bigend - kiedy zasugerowałaś na fo-

rum, że twórca to może rosyjski mafioso. Wystarczyło rzucić jeden przykład, żeby trafić w czułe miejsce.

- Ale nie w nas bezpośrednio. To „czułe miejsce” to była para amerykańskich studentów, którą zaangażowaliśmy do przeszukiwania, czytania i zbierania komentarzy na temat emefów. Pani strona szybko okazała się najbardziej żywotnym i najciekawszym forum, i potencjalnie najbardziej niebezpiecznym.

- Płaciliście ludziom za podglądanie F:E:F?

- Tak. Niemal od początku. Wprowadziliśmy zasadę, że nie wolno im umieszczać wpisów, ale później odkryliśmy, że jeden z nich stworzył fikcyjną osobowość i często komunikował się z innymi na forum.

- Kto to? - pyta WParcęUbrany. - Nie, wolę nie wiedzieć.

- Cayce, kiedy zwróciłaś naszą uwagę, przesłano raport do tego bardziej tradycyjnego działu i wtedy właśnie pojawia się twój ojciec

- mówi Siergiej. - Zostałaś odszukana przez twojego providera, ustalono twoje dane, adres i lokalizację. Wtedy ktoś skojarzył coś z bardzo głębokiej przeszłości. Zajrzano do archiwum w Moskwie, znaleziono teczkę twojego ojca i okazało się, że jesteś jego córką. Sprawy tym bardziej się skomplikowały, że jak to w przypadku tradycjonalistów... - przerywa i uśmiecha się - zapewne winienem po prostu rzec: jak to w przypadku Rosjan... ich podejrzewania nabrały isticie barokowego rozmachu; oto znów mieli przed sobą tego błyskotliwego człowieka, starego przeciwnika, który ponoć dawno odszedł na emeryturę... Ale nie mogli go zlokalizować. Przepadł. Znikł. 11 września. Ale czy nie żyje? Nie? Gdzie dowód? Podjęli pewne kroki. - Na chwilę milknie. - Dostano się do twojego mieszkania i zainstalowano urządzenia monitorujące łącze telefoniczne i internetowe.

- Kiedy to zrobiono? - pyta WParcęUbrany.

- W tydzień po wpisie, który zwrócił naszą uwagę.

- Ktoś był w moim mieszkaniu w ciągu ostatnich dwóch tygodni

- mówi Cayce.

- Rutynowa kontrola urzędzeń - wtrąca Marchwiński-Wyrwał

- na wypadek dekonspiracji.

- Zapiski twojej psycholog skopowano - ciągnie dalej Siergiej.

- Absolutnie nie miała pojęcia o tym, co się stało. Dokonano włamania, nie przekupstwa. Ale to wszystko były reakcje tradycjonalistów, nie nasze. My wynajęliśmy Dorotę Benedetti, żeby cię śledziła, zarówno na stronie, jak i poprzez bieżące kontakty z firmami, dla których pracowałaś w Nowym Jorku.

- Czemu ją? - pyta znów WParcęUbrany. Wszyscy na niego patrzą. Wzrusza ramionami.

- Tradycjonałści mieli kontakty z jej poprzednim pracodawcą - wyjaśnia Siergiej. - Uważali, że ją rozumieją. My uważaliśmy, że ona rozumiała nas.

- Benedetti pomostem między kulturami - mówi z uśmiechem Bigend, popijając wina.

- Dokładnie. A kiedy ostatnio stało się jasne, że przyjeżdżasz do Londynu pracować dla Blue Ant, skojarzono jeszcze jeden fakt. Również pan Bigend wzbudził naszą uwagę, gdyż nie dało się nie zauważyć jego bardzo twórczych analiz społeczności sieciowej skupionej wokół emefów i jej zachowań. Zarejestrowaliśmy to szybko przez Si-gil. Nie mogliśmy pozostać obojętni na zainteresowania Blue Ant i Hubertusa Bigenda. To oczywiste.

- Dziękuję - Bigend uśmiechnął się.

- To, że zaczęliście działać razem, w ogóle nam się nie spodobało. Tradycjonalistom jeszcze mniej. Pozwoliliśmy im przejąć Bene-detti i dostała rozkaz przerwać twoje związki z Blue Ant. Wykorzystała swoich ludzi do monitorowania łącza telefonicznego i internetowego w twoim londyńskim mieszkaniu.

- To ten człowiek z Cypru? - pyta Cayce.

- Tak, tradycjonalista. Pośrednik.

Cayce patrzy kolejno na Siergieja, Marchwińskiego-Wyrwała i Big-enda, a potem na WParcęUbranego, czując, jak wiele ostatnich wydarzeń w jej życiu przechodzi dyslokację, układając nowy wzór, zgodny z właściwym paradygmatem minionych zdarzeń. Nie jest to miłe wrażenie; jakby Soho samo z siebie wpełzło na Primrose Hill, bo przekonało się, że tam jest jego miejsce i nie ma innego wyboru. Ale, jak uczył ją Win, spisek, na który się natykamy, rzadko dotyczy nas; my jesteśmy tylko trybikami wielkiej maszyny.

Kelnerzy sprzątają nakrycia po daniu głównym i stawiają mniejsze kieliszki, nalewając wino deserowe.

Dociera do niej, że kolacja odbyła się bez żadnych toastów, a zawsze słyszała, że to specjalność rosyjskich bankietów. Ale to, być może, nie jest rosyjski bankiet. Być może to bankiet w kraju pozbawionym granic, wymarzonej ojczyźnie Bigenda, kraju nie mającym lustrzanego odbicia, w którym można by się znaleźć, ale za to takim, w którym niewidzialna ręka rynku zredukowała wszystkie przeżycia do wariacji na ten sam temat, różnych tylko ceną. Lecz kiedy tak właśnie myśli, Marchwiński-Wyrwał stuka łyżeczką o kieliszek.

- Chciałbym wznieść toast na cześć ojca panny Pollard, świętej pamięci Wingrove'a Pollarda. Tym z nas, którzy pamiętają, jak to było, łatwo przez moment wpaść w stare koleiny, widzieć świat przez pryzmat starych rywalizacji. Sam tak wcześniej postępowałem i muszę za to przeprosić. Gdyby nie tacy ludzie jak ojciec panny Pollard, strażnicy demokracji i wolnego rynku, gdzie dzisiaj bylibyśmy? Z pewnością nie tu. Również ta instytucja nie służyłaby obecnemu celowi, wspomagając rozwój sztuki, równocześnie polepszając byt i przyszłość tych, wobec których los był mniej łaskawy. - Przerywa, rozgląda się wokół i Cayce zastanawia się, co on dokładnie robi i dlaczego? Czy w ten sposób tuszuje swój błąd, to że dał jej w kość? - Tacy ludzie jak Wingrove Pollard, moi przyjaciele, dzięki swojej długiej i pełnej determinacji walce o wolność, umożliwili w końcu ludziom pokroju Andrieja Wołkowa zajęcie miejsca w pierwszym szeregu współzawodnictwa z innymi wolnymi ludźmi. Bez takich ludzi jak Wingrove Pollard, Andriej Wołków mógłby dziś gnić w więzieniu sowieckiego reżimu. Za Wingrove'a Pollarda!

I wszyscy, nie wyłączając Cayce, powtórzyli te trzy ostatnie słowa, unosząc kieliszki i pijąc pod spłowiałymi malunkami międzykontynentalnych rakiet balistycznych i sputników.

Kiedy W Parke Ubrany i Bigend wychodzą z Cayce, asystując jej w drodze do domku gościnnego, przeznaczonego dla przyjezdnych naukowców, Marchwiński-Wyrwał przeprasza pozostałych i odciąga ją na bok. Nie wiedzieć skąd w jego rękach pojawia się duży prostokątny przedmiot w pokrowcu z delikatnej, beżowej wełny, gruby na jakieś siedem, może osiem centymetrów.

- Andriej Wołków pragnąłby to pani przekazać - mówi. - To tylko symboliczny dar. - Wręcza jej przedmiot. - Jeszcze raz przepraszam za wcześniejsze nalegania. Gdybyśmy wiedzieli, skąd pani otrzymała adres, moglibyśmy naprawić nieszczelność w zabezpieczeniu pańien Wołków. Sigil przysparza nam wielu zmartwień. Ale Siergiej twierdzi, że ma zasadnicze znaczenie dla przedsięwzięcia Nory i Stelli.

- Zasugerował pan, że mój ojciec może wciąż żyć. Nie wierzę w to.

- Przykro mi to mówić, ale ja również. Nasi ludzie w Nowym Jorku zbadali sprawę bardzo uważnie i nie udało im się udowodnić, że nie żyje, aleja osobiście wierzę, że nie ma go wśród żywych. Czy pani na pewno nie pomoże nam w sprawie Sigil?

- Nie mogę panu nic powiedzieć, bo nie wiem. Ale Sigil nie ma żadnego słabego punktu ani nie było żadnego przecieku. Ktoś ze znajomościami w środowiskach wywiadu wyświadczył mi przysługę, ale nie wiem, jak tego dokonał. Niemniej jednak nie zajęło mu to wiele czasu.

Marchwiński-Wyrwał zwięża oczy.

- Echelon. Oczywiście. - Uśmiecha się. - Przyjaciół pani ojca. Tak jak podejrzewałem.

Cayce nic nie odpowiada.

On sięga do kieszeni marynarki i wyjmuję zwykłą białą kopertę.

- To również dla pani - mówi. - Tradycjoniści potrafią być przydatni. Nasi ludzie w Nowym Jorku są bardzo utalentowani, niezwykle sumienni i dysponują wieloma możliwościami działania.

Kładzie kopertę na pudle, które ona wciąż trzyma przed sobą jak tacę.

- Co to jest?

- Wszystko, co wiadomo o ostatnim przedpołudniu pani ojca, po tym jak wyszedł z hotelu. Dobranoc, panno Pollard.

Odwraca się i wraca między cienie owalnego pomieszczenia, gdzie Siergiej usiadł z powrotem przy stoliku oświetlonym świecami, zdjął krawat i zapala sobie papierosa.

JEGO NIEOBECNOŚĆ

Co prawda więźniowie pracowni renderującej Wołkowa nie noszą jednolitych strojów, ale wszyscy wyglądają tak, jakby korzystali z tej samej garderoby co obsada *Przyjaciół*. Cayce napotyka kilku z nich, gdy wychodzi z Bigendem i WParkeUbrany, i kilku kolejnych w drodze do domku gościnnego.

Bigend mówi, że ogrodzenie, które pokonała, zbudowano niedawno, utrudniając dostęp nastoletnim złodziejazkom z okolicznych wsi.

Dodaje jeszcze, że zwykle przebywa tu około sześćdziesięciu ludzi, spełniając przy stołach montażowych swój obowiązek wobec społeczeństwa rosyjskiego, po tym jak wcześniej przeszli kurs montażystów. Surowy materiał dostarczano ze studia w Moskwie.

- Jakie przestępstwa popełnili? - pyta Cayce, szurając kapciami. WParkeUbrany niesie prezent Wołkowa.

- Nic zagrażającego zdrowiu i życiu - tłumaczy Bigend. - To zasada. Generalnie po prostu popełnili błąd.

- Jaki błąd?

- Źle ocenili wysokość łapówki albo tego, kto ją dawał. Zapłacili nie temu urzędnikowi, co trzeba. Przysporzyli sobie zbyt potężnego wroga. Ludzie Siergieja od rekrutacji śledzą wokandy sądowe, wyroki... Najważniejsze to znaleźć ich, zanim wylądują za bramą standardowego więzienia. Zanim tu przyjadą, przechodzą badania lekarskie i psychologiczne. Podejrzewam, że nie wszyscy z wynikiem pozytywnym.

Ćmy wirują wokół światła na stalowym pręcie obok betonowej ścieżki, jest jak w lecie w kampusie zabiedzonego miejskiego col-lege'u.

- Co się z nimi dzieje po wyjściu? - pyta.

- Nie sądzę, aby do tej pory któryś z nich wyszedł. To więzienie działa od niedawna, a wyroki przeważnie sięgają od trzech do pięciu lat. Wszystko tu organizuje się na bieżąco. Jak wiele rzeczy w tym kraju.

Ścieżka prowadzi do sosnowego młodnika, ocieniającego parterowy budynek z czerwonej cegły, przypominający niewielki motel. Czworo drzwi i tyle samo okien. Białe koronkowe firanki zasłaniają ciemne okna, ale nad trzema drzwiami palą się światła.

- Wyglądasz na wykończoną - mówi WParkeUbrany, wręczając jej pudło. - Wyśpij się.

- Wiem, że jesteś wyczerpana - mówi Bigend - ale muszę zamienić z tobą choć parę słów.

- Nie daj się, idź spać - radzi WParkeUbrany. Odwraca się i wchodzi do siebie. Światło zapala się za frankami.

- Drzwi nie są zamykane na klucz - mówi Bigend, wchodząc pierwszy drzwiami po lewej. Plafoniera rozjaśnia się światłem. Cayce wchodzi za nim, czując szczypanie obandażowanych stóp.

Kremowe ściany, brązowe płytki podłogowe, ręcznie tkany armeński dywan, brzydkie meble politurowane na ciemno jak z lat 40. Cayce kładzie pudło na toaletce z lustrem, mającym po bokach wzorki ze szkła mlecznego.

W powietrzu unosi się zapach środków dezynfekcyjnych, a może owadobójczych.

Nadal trzyma w ręce kopertę. Odwraca się do Bigenda.

- Boone czytał moją pocztę.

- Wiem - mówi Bigend.

- Ale czy wiedziałeś wcześniej?

- Dowiedziałem się dopiero, kiedy zadzwonił z Ohio, mówiąc, że musimy natychmiast lecieć do Moskwy. Został zabrany gulfstreamem mojego przyjaciela i dostarczony do Londynu. Przyznał mi się podczas lotu.

- To dlatego nie został?

- Nie. Wyjechał, bo nie chciałem już dłużej z nim współpracować.

- Nie chciałeś? To znaczy, nie chcesz?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo pozuje na sprawniejszego, niż naprawdę jest. Wolę ludzi, którzy naprawdę są sprawniejsi, niż im się wydaje.

- Gdzie Dorotea?

- Nie wiem.

- Pytałeś?

- Tak. Raz. Powiedzieli, że nie wiedzą.

- Wierzysz im?

- Myślę, że lepiej zostawić to bez pytań.

- Co chciała zrobić?

- Zmieniła front. Kolejny raz. Chciała zatrzymać to londyńskie stanowisko, ale im powiedziała, że będzie pracować również dla nich. Oczywiście, przedyskutowałem to z nią. Ale kiedy twoja poczta dotarła do Stelli Wołkowej i Stella odpowiedziała, wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Ochroniarze Wołkowa monitorują przecież wszystko na argaz.ru. Natychmiast skontaktowali się z Doroteą, która podczas, jak się spodziewam, bardzo intensywnej wymiany zdań po raz pierwszy zdała sobie sprawę, dla kogo w gruncie rzeczy pracuje - i kogo zdradziła, przechodząc na moją stronę. Musiała również zrozumieć, że gdyby udało się jej pierwszej dotrzeć do ciebie i odkryć, jak otrzymałaś ten adres, mogłaby zaoferować im coś bardzo ważnego. Mogłaby nawet dostać nagrodę, być może zatrzymując również pracę w Blue Ant.

- Ale skąd wiedziała, że polecałam do Moskwy?

- Wyobrażam sobie, że natychmiast najęła zastępców na miejsce tamtych dwóch, a może od początku miała ich więcej. Wątpię, aby kiedykolwiek zaprzestała cię śledzić, nawet po Tokio. Spodziewała się, że nadal będzie zapotrzebowanie na raporty z twojej działalności. W każdym razie nie jest kobietą obdarzoną wielką wyobraźnią. Jeśli widzieli cię odlatującą z Heathrow, wiedzieli, że wylądujesz w Moskwie. Z łatwością zaaranżowała dalsze śledzenie cię w Rosji. Nie przez ludzi Wołkowa, rzecz jasna. Nadal miała znajomości z poprzedniej roboty. - Wzrusza ramionami. - Pisała na twoim forum, podając się za kogo innego. Wiesz o tym?

- Tak.

- Zdziwiający. Miała równie blade pojęcie na temat twórcy jak my, aż została poinformowana, żeby łatwiej mogła cię powstrzymać. Ale ty śpisz na stojąco, no nie? Zobaczymy się jutro.

- Hubertusie? Boone'owi nie udało się nic osiągnąć w Ohio?

- Nic. Nazwy domeny dowiedział się z twojego e-maila do Stelli. Miał oczywiście cały adres, ale nic mu to nie dawało. Donosząc ci, że zdobył domenę, myślał, że zdobędzie uznanie w moich oczach. Ale wiedząc, jak szybko musimy działać, był zmuszony powiedzieć mi

prawdę, całą prawdę. - Znow wżrusza ramionami. - Ty też nie powiedziałaś mi, co zamierzasz, ale przynajmniej nie kłamałaś. Tak przy okazji, jak zdobyłaś ten adres?

- Przez człowieka z koneksjami w NSA. Absolutnie nie mam i nie będę miała pojęcia, jak go zdobył.

- Kiedy tylko cię poznałem, wiedziałem, że stawiam na właściwego konia.

- Wiesz, gdzie pojechał Boone?

- Pewnie do Tokio. Do tej swojej dziewczyny, projektantki, u której się zatrzymał, kiedy ty tam byłaś. Poznałaś ją?

- Widziałam jej mieszkanie - mówi po pauzie Cayce.

- Myślę, że tak naprawdę to chodziło mu o pieniądze. - Krzywi się. - Zawsze w końcu się przekonuję, że ta cała internetowa zgraja myśli tylko o tym. Dobranoc.

Wychodzi.

Cayce siada na oranżowej kapie z lat 60. i otwiera białą kopertę Wiktora Marchwińskiego-Wyrwała.

Są w niej trzy strony niebieskiego, uszlachetnionego papieru z podsumowaniem jakiegoś obszerniejszego dokumentu. Czyta szybko, męcząc się z dziwną składnią tłumaczenia, ale nie rozumie.

To opis ostatnich godzin ojca w Nowym Jorku.

Czyta po raz drugi.

Za trzecim razem zaczyna pojmować.

Win przyjechał do Nowego Jorku na spotkanie z konkurencyjną firmą, zajmującą się produkcją barierek do rozgradzania tłumów. Niebawem miał otrzymać patent i nie był usatysfakcjonowany propozycjami firmy, z którą do tej pory współpracował. Ponieważ obawiał się komplikacji prawnych w razie zmiany wspólnika, umówił się na 11 września z prezesem tej konkurencyjnej firmy w jego biurze przy 90. West Street. Mieli wszystko przedyskutować.

Wziął taksówkę, tak jak uparcie twierdził portier Mayflower.

Cayce siedzi i patrzy na numer rejestracyjny taksówki, nazwisko kambodżańskiego kierowcy, prawo jazdy, numer telefonu.

Wypadek zdarzył się w Village, taksówka jechała na południe do Christopher.

To była drobna stłuczka, drugi pojazd, dostawczy van, bardziej ucierpiał. Wina była po stronie taksówkarza, który prawie nie znał angielskiego.

Jak blisko tego miejsca przejechała, udając się na spotkanie? I czy Win zwrócił uwagę na wieżowce, kiedy wysiadał z taksówki tamtego pięknego, przejrzystego przedpołudnia?

Dał taksówkarzowi pięć dolarów i wsiadł do wolnej limuzyny, którą złapał. Zaniepokojony Kambodżanin zanotował numery. Wiedział, że pasażer zdaje sobie sprawę, iż kolizja była z jego winy.

W sądzie skłamał, upiekło mu się i został zwolniony, a potem kolejny raz skłamał policji, która odpytywała taksówkarzy, szukając Wina, i skłamał jeszcze raz - detektywom wynaję-

tym przez Cayce. Że nie zabrał pasażera spod Mayflower. Że nie widział człowieka ze zdjęcia.

Cayce patrzy na nazwisko dominikańskiego kierowcy drugiego samochodu. Kolejne cyfry. Nazwisko, adres, numer telefoniczny do wdowy po nim, w Bronksie.

Limuzynę wydobyto z gruzów trzy dni potem, razem z kierowcą.

Był sam.

„Wciąż brak dowodu - podsumowuje nieznana osoba, składająca nieporadnie przetłumaczony raport - że Win zginął, ale szeroki materiał dowodowy wskazuje, iż przebywał w miejscu lub w pobliżu katastrofy. Dodatkowe śledztwo wskazało, że nigdy nie pojawił się przy 90. West”.

Z zaschniętej róży opada płatek.

Ktoś lekko stuka do drzwi.

Cayce wstaje sztywno, nie myśląc, otwiera drzwi, w dłoni trzyma niebieskie kartki.

- Czas na imprezkę - mówi WParcęUbrany, trzymając litrową butelkę wody. - Przypomniałem sobie, iż cię nie ostrzegłem, że tu lepiej nie pić wody z kranu. - Jego uśmiech gaśnie. - Co jest?

- Czytam o moim ojcu. Poproszę o wodę.

- Znaleźli go? - Z korespondencji Cayce zna historię zniknięcia Wina. Idzie do łazienki, skąd po chwili słycać plusk nalewanej do kubka wody. Wraca i podaje go Cayce.

- Nie. - Pije, krztusi się, zaczyna płakać, powstrzymuje się od łez. - Ludzie Wołkowa próbowali go znaleźć i dowiedzieli się dużo więcej od nas. - Ale tu też go nie ma - podnosi niebieskie kartki - tu też go nie ma. - Znów wybucha płaczem, a WParcęUbrany obejmuje ją ramieniem i nie wypuszcza z uścisku.

- Znienawidzisz mnie - mówi, kiedy Cayce się uspokaja. Ona podnosi wzrok.

- Dlaczego?

- Bo jestem ciekaw, co ten polski rzecznik prasowy Wołkowa dał ci na pamiątkę. Wygląda na zestaw noży do steków.

- Dupek - mówi Cayce. Pociąga nosem.

- Nie otworzysz?

Odkłada zmięte kartki i ogląda beżowe skrzydełko pokrowca, które, jak się okazuje, zabezpieczono dwoma złożonymi zatrzaskami. Unosi je, zsuwa materiał.

To wąska dyplomatka od Louisa Vuittona, lśnią złożone zatrzaski. Cayce wpatruje się w nią.

-* Może tak ją otworzysz - mówi WParcęUbrany.

Otwiera. Widzi ciasno upakowane pliki sztywnych nowych banknotów w białych banderolach.

- Co to?

- Setki. Nowiutkie, ułożone numerami. Pewnie z pięć tysięcy.

- Dlaczego?
- Oni lubią okrągłe liczby.
- Chodzi mi o to, dlaczego mi to dali?
- Dali ci.
- Nie podoba mi się to.
- Możemy wystawić na aukcję internetową. Przyda się każdemu gangsterowi w Miami.
- O czym ty mówisz?
- O dyplomatce. Jest nie w twoim stylu.
- Nie wiem, co z tym zrobić.
- Porozmawiamy o tym jutro. Musisz się wyspać.
- To absurdalne.

- To Rosja. - Uśmiecha się szeroko. - Po co sobie truć dupę? Znaleźliśmy twórcę.

Cayce patrzy na niego.

- Znaleźliśmy, no nie?

WParkeUbrany zostawia jej wodę.

Cayce czubkiem palca zamyka dyplomatkę i nasuwa beżowy pokrowiec. Idzie z wodą do łazienki, przepłukać usta po umyciu zębów.

Siadając na łóżku, zdejmuje kapcie i widzi, że bandaż na lewej stopie trochę nasiąknął krwią. Kostki u nóg spuchły. Zdejmuje kardigan, ściąga przez głowę spódniczkę i rzuca jedno i drugie na dyplomatkę, niesmaczną tacę z gotówką.

Odrzuca kape, przekręca kontakt, kulejąc, wraca do łóżka, wczołguje się pod przykrycie i naciąga pod szyję szorstką poszwę. Bielizna pościelowa ma zapach jak w domu letniskowym na początku sezonu, długo po ostatnim wietrzeniu. Leży nieruchomo, wpatrując się w ciemność ożywianą tylko odległym buczeniem samolotu.

- Nie trafili na żaden twój ślad, co? Aleja wiedziałam, że umarłeś. Jego nieobecność staje się w jakiś sposób nim samym.

Matka raz powiedziała, że kiedy drugi samolot uderzył w wieżowce, ogromny smutek Wina, osobisty i zawodowy wstyd z powodu tego, co się stało, osiągnął taki poziom, że być może przestał istnieć, tak protestując przeciwko temu niezwykle łatwemu, straszliwemu przełamaniu obrzeża. Cayce nie wierzy w to wytłumaczenie, ale teraz wywołuje u niej uśmiech.

- Dobranoc - mówi ciemności.

43.
E-MAILE

Mój otumaniony ze szczęścia brat, po kolana w brudnych starych rurach w galerii Priona, przesyła ci wielkie dzięki. Powiedziałam mu, że dostałaś to, co dostałaś, od rosyjskich gangsterów i postanowiłaś się tego pozbyć, a on wybałuszał na mnie oczy i rozdziawił japę. (Potem zaczął się martwić, że są nieprawdziwe, ale Ngemi, któremu amerykańscy kolekcjonerzy często płacą w gotówce, przekonał go, że niepotrzebnie się łamie). To precudownie z twojej strony, bo wyglądało na to, że będzie musiał zrezygnować ze swojej nory i wprowadzi się do mnie, żeby mieć z czego zapłacić za to rusztowanie, a to brudne, linijące prosię. Było tego więcej, niż potrzebował na rusztowanie, ale wykorzystał resztę, wynajmując dodatkowo wielki ekran plazmowy. Ustalamy teraz z Prionem datę wernisażu i musisz przyjechać, mowy nie ma. Prion ma teraz jakąś umowę z rosyjskim napojem jogurtowym, który mają tu wprowadzić, kupionym chyba przez Japończyków. Wiem o tym, bo przerabiamy to teraz na szkoleniach w pracy. No i dlatego Wojtek trzyma go w chłodziarce w galerii - flaki się wywracają! Pewnie będzie próbował nas tym częstować na wernisażu, ale MOWY NIE MA! No, więc tajemniczy film internetowy dołuje na barometrze topowym, ruski jogurt szybuje, że hej, tak samo jak jeden ruski magnat naftowy; że niby taki zaskakująco kulturalny, „alternatywny”, sponsor a la Saatchi, żaden nuworysz, mafioso czy inna świnią. Właśnie to każą mi teraz rozgłaszać w klubach. Taki los. W dzień wciąż robię kapelusze. Baw się dobrze w Paryżu! Magda

Naprawdę, kochanie, jestem pewna że to nielegalne. Przecież na pudełku FedEx-u jest napisane z boku, że nie wolno przysyłać gotówki. Ale doszła, bardzo ci dziękuję. I jest akurat jak znalazł, bo adwokaci mówią, że możemy teraz udowodnić obecność Wina w godzinie zamachu, i że to automatycznie pociągnie prawne uznanie go za zmarłego, co oznacza koniec kłopotów z ubezpieczeniem i emeryturą. Ale wszystkie te zabiegi mogą zabrać nawet miesiąc, tak że bardzo się cieszę, iż mam to w międzyczasie. Mówią, że wszystko, co im przekazałaś, jest prawdą, do ostatniej kropki, i są bardzo ciekawi, jak się tego dogrzebałaś, po tym jak policja i ta agencja detektywistyczna okazali się bezradni. Wyjaśniłam im, na czym polega nasza praca w Rose of the World. No i, to jasne, że twój ojciec musiał cię wspomóc, abyś mogła otrzymać tak dokładny opis jego ostatniej godziny, ale uszanuję twoją wolę niedzielenia się ze mną tym, co wiesz, chociaż mam nadzieję, że kiedyś to zrobisz. Twoja kochająca matka, Cynthia

Cześć, Cayce Pollard! Żałujemy, że nie udało się nam spotkać, kiedy tu byłaś, ale chciałam ci podziękować za zarekomendowanie firmie Judy Tsuzuki. Spotkaliśmy się dziś z nią, zgodnie z sugestią HB po tym, jak się z nim skontaktowałaś, i oczywiście coś dla niej znaj-

dziemy. Jej entuzjazm wobec miasta (i jej chłopaka!) jest naprawdę zniewalający i jestem przekonana, że bez względu na to, co będzie dla nas robić, wniesie wiele świeżości. Pozdrawiam, Jennifer Brossard, Blue Ant, Tokio (do wiadomości: HB)

Pamiętam go; wciąż mówiłaś, że umieszcza zabawne wpisy na forum. I to nie gej? Producent muzyki z Chicago? I nie lichwiarz, jak rozumiem? (Jeśli nie lichwiarz, to jak, że spytam wścibsko, stać cię na Paryż?) Muszę ci powiedzieć, że wczoraj widziałam nadlichwiarza we własnej osobie, w CNN. Siedział między jakimś rosyjskim multimiliardem i naszym ministrem spraw wewnętrznych, i wyglądał, jakby właśnie pochłoniął wnętrności czegoś niewinnego, o nóżkach jeszcze nie porosłych włosiem; bezgranicznie zadowolony z siebie. A tak w ogóle, kiedy wracasz do kraju? Mniejsza z tym! Baw się dobrze! Margot

Droga Cayce, oczywiście, że w literaturze medycznej spotyka się przypadki ustąpienia reakcji panicznej pod wpływem dużego stresu, chociaż daleko do zrozumienia tego mechanizmu. O „sowieckich środkach psychotropowych” nie mam pojęcia. Pytałam znajomego w Niemczech, który pracował jako ochotnik przy leczeniu ofiar Czernobyla. Powiedział, że wszystkie substancje odpowiadające temu opisowi to zapewne środki służące torturowaniu i zwykle składają się z chemikaliów przemysłowych, których zażycie jest w najwyższym stopniu niewskazane. Ponura sprawa. Mam nadzieję, że nie zażyłaś tego dużo, bez względu na to, co to było. Jeśli chodzi o ustąpienie reakcji panicznej, to radzę po prostu zaobserwować, co z tego wyniknie. Jeśli nadal będziesz czuła potrzebę porozmawiania o tej sprawie, to mam kilka wolnych terminów jesienią. Pozdrawiam, Katherine McNally

Tu wszystko skończone, pakowanie do wyjazdu. Cudownie było się z tobą spotkać. Peter jest naprawdę fajny i to ładnie z waszej strony, że wytrzymaliście z Mariną, chociaż pieprzyła aż miło, i to cały czas. Zwłaszcza ty byłaś w porządku, bo wiedziałaś, że powiedziałem jej, żeby spływała po tej sprawie ze sztukasem, ale nigdy nie nabijałaś się ze mnie z tego powodu. Jak pewnie zorientowałaś się na miejscu, nie miałem żadnych szans na dalsze kręcenie bez łapówek. Jestem pewny, że gdybym twardo trzymał się zasad, nie wywiózłbym stąd kawałka taśmy. Teraz czuję się trochę większym barachłem moralnym niż zwykle, ale z drugiej strony wiem, że skręciwszy to, co skręciłem, poszerzyłem naszą wiedzę o historii. Uporządkuję sobie wszystko po powrocie do Londynu, kiedy siądę do wstępnego montażu. Ty wracasz z Paryża, no nie? Twój Polak ma wernisaż w galerii tego Billy’ego Jakmutarn z BSE i on, i jego siostra mówią, że musisz przyjechać, że mowy nie ma. Poznałaś tę jego siostrę? Nadużywa henny i ma piękną zderzakę, rozrywkowa dziewczyna, zwierzątek od jakich zaroilo się po upadku muru berlińskiego. Chyba mnie kręci! Damien

Cześć! Kiedy znów przyjedziesz spotkać się z nami? Ten segment, który widziałaś,

wkrótce będzie zrobiony. Wciąż kursuje między uniwersytetem i nami. Nora nic nie mówi, ale czuje, że segment wkrótce pójdzie w świat. Mamy nadzieję, że ci się spodoba! Stella

Cayce nadal ma iBooka, ale nigdy nie używa go do sprawdzania i wysyłania poczty. Trzyma go pod hotelowym łóżkiem, obok dyplomatki od Louisa Vuittona, która, chociaż ani razu nie była z nią na zakupach, ani gdzie indziej, zupełnie jej nie przeszkadza. Nie przeszkadzał jej też cały dzień z Tommym w Galleries Lafayette w zeszłym tygodniu i nawet ludzika Michelin rejestruje teraz bez wrażeń. Zastanawia się, czy ta zmiana nie wpłynie na jej zdolność oceny znaków towarowych, ale nie sposób poznać odpowiedzi na to pytanie przed powrotem do pracy, a wcale się do tego nie spieszy.

Peter mówi, że są na wakacjach i że sam nie miał wakacji od lat.

Różne wytwórnie płytowe i grupy próbują go ściągnąć, ale on najzwyczajniej nie odpowiada na wezwania. Uwielbia Paryż i mówi, że nie był tu od czasu, kiedy był kimś innym, bardzo głupim.

Cayce wątpi, aby kiedykolwiek był głupi.

Co drugi dzień sama chodzi do kafejki internetowej i sprawdza pocztę. Ma nowy adres, z rozszerzeniem.uk, który załatwił jej Wojtek.

Myśli o Bigendzie i Wołkowie, i zastanawia się, czy Bigend mógł od początku wiedzieć, że twórca, a tak naprawdę twórczynie, to bratanice Wołkowa, ale nieodmiennie wraca do stwierdzenia Wina, że zawsze trzeba zostawić nieco miejsca na zbieg okoliczności.

Pojechali razem odwiedzić Stellę i Norę w tamtym moskiewskim pustostanie, a potem wykopalisko, które Damien skończył filmować i gdzie wprawiała w zdumienie samą siebie, bo nie wiedzieć po co zeskoczyła do wykopu i z furią odrzucała łopatą szary muł i kości, zalewając się łzami. Ani Peter, ani Damien nie pytali o powód tych łez, ale Cayce myśli teraz, że gdyby spytali, odpowiedziałyby, że oplakuje stulecie, minione, a może już to obecne, sama nie wie.

A teraz jest późno, zbliża się wilcza godzina, kiedy dusza się oddala. Ale ona wie, zwinięta w kłębek za nim, w tym ciemnym pokoiku, słysząc dobiegające ich płynne dźwięki Paryża, że jej dusza powróciła, przynajmniej na razie, ściągnięta na kołowrotek srebrnej nici, i jest ciepło zakotwiczona.

Całuje jego nieruchome plecy i sama zapada w sen.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wielu przyjaciołom, którzy dodawali mi odwagi i zachęcali do pracy nad tą powieścią, bardziej przepełnioną wydarzeniami, niż zwykle bywało. Jack Womack, któremu jest poświęcona, uratował ją nieskończoną ilość razy przed wrodzonym brakiem wiary autora, okazując przy tym świętą cierpliwość. Susan Allison i Tony Lacey, odpowiednio z Penguin Putnam i Penguin UK, kolejny raz okazali się cudowni od początku do końca, jak i Martha Millard, moja agentka literacka. Dziękuję Douglasowi Couplandowi za kawę, wysoko nad Shinjuku, i ogólnie za świeże spojrzenie na Tokio, Eileen Gunn za podzielenie się drobiazgowymi wspomnieniami z Moskwy, Jamesowi Dowlingowi za zapoznanie mnie z kalkulatorem Curta, OCD za opowieść o kacze w twarz, Alanowi Nazerianowi za przyczepę mieszkalną Baranova, Johnowi i Judith Clute'om za gościnność, która na wiele lat otworzyła mi szeroko wrota Londynu.

I wreszcie dziękuję Deborah, Graeme'owi i Claire, którzy wciąż dźwigają to wszystko na swoich barkach. Zawsze będę was kochać.

Vancouver, 17 sierpnia 2002